



Blake Crouch
UPGRADE
WYŻSZY POZIOM

„Urzekające”
ALEX
MICHAELIDES

„Niezwykłe
sprytne”
ANDY WEIR

Blake Crouch

UPGRADE
WYŻSZY POZIOM

Przełożył
Paweł Wieczorek

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Blake Crouch
Upgrade

Tytuł oryginału
Upgrade

ISBN 978-83-8335-223-7

Copyright © 2022 by Blake Crouch
All rights reserved

Copyright © 2024 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Redakcja
Marta Stołowska

Projekt graficzny okładki
Szymon Wójciak

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Dla Michaela McLachlana

żołnierza piechoty morskiej, prawnika, drogiego przyjaciela

(1946-2021)

CZĘŚĆ PIERWSZA

Można przestać rozszczepiać atom. Można przestać latać na Księżyc. Można przestać używać aerozoli.

Można nawet postanowić nie zabić wszystkich mieszkańców jakiegoś kraju kilkoma bombami. Nie można jednak sprawić, aby nowa forma życia zechciała przestać istnieć.

Erwin Chargaff

1

Znaleźliśmy Henrika Sorena w barze w terminalu międzynarodowym, pół godziny przed jego wejściem na pokład hiperjeta do Tokio.

Dotychczas widziałem go tylko na zdjęciach Interpolu i nagraniach z kamer nadzoru. W naturze był mniej imponujący — niecały metr siedemdziesiąt wzrostu, w sztucznie postarzonych butach sportowych od Saint Laurenta i designerskiej bluzie z kapturem zakrywającej mu niemal całą twarz. Siedział na końcu kontuaru, z książką i butelką kruga.

Zająłem stołek obok niego i położyłem między nami odznakę. Odwzorowano na niej wizerunek bielika amerykańskiego, którego skrzydła obejmowały podwójną helisę cząsteczki DNA. Przez długą chwilę nic się nie działo. Nie byłem nawet pewien, czy dostrzegł jej blask w świetle zwisających z sufitu kulistych lamp, w końcu jednak odwrócił głowę i popatrzył na mnie.

Uśmiechnąłem się szeroko.

Zamknął książkę. Jeżeli był zdenerwowany, to tego nie okazywał. Wpatrywał się we mnie błękitnymi skandynawskimi oczami.

— Cześć, Henriku — zagailem. — Agent Ramsay. Pracuję dla Agencji Ochrony Genów.

— A co niby zrobiłem?

Urodził się trzydzieści trzy lata temu w Oslo. Kształcił się w Londynie — bo tam matka Sorena pracowała w dyplomacji — i dało się to wychwycić w jego akcencie.

— Może porozmawiamy o tym gdzie indziej?

Barman nas obserwował. Musiał zauważyć moją odznakę. Prawdopodobnie niepokoił się o zapłatę rachunku.

— Zaraz otworzą bramkę mojego lotu — stwierdził Soren.

— Nie lecis do Tokio. Nie dziś.

Mięśnie szczęki mu się napięły, a w oczach pojawił się krótki błysk. Założył sięgające podbródka jasne włosy za uszy i rozejrzał się po barze. Potem przeniósł wzrok na chodzących po hali pasażerów.

— Widzisz kobietę siedzącą za nami? Tę na wysokim stołku? Blondynkę z długimi włosami, w granatowej wiatrówce? — spytałem. — To moja partnerka, agentka Nettmann. Policja czeka w bocznych skrzydłach. Mogę cię stąd wywlec albo wyjdiesz na własnych nogach. Tyle że wyboru musisz dokonać szybko.

Wiedziałem, że nie będzie uciekać. Zdawał sobie sprawę, że ucieczka w obiekcie pełnym funkcjonariuszy różnych służb i kamer to idiotyczny pomysł. Zdesperowani ludzie robią jednak absurdalne rzeczy.

Rozejrzał się jeszcze raz, ponownie na mnie spojrzął. Westchnął, dopił szampana i podniósł z podłogi swoją torbę.

Wróciliśmy do miasta. Nadine Nettmann prowadziła modyfikowanego firmowego Edisona. O tej porze I-70 była praktycznie pusta.

Posadziliśmy Sorena za fotelem pasażera. Ręce spięliśmy mu za plecami plastikowymi kajdankami. Przeszukałem jego torbę — listonoszkę od Gucciego. Jediną interesującą w niej rzeczą był laptop, ale żeby się do niego włamać, potrzebowaliśmy nakazu federalnego.

— Jesteś Logan Ramsay, prawda? — To były pierwsze słowa Sorena, gdy wyprowadziliśmy go z lotniska.

— Zgadza się.

— Syn Miriam Ramsay?

— Tak. — Starłem się zachować neutralny ton. Nie pierwszy raz podejrzanemu udało się mnie zidentyfikować. Soren więcej się nie odezwał. Czulem tylko, że Nadine mi się przygląda.

Gapilem się przez okno na okolicę. Znajdowaliśmy się na obrzeżach miasta, pędziliśmy sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Podwójny elektryczny silnik pracował niemal bezgłośnie. Choć szyby oszklonej dookoła kabiny były przyciemniane, bez trudu dostrzegłem billboard nowej kampanii Agencji Ochrony Genów, który nam mignął.

Białe litery na czarnym tle:

EDYCJA GENÓW TO PRZESTĘPSTWO FEDERALNE

#AOG

W oddali majaczyło centrum Denver.

W niebo wbijała się strzała światła wysokiej Half-Mile Tower.

Tutaj była pierwsza w nocy, co oznaczało, że w Waszyngtonie jest trzecia.

Myślałem o rodzinie śpiącej smacznie w naszym domu w Arlington.

O mojej żonie Beth.

O mojej nastoletniej córce Avie.

Jeśli wszystko pójdzie gładko, wrócę jutro na kolację. Zaplanowaliśmy weekendową wyprawę do doliny Shenandoah, aby nacieszyć oko jesiennymi barwami Skyline Drive.

Minęliśmy kolejny billboard:

JEDNA POMYŁKA SPOWODOWAŁA WIELKI GŁÓD

#AOG #NIGDYNIEZAPOMNIJ

Widziałem już kiedyś ten tekst. Ból i ścisk w gardle pojawiły się natychmiast. Poczucie winy za to, co zrobiliśmy, zawsze uderzało z wielką mocą.

Nie zamierzałem zaprzeczać ani niczego wypierać.

Pozwoliłem temu bólowi trwać, aż sam odpłynął.

Biuro terenowe AOG w Denver znajdowało się w niepozornym kompleksie biurowców w Lakewood i nawet nazwa „biuro terenowe” była nieco na wyrost.

Było to jedno piętro budynku ze wsparciem personelu technicznego, pojedynczą celą aresztancką, pokojem przesłuchań, laboratorium molekularno-biologicznym i zbrojownią. Na ogół AOG w dużych miastach nie miała biur terenowych, ponieważ jednak Denver było głównym węzłem Hiperpętli na Zachodzie, posiadanie tu bazy operacyjnej miało sens.

Byliśmy młodą, szybko rozwijającą się agencją z pięciuset pracownikami — w porównaniu z czterdziestoma tysiącami, pracującymi w FBI. Mieliśmy tylko pięćdziesięciu agentów specjalnych, takich jak ja i Nadine. Wszyscy mieszkali w Waszyngtonie¹, zawsze gotowi do działania w każdym miejscu, w którym nasz wydział wywiadowczy podejrzewał istnienie tajnego laboratorium genetycznego.

Nadine okrążyła od tyłu niski budynek i przejechała przez służbową

bramę pod windy. Zaparkowała za opancerzonym pojazdem, wokół którego czterech funkcjonariuszy Bio-SWAT porozkładało na betonie swój sprzęt, by przeprowadzić ostatnią kontrolę broni przed akcją, która — jak mieliśmy nadzieję — nastąpi jeszcze przed świtem, dzięki informacjom, które zamierzaliśmy wydobyć od Sorena.

Pomogłem podejrzanemu wysiąść z pojazdu i pojechaliśmy we troje na drugie piętro.

Gdy znaleźliśmy się w pokoju przesłuchań, przeciąłem Sorenowi plastikowe kajdanki i posadziłem go przy metalowym stoliku, do którego przyspawano, dla mniej ugodowo nastawionych podejrzanych, krętlik do mocowania kajdanek.

Nadine poszła po kawę.

Usiadłem naprzeciwko Sorena.

— Nie powinienes mi przeczytać moich praw czy coś w tym stylu? — spytał.

— Na mocy ustawy o ochronie genów możemy przetrzymywać pana przez trzy doby. Ot tak.

— Faszyści.

Wzruszyłem ramionami. Niewiele się mylił.

Położyłem na stole książkę, którą mu zabraliśmy, licząc na jakąś reakcję.

— Miłośnik Camusa? — zapytałem.

— Tak. Zbieram rzadkie wydania jego dzieł.

Było to stara edycja *Obcego* w twardej okładce. Starannie ją przekartkowałem.

— Książka jest czysta — zapewnił Soren.

Szukałem nierównych miejsc na kartkach, śladów, że nanoszono na nie płyn, najmniejszych okrągłych plam. Na kartkach zwykłej książki można ukryć ogromną ilość DNA, a raczej plazmidów — wpuszczonych

w mikroskopijnej objętości zgrubienia i pozostawionych na kartce do wyschnięcia, czekających na ponowne uwodnienie i użycie w nowym miejscu. Nawet tak krótka powieść jak *Obcy* mogła zawierać nieskończoną ilość informacji genetycznej, a każda kartka skrywać sekwencję genomu innego ssaka, straszliwej choroby albo zsyntetyzowanego gatunku, które dałoby się aktywować w dobrze wyposażonym nielegalnym laboratorium.

— Zbadamy każdą kartkę pod czarnym światłem — ostrzegłem.

— Super.

— Ktoś przyniesie też pana bagaż. Sam pan rozumie, porozrywamy go na strzępy.

— Dajcie czadu.

— Ponieważ już pan przeprowadził dostawę?

Soren nie odpowiedział.

— Co to było? — spytałem. — Modyfikowane embriony?

Spojrzał na mnie z ledwie skrywanym niesmakiem.

— Wyobrażasz sobie, ile straciłem lotów przez takie noce jak ta? Przez zjawiających się u moich drzwi zapaleńców, by wyciągnąć mnie na przesłuchanie? Ludzi z Europejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Genetycznego? We Francji. W Brazylii. Teraz za psucie mi podróży musiały się zabrać takie kutasy jak wy. Mimo że wciąż mnie nękacie, nigdy nie zostałem o nic oskarżony.

— To nie do końca prawda — odparłem. — Z tego, co wiem, chiński rząd chętnie zamieniłby z panem słówko.

Soren ucichł, jakby mu mowę odjęło.

Drzwi za mną się otworzyły i poczułem zapach kawy. Niestety, nie świeżo parzonej i chyba spalonej. Do środka weszła Nadine i nogą zamknęła za sobą drzwi. Usiadła obok mnie i postawiła na stole dwie kawy. Soren sięgnął po jeden z kubków, ale odtrąciła jego rękę.

— Kawa jest dla grzecznych chłopców.

Czarny płyn smakował jak siki diabła, było jednak późno, a tu nie zapowiadało się, że w najbliższej przyszłości będę mógł liczyć na sen. Cicho jęcząc, wziąłem łyk.

— Przejdę od razu do sedna — uprzedziłem. — Wiemy, że przyjechał pan wczoraj do miasta wynajętym SUV-em, lexusem Z Class.

Soren mimowolnie przechylił lekko głowę, ale trzymał gębę na kłódkę.

Sam odpowiedziałem na niezadane jeszcze pytanie.

— Agencja Ochrony Genów ma pełen dostęp do obsługiwanego przez sztuczną inteligencję systemu rozpoznawania twarzy Ministerstwa Sprawiedliwości. Przeczesuje on nagrania z monitoringów i bazy danych wszystkich możliwych rodzajów nadzoru. Wczoraj siedemnaście minut po dziewiątej rano kamera na zjeździe z I-25 na Alameda Avenue zarejestrowała pańską twarz przez przednią szybę samochodu. Przylecieliśmy z D.C. po południu. Skąd pan jechał?

— Jestem pewien, że już wiecie, iż wynająłem samochód w Albuquerque.

Miał rację. Wiedzieliśmy o tym.

— Co pan robił w Albuquerque? — włączyła się Nadine.

— Zwiedzałem.

Nadine przewróciła oczami.

— Nikt nie zwiedza Albuquerque.

Położyłem na stole wyjęte z kieszeni długopis i notatnik.

— Proszę spisać nazwiska i adresy wszystkich osób, z którymi się pan spotkał. Każde miejsce, w którym pan przebywał.

Soren tylko się uśmiechnął.

— Co pan robił w Denver, Henriku? — spytała Nadine.

— Łapałem lot do Tokio. Próbowałem złapać lot do Tokio.

— Dotarły do nas plotki o laboratorium genetycznym w Denver, które dysponuje nowoczesnym sprzętem i konstruuje bioprodukty do wymuszania okupu. Nie sądzę, aby przypadkowo zjawił się pan w mieście akurat teraz.

— Nie mam pojęcia, o czym mowa.

— Wiemy, że handluje pan elementami genetycznymi z górnej półki — ciągnęła Nadine. — Sieciami regulacyjnymi i sekwencjami regulatorowymi genów. KOSA.

KOSA to rewolucyjny, biologiczny system modyfikacji DNA — obecnie nielegalny — wynaleziony i opatentowany przez moją matkę, Miriam Ramsay. Był to ogromny krok naprzód i sprawił, że poprzednie generacje technologicznie podobnych produktów — ZFN, TALEN, CRISPR-Cas9 — odpadły z wyścigu. KOSA rozpoczęła nową epokę edycji i wprowadzania genów — epokę, której efekty okazały się katastrofalne. Jeżeli ktoś został przyłapany na używaniu albo sprzedawaniu jej do modyfikacji linii zarodkowej — tworzenia nowego organizmu — kończył w więzieniu z wyrokiem trzydziestu lat.

— Chciałbym zadzwonić do mojego adwokata. Mam jeszcze do tego prawo w Ameryce, prawda? — zapytał Soren.

Spodziewaliśmy się tego. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony, że dopiero teraz o tym wspomniał.

— Może pan zadzwonić — odparłem. — Powinien pan jednak wiedzieć, co się stanie, jeżeli pan to zrobi.

— Jesteśmy przygotowani do przekazania pana Chińskiej Agencji do spraw Genów — wyjaśniła Nadine.

— Ameryka nie ma z Chinami umowy o ekstradycję — zauważył Soren.

Nadine pochyliła się i oparła łokcie na stole. Opary kawy opływały jej twarz.

— Dla pana zrobimy wyjątek — obiecała. — Dokumenty właśnie są wypełniane.

— Nie mają nic na mnie.

— Nie sądzę, aby „dowody” i „uczciwy proces” oznaczały u nich to samo co u nas — stwierdziła.

— Mam podwójne obywatelstwo: norweskie i amerykańskie.

— Mało mnie to obchodzi — powiedziałem i spojrzałem na Nadine. — Ciebie obchodzi?

Nadine udała, że się zastanawia.

— Nie. Raczej nie.

Tak naprawdę obchodziło mnie to. Nigdy nie wydałbym Chinom amerykańskiego obywatela, ale blefowanie w grze z kryminalistami jest usprawiedliwione.

Soren opadł plecami na oparcie krzesła.

— Możemy przeprowadzić hipotetyczną konwersację?

— Uwielbiamy hipotetyczne konwersacje.

— Co by było, gdybym w tym notatniku napisał adres?

— Adres czego?

— Miejsca, gdzie mogła się odbyć hipotetyczna dostawa.

— Czego? Hipotetycznie.

— Bakterii górniczych.

Spojrzeliliśmy na siebie z Nadine.

— Wykonał pan dostawę bezpośrednio do laboratorium? Nie do anonimowej skrzynki kontaktowej?

— Nie wykonywałem żadnej dostawy — zaprzeczył Soren. — To hipotetyczne rozważania.

— Oczywiście.

— Gdybym jednak jej dokonał i podzielił się z wami adresem... co

wtedy?

— Zależy od tego, co byśmy, hipotetycznie, pod tym adresem znaleźli.

— Gdybyście, hipotetycznie, znaleźli to laboratorium genetyczne, o którym słyszeliście... co by się ze mną stało?

— Poleciałby pan następnym lotem do Tokio — wyjaśniła Nadine.

— A Chińska Agencja do spraw Genów?

— Jak pan zauważył, nie mamy z Chinami umowy o ekstradycję — odpowiedziałem.

Soren przesunął długopis i notes na swoją stronę stołu.

Jechaliśmy nieoświetleni za niewidocznym pojazdem SWAT-u, pokonując kolejne puste ulice. Adres, który podał Soren, znajdował się na skraju „zrewaloryzowanej” dzielnicy Five Points, gdzie o tej porze otwartych było tylko kilka barów z ziołem.

Opuściłem okno.

Październikowe powietrze działało lepiej niż kawa, którą wypiliśmy w bazie.

W Rocky Mountains panowała późna jesień.

Powietrze pachniało martwymi liśćmi i przejrzałymi owocami.

Nad ząbkowaną panoramą wieżowców Front Range unosił się księżyc w pełni — żółty i wielki.

Na najwyższych szczytach powinien już leżeć śnieg, nad linią drzew widać było jednak tylko suche, oświetlone księżycowym światłem skały.

Kolejny raz uświadomiłem sobie, w jak dziwnych czasach żyjemy. Czuło się niemal fizycznie, że wiele rzeczy znika.

W samej Afryce mieszkały cztery miliardy ludzi, z których większość nie miała zapewnionej ciągłości zaopatrzenia w żywność albo wręcz głodowała. Nawet w Ameryce ciągle dobijały nas następujące jedno po drugim przerwy w dostawach żywności oraz bezrobocie. Ponieważ ceny

mięsa wystrzeliły w kosmos, większość restauracji, które zamknęły się podczas Wielkiego Głodu, nigdy nie zostały otwarte ponownie.

Żyliśmy w państwie wszechobecnego nadzoru, bardziej zajęci ekranami niż bliskimi nam ludźmi, a algorytmy znały nas lepiej, niż znaliśmy sami siebie.

Z każdym rokiem coraz więcej miejsc pracy było automatyzowanych i przejmowanych przez sztuczną inteligencję.

Część Nowego Jorku i większość Miami stały pod wodą, a na Oceanie Indyjskim dryfowała wyspa plastiku wielkości Islandii.

Nie tylko ludzie ucierpieli. Nie było już nosorożców północnych ani tygrysów południowochińskich. Zniknęły wilki rude — wraz z niezliczonymi innymi gatunkami.

W Parku Narodowym Lodowców nie było lodowców.

Mnóstwo rzeczy ulepszyliśmy.

I mnóstwo spieprzyliśmy.

Przyszłość nadeszła i była jednym wielkim śmierzącym chaosem.

— Wszystko gra? — spytała Nadine.

— Jak najbardziej.

— Jeśli chcesz, mogę...

— Jeszcze nie.

Pracowaliśmy razem od prawie trzech lat. Przed przejściem do AOG Nadine pracowała w UNESCO jako specjalistka do spraw środowiska.

Wyjąłem telefon i otworzyłem ciąg rozmów prowadzonych z Beth. Zacząłem pisać:

Hej, Beth. Jadę na akcję.

Chciałem tylko powiedzieć, że cię Kocham.

Uściskaj ode mnie Avę, ale porządnie.
Zadzwonię rano.

Gdy wcisnąłem klawisz wysyłania wiadomości, zaskrzeczało nasze radio.

— *Trzy minuty do celu* — rozległ się głos funkcjonariusza Harta, dowódcy oddziału SWAT.

Poczułem, jak coś bulgocze mi w brzuchu. Adrenalina zaczynała przygotowywać organizm na to, co miało nastąpić.

Istnieli ludzie stworzeni do czegoś takiego. Rozkwitający w gorączce szturmowania magazynu, w środku nocy, w kombinezonach chroniących przed niebezpiecznymi substancjami, bez zastanowienia, w jaką burdę się pakują.

Nie należałem do nich. Jestem naukowcem, a przynajmniej kiedyś marzyłem, żeby nim zostać.

— Zjedź na bok — poprosiłem.

Nadine zjechała do krawężnika, autosystem Edisona pobrzękiwał i pomrukiwał.

Otworzyłem drzwi, wychyliłem się na zewnątrz i z wymiotowałem na jezdnię.

— *Wszystko okej? Straciliśmy was* — rozległ się ponownie głos Harta.

— Wszystko w porządku — odparła Nadine. — Zaraz do was dotrzemy.

Wytarłem usta, splunąłem kilka razy i zamknąłem drzwi.

Nadine nie odzywała się. Nie musiała. Moje rzyganie było takim naszym rytuałem przed akcją.

To był znak, że możemy brać się do roboty.

Nadine nacisnęła pedał gazu.

Tył pojazdu, w którym jechał SWAT, gwałtownie się zbliżył.

Nienawidziłem wjazdów, ale zawsze sobie powtarzałem, że strach jest niezbędnym elementem mojej pokuty.

Większość naukowców-renegatów, stanowiących obiekty naszego zainteresowania, była przestępcami — po prostu i zwyczajnie. Wraz z każdym mijającym rokiem, przy rosnącym wykładniczo popycie na produkty synbio, w grę wchodziło mnóstwo pieniędzy, które można było zarobić na designerskich ultrazwierzakach domowych, ubraniach z pajęczej przędzy, egzotycznych, modyfikowanych genetycznie produktach żywnościowych, nawet na całkowicie nowej formie życia wymyślonej w laboratorium w Vancouver, która przypominała małego, różowego goryla i stała się dla rosyjskich oligarchów symbolem bogactwa i pozycji.

Znacznie udoskonalono także usługi i produkty czarnorynkowe.

Hakowane konopie indyjskie i heroina.

Sekslalki obłożone syntetycznymi ludzkimi mięśniami i skórą.

Nielegalne laboratorium genetyczne w Mexico City zlikwidowane przez federalnych konstruowało dla karteli „osy zemsty”. Te żółte owady mogły brać na cel dowolną osobę wyznaczoną na podstawie genetycznego odcisku palca. Wyposażono je także w prymitywny system typu KOSA, który potrafił modyfikować całe genetyczne sieci regulacyjne, powodując uszkodzenie mózgu, chorobę psychiczną i niezwykle bolesną śmierć.

Dla jednych grzebanie w genach było tylko demonstracją, że są w stanie to robić — jak dla czwórki studentów z biologii w Brown, którzy chcieli jedynie sprawdzić, czy mogliby stworzyć wilka straszego².

Dla kilku innych popaprańców było to głęboko osobiste przedsięwzięcie — jak na przykład dla aspołecznego, choć błyskotliwego szesnastolatka, który próbował stworzyć odporną na antybiotyki, mięsożerną bakterię, aby zarazić nią nękającego go w szkole łobuza.

Albo dla genetyka, którego przyłapaliśmy na próbie klonowania

udoskonalonej wersji martwej żony z użyciem pochodzących z czarnego rynku, pozbawionych jąder, ludzkich zygot.

Albo dla zdesperowanych rodziców bez ubezpieczenia zdrowotnego, którzy próbowali somatycznie edytować zanik mięśni z DNA swojego syna. I wyleczyli go, tyle że mutacje w innych miejscach niż zaplanowane do edycji, które były nieuniknione, zmieniły sieć neuronową kory przedczołowej. Chłopak dostał ataku psychozy, zabił rodziców, a potem odebrał sobie życie.

Istniały też laboratoria, w których organizacje terrorystyczne modyfikowały patogeny i przerabiały różne formy życia na broń — tak jak na przykład grupa z Paryża, która zamierzała uwolnić do atmosfery syntetycznego kuzyna ultraospy. Na szczęście Europejski Urząd Bezpieczeństwa Genetycznego zdążył zrzucić na ich magazyn bombę termobaryczną.

Rozpieprzenie takich przedsięwzięć nigdy nie wywoływało u mnie wyrzutów sumienia.

Tym, co mnie bolało, były wjazdy do prawdziwych naukowców dokonujących przełomowych odkryć, mogących przynieść korzyści całej ludzkości, ofiar spanikowanych rządów, które sparaliżowały badania z zakresu inżynierii genetycznej.

Ludzi takich jak Anthony Romero.

Do dziś czasami o nim myślę. Zbudował laboratorium na ranczo w Lesie Narodowym Bighorn pod Sheridan w stanie Wyoming.

Zanim ustawa o ochronie genów skutecznie zakończyła badania genetyczne — zarówno uniwersyteckie, jak i finansowane z prywatnych środków — doktor Romero był wiodącą postacią w dziedzinie genetycznego leczenia raka. Krążyły plotki, że znajduje się na liście kandydatów do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny,

jednak jego artykuł w „New York Timesie” potępiający niespotykaną wszechwładzę ustawy o ochronie genów odebrał mu szansę znalezienia się na liście akceptowanych przez rząd genetyków.

Aresztowaliśmy (a cała akcja przebiegła nad wyraz gładko i spokojnie) doktora Romero o wpół do trzeciej w nocy. Lekki śnieżek padał na rosnący przed jego chatą zagajnik sosen. Gdy zakładałem mu kajdanki i sadzałem na tylnej kanapie naszego samochodu, było mi niedobrze. Aresztowałem swojego bohatera — człowieka, któremu zazdrościłem kariery, wiedzy i umiejętności, na dodatek skazywałem go na dożywotnie więzienie, nie było bowiem wątpliwości, że Ministerstwo Sprawiedliwości wpisze na listę zarzutów wszystko, co się da.

No ale przecież złamał prawo, prawda?

Gdy na lotnisku hrabstwa Sheridan przekazywaliśmy doktora Romero w ręce agentów USMS³, naukowiec popatrzył na mnie i powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę.

— Wiem, że stara się pan robić to, co należy, ale nie da się tej wiedzy zamieść pod dywan.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak podle. Patrzyłem, jak funkcjonariusze zabierają go do samolotu. Padający śnieg od razu roztapiał się na betonie.

Czułem się jak zdrajca przyszłości.

Pojazd SWAT-u wjechał w zaułek i Nadine zatrzymała się tuż za nim.

Obserwowałem otoczenie przez szarozielone szyby auta, spodziewając się ujrzeć budynki w przemysłowej dzielnicy. Zamiast tego wzdłuż zaułka biegły płoty i garaże będące tyłami posesji z wiktoriańskimi domami, których strome, spiczaste dachy odcinały się od rozgwieżdżonego nieba.

— To willowa dzielnica — stwierdziłem.

— Dziwne, nie?

Mieliśmy za sobą mnóstwo wjazdów do laboratoriów ukrytych

w piwnicach i garażach domów mieszkalnych. Technologia, jaką się te laboratoria posługiwały, była tak prosta, że było to możliwe, ale operacja o skali i złożoności, jakiej się dziś spodziewałem — konieczna do robienia interesów z samym Henrikiem Sorenem... byłbym gotów postawić spore pieniądze na to, że naszym celem nie będzie pomieszczenie służące za magazyn. Na dodatek w wiktoriańskim domu, a do tego w historycznej dzielnicy.

Przełączyłem przekaz radiowy z jednostki na nasze słuchawki.

— Tu Logan. Adres na pewno się zgadza?

— *Tak napisał wasz informator.*

Niestety ludzie ze SWAT-u aż za często byli zwykłymi kutasami.

— Który to dom?

— *Ten z kopułą. Wypuszczamy drona. Czekajcie w gotowości.*

Przez szybę widać było wszystkich czterech funkcjonariuszy SWAT-u — musieli jakiś czas temu wysiąść z wozu, bo jeden z nich już przygotowywał drona z kamerą termowizyjną, który obleci cel w poszukiwaniu sygnatur cieplnych, żebyśmy wiedzieli, ile żywych obiektów jest w środku.

SWAT wejdzie pierwszy, zajmie wysunięte pozycje, Nadine i ja będziemy kryć tyły. Gdy laboratorium zostanie zabezpieczone, będą utrzymywać krąg ochronny, żebyśmy mogli zabrać się do pracy: zrobić inwentaryzację sprzętu i ustalić, nad czym pracował wykolejony naukowiec w tym laboratorium.

Zapiąłem magnetyczne paski indukcyjnego pancerza i wyjąłem z plecaka broń. Był to G47, ale przystosowany do naboju kalibru .45. Po zbyt wielu akcjach w magazynach z kiepskim oświetleniem przerobiłem rękojeść, żeby dało się przytwierdzić do kompozytu glocka latarkę taktyczną.

Nadine mocowała magazynek bębnekowy na swojej broni. Była to strzelba szturmowa Atchisson AA-12. Lubiłem droczyć się z nią, że zabiera

ze sobą taką bestię, choć mamy wsparcie jednostki specjalnej, ale jej argumenty były trudne do zbitcia. Zanim zaczęliśmy razem pracować, znalazła się kiedyś w trudnej sytuacji podczas akcji w Spokane w stanie Waszyngton. Wpakowała cały magazynek pocisków kaliber .40 w naukowca, który przeprowadził na sobie drobny zabieg inżynierii genetycznej obejmujący sporą liczbę genów odpowiedzialnych za rozwój białek SKI i PGC-1 α oraz hormonu IGF-1. W efekcie jego mięśnie szkieletowe zaczęły się gwałtownie rozrastać, dotyczyło to także mitochondriów, które zrobiły się wielkie i supergęste. Mężczyzna, który jej zdaniem wyglądał jak znany z komiksów Kingpin, zanim się wykrwawił, niemal ją zatłukł.

Jak jednak lubiła podkreślać Nadine, po Ziemi nie chodziło zwierzę, którego nie powaliłoby natychmiast dwadzieścia, wystrzeliwanych w trybie automatycznym, kulek kalibru .12⁴.

— *Nie wykrywamy w obiekcie żadnych sygnatur cieplnych* — rozległ się w mojej słuchawce głos funkcjonariusza Harta.

— Zrozumiałem.

Nikogo nie było w domu, czyli to, co najbardziej lubiliśmy. Mogliśmy przeprowadzić rozpoznanie w pustym laboratorium i poczekać na naukowców. Znacznie łatwiej było zgarniać ich na ulicy niż w pomieszczeniu wypełnionym materiałami wybuchowymi i substancjami stanowiącymi zagrożenie biologiczne.

Sprawdziłem godzinę: druga trzydzieści pięć.

Jeszcze dobre trzy godziny do wschodu słońca.

Popatrzyłem na Nadine.

— Idziemy?

Było na tyle zimno, że mój oddech zamienił się w obłok pary.

Wyjeliśmy z bagażnika kombinezony kamuflujące do ochrony przed

materiałami niebezpiecznymi i pomogliśmy sobie nawzajem przy ich zapinaniu. Miały autonomiczny aparat oddechowy i specjalny wizjer, który podczas walki zapewniał szersze pole widzenia.

Na koniec odkręciliśmy butlę z powietrzem i ustawiliśmy się za taktyczną formacją oddziału SWAT.

— *Noktowizory czy latarki?* — spytał Hart.

— Latarki — odparłem. Było tu za dużo rozproszonego światła, na dodatek wschodził będący w pełni księżyc. Wkrótce jego blask zacznie wpadać przez wiktoriańskie okna.

Płot od tyłu był zbyt wysoki, aby zajrzeć od góry, dało się jednak wejść przez prowadzącą na podwórze bramę bez konieczności wyłamywania czegokolwiek.

Trawnik kompletnie zasechł i zarósł chwastami.

Popatrzyłem na okna starego domu. W kilku brakowało szyb, w żadnym nie paliło się światło.

Weszliśmy na zapadający się taras, który skrzypiał pod naszymi buciorami.

Funkcjonariusz Hart ukląkł przy tylnych drzwiach. Otwarcie zamka nie zajęło mu nawet dziesięciu sekund.

Weszliśmy za SWAT-em w kompletną ciemność.

Światła latarek zamocowanych na ich karabinkach szturmowych przesuwały się po będącej w remoncie kuchni.

Weszliśmy do jadalni, której ściany były odarte z tynku. Wszędzie wystawały przewody, na podłodze walały się narzędzia.

— Wygląda na remont — szepnąłem na otwartym kanale.

— *Zaczekajcie* — rozkazał Hart.

Zatrzymaliśmy się z Nadine na wylewce podłogi w pomieszczeniu, które miało być kiedyś salonem.

Nawet przez filtry maski czułem unoszący się w powietrzu zapach trocin i poliuretanu.

Przez wychodzące na ulicę frontowe okna wpadało księżycowe światło.

Oczy powoli przyzwyczajały mi się do ciemności.

Słyszałem tupot butów ludzi ze SWAT-u systematycznie przeszukujących kolejne pomieszczenia na piętrze.

— Macie coś? — spytałem.

— *Nic* — odparł Hart. — *Na górze to samo. Wszystko zerwane do gołego.*

Nadine popatrzyła na mnie.

— Sądzisz, że Soren sobie z nami pogrywa?

— Dlaczego miałyby to robić? Cały czas siedzi pod kluczem. Wie, że nie wyjdzie, póki nie uniesiemy kciuka w górę.

Zauważyłem drzwi pod schodami. Zabezpieczono je kłódką z szyfrem cyfrowym. Pociągnąłem za nią. Nic z tego.

— Odsuń się — powiedziała Nadine.

Gdy spojrzałem za siebie, zauważyłem, że trzyma w dłoni cegłę.

Przesunąłem się w bok, a ona walnęła nią w kłódkę.

Kłódka pękła i spadła na podłogę.

— Ten hałas to my — poinformowałem oddział. — Wyłamaliśmy kłódkę wiszącą na drzwiach.

— *Wracamy do was* — zawołał Hart. — *Tu na górze nic nie ma.*

Pchnąłem drzwi.

Rozległo się przeciągłe skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów.

Skierowałem lufę glocka w ciemność, światło latarki padło na stare schody prowadzące do piwnicy.

Serce mi zadrżało.

— Czekaemy na SWAT? — spytałem.

— Nie ma sygnatur ciepłych — odparła Nadine. — Nikogo tu nie ma.

Pierwszy stopień jęknął pod moim ciężarem.

Im niżej schodziłem, tym robiło się zimniej.

Nawet filtr nie był w stanie zneutralizować smrodu pleśni i mokrego kamienia.

— *Główny poziom czysty* — dobiegł ze słuchawki głos kolejnego funkcjonariusza SWAT-u.

Gdy dotarłem do dołu schodów i stanąłem na klepisku, odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że Nadine ma rację. Soren się z nami zabawiał. Nie bardzo jednak potrafiłbym powiedzieć dlaczego.

— Soren zeznał, że przekazał paczkę gościowi, stojąc we frontowych drzwiach — przypomniała Nadine. — Nie był w środku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Może używają tego miejsca tylko jako skrzynki kontaktowej.

— To byłoby bardziej logiczne niż prowadzenie wysokiej klasy laboratorium w takiej okolicy. — Zastanawiałem się, czy przyjazd tutaj nie był marnowaniem czasu i energii.

Jasne, mogliśmy przetrzymać Sorena siedemdziesiąt dwie godziny. Jeszcze trochę go postraszyć, ale niczego na niego nie mieliśmy. Jego bagaż był czysty.

Powiodłem lufą pistoletu po ciemnej piwnicy.

Oddychałem tak gwałtownie, że zaczęły mi parować obrzeża wizjera.

Dookoła widać było wszędzie oryginalne fundamenty budynku.

Na jednej ze ścian wisiał zardzewiały bojler.

Obok stały zakurzone meble.

Na starym zlewozmywaku ktoś postawił dziwny czarny sześcian o boku może trzydziestu centymetrów.

— Logan. — W głosie Nadine było coś, co natychmiast przyciągnęło moją uwagę.

Odwróciłem się w jej stronę.

— Tam — wskazała.

Gdy przesunąłem latarkę w bok, zobaczyłem kamerę na trójnogu.

Skierowana była na nas.

Na górze migotało czerwone światełko.

— Właśnie zaczęła nagrywać — stwierdziłem.

Oddział SWAT-u schodził do nas na dół.

Ponownie, tym razem znacznie wolniej, oświetliłem teren wokół latarką.

Już nie martwiłem się, że zmarnowaliśmy czas, przyjeżdżając tutaj. Coś było wyraźnie nie w porządku.

Światło padło na sześcian, który widziałem przed chwilą.

Otwierał się.

— Nadine.

— Widzę.

Gdy ścianki opadły na bok, ukazała się kula, przez którą światło przenikało jak przez lód. Była wielkości mniej więcej kuli do kręgli i stała na kłębie gęstej mgły, odbijającej się od jej powierzchni. Na moje oko była superzimna albo zrobiona z czegoś innego niż woda.

— Tam jest jeszcze jedna — zauważyła Nadine.

Odwróciłem się. Jej latarka oświetlała identyczną lodową kulę stojącą przy schodach.

— Co to, do cholery, ma być? — spytała Nadine.

— Nie podoba mi się to, co czuję na...

Przerwało mi buczenie. Dolatywało ze zlewu.

Podszedłem bliżej. Zobaczyłem źródło dźwięku. Ogarnęła mnie panika.

Obok lodowej kuli leżał telefon, którego ekran właśnie się rozświetlił, bo nadeszło połączenie. Dwa przewody z telefonu przechodziły przez otwór w blacie i znikwały pod lodem.

Obie kule pojaśniały od znajdującego się w środku niebieskiego światła.
— Spadamy! — wrzasnąłem.

Oddziałowi SWAT nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Nadine gorączkowo ruszyła za nimi w górę schodów.

Widziałem, jak znikają na głównym poziomie i brakowało mi dwóch sekund, żeby znaleźć się przy dolnym stopniu. Piwnica pobielała...

Poczułem ogromny ciężar na klatce piersiowej.

Potem leżałem na podłodze i wpatrywałem się w odsłoniętą na suficie izolację parteru.

Mój wizjer był w wielu miejscach popękany i podrapany, przez plastik poprzebijały się liczne drobne, przezroczyste odłamki. Zrozumiałem, czym są, dopiero, gdy z jednego z nich skapnęła mi do lewego oka kropla lodowatej wody.

Udało mi się podnieść pistolet i poświecić na swój kombinezon. Był porwany i podziurawiony w tylu miejscach, że nie byłem w stanie zliczyć ubytków.

Ogarnął mnie strach.

Pojawił się ból.

Ręce i nogi — w tym każdy kawałek skóry nieosłonięty kombinezonem — nagle zaczęły piec, jakby je po tysiackroć nakłuto.

2

Gdy wziąłem wdech, w klatce piersiowej poczułem rozdzierający ból.

Usłyszałem własny jęk.

Otworzyłem oczy.

Leżałem na szpitalnym łóżku.

Na półce obok łóżka stał pikający w regularnych odstępach monitor,

a przez wenflon zamocowany do grubo obandażowanego lewego przedramienia kapał mi do żyły płyn z wiszącego na stojaku worka. Drugą rękę i obie nogi miałem owinięte bandażem. Niepokojący był półprzezroczysty parawan, który otaczał moje łóżko ze wszystkich stron. Widać było przez niego jedynie sylwetki i niewyraźne cienie. Głosy było odległe, rozmyte.

Próbowałem sobie przypomnieć ostatnie chwile, gdy byłem przytomny, przychodziło mi to jednak z trudem — nie wiem, czy z powodu leków, czy obrażeń.

Leżałem na klepisku w piwnicy wiktoriańskiego domu w Denver, do którego zrobiliśmy wjazd. Nastąpił wybuch. Próbowałem wstać, ale ból w piersiach mnie obezwładniał.

Leżałem w ciemności, zastanawiając się, gdzie jest reszta oddziału.

Czyżbym umierał?

Ból zaburza poczucie czasu, nie miałem więc zielonego pojęcia, ile trwało, nim wreszcie usłyszałem odgłos wielu kroków. Otoczył mnie zespół medyczny w kombinezonach do ochrony przed niebezpiecznymi substancjami i na widok tego, jak cierpię, jeden z ratowników miłosiernie podał mi jakiś cudowny lek.

Pożeglowałem na błogie morze nieświadomości.

Aż obudziłem się tutaj.

Tyle że nie wiem, co to za miejsce.

— Witaj, Logan. Jak się czujesz?

Głos doleciał z głośnika stojącego na stoliku przy łóżku. Był niższy niż przeciętny kobiecy głos.

— Boli mnie, gdy oddycham. Mocno.

— Siła bólu w skali od jednego do dziesięciu?

— Siedem. Może osiem.

— Z twojej prawej strony jest na ścianie panel z czerwonym przyciskiem. Wciśnij go kilka razy, to dostaniesz trochę morfiny.

Posłusznie sięgnąłem w tę stronę, zatrzymałem się jednak w pół ruchu. Dostawałem już kiedyś morfinę — po nieudanej akcji w Imperium Wewnętrznym, która kosztowała mojego partnera życie, a mnie postrzał w brzuch. Uwielbiałem morfinę, rozluźniała mnie jednak tak bardzo, że ledwie mogłem skupić się na najprostszej rozmowie. A potrzebowałem jeszcze kilku odpowiedzi.

— Gdzie jestem?

— W Centrum Medycznym Denver. Nazywam się doktor Singh i jestem lekarką intensywnej opieki medycznej.

Wziąłem kolejny bolesny wdech.

— Jestem na OIOM-ie?

— Zgadza się.

Nieźle. Przy tej liczbie nowych wirusów i mutacjach znanych chorób krążących nieustannie po kuli ziemskiej, łóżka na oddziałach intensywnej opieki medycznej były pożądanym towarem, często niedostępnym. Albo AOG pociągnęła za kilka sznurków, żeby mnie tu umieścić, albo byłem w kiepskim stanie.

— Umieram?

— Nie, twoje parametry życiowe są obecnie dobre.

— Po co ten plastik?

— Pamiętasz, co się stało w nocy?

— Byłem na akcji. Coś wybuchło.

— W piwnicy zdetonowano zaimprovizowane urządzenie wybuchowe. Mogłeś mieć z czymś kontakt.

Poczułem falę paralizującego strachu.

— Na przykład?

— Z patogenem albo toksyną.

— Wiadomo, czy miałem ten kontakt?

— Jeszcze nie. Trwają badania. Moim zdaniem nie wygląda na to, żebyś został zatruty. Funkcje narządów są zadowolające.

— Co z innymi? Co z moją partnerką Nadine i z oddziałem SWAT.

— Są u nas na kwarantannie, dla bezpieczeństwa, ale kiedy urządzenie wybuchło, nie przebywali już w piwnicy. Ich kombinezony nie zostały naruszone.

Poruszyłem się na łóżku. Było mi niewygodnie.

Ból narastał, czerwony przycisk kusił.

— Jakie mam obrażenia?

— Dwa złamane żebra, trzy pęknięte. Lewe płuco się zapadło, ale już to opanowaliśmy. Ramiona i nogi masz pokryte ranami szarpanymi od kawałków lodu.

— Wybuch był aż tak silny?

— Znajdowałeś się w zamkniętej przestrzeni, więc różnica ciśnień wewnątrz narządów jamistych i ciśnienia fali uderzeniowej spowodowała nieco szkód. Na szczęście nic, co zagrażałoby twojemu życiu. Nic, czego nie da się wyleczyć.

Uznałem, że ból osiągnął takie natężenie, że rozproszy mnie co najmniej tak samo jak morfina.

Wcisnąłem kilka razy czerwony przycisk.

Ulga była natychmiastowa.

Poczułem nieważkość i ciepło.

— Widzę, że uruchomiłeś pompę z morfiną. Spróbuj się trochę przespać, Logan. Za dwie godziny sprawdzę, co u ciebie.

Obudziłem się ponownie.

Coś się zmieniło.

Coś było nie tak.

W klatce piersiowej czułem promieniujący ból, teraz jednak bolała także reszta ciała i było mi potwornie gorąco. Pościel była mokra. Pot spływał mi do oczu i nie tyle oddychałem, co dyszałem.

Monitor kontrolujący parametry życiowe piszczał głośno i szybko.

Ktoś stał przy łóżku i wstrzykiwał do kroplówki kolejny lek.

— Co się dzieje? — spytałem.

Mój głos brzmiał sennie. Słowa ulatywały.

Lekarka albo pielęgniarka patrzyła na mnie przez wizjer kombinezonu ochronnego. Próbowałem odczytać z wyrazu jej oczu, jak poważna jest sytuacja, ale wymykało się to mojej ocenie.

Jej głos dobiegał z głośnika w masce, którą miała na twarzy. Przypominał głos lekarki, z którą rozmawiałem poprzednio, nie mogłem sobie jednak przypomnieć jej nazwiska.

— Dostałeś wysokiej gorączki, Logan. Próbujemy zbić temperaturę.

— Jak wysokiej?

— Zbyt wysokiej.

Powiedziałem coś, co nawet dla mnie zabrzmiało jak objaw delirium.

Rozsunął się suwak w plastikowym parawanie i do środka weszła druga osoba w kombinezonie ochronnym.

— Mam kompresy chłodzące, doktor Singh.

— Dziękuję, Jessico.

Doktor Singh odłożyła strzykawkę i odrzuciła okrywające mnie prześcieradła. Bandaże i szpitalny strój miałem kompletnie przepocone.

Lekarka ostrożnie uniosła mi głowę nad poduszkę, aby Jessica mogła owinąć mi szyję zimnym kompresem.

Chciałem spytać, czy umieram, ale zamiast słów z ust wypłynęły mi

jaskrawe kolory. Widziałem, jak tworzą łańcuch wybuchających fajerwerków.

Pociłem się i jęczałem, bo sny, które mnie nawiedzały, wykraczały poza wszystko, czego doświadczyłem dotychczas w życiu.

Były fantastyczne.

Powtarzały się raz za razem.

Przerażały.

Gdy się obudziłem, gorączka spadła.

Choć klatka piersiowa w dalszym ciągu mnie bolała, nie był to taki sam obezwładniający ból jak poprzednio.

Byłem sam. Z głośnika ponownie dobiegł głos doktor Singh.

— Witaj, Logan. Jak się czujesz?

— Lepiej.

— Przestraszyłeś nas. Dostałeś bardzo wysokiej temperatury. Miałeś czterdzieści jeden stopni.

— Nie próbowałem ustanowić rekordu.

— Nie lubimy takich niespodzianek. Na tym poziomie możliwe stają się uszkodzenia narządów, napady padaczkowe, a nawet śmierć.

— Co było powodem?

— Ciągłe jeszcze prowadzimy badania, nic nie wskazuje jednak ani na bakterię, ani na zakażenie. Zakładamy więc, że to wirus.

Kurwa mać!

Jakiś pojeb, który chce się mścić na AOG, zastawił pułapkę. Nawet nagrał moment zarażenia.

Znacznie bardziej niepokojący od wizji syntetycznego wirusa tnącego moje ciało jak maczeta był inny powód, dla którego ludzie tworzyli wirusy: otóż są idealnymi nośnikami, za pomocą których można wprowadzić do

komórek obcą informację genetyczną. Innymi słowy, można ich użyć do zakażenia kogoś czynnikiem modyfikującym, zdolnym przekodować jego DNA.

Dla leżącego na kwarantannie myśl, że wirus mógł zakazić go czymś w rodzaju KOSY — modyfikatorem DNA, piszącym od nowa kod, który stanowił istotę jego ja — była o wiele bardziej przerażająca niż perspektywa zakażenia „zwykłym” wirusem.

— Jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą przywitać.

Z głośnika dobiegł nowy głos.

— Logan?

Uśmiechnąłem się tak szeroko, że poczułem, jak pękają mi kąciki ust.

— Beth?

— Jestem w sali obok.

Jej głos brzmiał, jakby płakała.

Też zacząłem płakać.

Wystarczył dźwięk głosu kobiety, która kochała mnie wbrew wszystkiemu, i myśl, że mógłbym jej już nigdy nie zobaczyć, gdyby ten ładunek wybuchowy...

— Kiedy przyjechałaś do Denver?

— Wczoraj. Wskoczyłyśmy z Avą natychmiast do samochodu, gdy zawiadomiono nas, co się stało.

— Ava jest z tobą?

— Cześć, tato — odezwała się moja córka.

— Jezu, dzieciaku... jak dobrze słyszeć twój głos.

— Twój też.

— Co wam powiedzieli?

— Nie za wiele. Edwin przekazał, że laboratorium, do którego robiliście

wjazd, wybuchło. A lekarze, że mogłeś mieć w trakcie wybuchu kontakt z jakimś patogenem, dlatego jesteś na kwarantannie.

— Przepraszam za zmarnowany weekend. Powinniśmy być teraz wszyscy w Shenandoah.

— Pojedziemy tam, gdy tylko pozwolą ci stąd wyjść — obiecała Ava.

— Nie opuszczasz szkoły, skarbie?

— Ani trochę.

— Nie chcę, żebyś znowu miała zaległości. To, że prawie mnie wysadzili, to żadne usprawiedliwienie.

— Myślę, że jest. Przywiozłam laptopa. Będę pracować w poczekalni.

— Okej. Koniec rozmów — zarządziła Beth. — Właśnie nam mówią, że powinniśmy dać ci odpocząć.

— Będziecie w pobliżu?

— Nigdzie się nie wybieramy.

W nocy wróciła gorączka.

Próbowałem spać, ale prześladowały mnie dzikie sny. Miałem halucynacje, że tkwię w środku własnego ciała i obserwuję wnikającego do moich komórek wirusa. Potem sam stałem się wirusem, rozpuściłem się, i swój kod genetyczny przelewałem przez membrany komórek, atakując je, aby się powielić. Namnożyć cząstki wirusa.

Podwoić je, zwielokrotnić i...

Gorączka chyba jeszcze mi wzrosła. Majaczyłem.

Pielęgniarki w kombinezonach ochronnych owijały mi szyję zimnymi kompresami, a klatkę piersiową okładały lodem.

Jęczałem.

Mamrotałem bez ładu i składu.

— Jestem wirusem... jestem wirusem...

Odlatywały na boki.

Tworzyły wirujące kaskady.

Spływały po ścianach plastikowego parawanu.

Nieskończone, tajemnicze permutacje kopii wszelkiego życia na Ziemi.

Czułem, jak poszczególne litery uderzają w moją twarz.

Wdychałem je.

To była burza kodu biologicznego, który nieustannie się zmieniał i mutował.

Głowa mi płonęła i krążyła po niej myśl, że gdybym umiał odcyfrować kod, zrozumiałbym, co wirus ze mną robi.

Gdy doszedłem do siebie, na łóżku obok mnie siedział ktoś w kombinezonie ochronnym. Żebra mniej mnie bolały, gorączka ustąpiła, ale byłem wykończony.

Człowiek w kombinezonie odwrócił się do mnie.

Miałem przed sobą mojego szefa, dyrektora Agencji Ochrony Genów, Edwina Rogersa. Miło było go widzieć. Napisałem podanie o pracę w AOG od razu po wyjściu z więzienia, choć nie wierzyłem, że potraktują mnie poważnie, ale rozmawiał ze mną właśnie Edwin Rogers i zatrudnił mnie od razu mimo kilku moich wyroków za poważne przestępstwa i braku doświadczenia w egzekucji prawa. Za coś takiego należała mu się moja dozgonna wdzięczność.

— O, ktoś tu oprzytomniał — powiedział Edwin.

— Cześć — jęknąłem słabo. — Jak Nadine?

— Jeszcze na kwarantannie, ale bez objawów. Za dzień lub dwa powinna wyjść. Obawiam się, że wzięłaś to wszystko na siebie.

— A czy wiadomo, co takiego na siebie wzięłam?

Edwin odchrząknął.

— Jak z pewnością już się domyśliłaś, wpadłaś w pułapkę. Cały czas

trzymamy Henrika Sorena. Zamierzamy go oskarżyć o próbę morderstwa.

— Co mówi?

— Udaje głupiego. Twierdzi, że w czwartek rano dostarczył przesyłkę jakiemuś mężczyźnie w tym domu.

— Żadnych nazwisk?

— Podał nam ogólny opis i nick z darknetu, co, jak wiesz...

— Nie ma żadnej wartości. — Próbowałem usiąść, walcząc z protestującymi żebrami. Edwin poprawił mi poduszki za plecami. — Byłeś w piwnicy, w której to się stało?

— Byłem. Znaleźliśmy resztki dwóch lodowych bomb. Był to zdecydowanie najdziwniejszy improwizowany ładunek, jaki widziałem w życiu.

— Lód był z wody czy...

— Z wody uformowanej w niesamowicie twarde kule. Wybuch rozbił lód na strzałki, które przecięły twój kombinezon i powbijały się w ciało.

— Udało się zebrać próbki rozpuszczonej wody albo fragmenty lodu?

— Udało się. Właśnie skończyliśmy sekwencjonowanie. Kule zawierały wirusa w lodowatej zawieszynie.

Ta informacja była dla mnie jak kubeł zimnej wody.

— W sumie dość pomysłowe — kontynuował Edwin. — Odłamek wnika do ciała przez nacięcia w skórze i rozpuszcza się, nie czyniąc trwałych uszkodzeń fizycznych.

— Boże drogi!

Położył mi dłoń na ramieniu.

— Zanim zaczniesz wariować, muszę cię uspokoić, że to nic z grupy filowirusów, na temat których prawdopodobnie miałeś senne koszmary. To nie ebola ani marburg. Nie ospa. To coś pochodzi chyba z rodziny ortomyksowirusów.

— Grypa?

— Tak.

— Syntetyczna?

— Tak zakładamy.

Zadałem pytanie, na które właściwie nie chciałem znać odpowiedzi.

— Miał zakodowany kompleks KOSY?

Edwin skinął głową.

Pięknie. Zostałem nie tylko zakażony wirusem nieznanego pochodzenia, ale także ładunkiem zawierającym najpotężniejszy system modyfikacji genomu, jaki kiedykolwiek stworzono. Niemal na pewno nie powstał on po to, abym zachorował, ale aby zakazić niektóre albo wszystkie komórki mojego ciała, potencjalnie edytując i rekodując fragmenty mojego DNA.

— Wiadomo, które geny i ścieżki były celem?

— Jeszcze nie, ale badamy w pełnym zakresie próbkę twoich białych ciałek krwi.

Próbowałem powstrzymać ogarniający mnie strach, ale nie byłem w stanie. Ta informacja rozwalila mnie niczym zamek z piasku. Choć nie była to wielka niespodzianka, trudno było o gorszą wiadomość. Leżałem na klepisku piwnicy, a lód wnikał we mnie. Z całą mocą uświadomiłem sobie, w jakiej sytuacji się znalazłem, i że zagrożenie jest jak najbardziej realne.

Edwin wyciągnął rękę nad poręczą łóżka i poklepał mnie po ramieniu

— Chcę, żebyś usłyszał to ode mnie — powiedział. — Dowiemy się, kto to zrobił, i nasramy mu zdrowo do kawy. Ty skupiaj się na tym, żeby wyzdrowieć.

— Spróbuję.

Starał się mnie pocieszyć, ale gdyby zmiany w moim DNA okazały się śmiertelne, złapanie sprawcy niewiele by pomogło. System KOSY mógł narozrabiać w moim genomie na sto różnych sposobów.

Gdyby zapisać kod genetyczny człowieka w książce o standardowej wielkości, miałyby grubość równą wysokości dwudziestopiętrowego budynku i zawierała trzy miliardy permutacji liter A, C, G i T, reprezentujących cztery zasady azotowe nukleotydów: adeninę, cytozynę, guaninę i tyminę. Układ tych czterech zasad tworzy kod wszystkiego, co żyje na tej planecie. Kod ten to genotyp, a sposób, w jaki wyraża się fizycznie w istocie żywej (na przykład w kolorze oczu), w połączeniu z interakcjami ze środowiskiem, nosi nazwę fenotypu. Wiedza o korelacji między genotypem a fenotypem — jaki kod DNA programuje konkretną cechę — ciągle jeszcze jest dla nas niedostępna.

Edwin wstał z krzesła, podszedł do drzwi, rozsunął suwak i wyszedł.

Gdy zamknął mój wszechświat ze szczelnego plastiku, poczułem się bardzo samotny.

Przypomniał mi się czas w więzieniu i przygnębiające odczucie, że zwykli ludzie mogą przychodzić i wychodzić, kiedy chcą.

Ja tkwiłem tutaj.

Uwięziony wraz z moim zmieniającym się genomem.

Dostałem interferon gamma i zestaw nowych środków przeciwwirusowych.

Następnej nocy znowu gwałtownie skoczyła mi gorączka, ale potem nastąpił okres szybkiej poprawy. Odzyskałem energię. Wrócił mi apetyt. Przesypiałem całe noce.

Po trzech dniach zdjęto mi bandażę, rany od ukłuć lodem zaczęły się zablizniać.

W dalszym ciągu bolały mnie żebra, nie mogłem się jednak doczekać, aż wstanę i będę chodził — nawet jeśli tylko po korytarzu OIOM-u.

Tęskniłem za zamianą poniżającego basenu na prawdziwą łazienkę.

Nie było jednak szans, by pozwolili mi wyjść na zewnątrz.

Nadal nic nie było wiadomo o zhakowanym szczepie grypy, którym

zostałem zakażony, dlatego doktor Singh nie zamierzała ryzykować. Choć nie miałem żadnych objawów, rozsiewałem wirusa, więc mogłem zarażać innych.

Spędzałem dni na oglądaniu filmów na tablecie albo próbując skupić się na tyle, żeby czytać, głównie jednak obsesyjnie rozmyślałem o tym, co KOSA może ze mną zrobić.

Szpital nie wyraził zgody na odwiedziny żony i córki, po tygodniu w łóżku wymusiłem jednak ich wizytę.

Moja czternastoletnia córka weszła przez plastikową zasłonę w kombinezonie ochronnym, w którym niemal zniknęła, z przerzuconą przez ramię torbą.

Musiałem się na jej widok roześmiać — po raz pierwszy od obudzenia się pięć dni temu ma OIOM-ie. Ale popękane żebra natychmiast zamieniły tę radość w torturę.

— Cześć, tato — doleciał głos z głośnika w kombinezonie. Potem Ava pochyliła się i objęła mnie najdziwniejszym, ale równocześnie najwspanialszym uściskiem w moim życiu. Wcisnąłem twarz w jej wizjer. Choć dzieliły nas lateksowe rękawiczki i kombinezon z tyveku, dotyk osoby, którą kochałem, i która kochała mnie, znowu doprowadził mnie do łez. — Wszystko okej, tato?

— Jasne. — Otarłem oczy.

Przyciągnęła krzesło, sięgnęła do torby i wyjęła szachownicę.

— Chcesz zagrać?

— I to jak. Rzygać mi się już chce od gapienia się na ekrany.

Usiadłem. Pojękiwałem, próbując poprawić sobie poduszki. Ava otworzyła szachownicę, położyła ją na łóżku i zaczęła ustawiać figury.

Wzruszyło mnie to, że zgodziła się ubrać w kombinezon, aby spędzić ze mną trochę czasu. U kogoś nieprzyzwyczajonego kombinezon ochronny

może wywoływać klaustrofobię. Człowiekowi jest w nim gorąco, wygląda jak nadmuchany, a gdy wchodzi się do miejsca będącego pod kwarantanną, natychmiast zaczyna w nim swędzieć twarz. No i oczywiście oprócz tych niedogodności istniało — bardzo realne — zagrożenie, że kombinezon pęknie.

Wyciągnęła dłonie i klepnałem ją w prawą. Miała w niej białego piona.

Pierwszy ruch należał do mnie.

Nauczyłem Avę grać w szachy, gdy miała pięć lat. Natychmiast złapała bakcyła i szybko zrozumiała nie tylko zasady ruchu każdej figury, ale także to, że wygrana wymaga szerzej zakrojonej strategii.

Próbowaliśmy grać codziennie, zazwyczaj przy stoliku z kutego żelaza stojącym na tylnym podwórku naszego domu, albo — gdy była kiepska pogoda — przed kominkiem, z planszą leżącą na wyłożonym cegłami kawałku podłogi.

W wieku dziesięciu lat grała znakomicie.

Gdy skończyła dwanaście, byliśmy równorzędnymi partnerami.

Jako trzynastolatka miała wspaniały repertuar otwarć i mocne końcówki w jej wykonaniu sprawiły, że była lepsza ode mnie. Mogłem ją pokonać pod warunkiem, że zagrałem bezbłędnie, a ona popełniła co najmniej jeden błąd. Zdarzało się to jednak rzadko.

Czasami zastanawiałem się, czy natura nie obdarowała jej takim intelektem jak moją matkę.

Zrobiłem pierwszy ruch.

— Halo, tato? — powiedziała, wykonując swój ruch: skoczek na F6. — Pięćset sześćdziesiąt jeden. Chciałam tylko sprawdzić, czy pamiętasz.

Przewróciłem oczami.

Przez wizjer widać było, że uśmiecha się szeroko.

Miała na myśli „pięćset sześćdziesiąt jeden dni”.

Przypominała mi, kiedy ostatni raz dałem jej mata.

Przez następny tydzień graliśmy codziennie.

Wygrywała za każdym razem i nigdy nawet nie byłem bliski zwycięstwa.

Beth także zdecydowała się na kombinezon, by ze mną posiedzieć, i wolni od rutyny oraz spraw, jakie niosło ze sobą codzienne życie w Wirginii, rozmawialiśmy więcej niż w ciągu ostatnich kilku lat.

Któregoś popołudnia popatrzyła na mnie przez wizjer i ujęła moje dłonie w swoje. Dzieliła nas tylko cienka warstwa lateksu.

— Kiedy będzie dość? — spytała.

Miała na myśli moją robotę. Już nieraz to przerabialiśmy.

— Nie mam pojęcia.

— Zostałeś postrzelony. Teraz dodaj do swojego życiorysu i kariery zawodowej to, że niewiele brakowało, a wyleciałbyś w powietrze.

— Tu nie chodzi o moją karierę zawodową ani o życiorys.

— A o co? Spójrz na mnie. Gdybym uważała, że uwielbiasz tę pracę, to choć nie znoszę niebezpieczeństwa, na które jesteś nieustannie narażony, nie powiedziałabym słowa. Wiem jednak, że ta praca nie wyraża ciebie. Wykonujesz ją z obowiązku i poczucia winy, co może miało sens na początku, ale minęło piętnaście lat, odkąd zostałeś ułaskawiony. Nadszedł czas, by sobie wybaczyć i zacząć robić to, co kochasz.

Tym, co naprawdę kochałem, czego naprawdę chciałem — od zawsze — to pracować jako genetyk. Zrozumieć i dzierżyć moc kodu źródłowego życia, aby uczynić świat lepszym. Obwinałem o to fakt, że byłem pod przemożnym wpływem matki. Była potężną, niszczycielską siłą, a ja tak jak i ona miałem nadmierne ambicje.

Tyle że teraz już nie żyliśmy w świecie, w którym można by zrealizować którekolwiek z moich marzeń.

A najtrudniejszą do zaakceptowania prawdą — zżerającą mnie powoli od

środku przez większość dorosłego życia — było to, że nie posiadałem nawet ułamka inteligencji Anthony’ego Romero czy Miriam Ramsay.

Miałem nieprzeciętne marzenia i niestety przeciętny umysł.

Dokładnie dwa tygodnie od przyjęcia na OIOM ośrodka w Denver, suwak klapy mojego plastikowego parawanu rozsunął się i z szerokim uśmiechem na ustach weszła do środka doktor Singh. Na plecy opadała jej kaskada ciemnych włosów.

— Masz włosy — powiedziałem z podziwem.

— Mam. I to sporo.

— Gdzie twój kombinezon?

— Nie potrzebuję go.

Podeszła i usiadła na krześle przy łóżku. Była nieco młodsza, niż zakładałem na podstawie chrypki w głosie.

— Z przyjemnością stwierdzamy, że cykl życiowy wirusa — cokolwiek to było — zakończył się. Jeszcze przez jakiś miesiąc będziesz odczuwał ból, ale wypisujemy cię. Aha — i mam przy telefonie kogoś, kto chce ci coś powiedzieć. — Wyjęła z kieszeni aparat i ustawiła tryb głośnomówiący. — Dyrektorze Rogers? Może pan rozmawiać z Loganem.

— Logan, słyszysz mnie?

— Wyraźnie, dyrektorze.

— Twoja lekarka właśnie przekazała mi dobre wieści i mam też coś do powiedzenia od siebie. Właśnie przyszły wyniki analizy twojego DNA. Jesteś czysty.

— Żadnych zmian genomu?

— Żadnych, które bylibyśmy w stanie wykryć.

Musiałem powstrzymać łzy.

— Dziękuję panu. Bardzo dziękuję.

— Do zobaczenia w Waszyngtonie.

Gdy doktor Singh zakończyła połączenie, do środka wcisnęły się Beth i Ava. Podbiegły do mojego łóżka. Wpakowały się obie na wąski materac, ścisnęły mnie swoimi ciałami, jak byśmy stanowili kanapkę.

— Uwaga na zebra... — jęknąłem.

Śmialiśmy się i płakaliśmy. Brakowało mi tych emocji. Zapachu moich dziewczyn. Dźwięku ich głosów, niefiltrowanych przez plastikowe wizjery i kombinezony ochronne. Dotyku ich skóry.

Po czternastu dniach kwarantanny było to jak zaproszenie, żebym wrócił do życia.

Do domu.

3

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Skrzypnęły drzwi łazienki i Beth zajrzała do środka.

— Co robisz? — spytała, mrużąc zaspane oczy.

Dobre pytanie. Była trzecia w nocy, a ja siedziałem w wannie o lwich łapach, w bardzo gorącej wodzie.

— Obudziłem cię?

— Nie, chciałam się do ciebie przytulić, ale cię nie było. Dokucza ci to samo co w zeszłym tygodniu?

— Tak.

— Co cię boli?

— Nogi. Ramiona. Plecy. Generalnie wszystko.

Beth weszła do łazienki i zaczęła grzebać w apteczce.

— Już brałem advil — powiedziałem. Czekam, aż zadziała.

Podeszła do wanny. Para, unosząca się znad powierzchni wody wypełniła

łazienkę.

— Nie nasikałeś do wody? — spytała.

Roześmiałem się.

— Nie, bo co?

Rozwiązała szlafrok, pozwoliła mu zsunąć się z ramion i opaść na podłogę wykładaną kafelkami.

Trzymając się krawędzi wanny, przełożyła przez nią długą nogę i weszła do środka.

— O... ale gorąca. — Powoli wypuściła powietrze przez zęby, równocześnie opuszczając się do wody naprzeciwko mnie. — Nie wiem, jak to możesz wytrzymać.

— Pasuje do bólu.

— Jaki to ból?

— Pamiętasz, jak boli, gdy rosną kości i mięśnie?

— Jasne.

— To coś podobnego. Jak na sterydach. Ból jest gdzieś w głębi.

— Może tylko na starość zrobiłeś się miękki i słaby.

Uśmiechnąłem się i pokazałem jej środkowy palec.

Oparłem się o gładką emalię i zamknąłem oczy. Nogi, mimo temperatury wody, w dalszym ciągu mnie bolały. Wziąłem trzy tabletki advilu, ale już wiedziałem, że będę potrzebował czegoś mocniejszego.

— Chciałabym, żebyś porozmawiał o tym z doktorem Strandem.

— Umówiłem się z nim na jutro.

Nie przyznałem się Beth, że już rozmawiałem o tym nawracającym bólu z doktorem Strandem w trakcie badania kontrolnego kilka dni temu, i na tyle go to zaniepokoiło, że skierował mnie na rentgen. Powiem jej, gdy będę wiedział coś konkretnego. Nie było sensu denerwować Beth domysłami.

— Będziesz w stanie iść jutro do pracy? — indagowała.

— Mam nadzieję.

Po akcji w Denver AOG dała mi urlop i jutro po raz pierwszy miałem iść do pracy, odkąd sześć tygodni temu o mało nie zginąłem. Żebra dobrze się goiły, a nacięcia od lodu zniknęły bez śladu.

— O której masz pociąg? — spytałem.

— Kwadrans po siódmej.

Beth jechała do Nowego Jorku na konferencję socjologiczną na Uniwersytecie Columbia. Miała wygłosić wykład o przestępczości na Dolnym Manhattanie, który od zalania przez powódź osiem lat temu, co przesądziło o jego losie, stał się jednym wielkim obozowiskiem bezdomnych.

— W dalszym ciągu zamierzasz zostać tam do końca?

— Chciałabym. Szkoda, że nie możesz jechać ze mną. Moglibyśmy spędzić tam cały tydzień.

Gadaliśmy o niczym, woda stygła. Rozmowy z Beth były jedną z prawdziwych i największych przyjemności w moim życiu. Gdy przed laty poprosiłem ją o rękę, oświadczyłem się następującymi słowami: „Nie ma na tym świecie osoby, z którą chętniej zjadłbym dziesięć tysięcy kolacji”.

Ból nóg powoli odpuszczał.

Beth w końcu wstała i wyszła z wanny. Spojrzała na telefon i westchnęła.

— Co się stało?

— Minęła czwarta. Muszę się jeszcze spakować i zdążyć na Union Station na szóstą. Nie ma sensu wracać do łóżka.

— Przepraszam, że cię obudziłem.

Założyła szlafrok, zawiązała pasek i podeszła do wanny.

Pochyliła się i pocałowała mnie.

— Nigdy nie przepraszaj.

Rano zawiozłem Avę do szkoły, zaparkowałem niedaleko stacji metra przy cmentarzu Arlington i pojechałem niebieską linią do Waszyngtonu.

Kwatera główna Agencji Ochrony Genów mieściła się w budynku Constitution Center, w tych samych pomieszczeniach, które kiedyś zajmowała National Endowment for the Arts⁵.

Przeszedłem przez kontrolę przy wejściu i wjechałem windą na piętro, gdzie urzędował dyrektor. Wezwano mnie na rozmowę z Edwinem Rogersem. Miałem stawić się o dziewiątej rano.

Przez pół godziny czekałem przed drzwiami gabinetu sekretarki dyrektora, po czym zjawił się sam Edwin.

— Piłeś już kawę? — spytał zamiast powitania.

— Tak, ale chętnie wypiję jeszcze jedną.

— Chodź ze mną.

Był dominującym człowiekiem i z łatwością wywierał wpływ na innych.

Miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, był szczupły, ale barczysty i zawsze ubrany w znakomicie skrojony garnitur.

Mimo sześćdziesiątki na karku poruszał się z niezwykłą lekkością, długimi, pewnymi krokami, i musiałem dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć.

Zjechaliśmy do parku znajdującego się na wewnętrznym dziedzińcu budynku, przypominającym studnię, i stanęliśmy w kolejce do stoiska z kawą. Jak na późny listopad pogoda dopisywała, a dziesięć kondygnacji oszklonych fasad otaczających akrowej wielkości dziedziniec Constitution Center chroniło przed wiatrem od Potomacu i hałasu biegnącej na południu autostrady międzystanowej.

Ruszyliśmy z kawami w dłoniach w stronę pobliskiej ławki.

— Jak żebra? — zapytał Edwin.

— Ciągle je czuję. Po południu mam wizytę kontrolną.

Dyrektor upił łyk kawy.

— A terapia? Jeżeli nie masz nic przeciwko, że się wtrącam...

— Pomaga.

— To dobrze. Ważne, żebyś przepracował to, co się stało w Denver.

Mogło się skończyć znacznie gorzej.

Też wziąłem łyk kawy.

Tuż nad naszymi głowami huknęło jak z armaty, gdy hiperdrzewotowiec przebił się przez barierę dźwięku, wznosząc się z Reagan National.

— Na czym stoimy z Sorenem? — spytałem.

— Wnieśliśmy oskarżenie o próbę zabójstwa. Sędzia odmówił wyznaczenia kaucji. W dalszym ciągu jest trzymany w Denver.

— Nie chce iść na układ?

— W ogóle nie chce z nami gadać.

— Mamy coś na niego?

— Nie. Jego komputer był czysty.

— Podał adres domu. Przyznał, że dostarczył do niego przesyłkę.

Wciągnął nas w pułapkę.

— A gdy zażądał adwokata, zagroziłeś mu bezprawną ekstradycją do Chin.

— Dyrektorze...

— Jestem po twojej stronie.

— A gdybyśmy go zaczipowali i wypuścili?

— Masz na myśli nanosprzęt DARPA?

— Czemu nie? Dowiemy się, gdzie pojedzie.

— To ma sens tylko w przypadku ludzi chętnych do współpracy. Przecież chipy rozpuszczają się po dwóch dobach. Poza tym to byłoby naruszenie jego praw. Kolejne.

— Więc co będzie?

— Za dwa tygodnie odbędzie się przesłuchanie wstępne. Wtedy będziemy musieli wypić piwo, którego nawarzyliśmy. — Edwin spojrzął na zegarek i wstał. — Muszę jechać na Wzgórze. Chcę, żebyś złożył raport w wydziale wywiadowczym. Wiedzą, że się tam zjawisz. Dopóki nie zostaniesz dopuszczony do pracy w terenie, siedzisz za biurkiem w dziale analitycznym.

Gdy patrzyłem na odchodzącego Edwina, rozległ się znajomy głos wołający moje imię. Szła ku mnie uśmiechnięta Nadine.

— Cześć, nieznajomy — przywitała się i usiadła obok mnie. — Jak się czujesz?

— Lepiej. Dyrektor uziemił mnie za biurkiem, więc... czeka mnie dobra zabawa.

— Daj spokój, przecież o tym marzyłeś. Nienawidzisz pracy w terenie. Tylko od niej puszczasz pawia.

— To prawda. Ale siedzenie w boksie...

Nadine roześmiała się.

— Trudno cię zadowolić.

Przewróciłem oczami.

— Masz plany na lunch? — spytała.

— Nie.

— Po drugiej stronie ulicy jest nowa knajpka z ramenem. Stawiam.

— Z jakiej okazji?

— Bez okazji. Nie mogę się cieszyć, że przeżyłeś?

— Długo będziesz w mieście?

— Jadę po południu do Minneapolis. — Wzruszyła ramionami. — Wygląda na to, że ktoś zainstalował laboratorium genetyczne w piwnicy opuszczonego szpitala psychiatrycznego.

— Brzmi jak wstęp do horroru.

— Wpadnę po ciebie do działu analitycznego tuż przez południem. — Nadine wstała i stuknęliśmy się kubkami z kawą. — Dobrze, że wróciłeś.

I poszła sobie.

Doktor Jeff Strand — mój internista od niemal dziesięciu lat — siedział naprzeciwko i czytał moją kartę.

— Dostałem twoje rentgeny.

— Tak? — Przygotowałem się na złe wieści. Rozmawialiśmy od kilku minut, ale myślałem tylko o wynikach.

— Są pewne... nieregularności. — Wyjął z mojej teczki dwa zdjęcia i położył je na kozetce, na której siedziałem. Według mnie niczym się nie różniły. Dotknął jednego z nich. — Zdjęcie ukazuje kości nadgarstka, kość promieniową i łokciową prawej ręki. Nadgarstek i przedramię. Jest w normie.

— To chyba dobrze?

— To zdjęcie innego pacjenta.

— O!

Wskazał na drugie zdjęcie.

— A to jest twoja prawa ręka.

Porównywałem zdjęcia, patrząc raz na jedno, raz na drugie.

— Widzisz różnicę? — spytał Strand.

— Nie bardzo. To rak?

— Nie. Miałeś w młodości jakieś złamania?

— Obojczyk w trzynastym roku życia.

— I żebra w październiku w Denver.

— I żebra.

Wyjął z teczki kolejne zdjęcie.

— To jest zdjęcie twoich żeber wykonane w ośrodku w Denver.

Pomijając pęknięcia, kości są w normie. — Wskazał na świeże zdjęcie mojego przedramienia. — A te nie.

— Co jest z nimi nie tak?

— W zasadzie nic. Istnieje wskaźnik zwany z-score, który określa mineralną gęstość kości. Wszystko od minus jeden do jeden to norma, a ty masz wynik 2,75.

— To dużo?

Strand zachichotał.

— Jeszcze nigdy nie widziałem kości o tak dużej gęstości. Jeżeli przechodzą proces zagęszczania, wyjaśniałoby to płynący z głębi ciała ból.

— Co może powodować takie zwiększenie gęstości?

— Same złe rzeczy. Rak prostaty z rozproszonymi przerzutami, choroba Pageta, pyknodysostoza, osteopetroza... Lista jest długa i przerażająca. Tyle że nie masz żadnej z tych chorób.

— Na pewno?

— Sprawdziłem wszystko, na co była w stanie wpaść sztuczna inteligencja. Poza tym jesteś w pełni zdrowy. Tyle że masz supergęste kości. Znacznie mniej podatne na złamania.

Poczułem ogarniający mnie strach.

Serce zaczęło mi walić w piersi.

Popatrzyłem na Jeffa — drobnego mężczyznę z gęstą brodą i posepnym wzrokiem.

— Jaką część tych danych medycznych ujawnisz mojemu pracodawcy?
— drążyłem.

— Po incydencie w Denver podpisałeś zgodę na to, że mogę przekazywać sprawozdania na temat stanu twojego zdrowia. Żeby wiedzieli, kiedy mogą cię przywrócić do aktywnej służby. Dlaczego pytasz?

— Przesłałeś im już te rentgeny i wnioski?

— Jeszcze nie.

— Nie rób tego.

Jeff miał niepewną minę.

— Czym się niepokoisz? — spytał.

— Mógłbyś zbadać mi DNA?

— Sądziłem, że w ramach badań w Denver nie stwierdzono żadnych zmian.

— To prawda.

— Jak mogłyby nie wykazać zmian, gdyby zmodyfikowano ci genom?

— Z wielu powodów. Wiadomo na pewno, że te lodowe bomby zawierały pakiet do edycji genów. Może celem były komórki w wybranych narządach. Wektor wirusowy mógł mieć wbudowany mechanizm opóźniający, utrzymujący go w stanie uśpienia, żeby modyfikacja genomu zaczęła się w późniejszym czasie.

Jeff wstał.

— Prześlę twoje DNA w celu przeprowadzenia nowego sekwencjonowania genomu. Porównamy wyniki z ostatnimi. — Zaczął chować rentgeny do teczki. — Jeżeli stwierdzimy anomalię, mam obowiązek to zgłosić, ale oczywiście o tym wiesz. W każdym razie jakby co, poinformuję najpierw ciebie.

Może miałem paranoję, ale jeżeli zmodyfikowano mi w Denver genom, musiałem wiedzieć, jakie zmiany nastąpią. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było to, by AOG doszła do wniosku, że sam to sobie zrobiłem, albo artykuł na pierwszej stronie „New York Post” czy „Guardiana” informujący wielką czciską, że przyłapano zhańbionego syna Miriam Ramsay na modyfikowaniu własnych genów.

Przede wszystkim jednak nie miałem ochoty zostać królikiem doświadczalnym.

W godzinach szczytu na waszyngtońskie metro zwałił się zimny front.

Czarne niebo, wiatr i deszcz zapowiadały koniec pogodnej jesieni.

Gdy mijalem ostatnie przecznice dzielące mnie od naszego domu w arlingtonskim Bluemont, powietrze wirowało wypełnione martwymi liśćmi, a zmianę ciśnienia odczuwałem jako zaciskające się na moich żebrach imadło.

Ponieważ Beth była w Nowym Jorku, zamówiliśmy z Avą jedzenie u naszego ulubionego Chińczyka.

Napaliłem w kominku.

Pierwszy raz w roku.

Gdy lodowaty deszcz spływał po szybach okien wyglądających na tylne podwórze, moja córka przyniosła szachownicę z palisandru i zaczęła rozstawiać marmurowe bierki. Miałem wrażenie, że w jej mowie ciała jest coś niecodziennego — i do tego ten smutek w oczach.

— Jak pierwszy dzień na starych śmieciach? — spytała.

— Nie najgorzej. Posadzili mnie za biurkiem w wydziale wywiadowczym.

— Co tam się robi?

Wyciągnęła przed siebie dłonie — z czarnym pionem w jednej i białym w drugiej. Wybrałem lewą dłoń.

Czarne.

Ava miała zaczynać.

— Mają akta wszystkich naukowców pracujących kiedyś jako genetycy. Próbują przewidzieć, który z nich mógłby zechcieć złamać prawo.

— Jak można coś takiego przewidzieć? — spytała, równocześnie robiąc pierwszy ruch.

Pion na e4.

— Za pomocą programu sztucznej inteligencji o nazwie MYSTIC.

Wyszedłem naprzeciwko swoim pionem królewskim.

— Rany, tato...

— Co?

— Pracujesz dla władzy.

Nie miałem serca powiedzieć jej tego, z czym dopiero od niedawna zaczynałem się godzić. Nie pracowałem dla władzy — byłem władzą.

Poruszaliśmy się po szachownicy, przesuwając do przodu swoje piony.

Po dziesięciu minutach, gdy jeszcze żadna bierka nie została zbita, Ava zapytała:

— Lubisz swoją pracę?

— Jest ciekawa.

— Ale czy ją lubisz?

— Tylko wielcy szczęściarze mogą...

— To nie jest odpowiedź.

Musiałem się uśmiechnąć. Wykapana babcia.

— No wiesz, mama uwielbia swoją pracę.

— Wiem. Jest szczęściarą.

— Chciałeś być kiedyś naukowcem jak twoja mama?

Skinąłem głową, choć to pytanie wydało mi się dziwne — Ava rzadko pytała o babcię. Wiedziała oczywiście, kim była i co zrobiła, ale rzadko o niej rozmawialiśmy.

— Jaka ona była?

— Była jedną z najinteligentniejszych osób, jakie chodziły po ziemi.

— Nie o to mi chodzi. Jaka była? Gdyby była tu teraz z nami...

— Przez większość czasu poważna. Zawsze sprawiała wrażenie, że o czymś myśli, i prawdopodobnie tak było. Kiedy jednak chciała w coś się włączyć, przychodziło jej to bez najmniejszego trudu. W odpowiednich okolicznościach umiała być złośliwie zabawna.

— Była dobrą matką?

— Wiem, że mnie kochała. Ujmę to tak: nie byłem dla niej najważniejszy. Chciała opanować kodowanie i edytowanie DNA. Leczyć choroby. Poprawiać jakość ludzkiego życia. Środowisko. Świat. Pieniądze nie miały dla niej znaczenia. Absolutnie nie dbała o sławę.

— Lubiłabym ją?

— Trudno powiedzieć. Nigdy nie byłaby babcią Ramsay. Ludzie tak ambitni są po prostu inni. Jest w nich coś bezlitosnego. Wydaje im się, że szukają spokoju i że osiągnięcia im go zapewnią. Ale to złudzenie.

Odpowiadając na pytania Avy, posługiwałem się eufemizmami. Co naprawdę czułem do matki? Nienawidziłem jej i równocześnie ją kochałem. I choć marzyłem o tym, by stać się taki jak ona, zawsze chciałem mieć inną matkę. Ale gdyby trzeba było, zabiłbym dla niej. Same sprzeczności.

— Nigdy przedtem nie zadawałaś osobistych pytań na temat mojej matki.

— A jak sądzisz, jaką globalną katastrofę w historii świata właśnie przerabiamy?

Kurwa mać!

W takich chwilach jak ta byłem wdzięczny, że mieliśmy dość wyobraźni, aby dać naszej córce panieńskie nazwisko Beth: Williams. Dorastanie już samo w sobie jest trudne, nawet, jeśli nie jest się wnuczką osoby, która skazała miliony ludzi na śmierć głodową — choć nie zrobiła tego celowo.

— Czy ktoś...

— Wie tylko moja nauczycielka. Uprzedziła mnie, że będziemy o tym rozmawiać.

Nadeszła informacja, że przywieziono nasze jedzenie.

Wyszedłem na zewnątrz i odebrałem je z przedniego siedzenia pustego, autonomicznego pojazdu dostawczego. Gdy wróciłem, okazało się, że

goniec Avy zagraża mojemu pionowi królewskiemu. Krótko mówiąc — jeżeli nie będę uważał, przegram szybciej, niż mi się wydawało.

Odstawiłem torby na stolik kawowy i korzenno-słodki aromat kurczaka generała Tso i wołowiny w pomarańczach zaczął natychmiast wypełniać pokój.

Ava podniosła głowę znad szachownicy.

— Zamówiłeś prawdziwe jedzenie?

— Zaszalałem.

Jej uśmiech co do centa wynagrodził mi potrójną cenę zamówionych dań.

Wróciłem do gry.

Ava próbowała zmusić mnie, żebym się bronił. Gdybym dał się na to nabrać, dwa ruchy później postawiłaby królową na zwolnione pole d3 i trzynaście ruchów później (gdybym nie zablokował jej piona i skoczka, a siedemnaście, gdybym to zrobił) dałaby mi mata. Gdybym jednak poświęcił królewskiego gońca i wykorzystał ten ruch na przesunięcie piona na b5, dynamika partii się zmieni. Moja królowa i skoczek już stały po jej stronie szachownicy, i choć nie widziałem jeszcze sposobu, jak dać córce mata, bez najmniejszej wątpliwości przetrzebię jej bierki.

Przewidywanie tak wielu ruchów naprzód było ze wszech miar dziwne — zwykle stać mnie było na odgadnięcie dwóch, góra trzech ruchów.

Przesunąłem piona do przodu i jedenaście ruchów później dałem Avie mata wieżą i królową na polu f8.

Była nie mniej zaskoczona ode mnie.

Ta partia nie przypominała żadnej z tych, które do tej pory rozegraliśmy. Ava raczej nie pozwoliła mi z rozmysłem wygrać, nie była jednak tutaj przeciwniczką, do jakiej byłem przyzwyczajony. Być może zdekoncentrowała ją sprawa z babcią.

Wyciągnęła rękę, żeby mi pogratulować.

— Ćwiczyłeś?

— Nie — odparłem z uśmiechem. — Nie mogę czasami mieć szczęścia?

— To nie wyglądało na szczęście.

Wstała i podeszła do toreb z jedzeniem.

— Słuchaj...

Popatrzyła na mnie przez ramię.

— Przykro mi.

— Dlaczego?

Próbowałem starannie dobrać słowa.

— Że historia mojej rodziny ma na ciebie taki wpływ. Chciałbym móc ci powiedzieć, że z czasem będzie łatwiej.

— Była złą osobą?

— Nie. Na świecie jest tylko kilka naprawdę złych osób. Ona po prostu miała... poważną skazę.

— Nie wiem, co sądzić o tym, że jestem jej wnuczką. O świadomości, że tkwi we mnie coś z niej. Nawet mój chłopak nic nie wie. To trochę tak, jakbym okłamywała wszystkich wokół.

Nie umiałem jej pocieszyć, ale było mi strasznie przykro, że ambicje, a przede wszystkim czyny mojej matki sprawiają ból Avie.

— To bardzo trudne sprawy — powiedziałem. — Gdybyś kiedyś chciała o tym z kimś pogadać... nie ze mną ani z mamą... wystarczy, że powiesz słowo.

Wstałem o dziewiątej. Okno było uchylone na tyle, by dało się słyszeć, że pada.

Otworzyłem książkę, którą czytałem w tym tygodniu — *Nie opuszczaj mnie* Kazuo Ishiguro. Przed Denver na moim stoliku nocnym piętrzył się stos książek — prezentów na urodziny i Gwiazdkę z kilku ostatnich lat. Zamierzałem je przeczytać, zwykle jednak pod koniec dnia wystarczało mi

energii i skupienia tylko na jeden lub dwa odcinki jakiegoś bzdurnego serialu w telewizji.

Może sprawiła to miesięczna obecność w domu bez związanego z pracą stresu, w każdym razie wróciły mi koncentracja i ciekawość.

Przez minione dwa tygodnie — nawet jeśli oglądałem telewizję — ciągnęło mnie do literatury faktu i historii opartych na prawdziwych wydarzeniach. Czytanie znowu mnie cieszyło. Przewracanie w ciszy kartki za kartką było przyjemnością, a na dodatek pamiętałem przeczytane książki.

Całe ustępy.

Pamiętałem nawet emocje, jakie mi towarzyszyły podczas lektury.

Skończyłem książkę krótko po północy, zamknąłem ją z satysfakcjonującym przekonaniem, że coś osiągnąłem. Przez dwa tygodnie przeczytałem wszystkie dwanaście książek, które leżały i czekały na nocnej szafce.

Takiej zdolności koncentracji nie miałem od... no tak, nigdy nie miałem. Coś się zmieniło. Gdy zamknąłem oczy, z najdalszego zakątka umysłu przemówił do mnie cichy głos: „Nie «coś» — to ty się zmieniłeś”.

Moja terapeutka miała gabinet w Georgetown. Nie mam pojęcia, czy celem dekoratora było stworzenie chłodnej, działającej uspokajająco przestrzeni, ale niemal każdy przedmiot w tym pomieszczeniu — dywan, meble, zasłony, obrazy — był utrzymany w odcieniu szarości.

Miała na imię Aimee i choć szedłem dopiero na trzecią sesję, wyczuwałem, że wkrótce będziemy rozmawiać o wydarzeniach w Denver. Do mnie należało podtrzymywanie konwersacji, mówienie w dwudziestu słowach tego, na co wystarczyłoby dziesięć, robienie, co w mojej mocy, aby wypełnić pięćdziesiąt minut sesji.

Dziś jednak było inaczej.

Od początku Aimee próbowała kierować rozmową w inny sposób.

Krążyła wokół koncepcji, że kolejne traumy otwierają na nowo stare rany.

— Zastanawiam się — stwierdziła w końcu — czy incydent w Denver wywołał ponownie emocje albo lęki z ostatniego razu, gdy byłeś ranny. Albo z jakiegoś innego wydarzenia w twoim życiu.

No to doszliśmy do sedna. Może doktor Aimee Frum wydawało się, że jest subtelna, ale ja odebrałem to jak machanie wielką tablicą z napisem: „PRÓBUJĘ NAKŁONIĆ CIĘ DO MÓWIENIA O MATCE”.

Jedyna kwestia, która nie do końca była dla mnie jasna, to to, czy naprawdę sądziła, że musimy odbyć rozmowę o mojej matce, aby przejść do wydarzeń w Denver, czy też zwyciężyła w niej ciekawość, bo byłem dla niej pudełkiem psychologicznych czekoladek i nie mogła sobie odmówić otwarcia tej bombonierki.

— W zasadzie to nie — odparłem.

— Z tego, co wiem, spędziłeś trochę czasu w więzieniu.

— Trzy lata. Od dwudziestego siódmego do dwudziestego dziewiątego roku życia.

— To musiało być trudne.

— Byłem w zakładzie o złagodzonej rygorze. Przez cały ten czas wdałem się tylko w dwie bójki. Dlatego mam krzywy nos. Potem już się nie wychylałem. Nie zainteresował się mną żaden z gangów i spotkało mnie tam coś dobrego — poznałem żonę.

— W więzieniu?

— Beth jest profesorką kryminologii i prowadziła wtedy badania w więzieniu, w którym zostałem osadzony. W ramach tych badań spotykaliśmy się raz na tydzień. Trwało to przez kilka miesięcy, potem Beth wyjechała, bo dostała etat na American University. Gdy mnie zwolniono,

zapytałem, czy dałaby się zaprosić na kolację. Zgodziła się. Za miesiąc minie piętnaście lat od naszego ślubu.

— Dobra pierwsza randka?

— Najlepsza w życiu.

— Jak było na wolności po tak długim czasie?

Zaczynała mnie denerwować.

— Dobrze.

— Tylko „dobrze”?

— Amerykański Związek Praw Obywatelskich pomógł załatwić mi ułaskawienie. Wielu ludzi w kręgach prawnych uważało, że zostałem ukarany za przestępstwa matki.

— Jak się czułeś?

— Cieszyłem się, że jestem na wolności.

— Dlaczego?

Boże jedyny...

— Ponieważ życie poza więzieniem jest bardziej interesujące niż w więzieniu.

— Mam wrażenie, że moje pytania cię dziś irytują.

— W najmniejszym stopniu.

— Może spróbuj być szczery, Logan.

Pochyliłem się do przodu.

— Zgoda, jestem zirytowany.

— Dlaczego?

— Na pewno jesteś dobrą terapeutką, ale nie znam cię. Nie jestem tutaj z własnej woli i przerabiałem już to wszystko. Od dawna nie miałem napadu paniki.

— Miewałeś je regularnie?

— Miewałem. Posłuchaj — dwie pierwsze sesje były w porządku...

— Czuję się zaszczycona.

— ...ale to, co proponujesz dziś, graniczy z chorobliwą ciekawością.

Teraz była jej kolej, żeby wyrazić oburzenie.

— Ciekawa jestem, czy umiałbyś obdarzyć mnie kredytem zaufania.

Jestem po to, aby ci pomóc. Stoję w twoim narożniku.

— Uważasz, że potrzebuję pomocy?

— Tak.

— No to świetnie.

— Na pewno?

Skinąłem głową.

— Jak postrzegasz samego siebie? — spytała.

— Czyż nie jesteśmy wszyscy bohaterami własnych opowieści?

Uśmiechnęła się.

— W psychologii nazywamy to klasyczną defleksją.

Westchnąłem.

— Chcesz rozmawiać o poczuciu winy?

— Nadal czujesz się winny?

Popatrzyłem na zdjęcie nad jej biurkiem — ukazywało górskie jezioro, nad powierzchnią którego unosiła się mgła. Było oczywiście czarno-białe. Pod zdjęciem wykaligrafowano małymi literkami: „Być tym, kim w tej chwili jesteś, jest okej”.

Jasne.

— Staram się o tym nie myśleć.

— Ile miałeś lat, gdy zacząłeś pracować w laboratorium matki?

— Dwadzieścia dwa.

— Jak opisałbyś swoją ówczesną relację z nią?

— Była boginią. Najwybitniejszym na świecie biologiem komórkowym. Zarobiła już miliard dolarów na Story of You — firmie zajmującej się

ustalaniem drzew genetycznych i badaniami genetycznymi. Jej patenty na KOSEĘ były jeszcze bardziej lukratywne.

— Mogę sobie przeczytać o tym w Wikipedii. Jaki miałeś do niej stosunek emocjonalny?

— Byłem w nią wpatrzony. Chciałem, żeby była ze mnie zadowolona. Była moją jedyną rodziną.

— Co się stało z resztą krewnych?

— Max, mój brat bliźniak, zmarł, gdy mieliśmy po trzynaście lat.

— Współczuję. To wielka strata. Mogę spytać, co się stało?

— Białaczka. To on z nas dwóch miał łeb. Ulubieniec mamusi. Tata zmarł wkrótce potem, a Kara, moja starsza siostra, pojechała do Europy i zaciągnęła się tam do wojska.

— Wygląda na to, że się wykreciła.

— Nie twierdzę, że nie była dobrą siostrą, ale Kara dba przede wszystkim o siebie. Tak więc zostaliśmy z matką we dwoje.

— Jesteście dziś z Karą blisko?

— Nie za bardzo. Mieszka w Montanie. Rozmawiamy kilka razy w roku. Chciałbym, żeby nasze relacje wyglądały inaczej.

— Jak postrzegasz swoją rolę w tym, co się wydarzyło w Chinach?

Poczułem ucisk w klatce piersiowej — jak zawsze, gdy wracałem myślami do tamtego lata.

— Próbowaliśmy zrobić coś dobrego.

Główne laboratorium matki znajdowało się w Shenzhen, a w pobliskim regionie o nazwie Zhaoqing indyjską odmianę ryżu dziesiątkowała bakteryjna zaraza liści. Matka chciała wprowadzić genetycznie wirusa w szarańczę, po czym spowodować zakażenie przez owady-nosicielei pól ryżowych tak, aby zwiększyła się odporność roślin na zarazę, bez jakiegokolwiek innej zmiany w obrębie rośliny.

Mojej matki nie interesowała genetyczna modyfikacja ziaren w laboratorium i skasowanie za to grubej sumki. Jej plan był znacznie bardziej ambitny: chciała wysłać owady bezpośrednio na pola, aby fizycznie zmodyfikować roślinę uprawną w czasie rzeczywistym. Potencjał aplikacji wykroczał znacznie poza zarazę ryżową z Zhaoqing — dotyczył wszystkich roślin, z których wytwarza się żywność.

Zbudowaliśmy szereg zamkniętych szklarni i wypuściliśmy genetycznie zmodyfikowaną szarańczę bambusową na zakazane rośliny badawcze w zamkniętej przestrzeni testowej. Zdziałało. Nie było chlorozy, nie było brązowienia. Rośliny miały się świetnie.

— Miałeś bezpośredni udział w przeprowadzanych eksperymentach?

— Pomagałem, gdzie mogłem, ale dopiero skończyłem licencjat. Przyjechałem tam na lato. Lubiłem uważać się za członka zespołu, wiedziałem jednak, że wszyscy traktują mnie jak natręta, który tylko dlatego kręci im się pod nogami, że jest synem Miriam Ramsay.

Poczułem pieczenie w gardle. Od lat nie mówiłem otwarcie o tym, co się tam wydarzyło.

— Faza szklarni okazała się sukcesem. Dane wyglądały obiecująco. Mieliśmy wsparcie Chińskiej Rady Biobezpieczeństwa, więc wypuściliśmy szarańczę-nosicieli na pola Zhaoqing.

Wciągnąłem ostrożnie powietrze.

— Była doskonała pogoda, niebo bez jednej chmurki. Góry niemal świeciły w słońcu. Zalane wodą pola ryżowe miały cudowny szmaragdowy odcień. Przez ramię przewiesiłem sobie wielki płócienny worek marynarski. Jak każdy. Rozwiązałem go i otworzyłem. Do dziś pamiętam dumę, gdy obserwowałem chmurę odlatującej zmodyfikowanej szarańczy. Patrzcie na mnie — zmieniam świat!

Początkowe wyniki były dobre, potem jednak układy sterowania

wirusem zaczęły coraz szybciej wytwarzać mutacje. Poza uodpornieniem roślin na zarazę eliminowały geny odpowiedzialne za wytwarzanie nasion. Próbowaliśmy to opanować, ale...

— ...wirus się rozprzestrzenił — dokończyła za mnie zdanie.

— Właśnie.

Miriam zaprojektowała wirusa tak, aby atakował tylko jedną odmianę ryżu, on jednak był w stanie przenosić się między odmianami, a kolejne cykle mutacji i doboru wirusa sprawiły, że potrafił zakażać i atakować inne gatunki roślin uprawnych. W ciągu roku szarańcza zaczęła się rozmnażać w tempie wykładniczym.

— Matka zginęła, gdy efekty były już odczuwalne na Środkowym Zachodzie.

— W wypadku?

Skinąłem głową, ale czy to był wypadek? Miriam zjechała samochodem z autostrady numer 1 między Jenner i Sea Ranch w Kalifornii, gdzie droga osiąga najwyższy punkt nad poziomem morza.

Przez następne siedem lat każdy sezon przynosił gorsze zbiory i zanim udało się ostatecznie unicestwić szarańczę, strategiczne zapasy zboża w Chinach spadły poniżej wartości krytycznej.

Klęska głodu rozlała się na wszystkie kontynenty i wywarła wpływ na każdego człowieka na Ziemi. Gdy niszczy się miliony hektarów upraw, solidne opady deszczu mogą zmienić sytuację, ale gdy niszczy się pola ryżowe, ginie wszystko, co dzięki nim żyje.

Dwieście milionów ludzi zmarło z głodu, jednak liczba ta nie odzwierciedla choćby w części skutków chaosu, jaki wywołaliśmy. Nie da się wycenić upadku gospodarczego, rozpadu systemów ochrony zdrowia, wyginięcia całych gatunków i strat w biosferze.

— Wczoraj córka powiedziała mi, że uczą się o tej klęsce głodu w szkole

i... e...

— Nie musisz się tłumaczyć.

Pozwoliłem popłynąć łzom.

— To po prostu potwornie trudne, wiesz?

— Nie wątpię.

— Nauczyłem się nie zwracać uwagi na to, co świat o mnie myśli, ale...

— Jestem pewna, że córka postrzeżga cię jako wspaniałego ojca, którym jesteś.

Podawała mi pudełko chusteczek.

— Gdy tak na ciebie patrzę, widzę człowieka, który ciągle jest wobec siebie bardzo, bardzo surowy.

Coś głęboko w moim wnętrzu pękło. Terapeutka dotykała rany, która nigdy się nie zagoi.

— Jak mógłbym nie być? — spytałem niemal szeptem.

Śnieg spadał z czarnego jak węgiel nieba, a wiejący znad Kanału Waszyngtońskiego wiatr był rześki i tak zimny, że łzawiły mi oczy. Wszedłem na prostokątny plac i zapatrzyłem się w dziesięciometrową kolumnę na granitowym cokole.

Choć znałem wyryty w kamieniu tekst na pamięć, przeczytałem go ponownie:

PAMIĘCI TYCH, KTÓRZY STRACILI ŻYCIE W DOMU I ZA
GRANICĄ

W TRAKCIE WIELKIEGO GŁODU NIGDY NIE ZAPOMNIMY

Oficjalnie nazywano go „Głodem Shenzhen”.

Potocznie nosił nazwę „Głodu Ramsay”.

Usiadłem na granitowej ławce przy kolumnie. Przychodziłem tutaj kilka

razy w roku, zwykle w drodze z pracy do domu, gdy pogoda była na tyle zła, aby odstraszać turystów.

Zaczynało zmierzchać i śnieg zrobił się tak gęsty, że mamuci kontur Nowego Pentagonu zamienił się w groźny, bezkształtny monolit.

Śnieżyca tłumiała rozbrzmiewające w godzinach szczytu klaksony.

Słysząc było za to odgłos zbliżających się kroków.

Gdy spojrzałem za siebie, zobaczyłem postać w ciemnoczerwonym płaszczu, z kołnierzem podniesionym tak, że zakrywał jej twarz.

Jasna cholera! Znałem ten płaszcz.

Nadine podeszła i usiadła obok.

— Śledzisz mnie. Rany!

Wzruszyła ramionami.

— Widziałam, że poszedłeś w tę stronę po wyjściu z pracy. Wiem, że czasami tu przychodzisz.

— Czego chcesz?

— Zanim wyszedłeś, wyglądałeś na wzburzonego.

— Miałem rano ostatnią sesję terapii.

— Nie poszło dobrze?

— Chyba aż za dobrze.

Nigdy nie pytała mnie wprost o moją przeszłość. Panowało między nami zawsze ciche porozumienie. „Wiem. Jestem”.

— Nie musimy rozmawiać — powiedziała. — Po prostu zrobiło mi się przykro, że siedzisz tu sam. I sypie na ciebie śnieg.

Przyglądałem się strumieniowi dronów dostawczych lecących nad wodą do Arlington i Alexandrii.

— Dlaczego zaczęłaś tu pracować? — spytałem.

— Uwielbiam broń.

Popatrzyłem na nią. Uśmiechała się.

— Przecież żartuję. Po prostu chciałam coś robić, rozumiesz? Projektować domy to całkiem co innego, niż je budować.

— Nienawidzę tej roboty.

— Wiem.

— Ale chyba jeszcze gorzej bym się czuł, gdybym jej nie wykonywał.

— Są takie chwile, gdy uwielbiam tę pracę — odparła Nadine. — Gdy mam poczucie, że ulepszamy świat. Szkoda tylko, że są tak rzadkie.

Siedzieliśmy na zimnie, obserwowaliśmy migoczące za kanałem światła. Zacząłem jej opowiadać o tym, co, moim zdaniem, się ze mną dzieje: drobnych zmianach, które coraz trudniej było lekceważyć i racjonalizować. Chciałem jako pierwszy zobaczyć nową analizę genomu, ale nie mogłem też żądać od Nadine, żeby utrzymała to w tajemnicy przed AOG.

— Postawić ci drinka? — zaproponowała.

— Chyba powinienem jechać do domu.

Nadine wstała, poprawiła szal.

— Jeśli ta robota cię unieszczęśliwia, zwolnij się. — Popatrzyłem na nią. Śnieg obsypał jej włosy. — Wiem, że ta praca jest dla ciebie rodzajem pokuty, ale już spłaciłeś swój dług.

Włożyła ręce do kieszeni i odeszła.

Wieczorem, po kolacji, wygrałem z Avą trzy partie. W żadnej nie była lepsza ode mnie, a w ostatniej potrzebowałem jedynie dwunastu ruchów, żeby dać jej mata.

— Co się, do diabła, dzieje? — spytała, przewracając swojego króla na widok nieuchronnego końca. — Cały czas mnie podpuszczałeś?

— Nie — odparłem ze śmiechem.

— To w jaki sposób nagle tak się poprawiłeś?

— Coś się stało? — spytała Beth z kanapy.

— Tata po prostu rozłożył mnie... — Ava policzyła w myślach przegrane

— ...dziewiąty raz z rzędu.

— Imponujące — powiedziała Beth.

— Niemożliwe — zaprotestowała Ava, podejrzliwie mi się przyglądając.

Powracały wspomnienia, i to nie tylko książek, które kiedyś przeczytałem. Dotyczyły zarówno przypadkowych, nieistotnych chwil, jak i wydarzeń, które ukształtowały moje życie.

Sprzed miesiąca.

Sprzed dziesięciu lat.

Z dzieciństwa.

Wrażenie było upiorne. Jakby ktoś sprzątał ciemne zakamarki mojej pamięci. Omiałał pajęczyny. Naprawiał naruszone połączenia.

Gdy próbowałem sobie coś przypomnieć, okazywało się, że jestem w stanie to odtworzyć w głowie z nieznaną mi dotychczas jasnością i pewnością.

Max zmarł trzydzieści jeden lat temu i po raz pierwszy od lat słyszałem w głowie jego głos. Mogłem zobaczyć twarz brata. Utrzymać obraz przez długi czas w wyobraźni. Przyjrzeć się dokładnie kształtowi jego nosa. Każdej plamce, piegowi.

W drodze z pracy wypożyczyłem w Bibliotece Centralnej przy Quincy Street naręczę nowych książek.

Nie mogłem się doczekać, kiedy otworzę *Gödel, Escher, Bach: An Eternal Golden Braid* Douglasa Hofstadtera. Próbowałem ją przeczytać dwa razy: raz na uniwersytecie, raz w więzieniu. Za drugim razem dotarłem do połowy, któregoś dnia odłożyłem i nigdy do niej nie wróciłem. Ta książka o teorii liczb, kodach, paradoksach i systemach autoreferencyjnych zawsze sprawiała, że czułem się ograniczony — wymyślne koncepcje Hofstadtera niemal na każdej stronie zderzały się z możliwościami mojego

umysłu, wzmacniając raz za razem autodestrukcyjną mantrę: nigdy nie dorównasz intelektualnie matce.

Beth skończyła myć zęby i weszła do łóżka.

— Co czytasz?

Pokazałem jej niemal tysiącstronicową podpórkę pod drzwi.

Byłem już na sto pięćdziesiątej stronie.

— Miałbyś coś przeciwko, gdybym włączyła telewizor?

— Absolutnie nie.

Wróciłem do czytania. Czcionka była mikroskopijna i pamiętam, że głównie dlatego przerwałem dwie pierwsze próby jej przeczytania.

Dziś wcale mi to nie przeszkadzało.

Tak samo jak okazjonalne odzywki Beth czy dźwięki z telewizora, które dawniej by mnie kompletnie rozpraszały. Tak naprawdę mógłbym ze szczegółami opowiedzieć odcinek serialu, który Beth oglądała w telewizji, i streścić dwieście dwadzieścia cztery strony *Gödela, Eschera, Bacha*, które przeczytałem.

Po chwili stwierdziłem, że moja żona wcale nie ogląda telewizji.

Przyglądała mi się.

— Dociera coś z tego do ciebie? — spytała.

— Dlaczego?

— Odwracasz kartkę co jakieś... pół minuty.

W ciągu kilku ostatnich tygodni mój sposób czytania zupełnie się zmienił. Nie czytałem poszczególnych zdań, a wchłaniałem stronę jako całość, tworząc w umyśle jej kopię.

— Testuję nową metodę szybkiego czytania, którą poznałem.

— Działa?

— Na to wygląda.

Przyglądała mi się przez chwilę, nie drażyła jednak tematu.

Wróciła do oglądania telewizji.

Skończyłem książkę o czwartej rano.

Bolały mnie oczy.

Mój mózg pracował pełną parą, choć nie z powodu bogactwa idei zawartych w książce.

To, co zauważyłem u siebie na początku miesiąca, uznałem za przejaw większej bystrości umysłu. Ale teraz, z każdym mijającym dniem, ten proces stawał się coraz bardziej intensywny.

Zanim jednak podzielę się tym spostrzeżeniem z Beth albo kimkolwiek innym, chciałem zobaczyć wyniki nowej analizy mojego genomu.

Musiałem zrozumieć, co się ze mną dzieje.

Następnego dnia siedziałem w moim tymczasowym miejscu pracy — w boksie na trzecim piętrze Constitution Center — i wpisywałem do MYSTIC, predyktywnej maszyny obsługiwanej przez sztuczną inteligencję, dane pewnego byłego genetyka.

Za pomocą wyświetlacza przeziernego wprowadzałem podstawowe informacje: wiek, rasę, płeć.

Było to niewymagające myślenia wklepywanie danych.

MYSTIC bierze pod uwagę miliony informacji. Im więcej ich dostarczysz samouczącemu się algorytmowi sztucznej inteligencji, tym dokładniejsza będzie jego predykcja.

Daleko idąca swoboda, jaką zapewniała ustawa o ochronie genów, uprawniała AOG do wykorzystywania informacji z list wyborczych, rejestrów rozmów telefonicznych, nagrań z kamer nadzorczych, publikacji, historii podróży, formularzy spisu ludności, dokumentów ubezpieczeniowych, formularzy podatkowych oraz zapisu każdego

uderzenia klawiszem wykonanego przez obywatela, a wszystko w imię czegoś, co nazwano predykcyjnym modelowaniem przestępczości.

Oczywiście bez nakazu czy choćby powodu.

Pozwalało nam to na stworzenie takich kategorii danych, jak: poziom wynagrodzenia, zadłużenie, liczba dzieci, sympatie polityczne, głosowanie w wyborach, zdolność kredytowa i wiele innych wskaźników ekonomicznych.

W zakresie pozyskiwania dodatkowych informacji było nieco gorzej: musiała nam wystarczyć aktywność danej osoby w mediach społecznościowych oraz historia jej wyszukiwań w internecie.

Aktualnie wzięliśmy na tapetę naukowca z tytułem doktora, niejakiego Clifforda Johnsona.

Przed wprowadzeniem ustawy o ochronie genów doktor Johnson był badaczem w firmie, próbującej tworzyć ludzkie serca ze sztucznych meduz. Wystarczyło proste wyszukiwanie w sieci, aby stwierdzić, że obecnie był zatrudniony w szkole średniej jako nauczyciel biologii. Nic w tym niezwykłego. Wielu naukowców zaangażowanych w badania podstawowe zmuszono, by przeszli do szkolnictwa. W państwowym systemie nauczania wszystkie podręczniki naukowe zostały zaktualizowane tak, aby odzwierciedlać nowe stanowisko rządu w sprawie edycji genów: a mianowicie, że jest ona nielegalna, niebezpieczna i wbrew prawom natury.

Metastrona Johnsona była publicznie dostępna i gdy przewijałem zamieszczane przez niego w ciągu ostatnich pięciu lat posty, obraz człowieka, którego zmuszono do odejścia z wybranego zawodu, zaczął nabierać kształtów.

Spędzał dużo czasu z rodziną.

Mniej pracował.

Więcej ćwiczyl.

Rozpad jego dawnej firmy sprawił, że pewne sprawy przewartościował i — przynajmniej z zewnątrz — wyglądało na to, że skończyło się to dla niego najlepiej, jak to możliwe.

Gdy zacząłem wpisywać moje wnioski na temat Clifforda Johnsona na podstawie przeglądu jego aktywności w mediach społecznościowych — a były to ostatnie dane, które musiałem wprowadzić do algorytmu — zadzwonił mój telefon.

To Beth.

Dotknąłem słuchawki w uchu.

— Cześć, kochana.

— Co porabiasz?

— Wklepuję dane.

— Brzmi podniecająco.

Nie przestawałem stukać w klawisze: *Zewnętrzne oznaki zadowolenia z życia są oczywiste. Nie wyraża antyrządowych nastrojów (przynajmniej publicznie).*

— Pewnie, nie mogę sobie tylko wyobrazić, że to mogłaby być moja praca na stałe. Co się dzieje?

— Zabierz mnie wieczorem do La Fleur.

— Jaką mamy okazję? — Jedzenie poza domem, zwłaszcza w dobrej restauracji, było w naszym świecie po klęsce głodu czymś ekstrawaganckim.

O ile wcześniej kariera zawodowa doktora Johnsona była związana z sektorem gospodarczym, wygląda na to, że dobrze sobie radzi w państwowym systemie szkolnym.

— To żadna okazja. Po prostu tęsknię za tobą. Mam wrażenie, że się od jakiegoś czasu mijamy.

Czyżby Beth zauważyła, że się zmieniam?

Przynajmniej na pierwszy rzut oka jego aktywność w mediach społecznościowych nie wzbudza podejrzeń.

— Siódma wieczorem może być? — spytałem.

— Wspaniale.

MYSTIC wyświetlił na moim ekranie migającą wiadomość: *W obecnej chwili nie zalecam dalszych działań dochodzeniowych.*

— Zrobię rezerwację — obiecałem.

Gdy zakończyłem rozmowę, wbiłem wzrok w pole tekstowe ekranu, które wypełniałem, gdy zadzwoniła moja żona.

Uświadomiłem sobie coś nietypowego.

W trakcie rozmowy z Beth cały czas wpisywałem ocenę Clifforda Johnsona.

Przeanalizowałem wydarzenia ostatnich minut i wniosek był zaskakujący.

Obie rzeczy — prowadzenie rozmowy z Beth i wpisywanie tekstu do MYSTIC — robiłem automatycznie.

W obie czynności byłem w pełni zaangażowany. Przeczytałem tekst dotyczący Johnsona i nie znalazłem ani jednej literówki. Sformułowania nie były może godne Tolstoja, ale cały ustęp uznałem za logiczny i poprawny. Niesamowite.

Czy to możliwe, aby wirus mnie ulepszał?

Gdzież, do cholery, było sprawozdanie Stranda?

Pieprzyć to! Przejdę się do niego w porze lunchu.

Zawibrował mój telefon.

Odwróciłem go ekranem do góry i stwierdziłem, że dostałem esemesa z nieznanego mi numeru.

Wiedzą, że się zmieniasz.

Poczułem dreszcz strachu, ściągnąłem z głowy słuchawki i odpisałem.

Kim jesteś?

Odpowiedź przyszła od razu.

Musisz NATYCHMIAST wyjść z budynku.

Mój puls przyspieszył.

Uniosłem się na fotelu na tyle, aby wyrzeć nad ściankę boksu.

Dział analityczny był otwartą przestrzenią wypełnioną boksami i wyglądał jak zbiorowa cela.

Nie działo się nic niezwykłego.

Słyszeć było tylko stukot klawiszy.

Ze słuchawek dolatywała stłumiona muzyka.

Tu i ówdzie ludzie prowadzili ciche rozmowy.

W drzwiach na drugim końcu pomieszczenia pojawiło się dwóch mężczyzn. Nie znałem ich, ale nic w tym dziwnego. W AOG było przecież czterystu pracowników...

Nie.

Coś mnie zaniepokoiło.

Nie byli to wracający z lunchu analitycy. Zaczęli rozmawiać z kobietą o imieniu Ronna, która kierowała grupą pracującą z MYSTIC. Może nie rzucało się to w oczy, na dodatek z tej odległości było trudne do zweryfikowania, ale w mowie ich ciała było coś, czego nigdy nie widziałem u osób pracujących w dziale analitycznym.

Sprężona energia.

Ci ludzie byli bardzo silni fizycznie.

Nawykli do stosowania przemocy.

Ciężki jak ołowiana kula strzał adrenaliny pobudził mój układ nerwowy.

Opadłem na fotel.

Mężczyźni szli w moją stronę, tanie ciemne marynarki nosili rozpięte i nawet z dwudziestu metrów było widać, że są uzbrojeni.

Ja nie miałem nic.

I musiałem podjąć decyzję.

Natychmiast!

Zsunąłem się z fotela, wyszedłem z boksu do przejścia ciągnącego się z jednego końca zbiorowej celi do drugiego, i zacząłem się oddalać od mężczyzn spokojnym krokiem pracownika rządowego, który rusza na zasłużoną przerwę do pokoju socjalnego.

Dopiero, gdy znalazłem się na końcu sali, odważyłem się spojrzeć za siebie.

Mężczyźni stali w moim boksie, a jeden z nich przeglądał moje rzeczy.

Nasze spojrzenia się spotkały.

Jeden z nich był niski i szeroki w barach, ale wyglądał na takiego, który umie się szybko poruszać.

Gdy coś powiedział do swojego partnera, odwróciłem się do nich plecami i biegiem ruszyłem przed siebie.

Minąłem wnękę wypełnioną automatami do sprzedaży najróżniejszych produktów.

Pokój socjalny.

Toalety.

— Logan! — rozległ się okrzyk za moimi plecami.

Nie zatrzymywałem się.

Nie oglądałem.

Przeleciałem jak wicher przez drzwi na klatkę schodową i pognałem schodami w dół.

Zawsze zjeżdżałem na dół windą, więc nigdy tu nie byłem, podejrzewałem jednak, że schody prowadzą do holu wejściowego.

I to niestety był problem.

Constitution Center jest zabezpieczonym budynkiem rządowym, więc wstęp do niego wymagał uprawnień i przejścia przez bramkę z wykrywaczem metalu. Choć ochrona była ukierunkowana na przybyszy z zewnątrz, hol był jedynym wyjściem z budynku.

I wszędzie były kamery.

Gdy mijalem podest drugiego piętra, drzwi na trzecim otworzyły się z hukiem i tupot dwóch par stóp na schodach odbił się głośnym echem od betonowych ścian.

Na następnym podeście otworzyłem drzwi i wyslizgnąłem się z klatki schodowej na korytarz pierwszego piętra, po czym cicho je za sobą zamknąłem.

Biegłem nieznanym mi korytarzem. Nie było gdzie się ukryć. Każde mijane drzwi były zamknięte i wymagały do otwarcia specjalnych uprawnień. Prawdopodobnie to tutaj przechowywano większość serwerów MYSTIC.

Skręciłem za kolejny róg i ujrzałem świecący nad drzwiami napis „WYJŚCIE”. Pobiegłem w tę stronę tak szybko jak nigdy. Oby ta droga nie prowadziła do holu na parterze...

Otworzyłem drzwi, spojrzałem za siebie.

Korytarz w dalszym ciągu był pusty.

Pognałem schodami w dół. Sięgnąłem do kieszeni po telefon

i przypomniałem sobie, że zostałem na biurku w boksie. Schody kończyły się drzwiami z czerwonym napisem:

TYLKO WYJŚCIE AWARYJNE .
OTWARCIE URUCHAMIA ALARM!

Pchnąłem je barkiem.

Zawyły syreny, zamigotały światła.

Byłem na zewnątrz: prosto przede mną biegła D Street SW. Gdy zrobiłem pierwszy krok, coś nasunięto mi na głowę.

Świat pociemniał.

Moje stopy uniosły się nad ziemią.

Po chwili uderzyłem plecami o chodnik z taką siłą, że aż mnie zatkało. Zacząłem rozpaczliwie chwytać w płuca powietrze i jednocześnie zrywać kaptur z głowy, zostałem jednak przetoczony na brzuch, wykręcono mi ręce i spięto nadgarstki plastikowymi kajdankami.

Ci mężczyźni, którzy mnie ścigali, a potem dopadli, byli silni. Nieśli mnie, jakbym nic nie ważył, a czubki moich butów szorowały o asfalt.

Zacząłem krzyczeć. Wzywałem pomocy.

Przez bardziej przetarte miejsca kaptura słabo przeświecało światło dnia.

Usłyszałem dźwięk towarzyszący rozsuwaniu się drzwi furgonetki.

Zostałem rzucony na metalową podłogę.

Drzwi się zasunęły. Gdy samochód ruszył, przeturlałem się kawałek do tyłu.

— Mamy go... — rozległ się niski głos. — Tak... Wyszedł północno-zachodnim wyjściem pożarowym... Dobrze... Za dwadzieścia minut.

Potem mężczyźni przycisnęli mnie do podłogi i przesunęli mi kaptur na tyle, żeby odsłonić bok szyi.

Poczułem ukłucie.

4

Gdy otworzyłem oczy, leżałem na twardym materacu.

Powoli usiadłem.

Moja głowa była za duża i za ciężka — jakby mogła w każdej chwili stoczyć się z karku.

Rozmazany wzrok powoli się wyostrzył i zobaczyłem Edwina Rogersa.

Stał pięć metrów ode mnie. Ciekawe, od jak dawna obserwował moją drzemkę.

Spuściłem nogi na podłogę i spróbowałem stanąć.

Niezbyt dobrze mi to wyszło.

W ustach miałem gorzki posmak.

Ruszyłem niepewnym krokiem w stronę Edwina, przebijając się przez gęstą mgłę spowijającą mój umysł.

Po kilku krokach stanąłem.

Rozejrzałem się.

Musiałem zorientować się, gdzie jestem.

Byłem w ośmiokątym pomieszczeniu o średnicy niecałych czterech metrów, ze szklanymi ścianami, które były wysokie na ponad trzy metry.

Miałem tu biurko, łóżko, sedes i umywalkę.

Za szklanymi ścianami widać było szereg komputerów i różne medyczne urządzenia.

Popatrzyłem na Edwina.

— Co to, kurwa, ma być?!

Nie odpowiedział.

Podszedłem do biurka, aby podnieść krzesło i rzucić nim o ścianę.

Było przykręcone do betonowej podłogi.

— Szkło przeciwpancerne — doleciał głos Edwina z głośnika w suficie.

Szedł w moją stronę, z tabletem w dłoni.

Zatrzymał się półtora metra ode mnie. Dzieliło nas tylko szkło tego wiwarium. Miał ponurą minę i — może to drobiazg — ale leciutko drżały mu dolne powieki, a ja wiedziałem, nie wiem skąd, że tak wyrażał się u niego strach.

Obawiał się mnie? A poza tym... jak w ogóle dostrzegłem tak drobny szczegół?

Był ubrany w dzinsy i granatową wiatrówkę z insygniami AOG.

Podszedł do biurka stojącego po tamtej stronie wiwarium i usiadł. Twarzą do biurka po mojej stronie, przynitowanego do podłogi.

Gestem wskazał, bym usiadł.

Zająłem miejsce na krześle naprzeciwko niego.

— Dlaczego tu jestem? — spytałem.

— Dla bezpieczeństwa wszystkich.

— Daj spokój. Będę współpracować. Nie musisz mnie zamykać.

Nie zareagował.

— Gdzie jestem?

Włączył tablet.

— To tajny ośrodek AOG?

Znów nie było odpowiedzi.

— Jak długo zamierzasz...

— Logan... w krótkim czasie przeszedłeś zmianę genetyczną o naprawę dużym zakresie. Efekty uboczne tej zmiany mogą być niebezpieczne. Będziemy monitorować twoją ewolucję. Musimy zrozumieć, czym się stajesz. — Popatrzył na tablet. — Wiesz, jakie są skutki hamowania ekspresji genu PDE4B?

— Wal się!

Edwin z irytacją skrzywił usta.

— Dlaczego nie powiedziałeś nam, że...

— Ponieważ zrobilibyście dokładnie to, co zrobiliście. Zareagowalibyście przesadnie. Chciałem mieć w ręku dowody, aby móc się bronić. Chciałem wiedzieć, czy — i na ile — zostałem zmodyfikowany.

— I wiesz?

Pokręciłem głową.

— A chciałbyś wiedzieć? Mam wszystko przed sobą.

— Chciałbym.

— Więc odpowiedz na moje pytanie. Jakie są skutki hamowania ekspresji genu PDE4B?

Nie powinienem tego wiedzieć, ale gdy zacząłem się zastanawiać nad pytaniem, przypomniałem sobie czytany osiem lat temu artykuł z „Scientific American”, w którym omawiano PDE4B w kontekście terapii genetycznej chorób psychicznych.

— Niski poziom lęku i duża zdolność do rozwiązywania problemów. No cóż, w każdym razie u myszy.

— Zgadza się. Jego ekspresja została u ciebie poddana hamowaniu. Co byś powiedział, gdybym stwierdził, że zmieniono ci też cały układ IGF i zmutowano gen GRIN2B?

Cztery lata temu (a dla dokładności — cztery lata, sześć miesięcy i jedenaście dni... skąd to wiedziałem?) czytałem abstrakt dotyczący układu IGF. Teraz miałem w głowie idealny obraz tego tekstu.

— Szybkie uczenie się i dobra pamięć — stwierdziłem.

— Wiesz to, ot tak, z głowy?

— Kiedyś o tym czytałem.

— FOXP2?

Pokręciłem głową, pewien, że o tym akurat genie nigdy nie słyszałem.

— Ma związek z szybszym uczeniem się związków między bodźcem a reakcją. A NLGN3?

— Szybsze uczenie się, w tym przestrzenne.

— GluK4.

— Mniejsze ryzyko choroby dwubiegunowej i lepsze funkcje pamięciowe.

Edwin popatrzył na mnie.

— Twoje funkcje poznawcze: pamięć, koncentracja, rozpoznawanie schematów — wszystkie stały się celem działań doskonalących. Doświadczyłeś poprawy w tych zakresach?

— Tak.

— Kiedy?

— W ciągu ostatnich trzech tygodni.

— Masz świadomość, jak bardzo jest to zdumiewające?

Przez chwilę nie mogłem wymówić nawet słowa. Podejrzywałem, że coś się ze mną dzieje, ale potwierdzenie, że tak rzeczywiście jest, zaparło mi dech w piersiach.

— Dlaczego poprosiłeś doktora Stranda o drugą analizę genomu? — spytał Edwin.

Ciekawe. Przechwycili wyniki mojej nowej analizy, zanim lekarz zdążył mnie o nich poinformować. Po Denver musieli mnie stale obserwować.

— No przecież mówiłem. Chciałem mieć dowód, bo uznałem, że mój gen LRP5 został wyregulowany w górę, być może nawet zmodyfikowany.

W genetycznym slangu „regulacja w górę” oznacza zwiększenie ekspresji genu albo jego działania. „Regulacja w dół” to proces odwrotny. Jeżeli człowiek ma gen OPN1MW, widzi kolory, gdy gen zostaje wyregulowany w dół, jest daltonistą.

Edwin szybko przewijał strony na tablecie.

— LRP5 to zwiększona gęstość kości? — spytał.

Skinąłem głową.

— Kiedy nabrałeś podejrzeń?

— Pięć tygodni po Denver zaczęło mnie boleć całe ciało.

— Dlaczego to przede mną ukryłeś?

— Powtórzę: niczego nie ukrywałem. Nie byłem pewien, co się dzieje, i dlatego poprosiłem doktora Stranda...

— Mogliśmy przeprowadzić dodatkową analizę. Na Boga, pracujesz dla Agencji Ochrony Genów!

— Zacząłbyś panikować, a ja musiałem wiedzieć, czy to jedynie dziwny efekt uboczny wirusa, czy coś gorszego. Chciałem iść do ciebie z informacjami, nie z podejrzeniami. Nawet z Beth jeszcze o tym nie rozmawiałem.

— Przeczytam ci teraz listę innych genów, które były u ciebie przedmiotem regulacji w dół albo w górę. W większości zostały zmutowane do nieznanego wcześniej polimorfizmu. W kilku przypadkach wedytowano krótkie, nowe sekwencje DNA, prawdopodobnie w celu wzmocnienia ich działania.

— To jeszcze nie wszystko?

— Nie...

Pochyliłem się do przodu.

— SOST.

— Odporność na utratę gęstości kości.

— MSTN.

— Smukłe, duże mięśnie.

— SCN9A, FAAH-OUT i NTRK1. Znasz któryś z nich?

Pokręciłem głową.

— Mają związek z większą tolerancją na ból. HSD17B13. Zmniejszone ryzyko przewlekłej choroby wątroby. CCR5.

— Odporność na HIV?

— Zgadza się. FUT2, IL23R, HBB, PKU, CFTR, HEXA, PCSK9, GHR, GH, SLC30A8, IFIH1=MDA5, NPC1 i... ANGPTL3.

— W kolejności, w jakiej czytałeś, odporność na norowirusy, chorobę Crohna-Leśniowskiego i wrzodziejące zapalenie jelita grubego, malarię, ochratoksynę, gruźlicę, chorobę wieńcową, raka, następne cztery dotyczą cukrzycy typu 1 i 2 oraz eboli, a ostatni wzmacnia lipidy i serce — wyrecytowałem.

— Nieźle. No dobrze. Kilka kolejnych jest dość dziwnych. EGLN1, EPAS1, MTHFR i EPOR.

— Kilka lat temu czytałem artykuł o tym układzie genów. Spotyka się go u Tybetańczyków, prawda?

— Prawda. Wspomagają funkcje organizmu na dużych wysokościach. BHLHE41=DEC2, NPSR1 i ADRB1.

— Tych nie znam.

— Zmniejszają zapotrzebowanie na sen. APOE, APP, NGF, NEU1, NGFR.

Te geny znałem. Siedem lat temu czytałem o nich artykuł w „Nature Genetics” podczas lotu do Minneapolis.

— Zmniejszają ryzyko zachorowania na Alzheimera.

— CTNNA1.

— Nie znam.

— Odporność na promieniowanie. CDKN2A i TP53?

— Zmniejszone ryzyko raka — odparłem.

— TERT.

— Nie ma jakiegoś związku ze starzeniem się?

— Ma. Mutacje TERT mogą znosić albo spowalniać działanie telomerazy, która zapobiega nadmiernemu skracaniu się telomerów w czasie kolejnych podziałów komórek. Jak prawdopodobnie wiesz...

— Skrócenie telomerów uważa się za główną przyczynę związanej z wiekiem degradacji komórek.

— Dokładnie. A więc kolejny gen zapobiegający starzeniu się. Gdybym nie miał innego pomysłu, powiedziałbym, że ktoś próbował zrobić z ciebie superczłowieka. A ta lista obejmuje tylko allele, o których coś wiemy.

— Dokonano jeszcze więcej zmian w moim genomie?

— Tysiące. Robimy krzyżowe porównania czego tylko się da, ale to straszna robota, a masa układów genów, które zostały poddane ingerencji, i sposobów ich interakcji ze sobą oraz z ludzkim ciałem są niezbadane. Są nawet zmiany w twoim śmieciowym DNA⁶, czego kompletnie nie potrafimy zrozumieć.

To, o czym mówił Edwin, było niemożliwe do osiągnięcia nawet wtedy, gdy już pojawiła się KOSA. Większość nielegalnych laboratoriów, które rozbiliśmy, była w stanie skutecznie manipulować kilkoma, góra kilkunastoma genami. Tak szeroki wachlarz zmian, do jakich doszło w moim genomie, wykraczał daleko poza wszystko, z czym miałem do czynienia albo o czym słyszałem. Znanych jest mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy genów, a wariancja ich interakcji sięga nieskończoności. Poza nimi nasz genom zawiera także liczne obszary kontrolne i tak zwane śmieciowe DNA, które wcale nie jest śmieciem, lecz zbiorową, samoregulującą się siecią systemów, która ewoluowała pod presją selekcyjną przez ponad trzy miliardy lat od chwili powstania. Ten system jest złożony w sposób trudny do wyobrażenia, a każda zmiana w nim może się wyrazić na dziesiątki nieprzewidzianych sposobów.

— Czy moja rodzina wie, że tu jestem?

— Wiedzą, że zatrzymano cię z powodu podejrzenia o autoedycję.

— Chcę porozmawiać z Beth.

— W tej chwili to niemożliwe.

— Nie zrobiłem sobie tego sam, Edwin.

— To kto?

— Pojęcia nie mam. Henrik Soren? Ten, kto skonstruował tę machinerię w Denver.

— Nie wykazywałeś zaraz po Denver żadnych zmian genetycznych. Przeprowadziliśmy analizę.

— Gdybym miał technologię i sprzęt do zmiany własnego DNA, po co miałbym prosić lekarza o przeprowadzenie analizy w ściśle nadzorowanym laboratorium? Po co miałbym podejmować tak absurdalnie idiotyczne ryzyko, gdybym mógł sprawdzić wszystko we własnym zakresie? Zamiast polować na czarownice, co jest bardzo wygodne, trzymajmy się faktów. Wiemy, że ktoś zakaził mnie pakietem stworzonym do zmiany DNA. Założyliśmy — błędnie — że to nie zadziałało, najwyraźniej był to jednak pakiet-śpioch, który przez kilka miesięcy pozostawał utajony.

— To w ogóle możliwe?

— A czy to, co się teraz ze mną dzieje, jest możliwe? Pojmujesz poziom kunsztu, potrzebny do wykręcenia podobnego numeru?

Edwin wyłączył tablet. Patrzył na mnie, jakby miał coś jeszcze do zakomunikowania.

Czekałem z napięciem na to, co powie.

On jednak milczał, a potem wstał i wyszedł przez drzwi obok terminala komputerowego.

Drżały mi ręce. Strużka zimnego potu spływała mi po kręgosłupie. Zamknąłem oczy i próbowałem skupić się na oddechu.

Zmieniono mnie w coś... nieznanego.

Pracodawca porwał mnie, przetrzymywał w tajnym ośrodku, rodzinie powiedział cholera wie co.

A KOSA udowodniła nam, że nawet najprostsze zmiany genetyczne mają niezamierzone i nieprzewidziane konsekwencje, czyli możliwość — prawdopodobieństwo wręcz — szkodliwych genetycznych skutków ubocznych, które mogły, na dobre lub złe, unicestwić pierwotny cel działania danego genu, starannie ukształtowany przez naturę na przestrzeni er i epok w procesie ewolucji.

Ktokolwiek to ze mną zrobił, nadpisywał programowanie dokonane przez naturę i przejmował kontrolę nad ewolucją. Była to ryzykowna gra. Mój genom zawierał informacje zakodowane w celu lepszej lub gorszej, ale jednak samoregulacji, zwalczania chorób, toksyn, zagrożeń środowiskowych i dysfunkcji organizmu — wszystko w celu przetrwania gatunku.

Edycje genów i genetyczne wstawki, które wyostrzały mój umysł, mogły też zaburzyć całą, delikatną równowagę genomu i zagrozić przez to mojemu życiu.

Nie to było jednak najbardziej przerażające.

Gdy Watson, Crick i Franklin we wczesnych latach pięćdziesiątych XX wieku odkryli budowę podwójnej helisy DNA, zmienił się sposób myślenia nauki o odrębności gatunków. W latach osiemdziesiątych XX wieku Niles Eldredge i Joel Cracraft wysunęli hipotezę, że biorąc pod uwagę definicję filogenetyczną, wystarczy, żeby DNA dwóch gatunków zwierząt różniło się o dwa procent, byśmy skategoryzowali je jako odrębne gatunki.

A jeżeli zmieniono dwa procent mojego genomu? Czy to uczyni ze mnie przedstawiciela nowego gatunku?

Dwie godziny później rozległ się odgłos odsuwanej rygli w drzwiach mojej celi.

Do środka najpierw weszła kobieta, celując do mnie z tasera, a tuż za nią mężczyzna. Był nieuzbrojony i bardzo wysoki. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt. Wyglądał, jakby był wykuty z granitu. To byli strażnicy.

Zacząłem wstawać z łóżka, ale człowiek-bestia mnie powstrzymał.

— Zostań tam, gdzie jesteś.

Stanęli po obu stronach otwartych drzwi i po chwili pojawił się w nich Edwin, a za nim starsza kobieta o łagodnej twarzy, która wydała mi się podobna do mojej babci ze strony ojca.

Popatrzyłem na Edwina.

— Kto to?

— Chcę ci zadać kilka pytań.

— To pytaj.

— Chciałbym wiedzieć, czy mówisz prawdę. To jest Hana Jalal.

Człowiek-bestia wniósł dodatkowe krzesło, postawił je przy biurku i dał mi znak, żebym usiadł.

Hana usiadła za biurkiem i postawiła na nim tablet, którego czujniki skierowane były na moją twarz. Od razu rozpoznałem urządzenie — wykrywacz kłamstwa nowej generacji.

W epoce analogowej specjaliści poligrafowie obwiązywali klatkę piersiową podejrzanego gumowymi wężami, zwanymi pneumografami, które dostarczały danych o jego aktywności oddechowej. Przedramiona opasywano delikwentowi mankietami do pomiaru ciśnienia krwi, do opuszków palców mocowano coś, co wyglądało jak napastrki, a były to galwanometry mierzące oporność skóry.

Ten tablet robił to wszystko bezdotykowo, wykorzystując oprogramowanie do obrazowania przezskórnego, które w czasie rzeczywistym mierzyło ciśnienie krwi, tętno, pocenie się, częstość oddechu oraz średnicę źrenicy na podstawie przenikania światła przez naskórek.

Wiedziałem z doświadczenia, że wykrywacze kłamstwa wcale nie wykrywają kłamstwa, tylko poczucie winy, które większość ludzi ma, gdy kłamie, co dokumentowały gwałtowne skoki parametrów. Do śledzenia takich parametrów skonstruowano stojący naprzeciwko mnie tablet.

Hana poprosiła wszystkich o wyjście, po czym opowiedziała mi trochę o sobie i o swoim podejściu do tego, co robiła. Potem ja opowiedziałem trochę o sobie, choć byłem przekonany, że żadna z tych informacji nie była dla niej nowością.

Zadała kilka pytań o moje życie. Zapytała też, jak się czuję w tej szklanej celi.

— Jestem niespokojny i przestraszony — odparłem.

— Nie dziwię się.

Podobnie jak najlepsi poligrafowie, z którymi pracowałem, starała się wywołać wrażenie, że chce, aby mi się udało, że gramy w jednej drużynie i jest po mojej stronie.

Oczywiście już mnie profilowała, zbierała bazowe odczyty, robiła wstępną ocenę reakcji mojego organizmu. Sposobu, w jaki przetwarzam pytania.

— Logan — powiedziała w końcu — jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym zacząć badanie.

— Oczywiście, jestem gotowy.

— Proszę pamiętać o jednym: tylko odpowiedzi „tak” albo „nie”.

W szybie za jej plecami widziałem odbicie ekranu tabletu.

Dotknęła ekranu, co chyba rozpoczynało badanie, po czym odwróciła kartkę papieru i wzięła do ręki ołówek.

— Czy nazywa się pan Logan Ramsay?

— Tak.

Odhaczyła pierwsze pytanie.

— Mieszka pan w Arlington w stanie Wirginia?

— Tak.

Kolejne odhaczenie.

— Czy był pan kiedykolwiek nieuczyny wobec kogokolwiek?

— Tak.

— Zamierza być pan nieuczyny w trakcie naszej rozmowy?

— Nie.

Odhaczyła pytanie i przyjrzała się ekranowi tabletu.

— Czy kiedykolwiek zmieniał pan własny genom?

— Nie.

— Czy od chwili zranienia w Denver zauważył pan jakieś zmiany w swoim ciele?

— Tak.

— Czy od chwili zranienia w Denver zauważył pan jakieś zmiany w swoim umyśle?

— Tak.

— Czy mówił pan komuś o tych zmianach?

— Nie.

— Czy powiedział pan o nich żonie?

— Nie.

— Czy powiedział pan o nich córce?

— Nie.

— Czy powiedział pan o nich swojej siostrze Karze?

— Nie.

— Czy powiedział pan o nich któremuś z przyjaciół?

— Nie.

— Czy ktoś wysłał panu wczoraj esemesa o treści „Wiedzą, że się zmieniasz”?

— Tak.

— Zna pan tożsamość nadawcy?

— Nie.

— Czy jest pan synem Miriam Ramsay?

— Tak.

— Czy pańska matka żyje?

— Nie.

— Pracował pan z nią?

— Że co?

— Nie.

— Czy Miriam Ramsay zmieniła pański genom?

— Nie.

— Czy wie pan, kto zmienił pański genom?

— Nie.

Po raz pierwszy od początku wywiadu spojrzała na mnie zamiast na kartkę albo na ekran tabletu.

— Okłamuje mnie pan teraz?

— Nie.

— Steruje pan teraz swoim oddechem?

— Nie.

— Steruje pan teraz swoim tętnem?

— Nie.

— Steruje pan teraz swoim ciśnieniem krwi?

— Nie.

Hana ponownie dotknęła ekranu tabletu.

— To wszystko — powiedziała.

Otworzyły się drzwi celi.

Gdy zbierała swoje rzeczy, w wejściu czekał Edwin.

— Dostanę pani raport... — zaczął.

— Przed końcem dnia — obiecała.

Edwin wszedł do środka i usiadł za biurkiem. W uchu miał słuchawkę.

Popatrzył na człowieka-bestię i kobietę z taserem.

— Zaczekajcie na zewnątrz.

— Dlaczego interesuje cię moja matka? — spytałem, gdy drzwi się zamknęły.

— Ponieważ ona żyje.

— Co ty pieprzysz!?

Wyjął telefon i położył go na biurku.

— Rok temu włamała się do mojego domu i przysłała mi film ukazujący ją w mojej kuchni z kieliszkiem wina w dłoni.

Wcisnąłem odtwarzanie.

Jeżeli film był podróbką, to była to mistrzowska podróbka.

Włosy Miriam posiwiały, miała wiele zmian kosmetycznych na twarzy (prawdopodobnie dla wprowadzenia w błąd sterowanego przez sztuczną inteligencję systemu rozpoznawania twarzy), która była zapadnięta i pocięta znacznie większą liczbą zmarszczek niż w chwili, gdy ostatni raz ją widziałem. Nie miałem wątpliwości. To była moja matka. Wszędzie i zawsze rozpoznałbym te oczy — ciemne i przerażająco przenikliwe.

Zakręciło mi się w głowie.

Po chwili rozległ się jej głos.

Agencja Ochrony Genów i jej zagraniczne odpowiedniki niszczą badania i odkrycia naukowe. — Jej głos. Bez dyskusji. — Jeżeli natychmiast nie zostaną ustanowione znaczące zmiany obejmujące także zgodę na powrót uniwersytetów i prywatnych przedsiębiorstw do prowadzenia odpowiedzialnych badań genetycznych, wezmę sprawy w swoje ręce. Uwolnię wirusową nadpisywarke genów.

Edwin wziął do ręki telefon.

— Sprawdziliśmy odciski palców na kieliszku do wina i DNA z włosa, który z premedytacją zostawiła. Nie ma wątpliwości, że to ona.

Przed oczami migotały mi kolorowe plamy.

Zaczynałem się dusić, drżały mi dłonie.

— Dobrze się czujesz? — spytał Edwin. — Mówią mi, że tętno zaczyna ci wzrastać.

Dygotałem z wściekłości.

— Nie dziwię się, że jesteś zdenerwowany.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Bo nie wiedziałem, czy z nią nie współpracujesz. Bo podejrzewałem, że może będzie chciała się z tobą skontaktować. Założyłem ci podsłuch na telefon. Założyłem też podsłuch w twoim domu. Jesteś pod nadzorem od prawie dziesięciu miesięcy.

Najchętniej skoczyłbym przez biurko i się do niego dobrał. Zanim dotarliby do niego strażnicy, już by nie żył.

— Jak mogłeś to przede mną ukrywać?! — ryknąłem.

Strażnicy zrobili krok w stronę wiwarium, ale Edwin powstrzymał ich gestem ręki.

Oplakiwałem śmierć matki. Pogodziłem się z jej stratą, choć wiele mnie to kosztowało.

Przełknąłem z trudem ślinę. Nie mogłem się uspokoić.

— Wkrótce po tym przesłała mi zakodowaną wiadomość z żądaniem. Odpisałem, pytając, jaki gatunek zamierza zaatakować za pomocą nadpisywarki genów.

— *Homo sapiens*.

— Bingo.

— Z jakimi zmianami?

— Nie przekazała zbyt wielu szczegółów. Nazwała to jedynie „znaczącym wejściem na wyższy poziom”. Obiecała demonstrację swoich możliwości.

Byłem więc „demonstracją”. Pewności oczywiście nie było, ale swoje wiedziałem.

Dałem się ponieść emocjom. Najpierw to był szok na widok matki, a potem przerażenie, gdy dowiedziałem się, czym groziła.

Nadpisywarka genów to najpotężniejsze narzędzie inżynierii genetycznej, jakie kiedykolwiek wymyślono. Gdy rodzi się dziecko, dostaje od obu rodziców kopię każdego ich genu, i każdy z nich ma szansę być w swojej parze dominujący. Gdyby jednak wszczepić jednemu z rodziców system, który wybierałby, jakie geny należy „podkreślić”, można by obejść prawa dziedziczenia. Mechanizm edycji genów — CRISPR-Cas9, KOSA czy cokolwiek by to było — przenosiłby się z rodzica, u którego dokonano celowanej manipulacji, do DNA dziecka — wraz z instrukcją, jak w trakcie rozwoju płodu podstępnie przekodować pochodzącą od drugiego rodzica kopię genu, który był celem manipulacji. Powiedzmy, że matka ma brązowe oczy, a ojciec niebieskie. Za pomocą nadpisywarki genów można by u płodu nadpisać matczyne geny odpowiedzialne za kolor oczu i w ten sposób zagwarantować, że oczy dziecka będą niebieskie. Efekt końcowy będzie taki, że dziecko przekaże system celowania w określone geny swoim dzieciom. Wszystkie dzieci w tej rodzinie od tej pory rodziłyby się z niebieskimi oczami. I tak dalej...

W ciągu kilku pokoleń nadpisywarka obejmie całą populację i naturalna, nieedytowana kopia genu zniknie. Wszyscy przedstawiciele gatunku *Homo sapiens* będą mieli niebieskie oczy.

Nadpisywarki genów można użyć do czynienia wielkiego dobra. Przed Głodem Ramsay użyto jednej, żeby wszystkie roznoszące malarię moskity

rodziły się jako samce. Ponieważ ludzką malarię mogą przenosić tylko samice z rodzaju *Anopheles*, choroba zniknęła, a zaraz po niej cały gatunek moskitów.

Nadpisywarki genów mogą także wywoływać bardzo negatywne skutki, ponieważ nie tylko zmieniają genetyczną strukturę człowieka, rośliny czy zwierzęcia, ale także mają moc zmiany trajektorii ewolucyjnej całych gatunków.

— Jeżeli mnie śledziliście, to wiecie, że nie miałem z nią żadnego kontaktu — powiedziałem. — Dlaczego więc tu jestem? Nie współdziałałem z matką. Jeszcze pięć minut temu nie wiedziałem, że żyje. Badacie mnie co dwa lata. Trudno mi sobie wyobrazić, że uważasz mnie za idiotę, który zmodyfikowałby sobie genom.

— W zasadzie ci wierzę, Logan, ale zmieniasz się i nie mamy pojęcia w co.

Pierwsza noc w wiwarium przypominała pierwszą noc w więzieniu. Drzwi wszystkich cel jednocześnie się zamknęły. Światła we wspólnych pomieszczeniach gasły z cichymi pyknięciami jedno po drugim. Ogarnęły mnie cisza i ciemność, a ja musiałem zacząć przyzwyczajać się do myśli, że moje życie się skończyło, a te ściany będą moim domem przez najbliższe trzydzieści lat.

Teraz położyłem się na materacu i wbiłem wzrok w szklany sufit.

Matka żyła.

Tyle myśli i pytań krążyło mi po głowie, że trudno mi było leżeć bez ruchu.

Gdzie przez ten czas była?

Co robiła przez dwadzieścia lat?

Dlaczego nie nawiązała ze mną kontaktu?

Czy to faktycznie ona skonstruowała tę aktualizację, wykraczającą lata

światłne poza najbardziej skomplikowaną inżynierię genetyczną?

A jeżeli Edwin mówił prawdę, co właściwie znaczyło to: „wejście na wyższy poziom” dla ludzkiego genomu? Moja matka była najbardziej ambitną osobą, jaką znałem, ale bez dwóch zdań nawet ona nie była na tyle szalona, aby próbować wymusić ulepszenie gatunku *Homo sapiens*. Na czym miałyby to polegać? Na tym, co zrobiła ze mną?

Przestałem się nad tym zastanawiać i wtedy górę wzięła złość.

Poczułem się zdradzony. Narastała we mnie wściekłość.

Gdy sądzono mnie za jej przestępstwa — żyła.

Żyła w dniu, w którym mnie skazano.

Żyła i chodziła wolno, gdy spędzałem pierwszą noc w więzieniu i przez wszystkie kolejne noce, które tam przesiedziałem.

Żyła, gdy odzyskałem wolność.

Żyła, gdy się żeniłem.

Żyła tego dnia, gdy urodziła się Ava.

Nigdy nie zadała sobie trudu, aby się ze mną skontaktować.

Ostateczną obelgę stanowiło to, że najwyraźniej ponownie zabawiła się w Boga. Tyle że nie ze zbożem i szarańczą, lecz ze mną. Z własnym synem.

Lampy zgasły wiele godzin temu i jedyne światło pochodziło z diod LED migających na terminalu komputerowym za moimi plecami. Ktoś na pewno siedział przed monitorem i obserwował każdy mój ruch, każdy mój oddech, każdą moją łzę.

Musiałem się stąd wydostać. Nieważne jak.

Z niespokojnych snów wyrwały mnie zapalające się na suficie światła.

Zasłoniłem oczy ramieniem. Jak długo spałem?

Godzinę? Dwie? Mimo to czułem się wypoczęty, a mój umysł był jasny dzięki regulacji w górę mojej sieci genów BHLHE41= DEC2, NPSR1 i ADRB1.

Gdy usiadłem na łóżku, po drugiej stronie szyby ujrzałem człowieka, którego siedem lat temu aresztowałem pewnej śnieżnej nocy w górach Bighorn w Wyoming.

— Witaj, Logan — doleciał jego głos z głośników nad moją głową.

— Doktor Romero.

— Pamiętasz mnie. — Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Wciąż wracam pamięcią do tamtej nocy.

— To tak samo jak ja — odparł ze smutkiem w głosie i choć trwało to jedynie ułamek ułamka sekundy, jego dolna warga napięła się, a między brwiami pojawiła się i natychmiast zniknęła pionowa zmarszczka. Wciąż był na mnie zły. Nie bez powodu.

Po raz trzeci wyczułem czyjś stan emocjonalny na podstawie drobnych zmian mimiki. Kolejna nowa cecha mojego „udoskonalenia”?

Wstałem i przeciągnąłem się.

— Kiedy wypuścili pana z więzienia? — spytałem.

— Cztery lata temu. Mógłbyś podejść?

Stał przy dwóch, obramowanych metalem otworach w szkłe. W jednym stała taca z jedzeniem, drugie było mniejsze, okrągłe, niewiele większe od zaciśniętej pięści.

Podszedłem.

— Wystaw rękę przez mniejszy otwór.

Trzymał w dłoni strzykawkę.

— Po co?

— Muszę ci pobrać krew. Będziemy robić analizę twojego genomu raz w tygodniu.

Nie poruszyłem się.

— Daj spokój. Nie zrobię ci krzywdy.

Wpatrywałem się w niego przez szybę i zastanawiałem, w jaki sposób

AOG przekonała kogoś o umyśle doktora Romero do pracy w tajnym ośrodku.

— Nie wsadzi mi pan igły w żyłę.

Westchnął, odłożył strzykawkę na stojącą obok tacę i wziął do ręki tablet. Nie widziałem ekranu, jedynie jego poruszające się palce.

Nagle rozległ się dźwięk. Dolatywał z klimatyzatora umieszczonego na szklanej ścianie, tuż pod sufitem. Odgłos znajdującego się w urządzeniu silnika narastał, równocześnie metalowa obudowa coraz mocniej wibrowała.

Najpierw poczułem ucisk w piersi.

Zacząłem szybciej oddychać, mimo to miałem wrażenie, jakby powietrze tkwiło nieruchomo w moich płucach.

Silnik klimatyzatora zamilkł.

Jedyny dźwięk, jaki było słychać, to moje dyszenie.

Opadłem na kolana.

Przed oczami pojawiły mi się jasne plamy, które odpływały na bok i nikły.

Opadłem na podłogę.

Drętwiały mi ręce i nogi, którym brakowało utlenionej krwi, ale było to niczym w porównaniu z ogniem w płucach i dudniącymi eksplozjami w głowie.

Każda mijająca sekunda była torturą.

Powoli zapadała ciemność.

Zawężało mi się pole widzenia.

Umierający mózg zauważył zmianę. Z początku sądziłem, że to omamy słuchowe, ale dźwięk stawał się głośniejszy i wyraźniejszy.

Silnik klimatyzatora znowu pracował.

Otworzyłem oczy.

Ciemność cofała się.

Świat zaczął się rozjaśniać.

Dyszałem, ale teraz powietrze docierało w głąb płuc, co było niezwykle przyjemne, znacznie przyjemniejsze niż wilgoć dla spierzchniętych ust.

Usiadłem.

Doktor Romero zamienił tabletki na strzykawkę.

— Robienie ci krzywdy nie sprawia mi żadnej przyjemności, ale zlecono mi zbadanie, czym jesteś — powiedział. — Czym się stajesz. Musisz zrozumieć, że twoja zgoda nie ma tu znaczenia. Wysuń teraz, proszę, ramię przez otwór.

Zrobiłem, co kazał.

— Chcę porozmawiać z rodziną — powiedziałem, gdy pobierał mi krew.

— Jestem tu tylko po to, aby śledzić twoją ewolucję. Jeżeli masz jakieś życzenia czy prośby, powinieneś porozmawiać z...

— Z kim? Siedzę w szklanej klatce. Wbrew własnej woli. Nie może się pan zachować jak człowiek...?

— Nie mogę. Byłem kiedyś człowiekiem, a ty byłeś częścią aparatu, który odebrał mi człowieczeństwo.

— Przykro mi. Naprawdę. Wykonywałem tylko swoją pracę i...

— I nie miałeś wyboru? Ja też go nie mam.

— Czujesz się już przebudzony? — spytał doktor Romero.

— Tak.

— Może jeszcze kawy? Mogę poprosić, by ci ją przyniesiono.

— Nie, dziękuję.

— Jesteś głodny?

— Nie.

Siedziałem za biurkiem w swojej celi, naprzeciwko doktora Romero, który również siedział za biurkiem, tyle że po drugiej stronie szklanej

ściany. Gdy go aresztowałem, był mężczyzną w kwiecie wieku, ale czas nie obszedł się z nim łagodnie. Skórę pod oczami miał ciemną i obwisłą, a sieć popękanych włóściczek wokół nosa świadczyła o znieczulaniu się nadmierną ilością alkoholu. Światło w jego oczach, które widać było na filmach z wykładów sprzed lat, niemal całkowicie zgasło. Wyglądał jak człowiek zapędzony w kozi róg, któremu dusza gniła w ciele. Mimo wszystko było mi go żal: kolejnej ofiary Głodu Ramsay, podupadającej intelektualnie na moich oczach.

Na jego biurku stał laptop, na moim leżał blok do pisania i kilka długopisów.

Zaczęliśmy od zdolności werbalnych. Analogii. Układania słów z pomieszanych liter. Puzzli.

Wszystko było dziecinnie łatwe niemal do samego końca testu werbalnego, gdy odwrócił laptopa tak, abym mógł widzieć ostatnie pytanie:

Które z poniższych słów najlepiej odzwierciedla „mytacyzm”:

- a. zadziorny
- b. dewiacja
- c. poltofagia
- d. sukurs
- e. frenetyczny
- f. nie wiem

Było to pierwsze pytanie, które stanowiło dla mnie wyzwanie.

Czułem, jak moje neurony przewodzą impulsy elektryczne.

Szukałem rozpaczliwie punktu zaczepienia.

Widziałem to słowo raz — tylko raz w życiu.

Dwanaście lat temu Beth dała mi na Gwiazdkę kalendarz, z którego codziennie zrywało się kartkę, a na każdej z nich znajdowało się dziwne i rzadkie „słowo dnia”.

Hasło dla 12 listopada brzmiało „mytacyzm”.

Miałem przed oczami prostokącik papieru z kalendarza, w którym zostały już tylko kartki na niecałe dwa ostatnie miesiące roku. Był przyczepiony magnesem do lodówki pierwszego domu, jaki kupiliśmy w Bethesdzie.

Był wczesny ranek, gdy zdarłem kartkę z 11 listopada (eudajmonizm — pogląd etyczny, według którego szczęście jest najwyższym dobrem i celem człowieka).

Ava miała dwa lata, już nie spała, dreptała wokół i wołała: „Sianka... sianka... sianka”, co oznaczało: „Chcę owsiankę”. Było to wówczas jej ulubione danie.

Widziałem z pełną wyrazistością wpis.

12 listopada Mytacyzm – nadmierne albo nieprawidłowe używanie głoski „m”

— B. Dewiacja — powiedziałem.

Doktor Romero zrobił notatkę.

— Zajęło ci to 2,3 sekundy dłużej niż którakolwiek z poprzednich odpowiedzi.

— Widziałem to słowo w przeszłości tylko raz.

— Kiedy? W jakim kontekście?

Wyjaśniłem.

Skinał głową.

— Jak na razie dla żadnego słowa nie wybrałeś opcji „nie wiem”.
Możesz wyjaśnić, jak uzyskujesz odpowiedzi?

— To proste. Albo znam odpowiedź, albo nie, a jak na razie nie było żadnego słowa, którego bym nie znał.

— Czyli w żadnym przypadku nie zgadywałeś?

— Nie.

— Czy powiedziałbyś, że masz pamięć doskonałą?

Chwilę się zastanawiałem.

— Nie wiem, czy jest doskonała, ale na pewno bardzo dobra.

— Lepsza niż przed Denver?

— Zdecydowanie. I z każdym dniem się poprawia.

— Jesteś w stanie przypomnieć sobie, co robiłeś dokładnie rok temu?

Nie musiałem się nad tym długo zastanawiać.

— Tak.

— Jak dokładnie?

— Jakbym miał za oczami kamerę rejestrującą wszystko, co widzę i czego doświadczam.

— Pamiętasz, o czym wtedy myślałeś?

Rok temu byłem z Nadine w Kansas City. Pojechaliśmy tam, aby przeprowadzić akcję w domu człowieka podejrzanego o wytwarzanie i sprzedawanie zestawów do edycji genów zwiększających masę mięśniową — głównie ciężarowcom i zawodowym sportowcom.

Stwierdziłem, że jestem w stanie „wbić się” w dowolny moment tamtego dnia. Na przykład gdy obudziłem się w hotelu, wziąłem do ręki telefon i znalazłem w nim esemesa od Beth:

Dzień dobry, kochanie, jak spałeś?

Aż po chwilę, gdy jedliśmy w knajpie Arthura Bryanta pieczone niemal na czarno, podwędzane kęski boczku, po zapachy i dźwięki, włącznie z rozmową przy stoliku obok, gdzie kobieta właśnie stwierdziła, że...

— Tak — odparłem. — Pamiętam nawet, o czym wtedy myślałem.

Następnie zaczął testować moje zdolności matematyczne, co wydało mi się nawet łatwiejsze od części werbalnej.

— W oceanie pływają meduzy — powiedział doktor Romero. — Codziennie ich liczba się podwaja. Jeżeli pokrycie całego oceanu zajmie meduzom dziewięćdziesiąt dni, ile dni zajmie im pokrycie połowy oceanu?

— Marnuje pan mój czas. I swój.

— Odpowiedz. Musimy przechodzić od łatwych pytań do trudnych.

— Osiemdziesiąt dziewięć dni.

Przeszliśmy przez rozumowanie przestrzenne, zdolności wzrokowo-percepcyjne i klasyfikacyjne. Logiczne wnioskowanie. Wreszcie rozpoznawanie wzorców.

— Jaka jest następna liczba w szeregu 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34?

Spojrzałem na ekran jego laptopa, na którym widniały te liczby.

— Pięćdziesiąt pięć.

— Skąd wiesz?

— To ciąg Fibonacciego. Każda liczba jest sumą dwóch poprzednich.

— Akurat przypadkiem znalazłeś ciąg Fibonacciego, ot tak?

— Nie, uczyliśmy się o nim na drugim roku.

— Pamiętałybyś o tym przed incydem w Denver?

— Z pewnością nie.

— Czy powiedziałabyś, że obecnie pamiętasz wszystko, co kiedykolwiek czytałeś albo czego się uczyłeś?

Hm... dobre pytanie.

— Nie wiem, czy mógłbym z czystym sumieniem powiedzieć, że absolutnie wszystko, ale z pewnością pamiętam wiele. Większość.

— Uczyłeś się w szkole średniej albo na uczelni jakiegoś języka obcego?

— Francuskiego.

— Na jakim poziomie posługiwałeś się nim przed Denver?

— Zapomniałem niemal wszystko.

Przez następne dziesięć minut Romero odpytywał mnie z gramatyki francuskiej i okazało się, że płynnie mówię i czytam po francusku.

— Pamiętam wszystko, czego uczyłem się na uniwersytecie — zdziwiłem się. — Prawdopodobnie mówię lepiej teraz, niż wtedy gdy się uczyłem tego języka i powtarzałem go na bieżąco.

Doktor Romero zaczął pokazywać coraz bardziej skomplikowane sekwencje liczbowe.

Po godzinie podsunął mi zadanie, którego nie umiałem rozgryźć.

— Gratulacje — stwierdziłem. — Wreszcie zapędził mnie pan w kozi róg.

Doktor Romero zamknął laptopa.

— Pewnie nie wypadłem najlepiej? — zapytałem.

— Nie, badanie skończyło się trzy kwadransy temu. Wykonałeś doskonale każde zadanie. Chciałem tylko sprawdzić, z jakim poziomem złożoności sobie poradzisz. I zanim zapytasz: nie wiem, jakie masz IQ. Wiem tylko, że grubo powyżej dwustu. To granica tego, co jest w stanie zmierzyć ten test.

— Może pan powtórzyć?

Usłyszałem, co powiedział, ale nie byłem w stanie w to uwierzyć.

Przysunął się do szyby.

— Twój iloraz inteligencji wynosi co najmniej dwieście. To maksimum, co może zmierzyć test. A twoja pamięć sprawia wrażenie nadprzyrodzonej.

Wstał i wyszedł.

Nie poruszyłem się.

Gdy miałem czternaście lat, przed pójściem do szkoły średniej, poddałem się testowi na inteligencję. zdaniem mojej matki było to po prostu narzędzie, które pomoże nam zrozumieć, jak się uczyć.

Uzyskałem sto osiemnaście punktów. Powyżej średniej. Ale...

Matka dobrze to ukrywała, ale musiała być bardzo rozczarowana.

Ponoć jej IQ przekraczało sto osiemdziesiąt.

W szkole średniej miałem same piątki.

Dostałem się do Berkeley — uczelni z wyboru.

Byłem zdyscyplinowany. Starłem się.

Potem na mojej drodze stanęła chemia organiczna. Nie to, żebym sobie nie radził, ale w wypadku tego przedmiotu nauka nie przychodziła mi z łatwością. Mnóstwo studentów odpadło. Kilku najlepszych z mojego roku przeszło kurs jak burza, a biorąc pod uwagę moje ambicje, powinienem być jednym z nich, tymczasem z trudem wywalczyłem czwórkę minus.

Po licencjacie z biochemii i genetyki spytałem matkę, czy mogę spędzić lato u niej w Shenzhen, pracując w laboratorium. Zgodziła się.

I tak pan z IQ sto osiemnaście był otoczony nadgeniuszami próbującymi zmienić świat. Im więcej z nimi przebywałem, rozumiejąc jedynie ułamek z tego, co próbują robić, tym wyraźniej widziałem napis na ścianie, który przez całe życie próbowałem ignorować.

Brzmiał on:

NIGDY NIE DORÓWNASZ INTELEKTEM MATCE

Ona oczywiście doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Już gdy byłem dzieckiem, wiedziała, że nie dysponuję osprzętem jej klasy czy nawet zbliżonym. Całe życie chciałem tylko jednego: pójść w jej ślady. Całe życie podążałem jej tropem, a tamtego lata w Shenzhen to zapiekłe pragnienie doprowadziło mnie do wielkiej ściany moich ograniczeń, w którą uderzyłem czołem. Musiałem się pogodzić z tym kodem DNA, jaki dostałem, przychodząc na świat.

To niezwykle okrutne, gdy umysł mamy człowieka pragnieniem osiągnięcia tego, czego nigdy nie zdobędzie z powodu swoich intelektualnych braków.

Nikt nas nie uczy, jak poradzić sobie ze śmiercią marzenia.

Nie byłem już jednak skazany przez los. Mój umysł zmieniał się w diament.

Trzy dni później miałem szalone sny — jakby w głowie zagnieździł mi się naćpany grzybami Salvador Dalí.

Ekstaza.

Euforia.

Horror.

Terror.

Radość.

A także nowe emocje, których nigdy nie doświadczałem — ekscytacja przyszłością i poczucie utraty przeszłości.

Śniłem o tym, kim kiedyś byłem.

I o tym, kim — albo czym — mogę się stać.

Po krótkim treningu bez trudu potrafiłem stanąć na rękach. Udawało mi się to nawet na jednej ręce.

Za pierwszym razem zeskoczyłem z łóżka saltem w tył. Wykonałem to idealnie.

Zrobiłem pośrodku mojego wiwarium sto pompek, zaczynając się pocić dopiero przy ostatnich dziesięciu, po czym przeszedłem na pompki na jednej ręce, na które nigdy nie miałem siły.

Ćwiczyłem przysiady i wskakiwanie na blat biurka.

Miałem nadzieję, że mnie obserwują i ta nowa sprawność fizyczna zacznie wzbudzać ich ciekawość.

Samo wiwarium było zabezpieczone. Sprawdziłem każdy jego centymetr kwadratowy i upewniłem się, że nie mam takich mięśni, które pozwoliłyby mi sforsować kuloodporne szkło albo wyrwać z betonu zamocowane w nim meble.

Jak na razie badali jedynie zmiany w moim umyśle, co można było robić, trzymając mnie w zamknięciu. Jednak z listy, którą Edwin odczytał mi pierwszego dnia, wynikało, że nastąpił u mnie szereg zmian fizycznych, których nie dało się zmierzyć przez szkło wiwarium.

Jeśli będą chcieli je zbadać, będą musieli mnie wypuścić i wtedy dostanę szansę.

Wiedziałem, że mam lepszą gęstość kości i zdolność widzenia w nocy.

Najwyraźniej zwiększyła się również moja tolerancja na ból.

Jaki nacisk i siłę mogły wytrzymać kości po podniesieniu na wyższy poziom mojej sieci genu LRP5?

Jak silny teraz jestem?

Czy poprawiły się moje odruchy?

Jak szybko mogłem biec? Jak daleko i wysoko byłem w stanie skoczyć?

Chciałem poznać odpowiedzi na te pytania. Podejrzewałem, że oni też.

Ćwiczyłem codziennie w wiwarium, drażniąc ich rozwijającymi się w szybkim tempie siłą i koordynacją, nikt jednak nie zasugerował, że są zainteresowani badaniem moich możliwości fizycznych. Sam nie mogłem tego zaproponować. Przynajmniej nie wprost.

Doktor Romero w dalszym ciągu próbował zaglądać do mojego ewoluującego umysłu, ale wymyślanie pytań, które stanowiłyby dla mnie wyzwanie, wymagało umysłu co najmniej tak bystrego jak mój.

Podejrzewałem, że zanim rozważą testowanie mnie poza klatką, chcieli wiedzieć, czy moja inteligencja skończyła się rozwijać. Nie miało sensu

informować o tym, że ten proces nadal trwa. Im wcześniej moja inteligencja przestanie ich przerażać, tym szybciej wymyślą protokół przebadania mnie na większej przestrzeni. Mała agencja jak AOG nie mogła przetrzymać mnie w nieskończoność, bo prędzej czy później wywęszą to jej więksi bracia o paskudniejszym charakterze. Ministerstwo Obrony na pewno już czaiło się za plecami AOG. Ile może minąć czasu, zanim przejmie sprawę w swoje ręce?

W trakcie kolejnych testów, gdy udawałem, że głowię się nad odpowiedziami, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, iż doświadczam nowego doznania...

Słyszałem syk powietrza przepychanego przez wentylację nad moją głową.

Bicie mojego serca.

Czułem falowanie włosków na przedramionach poruszanych mikrozmiannami w ciśnieniu powietrza.

Uświadamiałem sobie obecność wszystkich tekstur w mojej celi — szkła, tkaniny, stali, porcelany.

Mało brakowało, a zjawisko to zwałiłoby mnie z nóg, wywoływało jednak także bardzo silne i dziwne wrażenie, że czas zwalnia.

Ludzie są w stanie skupić się na wybranych treściach w rwącym strumieniu nieskończonej liczby bodźców dzięki neurologicznemu procesowi zwanemu bramkowaniem sensorycznym. Ze wszystkich bodźców, które docierają z otoczenia, filtruje on w mózgu te o niewielkim znaczeniu (redundantne albo niepotrzebne). Gdyby taki proces nie zachodził, nasze wyższe ośrodki mózgowy zostałyby przeciążone gigantyczną ilością nieistotnych informacji.

Czyżby zmieniał się także mój sposób przetwarzania sensorycznego?

Wyobraź sobie, że idziesz przez nowojorski Times Square i rejestrujesz

równocześnie z takim samym nasileniem każdy bodziec z otoczenia. Drobny odprysk w płycie chodnika byłby tak samo ważny jak najdrobniejszy szczegół wyglądu każdego zbliżającego się przechodnia, zapach spalin, jedzenia ze straganów, wydobywającej się z metra pary i moczu, a każdy urywek wypowiedzi przechodzących obok ludzi wpadałby do twojej głowy razem z lawiną najróżniejszych obrazów, dźwięków, zapachów i odczuć dotykowych wytwarzanych przez tętniące życiem miasto.

Brak bramkowania sensorycznego jest uważany za kluczowy wskaźnik schizofrenii i nietrudno sobie wyobrazić, dlaczego doprowadza to ludzi do szaleństwa. Życie bez bramkowania byłoby torturą.

Jeżeli osłabiono moje bramkowanie sensoryczne, będę musiał przeprogramować umysł, aby nadmiar bodźców mnie nie przeciążył. Nauczyć się wchłaniać więcej bez utraty zdolności pełnego skupiania się i koncentracji. Zwłaszcza że obecnie byłem w stanie poświęcać pełną uwagę dwóm sprawom równocześnie. Ot choćby rozważałem jeden problem i zarazem obliczałem pierwiastek kwadratowy liczby pi.

Może modyfikacja ta była powodem, że wszędzie widziałem wzorce i schematy.

Na przykład: gdy doktor Romero przychodził na sesję, szedł najpierw do terminala, aby się zalogować. Drobnie ruchy jego przedramion i dłoni oraz dźwięki uderzanych klawiszy — pięć lewą dłonią (małym palcem delikatnie — q, a albo z, palcem serdecznym nieco mocniej — w, s albo x, może 1), sześć prawą dłonią (mocne uderzenia palcami wskazującym i środkowym — u, j albo n; potem i, k, 8 albo 9) — były jak oglądanie jego loginu i hasła napisanych wielkimi literami na ścianie.

Największą korzyść odnosiłem z czytania mowy ciała.

Gdy Romero był wystarczająco blisko, zacząłem dostrzegać zmiany jego

tętna i szerokości źrenic.

I już wiedziałem, co sprawia, że szybciej oddycha.

Co sprawia, że się rozluźnia.

Odkryłem, że zmiany mojego języka ciała — bardzo drobne gesty — są w stanie wywołać zmiany funkcji jego autonomicznego układu nerwowego.

Obserwowałem te zjawiska u Romero i u innych strażników, a także u siebie.

A im lepiej uświadamiałem sobie, w jaki sposób bodźce zewnętrzne wpływają na moje funkcje życiowe, tym lepiej rozumiałem, jak mógłbym kiedyś nimi sterować.

Usłyszałem przez sen, że Edwin podchodzi do mojej klatki. Usiadłem, otworzyłem oczy i ujrzałem, jak siada po drugiej stronie szyby z egzemplarzem „Washington Post” w dłoniach.

Potarłem oczy, wstałem i podszedłem do umywalki.

Ochlapałem twarz wodą.

— Co słyhać na świecie? — spytałem, myjąc zęby.

— Mamy wojnę satelitarną. Chiny oskarżają nas o wysłanie tajnego oddziału kosmicznego w celu zhakowania jednego z ich satelitów wojskowych.

Usiadłem za biurkiem. Dzieliło nas szkło.

— Pasuje do nas.

Edwin byle jak złożył gazetę — widok niemal bolał — i popatrzył na mnie. Przyszedł zadać kolejne pytania na temat mojej matki.

— Już ci mówiłem: nie wiem...

— Wierzę ci, że nie znasz miejsca jej pobytu, jednak mógłbyś nam pomóc w inny sposób.

— Ale nie zamierzam.

— Jak chcesz. — Edwin skinął głową. — Ty jesteś tu, a ci, których

kochasz, na zewnątrz.

Niezawołowana groźba zawisła w powietrzu. Miesiąc temu prawdopodobnie by na mnie podziałała, ale mimo wszystkich niedostatków Edwina, rozumiałem go teraz lepiej niż kiedykolwiek. Niemal doskonale pamiętałem każdy mój kontakt z tym człowiekiem i wiedziałem, że nie skrzywdzi mojej rodziny. Gdyby chciał wyrzucić na mnie presję, wystarczyłoby pozwolenie na przykład na spotkanie z Beth i Avą.

— Źle to rozgrywasz — stwierdziłem.

— O czym ty mówisz?

— Powinieneś używać marchewki, nie kija.

— Miała tajne laboratorium?

— Co będę z tego miał?

Wzrok Edwina zwrócił się na ułamek sekundy w stronę kratki wentylacyjnej na suficie mojego wiwarium. Wrócił ku mnie spojrzeniem. Potem zmarszczył mu się nos i do tego uniósł górną wargę. Wszystkie te zmiany mimiki były prawie niezauważalne.

A jego mina wyrażała niesmak.

— Wyobrażasz sobie, jak by to było, gdybyś wyssał stąd powietrze, prawda? Romero byłby w stanie to zrobić, ponieważ obwinia mnie — zresztą słusznie — że odebrałem mu życie i pasję. Ty nie mógłbyś tego zrobić. Na samą myśl o torturowaniu mnie, robi ci się niedobrze. — Westchnął oburzony. — Zastanawiasz się teraz, czy nie zlecić brudnej roboty jednemu ze swoich osiłeków, obawiasz się jednak, że powierzenie takiego zadania innym nie wystarczy ci, by złagodzić...

— Zamknij się w końcu! Boże! Jesteś kimś całkiem innym niż Logan, którego znam.

Trafiłem go. Znakomicie. Teraz rzucę mu kość.

— Nic nie wiem o żadnym tajnym laboratorium matki.

Na jego twarzy pojawiła się ulga.

— Jeśli jednak konstruowała tę ulepszoną wersję, musiała mieć odpowiednie miejsce do pracy — dodałem.

— Do tego nie mogłoby to być jakieś górniane...

— Nie. Potrzebowałyby nowoczesnego laboratorium biologii molekularnej z zabezpieczeniami biologicznymi na poziomie czwartym, aby prowadzić hodowlę komórek i eksperymenty na zwierzętach. Potrzebowała dostawców nietypowych składników. Nie da się tego zrobić w pojedynkę.

— Jak duża...

— Może dwa. Najprawdopodobniej pięć osób.

— Jakiś pomysł...

Boże, znałem każde pytanie, zanim je zadał. Zmarnowany czas. Kompletny brak skuteczności.

— ...kto mógłby to być?

— Potrzebowałyby ludzi, którzy jako zespół znalazłby się na biochemii, biologii molekularnej, genetyce i bioinformatyce. Wszystko musiałoby działać na najwyższym poziomie. Trudno mi sobie wyobrazić, aby dało się coś takiego przeprowadzić bez procesora z kwantowym wyżarzaniem albo eksaskalowego.

Mówiłem zbyt szybko. Przeciętnie człowiek wypowiada od stu do stu trzydziestu słów na minutę, ja zasuwalem sto osiemdziesiąt. Kiedy to się zaczęło? Muszę to kontrolować, spowalniać, aby nie ściągać uwagi na mój eksplodujący intelekt. To tylko jeszcze zwiększy ich strach przede mną, a im bardziej będą się bali, tym mniejsza była szansa, że wypuszczą mnie z wiwarium, aby przeprowadzić testy.

— Czyli potrzebowałyby inżyniera-komputerowca?

Czyżbym właśnie mu to zasugerował?

— Tak — odparłem. — Do tego niezłego łobuza. Kogoś umiejącego pisać skomplikowane programy i oblatanego w kodowaniu architektury samouczącej się sztucznej inteligencji.

— Jakiś pomysł, kto mógłby to być?

Było to kiepsko sformułowane pytanie, wiedziałem jednak, o co mu chodzi. Pytał o nazwiska. A przecież dwanaście i pół sekundy temu zadał już takie samo pytanie.

— Jej koledzy z Shenzhen albo nie żyją, albo siedzą w więzieniu. Nie mam pojęcia, kogo poznała i z kim pracowała po sfingowaniu swojej śmierci.

— Czy znała jakichś wpływowych ludzi, których mogłaby przeciągnąć na swoją stronę?

— Nie wiem, co przyjaciele i koledzy po fachu o niej sądzili po nastaniu głodu. Podejrzewam, że większość się od niej odwróciła. Albo zadenuncjowała ją władzom. Mam jednak pewien szalony pomysł.

— Jaki?

— Znajdę ci ją.

Pochylił się w kierunku szkła, wyraźnie zainteresowany.

— Masz na myśli... wypuścić cię...

Zamierzałem sprawdzić, czy Edwina bardziej interesuje przebadanie mnie, czy znalezienie Miriam. Istniała oczywiście jeszcze inna możliwość: decyzja, co ze mną dalej zrobić, nie należała już do niego.

— Zaczepujcie mnie. Nadzorujcie każdy mój ruch. Jestem jedyną osobą, która może tego dokonać.

Chwilę się zastanawiał.

— Nie mogę — stwierdził w końcu.

— Ale chcesz, żebym ci pomógł, siedząc w szklanej klatce?

Równocześnie zaraz wypuścisz jedynego człowieka, który może mieć ważne informacje.

— Nie byłem z tobą do końca szczery, jeśli chodzi o Sorena.

— Niech zgadnę. Soren nigdy nie został oficjalnie zarejestrowany w naszym systemie. Znalazłeś sędziego trybunału DISA^Z i dał ci pozwolenie na trzymiesięczny areszt.

Edwin nie odpowiedział. Próbował zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, co mu się oczywiście nie udało.

— Gdzie jest? — spytałem. — W jednym z twoich tajnych ośrodków? Tutaj?

— Tutaj go nie ma

— Przesłuchiwaliście go.

Edwin skinął głową.

— W rozszerzony sposób?

Skiniecie głową.

— Wirtualnie?

Nie odpowiedział. Czyli tak.

Słyszałem plotki, że stosuje się takie metody w skrajnych przypadkach, gdy ma się do czynienia z zagranicznymi bioterrorystami, ale potwierdzenie tego faktu przez człowieka, którego kiedyś bardzo szanowałem, wywołało u mnie głębokie rozczarowanie i poczucie wstydu. Przesłuchiwali Sorena w rzeczywistości wirtualnej, używając dynamicznego interfejsu sieci klasy wojskowej. Zhakowali jego ciało migdałowate oraz korę przedczołową i okołolimbiczne obszary kory nowej, aby wywołać w jego umyśle wszelkie rodzaje przyjemności i bólu. Tortury wirtualne zostały dziesięć lat temu zakazane przez ONZ, ale ponieważ trudno było wykryć i udowodnić ich stosowanie, zakaz był niemożliwy do wyegzekwowania.

— Podejrzewam, że nie ma sensu przypominać ci, że jest obywatelem

amerykańskim — powiedziałem. — No tak... ja też. Z pewnością nie ma też sensu przypominać ci, że jest istotą ludzką. A więc czego się od niego dowiedzieliście?

— Niczego. Wygląda na to, że nic nie wie.

Edwin wstał i złożył gazetę.

— Edwinie... właśnie odpowiedziałem na twoje pytania. Nie musiałem tego robić.

— Wiem.

— Chciałbym, aby moja rodzina wiedziała, że nic mi nie jest. Chciałbym zobaczyć się i porozmawiać z Beth i Avą.

Sposób, w jaki mi się przyglądał — wyduńczone wargi, uniesione brwi — zdradzał ukrywający się tuż pod powierzchnią smutek. Tętno szyjną pulsowało mu szybciej niż w chwili, gdy się zjawił... sto dwadzieścia dziewięć uderzeń na minutę. Nie mam pojęcia, skąd znałem tę wartość. Nie liczyłem świadomie. Po prostu... wiedziałem. Miałem niezwykłą umiejętność dostrzegania szczegółów, których normalny człowiek nie zauważa.

Edwin był zasmucony, zdenerwowany i przyłapałem go na tym. Zrozumiałem w tym momencie, że okłamał mnie pierwszego dnia. Nie powiedział mojej rodzinie, że zostałem zatrzymany pod zarzutem autoedycji.

W głowie natychmiast pojawił mi się wysokiej rozdzielczości film z własnego pogrzebu.

Zamknięta trumna. Beth i Ava płaczą. Edwin pociesza je, mówiąc, jakim to był bohaterem. Cisza, która zapadła w naszym domu po wyjściu żałobników. I prawdziwa żałoba, która trwa.

— Powiedziałaś im, że zginąłem w akcji, prawda?

— Przykro mi. — Na więcej nie było go stać.

I odszedł.

Rozebrałem się i poszedłem pod prysznic. Kabina była mała i miała wszystkie ściany ze szkła. Zero miejsca i żadnej prywatności. Ktoś na pewno siedział przy monitorze i obserwował każdy mój ruch.

Nie byłem w stanie zmusić się do myślenia o Beth i Avie. Wyobrażenie sobie, jak rozpaczają z żalu po mnie, złamałoby mi serce.

Tak więc poddawałem się strumieniowi gorącej wody i myślałem o mamie, zastanawiając się, gdzie może być. Co zaplanowała? Czy sama też poddała się wprowadzeniu na wyższy poziom?

Gdzieś z głębi umysłu wychynęło wspomnienie rozmowy, której byłem świadkiem w Chinach, zanim wszystko się rozpadło.

Była to jedna z rzadkich okazji, gdy Miriam miała ochotę trochę się zrelaksować. Wygoniła swoich doktorów z laboratorium i poszliśmy wszyscy do belgijskiego baru w dzielnicy Nanshan o nazwie Potykający się Mnich.

Przed Denver i aktualizacją mojej pamięci autobiograficznej nigdy w życiu nie przypomniałbym sobie tamtej chwili z taką wyrazistością. W każdym razie, po wielu kolejkach cała nasza grupa prowadziła uduchowioną rozmowę zainicjowaną przez moją matkę, która zapytała: Co stanowi największe zagrożenie dla naszego gatunku?

Wszyscy byli zalani, szczęśliwi, głośni i przerzucali się propozycjami.

Podnoszący się poziom oceanów.

Upustynnianie.

Niesprawne ekosystemy.

Niebezpieczne poziomy CO₂.

Basri, badacz zajmujący na liście matki pozycję numer dwa, powiedział:

— Zmiany klimatyczne to największe zagrożenie dla naszego gatunku.

Matka milcząco obserwowała debatę ze szczytu stołu, popijając

z kielicha Westvleteren 12. Jej wielkie, tajemnicze oczy ogarniały wszystko.

— Mylicie się — powiedziała w końcu.

Wszyscy zamilkli i odwrócili się ku niej. Miriam nie musiała podnosić głosu. Mowy nie było, aby w zgiełku baru wszyscy usłyszeli jej słowa, ale obecność matki w kręgu jej akolitów zawsze miała w sobie coś z magii.

— Nie uważasz, że największym zagrożeniem naszego gatunku są zmiany klimatyczne? — spytał Basri.

Przyszpiliła go wzrokiem.

— Największe zagrożenie naszego gatunku tkwi w nas samych.

Pojawiły się nerwowe spojrzenia, bo nie bardzo rozumieliśmy, co ona ma na myśli.

Stojąc w kabinie prysznicowej w moim wiwarium dwadzieścia lat później, byłem w stanie przypomnieć sobie tę sytuację z najdrobniejszymi szczegółami. Pamiętałem też, że nie miałem zielonego pojęcia, o czym mówi Miriam, i wówczas był to dla mnie kolejny dowód, jak bardzo jestem ograniczony umysłowo.

— Głód, choroby, wojna, ocieplenie — wszystkie te zagrożenia wiszą nad nami niczym zbierające się chmury burzowe, jednak dziewięćdziesiąt procent ludzkości czyta rano nagłówki o rozpadającym się świecie, po czym o nich zapomina i robi swoje — powiedziała Miriam i rozejrzała się po obecnych. — Wy wszyscy jesteście tu jednak ze mną, próbując przyczynić się do rozwiązania problemu zbiorów, co być może pozwoli nam pozbyć się głodu. Próbujecie być częścią rozwiązania. — Pochyliła się do przodu, jakby wstąpiły w nią nowe siły. — Wyobraźcie sobie, co można by osiągnąć, gdyby było więcej takich ludzi jak my. Nowe gatunki zbóż, aby wyżywić miliony głodujących. Powstrzymanie szalejących na świecie pandemii. Pozbycie się większości chorób, biedy i wojny. Koniec

z masowym wymieraniem gatunków. Czysta, odnawialna, nieograniczona energia. Rozchodząca się po całym systemie zasilania solarnego.

Minęło dwadzieścia lat, gorąca woda smagała mi plecy, czułem jednak wstrząsający mną zimny dreszcz.

— Czyli twierdzisz, że ludzie są zbyt głupi? — upewniał się Basri.

— Nie tylko — odparła Miriam. — Próbują zakłamać prawdę. Są egoistyczni. Nie jesteśmy racjonalnymi istotami. Lubimy magiczne myślenie. Wolimy wygodę od spojrzenia prawdzie w oczy. Konsumujemy, stroszymy piórka i staramy się przekonać samych siebie, że wystarczy dostatecznie długo potrzymać głowę w piasku, aby potwory same zniknęły. Mówiąc najprościej, nie chcemy pomóc sobie jako gatunkowi. Bronimy się przed zrobieniem tego, co konieczne. A przecież każde niebezpieczeństwo, jakie nam zagraża, zbliża nas koniec końców do porażki.

Skończyłem prysznic i gdy się ubierałem, jeden z moich klawiszy — jak miałbym inaczej ich nazywać? — przyszedł ze śniadaniem.

Siedziałem za biurkiem, gdy wiwarium wypełnił przyjemny zapach kawy.

Nadal intensywnie i szybko myślałem.

Z baru wracaliśmy z matką taksówką do domu, który wynajmowaliśmy w dzielnicy Bao'an, nad zatoką Qianhai.

Wypiłem o dwa piwa za dużo i nie widziałem zbyt wyraźnie świateł Shenzhen.

Spojrzałem na matkę, która wpatrywała się w przestrzeń za oknem. Bez wątpienia myślami była już w laboratorium. Zawsze na pierwszym miejscu była praca.

Ponieważ byłem podchmielony, zadałem jej pytanie, czego nigdy nie zrobiłbym na trzeźwo.

— Czy gdybyś mogła, sprawiłabyś, żeby ludzie byli bardziej podobni do

nas? — Szybko się poprawiłem. — Do ciebie?

Popatrzyła na mnie i może dlatego, że też lekko kręciło jej się w głowie, odpowiedziała szczerze.

— Tak. Zrobiłabym to.

— Ale to jedynie marzenie, prawda? Po prostu idea?

Wzruszyła ramionami.

— Każdy, kto zaciąga się do Story of You, musi wypełnić składający się z trzystu pięćdziesięciu pytań test na osobowość i za pomocą naszej aplikacji obrazującej dostarczyć skan całego ciała. Daje nam to ogrom materiału. Jestem w posiadaniu kodu genomu siedemdziesięciu dziewięciu milionów ludzi i od każdego z nich mam informacje z ponad dwudziestu trzech tysięcy punktów danych fenotypowych. Z całego świata. Gdybym była w stanie stworzyć wystarczająco wydajną sztuczną inteligencję, aby przetwarzać ten zasób danych, i wiedziała, jakie zadać pytania, kto wie, co mogłabym osiągnąć. — Popatrzyła na mnie z przerażającą przenikliwością. — Skonstruowanie nowej formy życia, leczenie chorób czy nawet praca, jaką wykonujemy teraz z naszą szarańczą, to już coś, ale zmiana sposobu myślenia istot rozumnych to bez dwóch zdań najwyższy wyraz mocy edycji genów.

W świetle tego, co właśnie się ze mną stało, rozmowa ta nabrała całkiem nowego sensu. Matka chciała zmodyfikować kilka pól ryżowych i skończyło się to śmiercią dwustu milionów ludzi, jakąż więc katastrofę — świadomie albo na skutek niezamierzonych, choć opłakanych konsekwencji — mogłaby spowodować, próbując zmienić coś tak fundamentalnego jak sposób myślenia *Homo sapiens*?

Śniłem o Beth i Avie.

Staliśmy na gładkiej, pozbawionej zarysu równinie.

Niebo miało ten sam ciemnoszary kolor co ziemia, i gdyby dół nie był

odrobinę ciemniejszy od góry, przestrzeń nie miałyby żadnych wymiarów — nie było horyzontu, poczucia głębi.

Nagle świat między nami pękł.

Czarna przepaść robiła się coraz szersza.

Rosła.

Chciałem ją przeskoczyć, aby dołączyć do nich obu, ale odległość była zbyt duża.

Staliśmy bez ruchu, obserwując tylko, jak się od siebie oddalamy.

Zacząłem się wydobywać z głębin nieświadomości, i zanim wróciłem w pełni do tego świata, dotarł do mnie dźwięk.

Słumione bum, bum, bum!

Wystrzały?

Usiadłem i otworzyłem oczy.

Byłem sam w wiwarium i choć panował mrok, widziałem otoczenie.

Z oddali doleciał krzyk słumiony przez zewnętrzne ściany i szkło mojej celi.

Do boku z terminalem komputerowym z impetem wpadł mężczyzna.

Mimo słabego światła natychmiast go rozpoznałem: był to jeden z dwójki, która zjawiała się po mnie na trzecim piętrze Constitution Center. Ten niski i krępy. W czasie pobytu tutaj ani razu go nie widziałem. Trzymał w dłoni pistolet i dyszał, drugą dłoń przyciskał do boku, próbując zatrzymać ciekącą mu między palcami krew, i zostawiał za sobą czerwone odciski stóp.

— Co się dzieje? — spytałem.

Gdy odwrócił się ku mnie, drzwi, przez które właśnie wszedł, ponownie się otworzyły i przy akompaniamencie ogłuszającego huku pół jego głowy zamieniło się w chmurę czerwonej mgły.

Do środka weszła postać w czarnym płaszczu. Trzymała w rękach

strzelbę taktyczną, a na twarzy miała maskę szermierczą. Natychmiast wyczułem coś innego w sposobie jej poruszania się. Coś prawidłowego. Bez marnowania energii. Bez niepotrzebnych gestów. Ostatnio nie mogłem pozbyć się wrażenia, że Romero, Edwin i wszyscy moi klawisze poruszają się bardzo nieporadnie. Są niczym wielkie, chaotyczne dzieci, a gestami zdradzają każdą swoją myśl.

Pewnie dlatego zachwyciła mnie elegancja ruchu postaci w masce. Choć muszę przyznać, że to dość dziwne, iż taka refleksja przysłała mi do głowy akurat w tak specyficznej sytuacji.

Postać dała mi znak drobnym ruchem palca.

Od razu było jasne, o co chodzi.

Ściągnąłem materac z łóżka, poszedłem w kąt celi, kucnąłem i przykryłem się nim jak tarczą.

Dźwięk wystrzeliwanych raz za razem nabojów był ogłuszający — pociski jeden za drugim wbijały się w kuloodporne szkło, sypiąc odłamkami, które uderzały w materac i spadały na mnie jak grad.

Gdy strzelanina ustała, odrzuciłem materac i wstałem.

Szkło wiwarium nie było żadną przeszkodą dla nabojów tego kalibru.

Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu dni wyszedłem z klatki.

Dzwoniło mi w uszach.

Szermiercza Maska podszedł do mnie.

— Kim jesteś? — spytałem.

Pokręcił głową. Nie tutaj.

— Przyślą więcej ludzi — ostrzegłem go. — Więcej niż będziesz...

— Nie masz pojęcia, z czym jestem w stanie sobie poradzić — przerwał mi modulowany elektronicznie głos.

Pochyliłem się, podniosłem pistolet martwego agenta, który wypadł mu z ręki na podłogę, gdy tracił pół głowy, i sprawdziłem szybko komorę.

— Trzymaj się blisko — poinstruował mnie przybysz.

Wyszliśmy z sali i ruszyliśmy słabo oświetlonym korytarzem z przymocowanymi do ścian wiązkami kabli. Pistoletem w mojej dłoni był lepki od krwi smith & wesson kaliber .45.

W głębi korytarza jedna z lamp migotała, spowijając na krótko przestrzeń w ciemnościach.

Minęliśmy dwóch ludzi leżących w kałużach własnej krwi. Zginęli, wychodząc z pomieszczenia wypełnionego monitorami ukazującymi moje wiwarium pod najróżniejszymi kątami i w czasie rzeczywistym.

— Nie zabiłeś, mam nadzieję, Edwina Rogersa ani pulchnego gościa o wyglądzie naukowca? — spytałem.

— Tylko uzbrojonych strażników.

Tuż przed zbiegiem korytarzy usłyszałem głosy.

Obcy uniósł rękę.

Zatrzymałem się.

Zarzucił pasek strzelby na ramię i ruszył szybkim krokiem w stronę, z której dobiegały głosy. Zza rogu wyszło trzech mężczyzn.

Uzbrojeni ochroniarze.

Pierwszemu z nich Szermiercza Maska poderżnął gardło nożem do walki wręcz, drugi unosił już jednak rękę z Desert Eagle'em.

Widziałem wszystko bardzo wyraźnie — Szermiercza Maska miał zaraz zostać trafiony w głowę pociskiem kaliber .50.

Ledwie o tym pomyślałem, ochroniarz pociągnął za spust, a mój wybawiciel zrobił w odpowiednim momencie krok w bok i ochroniarz niechcący odstrzelił pół głowy swojemu trzeciemu koledze.

Szermiercza Maska znów przesunął się w bok, a gdy ostatni ochroniarz zaczął obracać ramię z ogromnym pistoletem, próbując wycelować, Maska

przesunął się pod jego ramieniem, delikatnie je chwycił i złamał w trzech miejscach.

Wyglądało to jak rozkładanie pistoletu — tyle że tutaj chodziło o kości.

Gdy ochroniarz zawył, Szermiercza Maska chlasnął go dwa razy nożem po brzuchu.

Ochroniarz opadł na kolana i próbował zdrową ręką złapać to, co wylewało mu się z brzucha.

Cała sekwencja trwała dwie i pół sekundy. Ruchy Szermierczej Maski nie były szczególnie szybkie, ale eleganckie i zabójcze — po prostu balet przemocy.

— Ruszaj się! — krzyknął do mnie.

Skreśliśmy w kolejny korytarz kończący się spiralnymi schodami.

Szliśmy w górę, nasze stopy uderzały rytmicznie o metal.

Na górze spróbował otworzyć właz, ale ten niestety nie chciał ustąpić.

— Ktoś go zamknął — stwierdził Maska. — Jest inne wyjście, ale żeby tam się dostać, musielibyśmy przebić się przez kolejnych strażników.

Miałem pewien pomysł.

— Zaczekaj chwilę.

Pobiegłem z powrotem do mojego wiwarium. Usiadłem za terminalem, wzbudziłem ekran i wpisałem login Romero. Choć nie znałem dokładnego hasła, obserwacje ruchów jego palców dały mi tyle informacji, że mogłem ograniczyć się do siedemnastu możliwości.

Szósta próba okazała się skuteczna. Znalazłem protokół bezpieczeństwa otwierający szereg drzwi, w tym do mojego wiwarium, zbrojowni, centrum nadzoru i włazu wyjściowego.

Otworzyłem go i pogałem z powrotem.

Mój wybawca był już na zewnątrz. Gdy dotarłem do szczytu drabiny, podał mi rękę i wyciągnął w ciemność.

Było potwornie zimno.

Gdy oczy przyzwyczały mi się do ciemności, zobaczyłem wiszące na ścianach stare narzędzia. Belki na suficie. Drabinę prowadzącą na strych z sianem. Bardzo stary traktor.

Kompleks wiwarium zbudowano pod starą stodołą...

Pobiegliśmy w stronę otwartych wrót.

Obcy zatrzymał się w progu.

Wyjrzał na zewnątrz.

Jaskrawy księżyc rozświetlał okolicę.

W oddali paliły się światła gospodarstwa.

W zimnym powietrzu wydychałem obłoki pary.

— Możesz biec? — zapytał Szermiercza Maska.

Skinąłem głową.

Ruszyliśmy przez zamarznąłą trawę. Po raz pierwszy od przemiany byłem na otwartej przestrzeni i jeszcze nigdy tak szybko nie biegłem. Czuję się młody. Pełen energii. Przebiegliśmy jakieś sześćset metrów, do płotu otaczającego łąkę, przeskoczyliśmy go jednym susem i pobiegliśmy dalej żwirową drogą — byle dalej od farmy, stodoły i spichlerza.

Wszędzie dookoła były wzgórza, które wyglądały niczym czarne, zamarznąłe fale.

W świetle księżycy jaśniały wyżej położone pastwiska.

Raz za razem spoglądałem za siebie, obserwując malejące światła farmy.

Mniej więcej po pół kilometra dotarliśmy do kolejnej bramy i kraty w ziemi zapobiegającej przechodzeniu bydła.

Biegliśmy dalej.

W księżycowym świetle błyszczała zniszczona nawierzchnia wiejskiej drogi.

Jedynym słyszalnym dźwiękiem był wizg lodowatego wiatru

potrzęsającego ostatnimi liśćmi na drzewach. Ten pierwszy pobyt na otwartej przestrzeni od wejścia na wyższy poziom dostarczał mi tak wielu bodźców, że musiałem mocno nad sobą panować, aby się nie zagubić.

Pobiegliśmy poboczem. Po kolejnych kilkuset metrach obcy zwolnił i wskazał na coś tak dobrze ukrytego, że potrzebowałem dłuższej chwili, by to zauważyć. Kawalek od drogi, w ciemności lasu, dostrzegłem mieszankę metalu, szkła i chromu.

Wsiedliśmy do google roadstera coupe.

Gdy drzwi się zamknęły, obcy wreszcie ściągnął maskę i rzucił ją wraz z modulatorem głosu na tylne siedzenie.

Przed sobą miałem moją siostrę.

5

Ostatni raz widziałem Karę trzy lata temu.

Ostatni raz rozmawialiśmy pół roku temu.

Dzwoniliśmy do siebie na urodziny i z okazji Bożego Narodzenia, ona zwykle była po drugiej stronie oceanu, w aktywnej służbie.

Wyglądała trochę inaczej, niż ją zapamiętałem, i miała na twarzy nową bliznę, której jeszcze nie widziałem. Kilka lat temu, w trakcie jednego z objazdów w Myanmar, została złapana przez wroga i była przez kilka tygodni przetrzymywana jako jeniec wojenny, zanim uwolniła ją misja ratunkowa, ale nic więcej na ten temat nie wiedziałem. Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy.

Przecieliśmy pobocze i wyjechaliśmy na drogę.

Kara wcisnęła pedał gazu.

Samochód wystrzelił jak rakieta.

Pędziliśmy w wiejskim terenie z wyłączonymi światłami.

Choć moja zdolność widzenia w ciemności znacznie się poprawiła, nie czułbym się dobrze na tutejszych krętych drogach, jadąc z prędkością, z jaką jechała Kara, i kierując się jedynie blaskiem księżyca. Jej jednak brak światła zdawał się w ogóle nie przeszkadzać.

Popatrzyłem na siostrę, która już zdążyła odpowiedzieć na niezadane jeszcze przeze mnie pytanie.

— Zeszłego lata, na werandzie mojego domu w Montanie, użądliła mnie pszczoła. — Weszła w stuosiemdziesięciostopniowy zakręt z prędkością, która musiała spowodować przeciążenie przynajmniej kilku g. — Ból nie trwał długo, nie spuchłam, ale dwie noce później obudziłam się z potworną gorączką: prześcieradła były mokre, majaczyłam. Po trzech dniach w szpitalu mój stan się ustabilizował.

Mówiła niezwykle szybko.

— Przeprowadzono badania, z których nic nie wynikło — odpowiedziałem.

Skinęła głową.

— Uznano, że złapałaś grypę i wyleczyłaś się.

— Dokładnie tak.

Gdy wjechaliśmy do Luray, sennego miasteczka w Wirginii, u stóp gór, Kara zwolniła. główna ulica była o tej porze wyludniona. Światła na skrzyżowaniach migwały na pomarańczowo, a księżyc był wystarczająco jasny, aby oświetlać niebo oraz czarną ścianę na zachodzie: zbocza gór biegnących wzdłuż doliny Shenandoah.

— Szesnaście dni później kobieta, którą poznałam poprzedniego wieczoru, brała z lodówki sok pomarańczowy — kontynuowała Kara. — W leżącym na wyspie tablecie akurat wyświetlały się wiadomości, które oglądała jednym okiem. Między linią jej wzroku a szklanką, którą odstawiała na brzegu wyspy, zobaczyłam, że gdy zaraz zamknie drzwi

lodówki, odwróci się i łokciem ręki, w której trzymała sok, strąci szklanę. Nie było to przypuszczenie. Było to jak równanie z fizyki napisane na powierzchni rzeczywistości tylko dla mnie. Wszystkie zmienne wyznaczały nieuchronny efekt. Teraz widzę te równania wszędzie. Cały proces myślowy rozwinął się, gdy podrzuciłam naleśnik na patelni, aby go odwrócić, równocześnie widząc w odbiciu szyby nad kuchennym zlewem, jak ta kobieta sięga do lodówki. Naleśnik opadł na patelnię, wypuściłam z dłoni szpatułkę, wyciągnęłam rękę w dół i złapałam szklanę w powietrzu, na ułamek sekundy, zanim roztrzaskała się o kafelki.

— Kiedy zauważyłaś inne zmiany?

— Przedtem świadomość tych zmian budziła się powoli, ale w tamtej chwili wszystko ujawniło się jednocześnie: lepsza koncentracja, lepsze widzenie w nocy, pamięć, mniej snu, wzrost masy mięśniowej, większa tolerancja na ból.

— Widzenie u ludzi rzeczy, których nigdy nie dostrzegałaś?

Skinęła głową.

— Pszczoła była dronem — stwierdziłam.

Kara uśmiechnęła się.

— Po uządleniu nic z niej nie odpadło.

Po dwudziestu pięciu dniach interakcji z... — jak mam ich nazwać? Z normalsami? — rozmowa z osobą, której umysł pracował tak samo sprawnie jak mój, była zachwycająca.

Gdy nastał świt, który nadał niebu barwę lawendy, dotarliśmy do szczytu pasma Blue Ridge. Zaczynało się robić widno. Następna dolina była spowita płytką warstwą mgły. W oddali jarzyły się światła miast i miasteczek.

— Uznałam, że nastąpiła u mnie jakaś zmiana genetyczna. Postanowiłam się z tobą spotkać.

— Dlaczego?

— Bo ktokolwiek za tym stoi, nie wybrał mnie przypadkowo. Wybrał mnie, bo jestem Ramsay — ze względu na mamę. Więc uznałam, że albo masz z tym coś wspólnego, albo też jesteś na ich liście.

— Więc zaczęłaś mnie obserwować.

— Tak, musiałam się upewnić, co robić dalej na wypadek, gdybyś nie chciał mi pomóc albo próbował mnie aresztować. W ten sposób się dowiedziałam, że też zostałeś celem, a twój pracodawca ma cię na oku.

— Co naprowadziło cię na to, że się zmieniam?

— Szachy.

— To ty wysłałaś mi esemesa, że chcą mnie zgarnąć?

— Było dla mnie oczywiste, że się zmieniasz. Prędzej czy później musieli się tego domyślić. Przepraszam. Powinna była wcześniej się z tobą skontaktować.

— Mama nam to zrobiła.

W samochodzie zapadła cisza.

Kara popatrzyła na mnie i wolałam nie wiedzieć, co myśli.

— Ona żyje — wyjaśniłem. — Chce uruchomić szeroko zakrojony program wprowadzenia na wyższy poziom genetyczny.

— Kogo?

— Ludzkiej rasy.

Opowiedziałem jej o wszystkim.

O wpół do ósmej rano Kara wjechała na parking motelu Maple Leaf w Kingwood w Wirginii Zachodniej.

Śnieżyło, drogi zaczynały zamarzać.

By przebiec do pokoju, założyliśmy kominiarki, świadomi każdym centymetrem ciała wszechobecnych kamer.

Program podsłuchów i nadzoru Departamentu Sprawiedliwości, choć nie

był tajemnicą państwową, nigdy nie został oficjalnie potwierdzony. Większość Amerykanów nie miała więc pojęcia, jaki był zakres inwigilacji. Na każdym stu mieszkańców Stanów Zjednoczonych przypadało 48,7 kamer nadzorczych, obsługujących rządową sieć opartych na sztucznej inteligencji wyszukiwarek do rozpoznawania twarzy, choć poważnie naruszało to ustawodawstwo dotyczące praw jednostki.

Po tym, co wydarzyło się tej nocy, Edwin poruszy niebo i ziemię, żeby mnie znaleźć, choć wątpię, aby wydał innym agencjom komunikat o poszukiwaniu. Co miałyby powiedzieć? „Uciekł agent AOG, którego nielegalnie przetrzymywałem w tajnym ośrodku. A tak poza tym, to został w znacznym zakresie genetycznie udoskonalony i... nazywa się Ramsay”.

Nie, sprawa zostanie rozwiązana przez AOG.

Ale wystarczy jedno ujęcie choćby kawałka mojej twarzy, żeby jakiś algorytm uruchomił alarm o miejscu mojego pobytu.

W pokoju były dwa podwójne łóżka. Mały stolik pod oknem. Hucząca stara pompa ciepła. Tapeta w kwiaty.

Użyłem jednego z laptopów Kary, aby zamówić wypełniacze skóry. Zapłaciłem fortunę za to, by dostarczono towar dronem w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Potem padłem na jedno z łóżek. Materac był bardzo marny, ale po trzech tygodniach spędzonych w wiwarium czułem się, jakbym wypoczywał na łóżku w luksusowym hotelu.

— To, co zrobiłaś na farmie, było niesamowite — stwierdziłem. — Zawsze byłaś tak dobra, czy to nowe umiejętności?

— Zawsze był ze mnie kawał suki. — Kara roześmiała się i przez ułamek sekundy brzmiała jak dawna ona. — Ale ten pakiet od mamy udoskonalił moje zdolności.

— Jak to jest walczyć w taki sposób?

— Brałeś kiedyś udział w tego typu akcji?

— Owszem. Dwa razy w więzieniu.

— I jak ci poszło?

— Skopali mi dupę.

— Działo się szybko, prawda?

— Bardzo. Zamarłem. Byłem jak sparaliżowany.

— Gdy mój poziom adrenaliny dochodzi do pewnego progu, dzieje się coś odwrotnego. Czas spowalnia, niemal staje. Dostrzegam każdy szczegół otoczenia. Widziałam ruchy tych ludzi jak w zwolnionym tempie. Mam większą zdolność odczytywania mechaniki ciała. Drobnie drgnięcia mięśni komunikowało każdy ich zamiar. Rozwaliłam ich w zasadzie bez wysiłku.

Oczywiście rozumiałem, co mówi. Też tego doświadczyłem.

Stwierdzenie, że mózg pracuje szybciej w sytuacjach stresowych, to mit. Gdy człowiek się boi, ciało migdałowe zwiększa aktywność, co powoduje rejestrację dodatkowych wspomnień przeplatających się ze „zwykłymi” wspomnieniami. Większa niż zwykle liczba wspomnień, ich większe zagęszczenie, tworzy iluzję spowalniania czasu. Podejrzywałem jednak, że — podobnie jak u mnie — poczucie rozciągania się czasu u Kary było czymś więcej niż złudzeniem, które wywołała reakcja lękowa. Osłabienie u nas bramkowania sensorycznego sprawiało, że w chwilach intensywnego skupienia bodźce atakowały nas znacznie szerszym strumieniem. Dopóki mózg nie został przytłoczony obrazami rzezi, powinno to pozwalać nam antycypować i reagować z nadludzką prędkością.

— Nie puszczą w niepamięć tego, co się stało — powiedziałem. — Wiesz o tym, prawda?

Wzruszyła ramionami.

— Wiem, że nie jesteśmy sobie bliscy, ale jesteś moim bratem. Zabiłabym dla ciebie całą armię.

— Czy z moją rodziną wszystko w porządku?

— Tak, ale myślą, że nie żyjesz.

Wiedziałem o tym, ale i tak oczy zaszczyły mi łzami.

Nie mogłem zadzwonić do Beth ani skontaktować się z nią w żaden inny sposób. Nie chciałem narażać jej i Avy na oskarżenia o pomoc ani wciągać ich w to bagno tylko dlatego, że mnie znali.

Bezpieczniej było im na razie pozwolić wierzyć, że mnie nie ma.

Dwieście milionów ludzi, którzy zginęli z powodu pracy, w którą byłem zaangażowany, moja odsiadka w więzieniu, śmierć rodziców, utrata brata bliźniaka — to wszystko nic w porównaniu z tym, co okazało się dla mnie najtrudniejsze.

— Co teraz? — zapytała Kara.

Szybko oceniłem sytuację — oboje byliśmy celem, wystawieni rzekomo przez naszą matkę, z nieznanego nam powodu. Nie mogliśmy zbyt wiele zrobić.

— Nie jestem pewien — powiedziałem. — Ale cokolwiek mama planuje, musimy ją powstrzymać.

Potem zamknąłem oczy i zasnąłem.

Gdy się obudziłem, wpadające przez zasłony światło było ciemniejsze, a z łazienki dolatywał szum wody. Wstałem, podszedłem do okna i wyjrzałem w zaśniewony, niebieski zmrok.

Samochody na parkingu były zasypane śniegiem.

Drogi były pokryte śniegiem.

Na budynkach po drugiej stronie ulicy również zalegał śnieg.

Czarna torba Kary stała na stole.

Prysznic ciągle szumiał.

Rozpiąłem torbę i zajrzałem do środka.

Cztery sztuki broni, w tym karabin snajperski CheyTac M200. Pudełka

amunicji. Granaty błyskowe. Plastikowe kajdanki. Kilka laptopów. Sprzęt do obserwacji. Dwa pliki gotówki. Trzy paszporty, każdy na inne nazwisko. Pięć telefonów bez GPS-u.

Wziąłem jeden z telefonów — pragnienie, aby wysłać Beth wiadomość i zawiadomić ją, że żyję, było wszechogarniające. Ból, jaki przeżywały ona i Ava, musiał być ogromny.

Wtedy wydarzyło się coś niesamowitego.

Zredukowałem poziom uczuć.

Może była to nowa zdolność, a może miałem ją zawsze i tylko przejście na wyższy poziom ją wyzwoliło, okazało się jednak, że jestem w stanie odłożyć na bok uczucia, jakie żywiłem do swojej rodziny, jakby te dwie osoby, które tak kochałem, były przedmiotem.

Przypominało to umieszczenie emocji w klatce Faradaya, z tym, że celem nie była ochrona uczuć przed polem elektromagnetycznym, lecz ich osłona przed typowo ludzkim sentymentem. A dokładniej przed sterującym działaniem sentymentu.

Byłem w stanie zamknąć swoje emocje w klatce, głęboko w zakamarkach umysłu.

Mogłem zamknąć drzwi do tej klatki.

A przy odrobinie wysiłku nawet je zaryglować.

Mogłem funkcjonować w oderwaniu od uczuć.

Zdolność ta była niepokojąca i wywoływała poczucie zdrady, na dodatek kazała mi się zastanowić, czy zmiany, którym zostaliśmy poddani, miały związek z opinią matki, że ludzki gatunek ma wadliwy genom. Czyżby odkryła sposób na rekalkibrację u *Homo sapiens* równowagi między stroną sentymentalną a rozsądkiem?

Szum wody ucichł.

Wrzuciłem telefon z powrotem do torby i zasunąłem zamek.

Kara dała mi jeden z laptopów.

Miałem kody dostępu Romero, obawiałem się jednak, że od chwili, gdy się zaloguję, pozostanie nam pół godziny, może nawet mniej, do momentu pojawienia się agentów w motelu.

Tak więc przez następne dziewięć godzin ściągnąłem i przeczytałem pięć książek o architekturze internetu i krążyłem po różnych forach, na których ludzie radzili, jak niepostrzeżenie dostać się do rządowego serwera.

W poprzednim życiu wchłonięcie tak wielkiej ilości nieuporządkowanych informacji oraz pseudoinformacji zajęłoby mi miesiące i w trakcie umarłbym z nudów, ale moje nowe zdolności w zakresie utrzymania koncentracji sprawiały, że przedzierałem się przez nie jak czołg.

Łączyłem się z internetem przez wirtualną sieć prywatną i niezbyt niepokoiło mnie to, że ludzie dowiedzą się, iż ktoś wchodzi do niej za pomocą loginu i hasła Romero — wydobyłem wszystko, co było mi potrzebne, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Nie mogłem jedynie pozwolić na to, aby dowiedzieli się, że uzyskano dostęp do ich serwerów z Kingwood w Wirginii Zachodniej.

W ramach dodatkowego zabezpieczenia ruchu między laptopem Kary a serwerami przez chwilę VPN⁸ maskowała mój adres IP i lokalizację. Pozostawała ukryta wymiana klucza, co zrobiłem za pomocą algorytmu z darknetu.

Był jeden folder. Nazwano go „Ramsay, Logan”.

Gdy zacząłem przeglądać swoje akta z AOG, Kara włożyła płaszcz, kominiarkę i poszła po jedzenie.

Plik zawierał wyniki badania poligrafem (zdałem). Testy, które podsuwał mi Romero. Rejestr przebiegu snu. Karty żywienia. Notatki Edwina i Romero szczegółowo opisujące każdą naszą interakcję. Akta lekarskie

z mojego pobytu w szpitalu w Denver i od waszyngtońskiego internisty. Notatki terapeutki z naszych trzech sesji. Pliki audio i wideo z mojego domu w Arlington.

Głównie interesował mnie plik dotyczący zmian mojego genomu.

A zmiany te były ogromne.

Gdy zacząłem czytać analizę swojego kodu genomu, pojawiła się w mojej głowie dawno zapomniana myśl niczym szept z głębokich otchłani pamięci.

„Mama nigdy niczego nie robi bez powodu”.

Gdyby chciała jedynie nastraszyć AOG, nie musiałaby wprowadzać na wyższy poziom także Kary. Raczej nie liczyła też na zmianę polityki prowadzonej przez tę instytucję. Chciała być może nastraszyć Agencję, ale nie zdradziłaby swojego odcisku palca tylko w tym celu. Musiało być coś jeszcze, czego Edwin i spółka nie dostrzegali.

Miała względem nas konkretny plan, co oznaczało, że zostawiła informacje, których tropem mieliśmy podążać. Jakąś wskazówkę, co powinniśmy robić dalej. Przewijałem stronę za stroną mojej analizy genetycznej — trzy miliardy znaków — i doceniałem doniosłość tej chwili: byłem myślącą istotą czytającą instrukcję swojego stworzenia.

Przerwałem.

Wbiłem wzrok w ekran.

Chyba wpadłem na pewien pomysł.

Rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw spanikowałem, że AOG jakimś sposobem mnie wytropiła, ale nie... AOG by nie pukała. Jej funkcjonariusze po prostu wyważyliby drzwi.

Podszedłem do wizjera. Na tle śniegu stała Kara. Zdjąłem łańcuch, wpuściłem ją do środka. Czarna wełna jej płaszczka była pokryta szronem,

włosy miała mokre. Pod pachami trzymała dwie papierowe torby, które położyła na moim łóżku.

— Luksusowa kuchnia ze stacji ładowania. Wszystko inne było zamknięte.

Zacząłem przeglądać zakupy — śmieciowe żarcie, kanapki, burrito.

— Jakież postępy? — spytała.

— Nie bardzo, ale mam pewien pomysł. — Rozerwałem torebkę czipsów i zacząłem wdychać ich zapach. — Wiesz, że kodem DNA można pisać słowa?

— Nie.

— Jeśli chodzi o pojemność danych, gęstość informacji w DNA jest milion razy większa niż w standardowym twardym dysku.

— Sądzisz, że mama zostawiła w naszym DNA wiadomość?

— Nie wiem. Może.

Kara sprawiała wrażenie sceptycznej.

— Czy nasz genom nie ma trzech miliardów znaków?

— Ma.

— Więc próba odnalezienia wiadomości od mamy byłaby jak szukanie igły w stogu siana.

— Raczej jak szukanie konkretnego atomu na igle w morzu igieł.

Usiadłem przed laptopem.

— Od czego należałoby zacząć? — spytała Kara.

— Gdybym chciał zapisać wiadomość w twoim kodzie genetycznym, nie mógłbym zrobić tego w dowolnym miejscu.

— Bo?

— Bo mógłbym zniszczyć coś istotnego. Nagle jakiś narząd przestałby działać albo mutacja genetyczna spowodowałaby raka lub stwardnienie zanikowe boczne. Gdyby mama coś takiego zrobiła — w dalszym ciągu

stawiam tu wielki znak zapytania — prawdopodobnie wprowadziłyby wiadomość do genetycznie bezpiecznego portu.

No tak, Kara nie miała pojęcia, o czym mówiłem.

— Wyobraź sobie nasze ciało jako gigantyczny program komputerowy. Jeśli się do niego dostaniesz i zaczniesz majstrować przy kodzie, możesz popsuć coś ważnego. Bezpiecznymi portami są obszary genomu, które są w stanie przyjąć nowy materiał genetyczny bez szkody dla innych genów albo powodowania niekorzystnych zmian genomu przyjmującego. — Zacząłem pisać. — Zapytam teraz o wszystkie miejsca, w których zmieniono mój genom, ale zawęzę wyniki wyszukiwania do obszarów będących przypuszczalnie bezpiecznymi portami. To powinno drastycznie zredukować ich liczbę.

Potrzebowałem kilku minut na stworzenie SQL⁹ do przejrzania bazy danych. Ponieważ pracowaliśmy na laptopie, a nie na superkomputerze, podejrzewałem, że trochę to potrwa.

Usiedliśmy na łóżku i raczyliśmy się burrito z automatu.

Pierwszy raport spłynął po godzinie.

Po Denver mój genom został zmieniony w kilku dobrze udokumentowanych genetycznie bezpiecznych portach, w tym AAVS1, SHS231, hROSA26 oraz CCR5.

Zleciłem raport dla każdego z nich, aby obejrzeć zakres przeprowadzonej edycji.

CCR5 jest białkiem na powierzchni białych krwinek, które stanowią podstawowy element układu odpornościowego. Dokonane tu zmiany były znaczne. Nie miałem pojęcia, na czym dokładnie polegały, wprowadzono jednak ilości sięgające 89 kilobajtów par zasad — ilość kodu, która wypełniłaby porządną powieść.

Potem otworzyłem raport dotyczący zmian AAVS1: starożytnego,

nieszkodliwego autostopowicza, idealnego miejsca do dodawania DNA bez obaw o narobienie szkód.

Hm... Pochyliłem się w stronę ekranu. Zmiany AAVS1 były minimalne — krótka linia nowego kodu wprowadzona do długiego ramienia chromosomu 19.

Tylko sto pięćdziesiąt sześć par zasad.

Po przetłumaczeniu na białko prawdopodobnie tylko pięćdziesiąt dwa kodony.

A zgodnie z odczytami sekwencjonowania genów kod wprowadzono do genomu w każdej komórce mojego ciała, co było zarówno trudne, jak i niezwykle. Choć cały genom jest zawarty w każdej komórce organizmu, porcje kodu, ostatecznie wyrażane przez każdą komórkę, są wyznaczone przez wyspecjalizowaną funkcję biologiczną danej komórki. Każda komórka w ciele człowieka zawiera instrukcje dotyczące koloru oczu, ale gdyby KOSA chciała zadziałać w kierunku zmiany tego koloru, wpłynęłaby tylko na mikroskopijny procent komórek, od których faktycznie zależy pigmentacja tęczówki.

Po co więc brać na cel każdą komórkę? Aby ingerencja na pewno została zauważona?

— To może być to — stwierdziłem.

Kara wpatrywała się w nową sekwencję DNA.

```
TCC CCC CCG ACC CGA CCC ACG CAC CGC ACC CCT CTC GTG
GTC ACC GCA CCC ACC CGG GAC CCC ACG GGT CCC CCC CCC
CCC CCC CCC CCC GAC CCG ACC CAC GCA CCG CAC CCC TGG
TGT CGG TCG GTC GGT CGG ACC CCG GGA CAC CCG CAC CCC
```

— Naprawdę sądzisz, że te litery to wiadomość? — spytała.

— Może. Kolejna edycja w bezpiecznym porcie miała niemal sto kilobajtów. To by była bardzo długa wiadomość. Ta sekwencja jest zbyt

krótka, aby mogła być nowym genem, a białko, które koduje, jest bez sensu.

— Co teraz?

— DNA można odczytywać w dwóch kierunkach, dla każdego kierunku możliwe są trzynakowe ramki. Zakładam roboczo, że ta sekwencja odpowiada konwencji dla wpisywania, co oznacza, że należy czytać od lewej do prawej. Teraz musimy wymyślić, jak przekształcić tę wiadomość biologiczną w ludzką.

— Masz jakiś pomysł?

— Żadnego.

Śmierć mojego brata była pierwszą szczeliną w przepaści, która miała pochłonąć całą moją rodzinę. Miałem trzynaście lat i dwa lata później, pewnego mglistego poranka, ojciec odebrał sobie życie na wierzchołku Mount Diablo, góry wznoszącej się na wschód od Bay Area. To, że potem matka — mimo tak wielu strat, jakich doznałem — upozorowała samobójstwo, było dla mnie czymś niepojętym.

Gdy tata odszedł, Kara porzuciła Cornell, gdzie pisała doktorat z technologii informatycznej, i zaciągnęła się do wojska. Dostała się do sił specjalnych. Jedyne, co na ten temat powiedziała, to: „Chciałam robić coś konkretnego”.

Zostaliśmy z Miriam we dwoje — aż nasza szarańcza sprowadziła na świat klęskę głodu.

Po śmierci matki i odsiadce w więzieniu zostałem sam.

W związku z tym wszystkim dzisiejszy wieczór był szczególny. Choć okolicznościom dużo brakowało do ideału, od lat nie spędzałem czasu ze starszą siostrą.

Jedliśmy nasze śmieciowe jedzenie, siedząc na łóżkach, i rozmawialiśmy.

Kara tylko dwa razy w życiu widziała Beth i Avę, więc jej o nich opowiedziałem. Ona z kolei opowiedziała mi o swoim życiu w Montanie.

Byłem raz u niej z Nadine, wpadliśmy do jej chaty po akcji w Helenie. Siedzieliśmy na werandzie, słuchając ryczących w dolinie jeleni. Było lato, chłodna noc, niebo rozświetlały gwiazdy. Rozmawialiśmy o życiu, pracy i rodzinie. Byłoby miło, gdyby Nadine i moja siostra się dogadywały, ale nie przypadły sobie do gustu.

Tamtej nocy — a dziś było tak samo — przebywanie z Karą zaspokajało moje ewolucyjne pragnienie. Pierwotną, genetyczną potrzebę przynależności do plemienia.

Była jedyną osobą, która naprawdę rozumiała przemianę, jakiej doświadczałem. Była też jedynym człowiekiem, który naprawdę rozumiał moją przeszłość.

— Zastanawiałaś się kiedyś nad zapuszczeniem korzeni?

— Chodzi ci o bycie matką? I żoną?

— Coś w tym stylu.

— Przeszkadza ci, że moja droga prowadząca do szczęścia jest inna?

— Zakładasz, że moim zdaniem dzieci i małżeństwo równa się szczęście? Korelacja? Bez dwóch zdań. Związek przyczynowo-skutkowy? Niekoniecznie. Jesteś szczęśliwa?

— Zanim to się zaczęło, byłem szczęśliwa. Mieszkałam w chacie, którą zbudowałam na wysokości nieco ponad dwóch tysięcy metrów w górach nad Butte. W zimie jeździłam na nartach, w lecie wędkowałam na muchę, jesienią polowałam. Byłeś tam.

— Szkoda, że nie widywaliśmy się częściej — stwierdziłem. — Chętnie odgrywałbym większą rolę w twoim życiu.

— Człowieku, nie jestem starszą siostrą, która bawiła się z tobą w chowanego i budowała zamki z lego.

— A kim jesteś?

— Teraz? To bardzo ciekawe pytanie. Zanim dziabnął mnie dron, wydawało mi się, że jestem kobietą szukającą spokoju we własnym domu. — Popatrzyła na mnie dość dziwnie. — Chcesz wiedzieć, prawda? — Blizna zaczynała się przy zewnętrznym kąciku jej lewego oka i schodziła zygzakiem do końca podbródka. Dotknęła jej. — Kwas solny. — Przełknęła ślinę. — To był obóz szkoleniowy w stanie Kaczin, wysoko u podnóży Himalajów. Przylecieliśmy w nocy. Mieli kamery na podczerwień i ich snajperzy zdjęli wszystkich poza mną. Przyszpilili mnie. Jeszcze nigdy nie widzieli kobiety z sił specjalnych. Byłam ciekawostką. Trzymali mnie w metalowej klatce, w której ledwie dało się stanąć. Przez większą część czasu miałam zasłonięte oczy. Cztery razy inscenizowali moją egzekucję i robili mi jeszcze gorsze rzeczy. Dużo gorsze.

Przeniosłem się na łóżko siostry i usiadłem naprzeciwko niej.

Spróbowałem ująć ją za rękę, ale wyrwała dłoń.

— Jeden z nich mówił po angielsku. Urodził się i chodził do szkoły w Londynie. Rozmawialiśmy trzy razy. Ostatnim razem zapytałam go, jak mogą mnie torturować. Jak mogą robić to innym, których palili, topili, kamienowali, którym obcinali głowy. W końcu byli buddystami. Torturowanie i zabijanie w imię Boga, który twoim zdaniem stworzył świat, to jedno, ale sedno ich wiary polega na przekonaniu, że nic nie jest stałe, nie trwa wiecznie. Powinni wierzyć w łagodzenie cierpienia.

— I co odpowiedział?

— Miał niezwykle miły głos. Niemal delikatny. Powiedział: „Czasami, aby zakończyć cierpienie, trzeba zadawać cierpienie”.

Przez chwilę milczała.

Słyszałoby jedynie dźwięk dolatujący z telewizora przesączaający się przez cienkie ściany. Znowu włączyła się pompa ciepła w naszym pokoju.

Ciekawe, czy jej pamięć została tak samo ulepszona jak moja? W przeszłości w moim życiu było mnóstwo mrocznych chwil, które teraz przeżywałem na nowo z brutalną dokładnością — ale nic takiego jak to, o czym właśnie opowiedziała mi siostra.

— Przykro mi, że to cię spotkało.

— Mnie też.

— Masz kontakt z ludźmi, którzy cię uratowali?

Kara uśmiechnęła się.

— Niektórzy z nich są moimi najlepszymi przyjaciółmi.

W nocy ze snu wyrwał mnie odgłos syren. Podeszedłem do okna, Kara wyciągnęła spod łóżka strzelbę.

Przez pokryte lodem okno widać było kilka pędzących główną drogą radiowozów i wozów strażackich. Choć serce waliło mi ze strachu, racjonalna część umysłu szeptała, że nie przyjechaliby aresztować mnie wozem strażackim, a już na pewno nie na sygnale.

Kara stanęła za mną.

— To nie po nas — powiedziałem.

Wróciłem do łóżka i zgasilem światła, po czym kazałem wyobraźni rzucić na sufit o wyglądzie dmuchanej kukurydzy sekwencję DNA, którą zaczęliśmy się zajmować.

```
TCC CCC CCG ACC CGA CCC ACG
CAC CGC ACC CCT CTC GTG GTC
ACC GCA CCC ACC CGG GAC CCC
ACG GGT CCC CCC CCC CCC CCC
CCC CCC GAC CCG ACC CAC GCA
CCG CAC CCC TGG TGT CGG TCG
GTC GGT CGG ACC CCG GGA CAC
CCG CAC CCC
```

Coś mnie w niej niepokoiło. Patrzyło mi prosto w twarz zadanie, którego nie byłem w stanie pojąć.

Przeprowadziłem w głowie analizę częstotliwości.

Dwanaście T.

Dziewiętnaście A.

Dziewięćdziesiąt dwa C.

Trzydzieści trzy G.

Bardzo bogate w C.

Czy te liczby miały jakieś znaczenie?

Pozwoliłem im płynąć przez mój umysł niczym chmurom w letni dzień i obserwowałem. 12, 19, 92, 33, 12, 19, 92, 33, 12, 19, 92, 33. Odwróciłem kolejność cyfr: 21, 91, 29, 33, 21, 91, 29, 33.

Dziewiętnaście to liczba pierwsza. Podumałem nad tym przez chwilę, ale bez efektu.

Otworzyłem gwałtownie oczy.

Był poranek.

Kara cicho pochrapywała.

Mój umysł musiał pracować przez sen, ponieważ wiedziałem, co mi się nie podoba w sekwencji.

T i A ani razu nie występowały w parach.

Wyskoczyłem z łóżka, zapaliłem światło. Podeszedłem do stołu pokrytego kartami z nieudanymi próbami złamania szyfru — o ile to był szyfr.

Wyglądziłem paragon, który Kara przyniosła ze stacji ładowania, i zapisałem z pamięci sekwencję nukleotydów, usuwając przerwy między kodonami i podkreślając każde T i A.

```
TCCCCCCCCGACCCGACCCACGCACCGCACCCCTCTCGTGGTCA  
CCGCACCCACCCGGGACCCACGGGTCCCCCCCCCCCCCCCCCCCC
```

CCCGACCCGACCCACGCACCCGCACCCCTGGTGTCGGTCGGTCGG
TCGGACCCCGGGACACC CGCACCCC

— Co robisz? — mruknęła rozbudzona Kara.

— Chwileczkę.

Jeżeli matka zamierzała przekazać mi przez mój kod genetyczny wiadomość, musiała poradzić sobie z pewnym problemem: jak komunikować się, mając do dyspozycji cztery znaki. No i jak zapisać za pomocą A, C, G i T liczby, na dodatek w taki sposób, aby mógł je odkryć jedynie ktoś, kto ich szukał.

Kara podeszła, położyła mi dłoń na ramieniu.

Popatrzyłem na nią.

— A jeśli T i A nie reprezentują liter ani innych symboli?

— Dlaczego?

— Ponieważ nie występują w parach ani trójkach. Może wskazują na początek słowa albo... — Nagle dostrzegłem, w jaki sposób można by stworzyć kod zastępczy oparty na czterech literach wziętych od nazw występujących w DNA zasad azotowych. — Boże drogi...

— Co jest?

— Gdybyś ty tworzyła ten szyfr, jakie dwie podstawowe jednostki komunikacyjne miałyby dla niego podstawowe znaczenie?

— Liczby i litery.

— A jeśli T i A wskazują, co będzie dalej? Jedna — powiedzmy A — oznacza, że znak będzie literą, a T oznacza, że należy iść krok dalej i przetłumaczyć liczbę na literę alfabetu.

— Tak jak jeden oznacza A, dwa oznacza B, a dwadzieścia sześć Z?

— Dokładnie.

— Czyli G i C to liczby?

— Ja bym tak zrobił. A gdybym miał tylko dwa symbole na zapisanie

dowolnej liczby, użyłbym rzymskiego systemu. Powiedzmy, że G równa się pięć, a C równa się jeden. Albo odwrotnie. Spójrzmy na pierwszą sekwencję.

Napisałem: TCCCCCCCG.

— Załóżmy, że T oznacza, iż CCCCCCG tworzy liczbę. Sekwencja mogłaby oznaczać dwanaście albo trzydzieści sześć. T może też wskazywać, że ta sekwencja to litera, więc musimy wykonać jeszcze jedną operację, aby ją stworzyć. Wtedy będzie to L albo... moment... nie! — Ponownie przyjrzałem się szyfrowi i uśmiechnąłem. — Tak jest! Jeśli moja teoria ma ręce i nogi, wiem, czym są C i G. G to jeden, C to pięć.

— Jesteś pewien?

— Popatrz na drugą sekwencję. ACCCG. Załóżmy, że C to jeden. W systemie rzymskim nie zapisałoby się ośmiu w taki sposób. Napisałoby się: GCCC.

— Więc G to jeden, a C to pięć.

— Załóżmy tak na razie. Pozostaje więc już tylko pytanie, czym są T i A. Przy założeniu, że G to jeden, a C pięć, muszę rozwiązać ten kod, jakby T reprezentowało literę, zaś A cyfrę, a potem odwrotnie.

— T nie może sygnalizować liter — powiedziała Kara.

Ponownie przyjrzałem się pierwszej sekwencji.

— Masz rację. — Siedem C, po których następuje G, to trzydzieści sześć. Za wysoka liczba, aby mogła korespondować z literą alfabetu.

Zrobiłem dzbanek kawy i gdy się parzyła, ponownie wyjrzałem przez okno. Śnieg przestał padać. Była ósma rano i miasto budziło się do życia.

Wróciłem do stołu i zacząłem transponować nukleotydy, jakby T sygnalizowało cyfry, a A litery.

Pierwszych dziewięć znaków dało liczbę 36.

Następnych pięć sekwencji dało słowo „punkt”.

Pisałem jak wariat.

36PUNKT5625POLN106PUNKT217778ZACH

— Kara! Rozwiązałem!

Napiłem się kawy, Kara podeszła i wbiła wzrok w ekran komputera.

— Współrzędne?

— Tak.

Przysunęła sobie krzesło, przejęła laptop i otworzyła przeglądarkę.

Wpisała w okienko: 36.5625N, 106.217778W.

Wpatrywaliśmy się w monitor i czekaliśmy, aż załaduje się kolejny ekran.

Pojawiła się mapa.

Znacznik GPS przypięty do zielonej płaszczyzny.

— Nie mam pojęcia, co to jest — powiedziałem.

Kara zmniejszyła obraz.

Na ekranie pojawiła się nazwa PARK NARODOWY CARSON.

Kara zmniejszała obraz dalej i wreszcie dostrzegłem coś znajomego.

Santa Fe.

Koordynaty wskazywały miejsce w parku narodowym, plus minus sto trzydzieści kilometrów w kierunku północ północny zachód od Santa Fe w Nowym Meksyku.

Ponownie powiększyliśmy obraz aż do znacznika i przełączyliśmy na widok satelitarny. Obraz wysokiej rozdzielczości pokazywał zimozielone drzewa z kilkoma plamkami żółci sugerującymi, że rosną tam osiki.

Zacząłem poruszać obrazem, szukając czegoś, co mogłoby wyglądać interesująco i przykuć moją uwagę.

— Widzę same drzewa — oznajmiła Kara.

— Ja też.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że szyfr to przypadkowe cyfry, które

akurat okazały się współrzędnymi GPS rzeczywistego miejsca?

— Bliskie zeru. Poza tym sformułowała słowa „punkt”, „zachód” i „północ”.

— Ale to kompletne pustkowie. Nie ma budynków ani żadnej infrastruktury.

— Kto wie, czy nie znajduje się tam coś, czego nie dostrzegamy. Poza tym zdjęcie może być nieaktualne.

Kara ponownie uważnie przyjrzała się współrzędnym.

— Jedna sekunda szerokości geograficznej to trzydzieści metrów i osiemdziesiąt centymetrów — stwierdziła. — Jedna sekunda długości równa się dwudziestu czterem metrom czterdziestu centymetrom.

— Te współrzędne obejmują mniej więcej siedemset czterdzieści metrów kwadratowych — odparłem. — Nie jest to dużo.

— Co tam może być?

— Pojęcia nie mam. Może przejedziemy się do Nowego Meksyku i sprawdzimy?

Na ekranie komputera zaczęła migać ikona — dron właśnie zostawił pod drzwiami motelu paczkę z wypełniaczami skóry.

Sam obciąłem włosy i je pofarbowałem. Wybrałem czerń — na pożegnanie z siwizną, która pojawiła się, gdy skończyłem czterdziestkę. A ponieważ nie goliłem się od chwili uwięzienia na farmie, czyli od trzech tygodni, miałem przyzwoitą brodę z czarnych i siwych włosów. Aby pasowała do koloru włosów, też pofarbowałem ją na czarno.

Zmiana koloru włosów oszuka ludzki wzrok, ale kamery nadzorcze i pełen dronów świat programów rozpoznawania twarzy nie badał czegoś tak powszechnego jak kolor włosów i oczu. Pomiary obejmowały bardziej skomplikowane, niezmiennie cechy wyglądu. Kształt oczu i płatka ucha. Odległość między kącikiem oka a kącikiem ust. Strukturę kości.

W ostatnich pięciu latach byłem na dwóch szkoleniach dotyczących nowych technologii rozpoznawania twarzy i obecnie potrafiłem przypomnieć sobie każde wypowiedziane w trakcie kursów słowo.

Do wydłużenia konturu oczu oraz stworzenia iluzji, że są większe i osadzone bliżej siebie, użyłem trudno zmywalnego tuszu do brwi.

W odróżnieniu od botoksu (neurotoksyny, która po wstrzyknięciu powoduje paraliż tkanek pod skórą, wskutek czego znikają zmarszczki) wypełniacze skóry wypełniają zapadające się z wiekiem miejsca miękką, żelowatą substancją wstrzykiwaną podskórnice.

Wypełnianie sobie twarzy było znacznie bardziej niebezpieczne niż włamywanie się do serwerów AOG. Ze względu na możliwość powikłań estetycznych i zdrowotnych ciągle ostrzegano, by nie robić tego samodzielnie.

Obejrzałem wszystkie filmiki instruktażowe, które udało mi się znaleźć, skupiając się na pacjentach pragnących znaczących zmian w wyglądzie twarzy. Przystudiowałem, w jaki sposób fachowcy trzymają strzykawkę, jakie produkty są zalecane do konkretnych rysów twarzy, poznałem odpowiednie dawki preparatów i miejsca, w które należy je aplikować.

W końcu nadszedł czas.

Przygotowałem strzykawkę i wstrzyknąłem pierwszą dawkę środka w rynienkę podnosową, czyli pionowy rowek biegnący od podstawy nosa do brzegu górnej wargi. Potem przyszła kolej na brwi i płatki uszu oraz kąciki ust.

Żadna z iniekcji nie spowodowała dużej zmiany, ale ostateczny efekt był... hm... zadziwiający.

Wpatrywałem się w swoje dzieło w popękany motelowym lustrze.

to nie byłem ja. Choć nie zaryzykowałbym przejścia przez ochronę

i dziesiątki kamer na lotnisku albo stacji kolejowej Hiperpętli, to byłem przekonany, że mogę udać się do Nowego Meksyku z Karą.

W końcu zawołałem siostrę.

— Skończyłem! Gotowa przerobić sobie buźkę?

6

Dotarliśmy do St. Louis o zmroku, zaparkowaliśmy na stacji ładowania, i wśród pozamykanych na głucho frontowych okien udaliśmy się na poszukiwanie jakiejś otwartej restauracji.

Resztki Łuku Wjazdowego — rozpadająca się, dwudziestometrowa, obita blachą z nierdzewnej stali szpica — oślepiały w zachodzącym słońcu. Siedem lat temu zniszczyła go zimowa burza¹⁰. Zamiast go odbudować, gubernator wolał przeznaczyć miliony na kartki żywnościowe dla mieszkańców miasta i pomoc okolicznym miejscowościom zniszczonym przez burzę.

Poruszanie się po świecie przy zmianach, jakie przeszedłem, było niezwykłym doświadczeniem — podobnie musi się czuć ktoś, kto nagle zaczyna widzieć kolory.

Wszystko było wyraźniejsze i jaśniejsze. Ze zwiększonym kontrastem.

Moją uwagę przyciągali zwłaszcza ludzie.

Gdy mijaliśmy zawodzącego na saksofonie ulicznego grajka, nie byłem w stanie zaprzestać przetwarzania najdrobniejszych szczegółów: piegów na jego twarzy, rytmu oddechu, ubrania, postrzępionego kapelusza, do którego zbierał pieniądze, siatki blizn po odłamkach, które miał na karku, odciążania lewej nogi w sposób świadczący o tym, że cierpiał na skutek dawnej rany. Niemal widziałem wybuch granatu, który uderzył go w prawy bok — jeszcze zanim dostrzegłem fragment tatuażu na jego lewej ręce,

wystającego spod rękawa koszuli. Była to kotwica z symbolu Korpusu Piechoty Morskiej USA, który tworzą orzeł, kula ziemiska i właśnie kotwica. Nagle przed oczami miałem obraz tego człowieka: walczył w Ukrainie, został ranny, wrócił do domu, do kraju, w którym nie było teraz systemu opieki nad weteranami, śmiesznej renty, zaszrannej opieki zdrowotnej i...

Minęła nas kobieta w przylegającej do ciała sukience, butach na wysokich obcasach i okularach słonecznych, o twarzy napiętej jak skóra na bębnie i szalejącym tętnie, ze śladami łez na policzkach. Dziewiętnaście sekund temu widziałem ją, jak przecnicę dalej wychodziła z baru, gdzie właśnie zakończyła jakiś związek.

To było spore wyzwanie — nie dać się zalać fali bodźców. Pomijając ludzi, moją uwagę i zainteresowanie ściągało na siebie niemal wszystko w nieustannie zmieniającym się obrazie miasta: barki, drony, przechodnie, ruch powietrzny, ruch kołowy, zmuszając mnie do tworzenia nowych schematów, zauważania rzeczy, których nigdy wcześniej nie dostrzegałem.

Oczywiście wszystko kręciło się wokół bramkowania sensorycznego.

Celem nie było zredukowanie liczby bodźców, lecz nauczenie się przetwarzania ich wszystkich. Nauczenie się, jak żyć i oddychać, równocześnie chłonąc to wszystko.

Moja ciekawość nie miała granic.

Jedyną otwartą restauracją była pizzeria z piecem opalonym drewnem, której okna wychodziły na Missisipi i siedem mostów łączących brzegi rzeki.

Zjedliśmy szybko, aby jak najszybciej wrócić na trasę.

Nadeszła moja kolej, by zasiąść za kierownicą.

Gdy zapadała noc, jechaliśmy I-44 przez Missouri.

Dobrze, że mogłem prowadzić w ciemności, bo mniej bodźców

odciągało moją uwagę od drogi.

Kara zasnęła i pozostałem sam ze swoimi myślami i drogą uciekającą do tyłu w świetle reflektorów niemal bezgłośniego samochodu.

Myslałem o matce.

Gdy w Chinach sprawy wymknęły jej się spod kontroli, wróciła do Ameryki. W swojej ignorancji nie miałem pojęcia, jak bardzo daliśmy ciała. Po prostu założyłem, że eksperyment z szarańczą się nie powiodł.

Ona oczywiście musiała zdawać sobie sprawę z tego, co się stanie.

Mieszkała w naszym rodzinnym domu w Elmwood w Berkeley, który wydawał mi się dziwaczny i niezmiernie smutny. Po odejściu taty, Maksa, i wyjeździe Kary za ocean, cisza w domu przypominała mi o wszystkim, co utraciliśmy.

Kapsuła czasu świadcząca o tym, jak nisko upadli Ramsayowie.

Doskonałość i dokładność wspomnienia sprawiały mi ból.

Nigdy bym nie przyjechał, gdyby mama mnie nie wezwała.

Robi dla nas kolację, siedzimy przy starym stole w jadalni, w której panuje pełna tragizmu cisza.

Nie rozmawiamy o Shenzhen ani o tym, co szarańcza wyprawia na polach ryżowych.

Mama nigdy nie popada w nostalgię, ale dzisiejszy wieczór dowodzi, że są wyjątki.

Pyta o moje ulubione wspomnienia z dzieciństwa.

Opowiada nawet o kilku swoich.

Potem mówi coś, czego nawet mój przeciętny umysł nie zapomniał: Życie nigdy nie toczy się tak, jak sobie życzysz albo jak się spodziewasz. Zazwyczaj nawet to, czego pragnąłeś, później cię rozczarowuje, bo okazuje się, że to wcale nie jest to, czego sobie życzyłeś. Tak więc, synu, jeżeli kiedykolwiek uda ci się odnaleźć trochę szczęścia i spokoju, bądź wdzięczny

i żyj dalej. Nie próbuj zdobywać więcej, ponieważ owo „trochę” to więcej, niż większość ludzi odnajduje w całym życiu.

— Ty tak zrobiłaś? — spytałem. — Próbowałaś zdobyć więcej?

Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu, gdy na mnie spojrzała.

Potem, już przy fortepianie, gra mój ulubiony utwór Marzenie ze Scen dziecięcych Schumanna. Zdążyła się upić, instrument jest kompletnie rozstrojony i niektóre nuty zlewają się ze sobą.

Rozmyślałam o innych, lepszych czasach. Grała wtedy dla całej rodziny — w Boże Narodzenie, w Nowy Rok albo bez specjalnych okazji, gdy byliśmy wszyscy razem i szczęśliwie nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że nie zawsze tak będzie.

Mama zaproponowała, że pościeli mi w moim starym pokoju, wymówiłem się jednak koniecznością powrotu do akademika i zakuwania do sesji.

Odprowadziła mnie do drzwi i uścisnęła w progu.

Trzymała się mnie rozpaczliwie, jakby wbijała się w coś, co w nieunikniony sposób zaraz wyślizgnie jej się z rąk.

— Będzie dobrze — zapewniła mnie.

Nie zastanawiałem się wtedy nad tym. Moim zdaniem za dużo wypła i trochę się rozkleiła.

Gdy szedłem do samochodu, usłyszałem za sobą trzask zamykanych drzwi.

Powietrze wypełniał miętowo-sosnowo-miodowy zapach wielkiego eukaliptusa zwisającego nad ogródkiem — zapach ściśle powiązany z moim dzieciństwem i najgłębszym poczuciem mojej tożsamości.

Wtedy o tym nie wiedziałem, ale już nigdy nie miałem ujrzeć matki.

Trzy dni później zjechała samochodem z autostrady numer 1 i spadła z trzystu metrów do Pacyfiku.

Świt zaczął rozjaśniać trawiaste połacie północnego Teksasu.

Był bożonarodzeniowy poranek.

W dalszym ciągu prowadziłem, a z powodu mutacji moich genów BHLHE41=DEC2, NPSR1 i ADRB1 daleko mi jeszcze było do pierwszych oznak zmęczenia.

Wyobrażałem sobie moją rodzinę. Widziałem Beth i Avę tak dokładnie, jakby siedziały obok.

Zastanawiałem się, jak sobie radzą beze mnie, a gdy oczy wypełniły mi łzy, znowu zamknąłem uczucia w klatce mojego umysłu, która z każdym dniem była coraz bardziej szczelna.

Nienawidziłem tego.

Za każdym razem było to łatwiejsze i choć zamienianie serca w kamień było w tej chwili dokonywaną świadomie, skomplikowaną procedurą, bez trudu mogłem sobie wyobrazić niedaleką przyszłość, gdy panowanie nad emocjami i ich tłumienie stanie się moją drugą naturą. Wkrótce każde uczucie, nawet najbardziej intensywne, zostanie zanurzone w lodowatej głębi mojego umysłu, pozostawiając mnie całkowicie obojętnym.

Zatrzymaliśmy się w Amarillo, aby naładować akumulatory, kupiliśmy śniadanie w przydrożnym barze i pognaliśmy dalej po słonecznej prerii.

W Nowym Meksyku krajobraz nie był już urokliwy, raczej suchy i jałowy.

W ciągu godziny na południowym zachodzie, z portu kosmicznego niedaleko Truth or Consequences¹¹, wystartowały cztery rakiety — miliarderzy spędzali świąteczny poranek na orbicie okołoziemskiej.

W czasie lunchu wspinaliśmy się po płaskowyżu na pustynię w okolicy Santa Fe. „Inne Miasto”, jak tutejsi mieszkańcy nazywają Santa Fe, jest drugim najstarszym miastem w Stanach Zjednoczonych. Gdy się do niego

dojeżdża, zdaje się ono ukrywać, a niskie budynki w kolorze ziemi zlewają się z brązowymi wzgórzami.

Wjechaliśmy na główny plac i wynajęliśmy apartament w wielkim hotelu z brązowej cegły o nazwie La Fonda. W holu na belkach stropowych wisiały sznury świateł, stała sześciometrowa choinka i wszędzie było pełno rodzin w okropnych swetrach.

Przespałem całe popołudnie i obudziłem się głodny jak wilk.

Gdy zapadł zmierzch, wyruszyliśmy na poszukiwanie jakiejś knajpy.

Przyjemnie było iść krętymi ulicami, które sprawiały wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał. To miasto najwyraźniej oferowało turystom obraz Ameryki sprzed wielkiego upadku — to było miejsce, gdzie wszystkim mogło się wydawać, że przed nami wciąż jest świetlana przyszłość.

Drzewka bożonarodzeniowe jarzyły się w oknach domów zbudowanych z cegły mułowej, a zapach palącego się w kominkach drewna nadawał aromat czystemu, zimnemu powietrzu. Góry na wschód od miasta oświetlał swym blaskiem wiszący nad pustynią księżyc. Poczułem tak wielką tęsknotę za domem, że ból na chwilę mnie przytłoczył.

Zjedliśmy w barze tapas tuż przy placu, gdzie było bardzo drogo, ponieważ serwowano tam potrawy z niesyntetycznego białka.

— Chyba nie tak wyobrażałeś sobie tegoroczne Boże Narodzenie — stwierdziła Kara.

Pokręciłem głową i wziąłem łyk znakomitego wina Ribera del Duero. Odkąd główne regiony winiarskie przesunęły się na północ, napicie się hiszpańskiego wina było prawie niemożliwe. Wiele słynnych winnic już od dawna nie działało.

Smak wina światowej klasy po tych wszystkich zmianach mojego genomu był fantastyczny. Zawsze byłem zdania, że mam wrażliwe podniebienie, teraz jednak doświadczyłem eksplozji aromatów i smaków.

Stwierdziłem, że jestem w stanie delektować się każdym z osobna i wszystkimi naraz: wyczuwałem w tym winie ziemię i światło słońca, przykurzone ciemne owoce, płatki róży, nawet czas potrzebny do leżakowania.

— Co byś dziś robiła? — spytałem.

Kara wzięła kanapkę z pomidorem i szynką serrano.

— Zależałoby od pogody. Gdyby padał śnieg, zostałabym w domu. Zrobiłabym mojego słynnego grzańca. Obejrzała *Złego Mikołaja*. Gdyby drogi były przejezdne, pojechałabym do miasta i wypija kilka drinków z ludźmi w El Moro, którzy nie mają dokąd pójść w święta. Nie — poprawiła się. — Tak bym zrobiła przed udoskonaleniem. A teraz? Zostałabym w domu, czytała i rozmyślała.

— Czy twoja pamięć jest już prawie doskonała? — drążyłem.

— Tak.

— U mnie tak samo.

— Ciężka sprawa. Życie w Montanie zbudowałam na koncepcji, że zapominam, kim jestem, skąd przybyłam. — Kara popatrzyła na mnie przez stół, a jej pokryta bliznami twarz wyglądała w blasku świateł niemal groteskowo. — Niektórych wspomnień chętnie bym się pozbyła na zawsze. Też masz trudny okres, prawda?

Wiedziałem, co ma na myśli.

— Emocje? — spytałem.

Skinęła głową.

— Mam ten sam problem.

— Można z tym coś zrobić — odparła.

— Wiem.

— To ułatwia życie.

— Kiedy to właśnie mnie przeraża.

— Dlaczego?

Popatrzyłem w stronę sąsiedniego stolika. Naszej rozmowie przysłuchiwała się siedząca tam para. Prawdopodobnie ich uwagę zwróciły nie słowa, lecz prędkość, z jaką je wypowiadamy.

Opuściłem wzrok.

— Nie powinniśmy mówić tak szybko — szepnąłem.

— Masz rację.

Odpowiedziałem na pytanie, zmuszając się do wolniejszego i wyraźniejszego mówienia.

— Przeraza mnie to, ponieważ boję się stracić umiejętność głębokiego odczuwania.

— A jaka jest korzyść z głębokiego odczuwania? Czy emocje nie kłócą się z logiką i rozsądkiem?

— Do pewnego stopnia. Z uczuć rodzą się współczucie i empatia. My z kolei stajemy się zdolni do zracjonalizowania wszystkiego. Może uczucia pomagają nam utrzymać kontrolę i zachować równowagę?

— Może. A może po prostu boisz się przerosnąć tych, których kochasz.

Przyniesiono kolejne dania.

Musiałem bardzo się skupić, żeby odciąć się od siedmiu chaotycznych rozmów prowadzonych w zasięgu mojego słuchu i niezliczonych zapachów dolatujących z kuchni czy z innych stolików.

— Wolałbyś nie zostać wprowadzony na wyższy poziom? — spytała Kara.

— Trudne pytanie. Wreszcie mam umysł, o jakim zawsze marzyłem.

Kara napiła się wina.

— Musiało ci być trudno.

— Co?

— Pracować z mamą, zdając sobie sprawę, że na to nie zasługujesz.

— Wiedziałaś, jak się czułem?

— Oczywiście. Mama ma umysł wybitny, wręcz genialny. To bardzo rzadki przypadek. Zawsze uważałam, że twoje obsesyjne podążanie jej śladami to przekleństwo.

— Moja terapeutka z kolei jest zdania, że to z powodu Maksa. Gdy traci się brata bliźniaka...

— Traci się połowę tożsamości, a twój związek z mamą służył wypełnieniu tej luki po brakującej połowie.

— Myślałem o nim wczoraj w nocy, gdy prowadziłem. O rzeczach, które dawno zapomniałem. Chwilach, które niemal wyleciały mi z pamięci. Teraz wszystko jest aż nazbyt wyraźne. I boli.

Kara uśmiechnęła się.

— Nie musi.

Wracaliśmy do hotelu pod granatowym niebem usianym gwiazdami.

Na środku placu śpiewał chór. Wszyscy chórzyci trzymali w dłoniach zapalone świece, a ich głosy wznosiły się do nieba.

Tak naprawdę nie byłem świadomy tej chwili.

Widziałem kryjącą się za tą chwilą opowieść — legendę przekazywaną przez dwa tysiące lat o dziecku nadnaturalnej istoty, przysłanym, by uratowało świat.

I dopiero teraz dotarło do mnie, że *Homo sapiens* to gatunek, który na najbardziej podstawowym poziomie składa się z opowiadaczy historii. Z istot, które wszystko osnuwają jakąś opowieścią, zwłaszcza własne życie, bo tylko w ten sposób mogą nadać swemu przypadkowemu istnieniu jakiś sens.

o świcie obudziło mnie bicie dzwonów w bazylice katedralnej św.

Franciszka z Asyżu, wielkiej kamiennej budowli znajdującej się po drugiej stronie ulicy.

Nastawiłem kawę i odsunąłem szklane drzwi balkonowe.

Wyszedłem na werandę.

Zimno przenikało do szpiku kości.

Santa Fe było ciche i spokojne.

Ja byłem jednak w stanie gotowości.

Miałem przeczucie, że to będzie ważny dzień.

Byliśmy w drodze już przed ósmą, pędziliśmy na północ autostradą numer 84, wjeżdżając w jeden z najbardziej zdumiewających krajobrazów, jakie widziałem w życiu, a mój nowy sposób postrzegania świata czynił go jeszcze bardziej intensywnym i żywym.

Wszystko było świetliste i soczyste.

Kolory były nasycone do granic możliwości.

Za Santa Fe rozpościerała się wokół nas pustynia.

Wrażenie przestrzeni zapierało dech w piersiach.

Każda kolejna chwila odsłaniała nową barwę.

Perspektywy zmieniały się z sekundy na sekundę.

Światła i cienie przepływały po piaskowcu.

Strumienie.

Wznosząca się wysoko *mesa*¹².

Niezwykłe twory natury.

Gdy pędziliśmy od płaskowyżu Kolorado w kierunku rzeki Rio Grande, miałem wrażenie, że przenikam wzrokiem nawet czas.

Podziwiałem krajobraz w zupełnie inny sposób. Dostrzegąłem płaską mezozoiczną warstwę skał odsłoniętą u podstawy gór, młodsze kenozoiczne osady kryjące się pod graniami szczytów.

Przez jakiś czas widzieliśmy w oddali ciągnący się przez pustynię biały

tunel Hiperpętli — linię łączącą Denver z Albuquerque.

Mijaliśmy rzeki, które znałem z westernów oglądanych z ojcem.

Na wschodzie pokryte szałwią i jałowcem wzgórza zamieniły się w lasy iglaste porastające wysokie góry, które lśniły śniegiem powyżej linii drzew.

A wszystko pod nieboskłonem rozległym jak ocean, spoglądającym w dół na pustynię, która czterysta pięćdziesiąt milionów lat temu, w późnej kredzie, była płytkim morzem.

Zatrzymaliśmy się na szybkie ładowanie w Ojo Caliente — jedynej stacji ładowania, jaką minęliśmy od wyjazdu z Santa Fe — po czym pognaliśmy dalej.

Wpisałem do nawigacji Vallecitos. Była to nieposiadająca osobowości prawnej gmina w Parku Narodowym Carson — najbliższe miasto od punktu, który pokazał znacznik GPS.

Przyjechaliśmy na miejsce o wpół do dziesiątej rano i odkryliśmy, że Vallecitos nie jest miastem ani nawet miasteczkiem. Była to po prostu zapyziała wiocha. Żyło tam nie więcej niż kilkaset osób, a zamieszkanym domów było mniej więcej tyle co opuszczonych ruder.

Przeszliśmy obok starego kościoła, który się zapadł ze starości.

Zaraz potem minęliśmy ruiny baru. Stare neonowe reklamy piwa zwisały w pozbawionych szyb oknach, a nad prowadzącym donikąd wejściem kiwał się drewniany szyld z napisem MIS AMIGOS, który wyblakł od prażącego tu wiecznie słońca.

Kara prowadziła, ja próbowałem pilotować, wpatrzony w ekran jej telefonu.

— Telefon nie ma zasięgu, ale GPS samochodu ciągle działa — stwierdziłem. — Wpiszę współrzędne i sprawdzimy, co się stanie.

Przekształciłem dziesiętne na standardowe stopnie, minuty i sekundy i wpisałem: 36°33'45"N, 106°13'04"W.

Mapa na wielkim ekranie zmieniła się, ukazując miejsce wskazane przez znacznik — byliśmy oddaleni od niego o jakieś czternaście kilometrów.

Uwaga: jazda zgodnie ze wskazaniem nawigacji prowadzi do celu z dokładnością do kilometra — powiedział automatyczny głos nawigacji.

Trzy kilometry za wioską nawierzchnia zmieniła się z asfaltowej na żwirową.

Zaczęliśmy podjeżdżać na wzgórze.

Z obu stron drogę porastały zimozielone krzaki.

Przez osiem kilometrów nie minęliśmy żadnego domu ani nie spotkaliśmy żywej duszy.

Byliśmy tylko my, samochód i unosząca się za nami chmura kurzu.

Gdy przejechaliśmy dziewięć i pół kilometra, droga zwężyła się, pojawiło się na niej więcej kamieni, a gdzieś w cieniu leżał topniejący śnieg.

Kara musiała znacznie zwolnić i stało się jasne, że zawieszenie naszego google'a nie nadawało się na stare leśne drogi.

Gdy licznik pokazał trzynaście kilometrów, droga się skończyła.

Dojechałeś do końca znanych programowi dróg — zabrzmiał głos nawigacji. — *Cel znajduje się mniej więcej sześćset metrów w kierunku północ północny zachód od twojej obecnej pozycji.*

Kara zgasła silnik.

Wysiadłem.

Trzask drzwi poniósł się głośnym echem przez sosnowy las.

Kara również wysiadła i ruszyła, by otworzyć bagażnik.

Gdy podszedłem, otwierała torbę. Wyjmowała z niego komunikator minisatelitarny Garmin do wyszukiwania poza siecią GPS.

Podawała mi go.

— Możesz wprowadzić współrzędne?

Podczas gdy wpisywałem w urządzenie dane 36°33'45"N, 106°13'04"W, Kara załadowała magazynek w glocka, włożyła pistolet do kabury na biodrze i zabezpieczyła ją magnetycznym zamknięciem. Potem załadowała broń, której użyła, aby uwolnić mnie z wiwarium.

Poszliśmy dalej piechotą, garmin poprowadził nas na północ, przez las.

Było przeraźliwie zimno, za to powietrze było klarowne jak rzadko kiedy.

Przez drzewa przebijały ukośne promienie słońca, tworząc w lesie świetliste studnie.

Wyraźnie czuć było zapach sosen i świerków.

Wspinaliśmy się po łagodnym zboczu.

Choć znajdowaliśmy się na wysokości mniej więcej dwóch tysięcy siedmiuset metrów nad poziomem morza, nie mieliśmy żadnych problemów z wydolnością — dzięki modyfikacjom genów EGLN1, EPAS1, MTHFR i EPOR hemoglobina w naszej krwi skutecznie wykorzystywała tlen z rozrzedzonego powietrza.

Drzewa rosły dość rzadko, dlatego las sprawiał wrażenie przestrzennego, a podszyt był bardzo niski. Gdybyśmy mieli pojazd o wyższym zawieszeniu, bez trudu wjechałobyśmy na tę górę.

Popatrzyłem na garmina.

Do punktu docelowego brakowało ponad czterystu metrów.

— Coś jest przed nami — ostrzegła mnie Kara.

Niczego nie widziałem.

— Gdzie?

— Pięćdziesiąt metrów, na wprost. Coś błysnęło między drzewami.

Poszliśmy dalej.

Po kilku chwilach dostrzegłem starą furgonetkę.

Jej przednią część oświetlały promienie słońca i Kara zauważyła chrom

bocznego lusterka.

Podeszliśmy powoli.

Słyszeć było tylko chrzęst naszych butów na leżącej na ziemi warstwie sosnowych igieł.

Zatrzymaliśmy się pięć metrów od samochodu.

Był to stary żółto-biały chevrolet, jedna z pierwszych w pełni elektrycznych furgonetek. Przednią szybę auta niemal całkowicie pokrywały sosnowe igły, lewa tylna opona nie miała powietrza.

Podchodziliśmy bardzo powoli, Kara płynnym ruchem przystawiła strzelbę do ramienia i wycelowała lufę w drzwi kierowcy. Od wewnątrz szyba drzwi była całkiem zmatowiała.

Kara zatrzymała się.

Żołądek ciążył mi jak kamień i miałem przecucie, że pcham się w pułapkę.

Kolejny raz.

Siostra popatrzyła na mnie i wskazała na drzwi.

— Otwórz je — szepnęła.

— Jesteś pewna?

— Masz lepszy pomysł?

— Odejść i wrócić w kombinezonach ochronnych.

Kara przewróciła oczami, podeszła do furgonetki i szarpnęła za drzwi od strony kierowcy.

W poprzek fotela leżało ciało.

— Boże... — jęknęła.

Gdy ze środka buchnął odór zgnilizny, cofnęła się. Przez lata pracy jako agent AOG trafiłem na niejedne zwłoki i choć byłem świadkiem gorszych rzeczy, ten widok nie był szczególnie przyjemny.

Kara oparła strzelbę o drzewo i zasłoniła nos połą kurtki. Podeszedłem

i zająrziałem na pakę furgonetki. Była wypełniona starym, brudnym śniegiem, który pokrywał drewno opałowe załadowane na wóz.

Okrążyłem samochód i podszedłem do drzwi pasażera.

Gdy je otwierałem, potwornie skrzypiały.

Oddychałem przez usta; oczy łzawiły mi od zebranych w kabinie pojazdu gazów gnilnych.

Kara stanęła za moimi plecami.

Zwłoki miały na sobie niebieską kurtkę z polaru, czarne džinsy i trapery.

Siedzenie pokrywała płatanina siwych włosów, głowa leżała w zgięciu łokcia prawej ręki. Jedynym kawałkiem skóry, jaki dało się dostrzec, była dłoń z poprzesuwanymi na skutek rozkładu mięśniami i ciemnymi kraterami zmarszczek, w których zebrały się krew i rozpuszczone tkanki.

Twarz zasłaniały włosy.

Na podłodze pod siedzeniem pasażera leżały pusta strzykawka i mała buteleczka. Przetoczyłem ją garminem, aby przeczytać napis na etykiecie.

— Morfina.

Przyjrzałem się znowu ciału — w jego ostatecznym spoczynku było coś bardzo łagodnego i... rozpaczliwego. Na chwilę zapomniałem, po co tu przybyliśmy. Jakby mój umysł wyszedł poza ciało i całkowicie ogarniał tę chwilę. Zastanawiałem się, w jakim stanie psychicznym musiał być ten człowiek, aby pojechać na pustkowie i wstrzyknąć sobie śmiertelną dawkę morfiny.

Wyciągnąłem rękę i delikatnie odgarnąłem włosy z martwej twarzy.

Skóra była wysuszona i tak ciemnoczerwona, że niemal czarna, miejscami popękana, jakby kilka razy zamarzała i rozmarzała. Oczy były zamknięte, fioletowe wargi lekko rozchylone.

Łańcuszek na szyi zwisał z siedzenia białego winylowego fotela.

Pochyliłem się, aby dokładniej przyjrzeć się zwisającemu z niego

wisiorkowi.

Była to zrobiona z platyny podwójna helisa DNA.

Widzę rozrzucony wokół choinki papier do pakowania prezentów. Otwieram swój nowy zestaw lego. Max leży na kanapie, już osłabiony chorobą, która za rok odbierze mu życie. Kara ogląda swój nowy tablet, w powietrzu unosi się słodki zapach szkockich ciasteczek, które mama piekła rano w każde Boże Narodzenie. Zachwyca się: „Och, Haz, to piękne” i wyjmuje z małego, ciemnoczerwonego pudełeczka naszyjnik z wisiorkiem w kształcie podwójnej helisy.

„Zrobił go na zamówienie jubiler w Filadelfii — mówi ojciec. — Pozwól, że ci go zapnę”. Podchodzi do mamy, a ona unosi dłońmi włosy na karku, by ojciec mógł jej założyć naszyjnik.

Mimowolnie cofnąłem się o dwa kroki.

Poczułem suchość w ustach.

Wskazałem dłonią w głąb kabiny.

— To chyba jest mama — wycharczałem.

Kara wsunęła głowę do kabiny i przyjrzała się martwemu ciału.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Spójrz na naszyjnik.

Obserwowałem, jak zmienia się wyraz jej twarzy, gdy go rozpoznała.

Kara broniła się przed falą emocji, które próbowały przebić się przez obronny mur — jej twarz najpierw wyrażała zdumienie, potem przerażenie, złość, rozpacz, szok.

Odszedłem kilkanaście metrów w las.

Wiatr chłodził łyzy na moich policzkach.

Usiadłem na ziemi w plamie słońca.

— Pierdol się! — wrzasnęła Kara do trupa.

Pękłem.

Moja matka nie żyła.

Znowu.

Gdy w końcu udało mi się wstać, światło się zmieniło. Słońce stało dużo wyżej. Kara siedziała na ziemi, oparta plecami o oponę furgonetki i gapiła się w przestrzeń.

Podszedłem i usiadłem naprzeciwko.

Na twarzy miała ślady łez.

Biła od niej złość.

Nie odzywałem się.

W końcu popatrzyła na mnie.

Powstrzymywała szloch.

Jej podbródek drżał.

— Jaki człowiek może zrobić coś takiego własnym dzieciom?

— Co z nią zrobimy? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. —
Zawiadamiamy kogoś? Chowamy ją?

— A kogo może obchodzić, że Miriam Ramsay nie żyje? Znowu. A jeśli sądzisz, że spędzę cały dzień na zakopywaniu jej pod ziemię... Moim zdaniem powinniśmy zapomnieć, że coś takiego się zdarzyło. Wrócić do Santa Fe — ciągle jeszcze mamy pokój — i nawalić się. Pieprzyć ten dzień. Pieprzyć każdą jego sekundę.

— Jestem za, ale jest jeszcze coś — odparłem, unosząc garmina. —
Zgodnie z tym jesteśmy trzysta osiemdziesiąt metrów od celu.

Kara wzięła ode mnie lokalizator i wbiła wzrok w ekran.

— A to nie oczywiste, że to ją mieliśmy znaleźć?

— Może, ale jeśli już tu jesteśmy, czym jest te kilkaset metrów?

Podąłem jej dłoń i pomogłem wstać, po czym ruszyliśmy w górę zbocza.

Byłem kompletnie bez sił.

Każdy krok był męczarnią.

Między adrenalinową euforią wywołaną znalezieniem zwłok a emocjonalnym upadkiem spowodowanym odkryciem, kto to był, pozostała pustka.

Weszliśmy na niewielką polanę.

Zobaczyliśmy ciemny, znacznie chłodniejszy jodłowy las.

Garmin zawibrował mi w dłoni. Popatrzyłem na ekran.

Dotarłeś do celu.

— Twierdzi, że jesteśmy na miejscu — poinformowałem.

Rozejrzałem się w górę i dookoła. Drzewa niczym się nie wyróżniały. Świerki Engelmana, kilka głązów, na tym wszystkim pokrywa śniegu. Drzewa rosły tak gęsto, że słońce nie było się tu w stanie przebić.

Nie wiedziałem, na ile to miejsce jest oddalone od współrzędnych 36°33'45"N, 106°13'04"W.

Położyłem garmina na ziemi, aby zaznaczyć prostokąt.

Kara patrzyła z powątpiewaniem.

— GPS ma dokładność pięć metrów — wyjaśniłem — powinniśmy więc objąć poszukiwaniem teren o bokach trzydzieści na trzydzieści pięć metrów.

— Zaczę tutaj — odparła Kara.

Odeszła między drzewa.

Też ruszyłem.

Powoli, metodycznie brnąłem przez chrzęszczący pod moimi butami śnieg.

Wpatrywałem się w ziemię.

W każde drzewo.

W każdy mijany kamień.

Im większy obszar terenu zlustrowałem, tym bardziej skłaniałem się ku temu, by przyznać Karze rację. Znaleźliśmy to, co mieliśmy znaleźć.

Ostatnie „pierdolcie się” od mamusi z powodów, których prawdopodobnie nigdy nie poznamy.

Gdy skończyłem czwarty trawers i miałem ruszyć z powrotem, usłyszałem głos Kary.

— Logan!

Była piętnaście, może dwadzieścia metrów ode mnie, ukryta między drzewami.

Ruszyłem przez śnieg. Gdy w końcu ją dostrzegłem, stała obok kikuta sosny żółtej. Drzewo przewróciło się dawno temu, najwyraźniej trafione piorunem. Wzdłuż resztek sosny biegł ślad po ogniu.

Podszedłem do Kary.

Kikut miał prawie metr pięćdziesiąt wysokości.

Był poszarpany, poczerniały, wydrążony.

Zajrzałem do środka.

Ze śniegu wystawała stalowa rączka. Popatrzyłem na Karę, sięgnąłem w dół i chwyciłem ją, ale nawet nie drgnęła. Cokolwiek tam było, zostało zakopane w śniegu.

— Pomożesz mi?

Sięgnęła do środka i też złapała rączkę.

Ciągnęliśmy, ale nic to nie dało.

Po chwili warstwa lodu na wierzchu pękła i zatoczyliśmy się do tyłu, trzymając czarną twardą walizkę o wielkości pół na pół metra.

Była uszczelniona, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że zamki nie były zablokowane.

Przewróciłem ją wiekiem ku górze.

Wyglądała na produkt z górnej półki. Wodoszczelny. Odporny na zgniecenia. Zabezpieczony przed kurzem.

Była zrobiona z lekkiego polimeru, a okucia miała ze stali nierdzewnej.

Kara uklękła i otworzyła trzy zamki.

Ostrożnie podniosła wieko.

W środku, w czarnej piance, leżał laptop, po którym od razu było widać, że to nie zabawka. Widywałem agentów SWAT-u, którzy za pomocą podobnego sprzętu kierowali dronami z kamerami termowizyjnymi, ale sam nigdy nie miałem czegoś takiego w rękach.

— Wojskowy — oceniła Kara, otwierając ekran.

— To znaczy?

— Wytrzymały na wysokie i niskie temperatury oraz na wybuchy. Odporny na promieniowanie. Bardzo ciężki.

Spróbowała uruchomić laptopa, ale bez efektu.

Odwróciła go do góry nogami, pokazując zagłębienie na spodzie obudowy.

— Nie ma baterii — stwierdziła.

Wyciągnąłem z walizki górną warstwę pianki. Pod nią leżała zaspawana próżniowo w folię bateria i sześć napędów z pamięcią zmiennofazową. Kara za pomocą noża wyjęła baterię z opakowania.

— Jeśli to nie zadziała, mam gniazdo w google'u.

Włożyła baterię w gniazdo i ponownie wcisnęła przycisk uruchamiania.

Ekran ożył. Nie wiadomo, jak długo laptop leżał w drzewie, ale ładował się normalnie i po dziesięciu sekundach wpatrywaliśmy się w pusty ekran startowy, pośrodku którego znajdowała się jedna ikona pliku o nazwie „Do moich dzieci”.

Poczułem, jak tętno mi przyspiesza z siedemdziesięciu ośmiu uderzeń na minutę do stu pięciu.

— Chcesz sprawdzać tutaj? — zwróciłem się do Kary.

Przesunęła kursor na ikonę i kliknęła plik.

Ładowanie chwilę trwało i czekaliśmy, klęcząc w śniegu przed walizką

jak przed ołtarzem.

Na ekranie pojawiła się nasza matka.

— Jasna cholera... — mruknęła Kara.

Usłyszeć, że matka żyje, to jedno, ale zobaczyć ją na własne oczy, to jednak coś zupełnie innego.

Miriam cofnęła się od kamery, jakby właśnie zamocowała telefon na trójnogu. Nie była w tych lasach ani w tych górach, ale na pustyni, przez którą przejeżdżaliśmy, aby się tutaj dostać — w tym samym ubraniu, w którym znaleźliśmy ją w furgonetce.

Światło sugerowało, że nagrała ten film wczesnym rankiem.

Wiatr rozwiewał jej siwe włosy. Odgarnęła je z twarzy i usiadła na skale.

Maska biało-żółtego chevroleta wystawała zza lewej krawędzi kadru, a za jej plecami widać było kilometry różowej pustyni kończącej się ogromną *mesą*, którą mijaliśmy rano.

Skierowała wzrok na kamerę.

Nie wiem, czy mówię do Logana i Kary, czy tylko do jednego z was, jeśli jednak to oglądacie, jestem z was dumna. Oznacza to, że znaleźliście wiadomość, którą wprowadziłam do AAVS1, i że udoskonalenie zadziało.

Zauważyłem za jej plecami zagajnik topoli.

Liście były intensywnie żółte.

Nagrała to jesienią. W październiku?

Przyjechałam tu kiedyś z waszym ojcem.

Uśmiechnęła się.

Byłam z tobą w ciąży, Karo, choć jeszcze o tym nie wiedziałam. Byliśmy dwudziestoparolatkami. Nie mieliśmy pieniędzy. Jechaliśmy z Bostonu do Berkeley na moje pierwsze stypendium. Zatrzymaliśmy się w motelu na obrzeżach Santa Fe o nazwie Desert Aire. Następnego dnia pojechaliśmy

na północ od miasta. Zawsze chciałam zobaczyć krajobrazy, które malowała Georgia O’Keeffe. Widzicie tę górę za mną?

Spojrzała na fioletową mesę odcinającą się od porannego nieba.

To jest Cerro Pedernal. O’Keeffe namalowała ją dwadzieścia osiem razy. Kiedyś mi powiedziała: „To moja prywatna góra. Należy do mnie. Bóg powiedział, że jeżeli namaluję ją wystarczająco wiele razy, mogę ją mieć”. Mam podobne odczucia co do mojej pracy.

Gdy dociera się do kresu życia, człowiek wraca pamięcią do dobrych i tych najlepszych chwil. Ta podróż z waszym ojcem należała do najlepszych. Może idealizuję tamten czas, ale zarówno ja, jak i Haz właśnie skończyliśmy studia i przyszłość stała przed nami otworem niczym ta pustynia. Nie wydarzyło się jeszcze nic złego. Nic, czego nie można by cofnąć.

Pojechaliśmy do wioski u stóp gór o nazwie Vallecitos. Był ciepły jesienny dzień i zatrzymaliśmy się na piwo w barze, w którym nie było zbyt wielu turystów, albo w którym po prostu nie wiadano, co z nimi zrobić. Nazywał się Mis Amigos.

Popatrzyła przez chwilę w dal, potem znowu skierowała wzrok na kamerę.

Logan, wiele lat temu zapytałeś, czy gdybym mogła, sprawiłabym, żeby na świecie było więcej takich ludzi jak my. Od tamtego wieczoru minęło dwadzieścia lat i sprawy mają się gorzej niż kiedykolwiek. Przez ostatnie dwadzieścia lat pracowałam w niewielkim laboratorium, w moim ulubionym miejscu na świecie, próbując stworzyć coś, co mogłoby uczynić każdego przedstawiciela naszego gatunku podobnym do nas. Próbowałam dać Homo sapiens coś, co pozwoli nam przeżyć kolejne pięćset, tysiąc albo nawet dziesięć tysięcy lat.

Tym darem jest genetyczne udoskonalenie wprowadzające możliwości

poznawcze na wyższy poziom, dzięki czemu moglibyśmy jako zbiorowość kierować naszym zachowaniem nie za pomocą sentymentu i emocji, lecz rozsądku.

Geny, które zawsze pchały nas ku sentymentalizmowi i jego bezsensownym i bezużytecznym schematom, wciąż są obecne w naszym genomie. Przynosiły korzyści w początkowych fazach rozwoju ludzkości, gdy nie mieliśmy wiedzy o wszechświecie. To one sprawiły, że wymyśliliśmy mity, religie i tradycje, które bez wątpienia wprowadziły nas na drogę stabilizacji i współpracy.

Teraz jednak czynią z nas osoby, które ignorują bezsporne fakty. Biedę, choroby, głód oraz nienawiść rodzącą się z tych właśnie problemów. Z każdą dekadą zużywamy bezrozumnie zasoby naszej planety. Nie możemy dłużej żyć, zaprzeczając temu, co się dzieje, ani mieć nadziei, że ktoś inny powinien rozwiązać ten problem.

Dinozaury nie mogły wiedzieć, że czeka je zagłada. Wymarły, ponieważ pewnego dnia, jak grom z jasnego nieba, lecąc z prędkością niemal stu dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, w półwysep Jukatan uderzyła asteroida o średnicy dziesięciu kilometrów. Koniec Homo sapiens jest bliski. Dostrzegamy go w tysiącach wymiarów, co oznacza, że mamy szansę — ale tylko wtedy, gdy wszyscy zdecydujemy się działać. Jeżeli nic się nie zmieni, wymrzemy z najgłupszego powodu, jaki można sobie wyobrazić: ponieważ z dziecinnych powodów nie zrobiliśmy tego, co by nas ocaliło.

Nagle oczy matki stały się nieobecne, ciemne.

Wersja Mark I udoskonalenia jest gotowa, ale to nie koniec. Nie opracowałam mechanizmu rozprzestrzeniania i nie będę już miała ku temu okazji.

To, co zobaczyłem później, było niezwykle jak śnieg na pustyni.

Moja matka była podekscytowana, rozemocjonowana. Nigdy jej takiej

nie widziałem.

Po raz pierwszy w życiu umysł mnie zawodzi, a ponieważ jestem, kim jestem, szukanie lekarzy nie wchodzi w rachubę. Po dwustu milionach ofiar być może zasługuję na to, aby zabrano mi jedyną rzecz, którą w sobie lubiłam. Zapominam. Czasami w ogóle nie jestem w stanie myśleć. Dziś mam chyba najlepszy dzień od miesiąca, postanowiłam więc, że dziś umrę. Chcę się pożegnać na własnych warunkach — póki jeszcze wiem, kim jestem.

Przetała oczy.

Nie mogłam znieść myśli, że udoskonalenie padnie tuż przed metą, podjęłam więc działania, którymi nie będziecie zachwyceni. Karo, to ja wynajęłam człowieka, który dostarczył drona załadowanego moim udoskonaleniem do twojej chaty. Loganie, jak na pewno już wiesz, to ja wynajęłam Henrika Sorena, żeby zwabił cię do tego domu w Denver. Nie mam poza wami nikogo, komu mogłabym zaufać, i wierzę, że obdarzyłam zaufaniem właściwe osoby. Mam nadzieję, że udoskonalenie zadziałało i że nie jesteście na mnie bardzo wściekli.

Tak więc, moje dzieci, jeżeli to oglądacie, wiedzcie, że jesteście następnym etapem w ewolucji człowieka. Jesteście jedynymi osobami na tej planecie, które noszą w sobie moje udoskonalenie. Los naszego gatunku leży w waszych rękach. W walizce z laptopem, na którym oglądacie ten film, znajdziecie napędy z pamięcią zmiennofazową z sekwencjami i opisem działania udoskonalenia Mark I. Potraktujcie to jak swoje dziedzictwo. Teraz do was należy decyzja, co z tym zrobicie.

Mimo zimna pociałem się jak mysz.

Próbowałem poskładać myśli, ogarnąć potęgę tego, co zawierała walizka.

Przepraszam, że musieliście mnie szukać i nasze ostatnie spotkanie przebiegło w taki sposób. Nigdy nie chciałam was zranić. Nigdy nie

chciałam zrobić nic złego tym wszystkim ludziom. Codziennie myślę o tych, którzy umarli. O was obojgu. O Maksie i moim kochanym Hazie. Wiem, że nie byłam matką, jaką chcieliście mieć, ale kochałam was tak, jak umiałam.

Matka wstała.

Brzask poranka oświetlił jej twarz.

Popatrzyła na pustynię.

Tak tu pięknie... Chciałabym, żebyście mogli to oglądać razem ze mną.

Podeszła do kamery.

Żegnaj, Karo. Żegnaj, Loganie.

Głos jej się załamał.

A teraz uratujcie nasz gatunek.

Sięgnęła dłonią do kamery.

Ekran na chwilę uchwycił niebo, po czym poczerniał.

Kłęczeliśmy cały czas w śniegu przed walizką.

Gdy film się odtwarzał, nie patrzyłem na siostrę. Zrobiłem to dopiero teraz.

Jej twarz była pozbawiona emocji. Bez śladów łez. Nie wyrażała złości. Kara po prostu patrzyła w bok.

Zamknąłem laptopa.

Popatrzyłem na sześć napędów schowanych bezpiecznie w piance. Każdy był wielkości mniej więcej mojej dłoni. Kara wyciągnęła jeden z nich. Potrzymała go chwilę, po czym ostrożnie wsunęła z powrotem na miejsce i zatrasnęła walizkę.

W koronach drzew szalał wiatr, co przejawiało się nieprzerwanym świstem.

Kara popatrzyła na mnie. Jej mina mówiła: „No i?”.

— Moim zdaniem powinniśmy oblać tę walizkę benzyną i podpalić — wyraziłem swoją opinię.

Oczy Kary się zwęziły.

— Mama chciała zmodyfikować kilka pól ryżowych i skończyło się to śmiercią dwustu milionów ludzi — przypominałem.

— Ale to, co zrobiła z nami... Udało się. Zdziałało.

— Z dwoma osobami. To nie dowód, że jej udoskonalenie jest bezpieczne dla każdego człowieka na Ziemi.

— A dlaczego musi być bezpieczne dla każdego? Dlaczego to miałyby być barierą?

— Naprawdę się nad tym zastanawiasz?

— Jeżeli ma rację, że nasz gatunek wyginie, co mamy do stracenia?

Wstałem i popatrzyłem z góry na siostrę.

— Wszystko, co czyni nas ludźmi.

Kara też wstała.

— Byłeś tam w dniu, gdy mama wypuściła szarańczę na pola, i nie będę udawała, że wiem, jak dźwiga się takie brzemię, ale pomyśl, jeżeli obecna chwila — my dwoje w tym lesie — to punkt zwrotny dla *homo sapiens*? Musimy podejść do tego zdroworozsądkowo. Jeśli niczego nie zrobimy, to za sto pięćdziesiąt lat ludzkości nie będzie. Ty i ja możemy uratować nasz gatunek, zapewnić mu przyszłość. Zbudować tę przyszłość.

— Boże, brzmisz równie arogancko jak mama.

— Chcesz mnie zranić?

— Popełniasz ten sam błąd, który ona popełniła. Inteligencja nie czyni człowieka nieomylnym. Jedynie bardziej niebezpiecznym.

Kara przyglądała mi się przez chwilę.

Zdradził ją drobiazg.

Ledwie widoczny.

Jej szczęka uniosła się w niedostrzegalny dla zwykłego człowieka sposób, wewnętrzne końce brwi zbliżyły się do siebie, po czym uniosły —

ten wyraz smutku pojawił się i zniknął w ciągu nie więcej niż ćwierć sekundy.

Jakby chciała go ukryć.

Głos w mojej głowie zadudnił: *Dlaczego chciałaby ukryć, że jest smutna?*

Ponieważ zasmucała ją coś, o czym nie chciała, żebym wiedział.

Co chciałaby przede mną ukryć?

Odpowiedź przyszła cicho, bez trudu, jakby przywiała ją łagodna bryza.

To, że dostrzega, czym jest ta chwila. Dwoje ludzi w dziczy Nowego Meksyku trzyma w swoich rękach los ludzkości. Uważa, że ona ma rację, a ja się mylę. Ponieważ stawką jest wymarcie homo sapiens, jest gotowa zrobić to, o co prosiła mama.

Sięgnąłem po walizkę i chwyciłem rączkę.

— Co robisz? — spytała Kara.

— Nie możemy tu tego zostawić. Wracamy?

Przez chwilę przyglądała mi się bez słowa.

— Jasne.

Starąłem się nie patrzeć na nóż bojowy w pochwie na jej prawym biodrze ani na glocka w kaburze na lewym.

Odwróciłem się i szybko podniosłem kołnierz, żeby nie widziała mojej gwałtownie pulsującej tętnicy szyjnej.

Tętno skoczyło mi do stu czterdziestu czterech uderzeń. Choć coraz lepiej udawało mi się nad nim panować, nie byłem w tym jeszcze na tyle dobry, aby zwieść Karę. Bałem się, że zauważy mój przyspieszony puls i domyśli się, że ją przejrzałem, a to mogło doprowadzić do zaostrzenia sytuacji, zanim wymyślę, jak z niej wybrnąć.

Czy wyregulowałem odpowiednio tętno? Zauważyła? Czy nieświadomie

ostrzegłem ją, że mój system nerwowy przechodzi w tryb „walcz albo uciekaj”? Rozszerzone źrenice? Napięte mięśnie?

Walizka miała kółka, ale na śniegu były bezużyteczne. Wlokłem ją za sobą, schodząc ze wzgórza przez siatkę wyznaczaną współrzędnymi 36°33'45"N, 106°13'04"W.

Kręciło mi się w głowie.

Czyżbym oszalał?

Oczywiście, że siostra, którą kochałem i która kochała mnie, z którą mieszkałem przez szesnaście lat pod jednym dachem, nie chciała mnie zabić. Taka była prawda. Nie chciała. Nasza matka przekonała ją jednak, że Mark I to zbawienie dla ludzkości, i Kara zdawała sobie sprawę, że decyzję musi podjąć tu i teraz.

Jej błędem nie było okazanie smutku — bez trudu mogłaby go wytłumaczyć znalezieniem ciała matki w furgonetce.

Błędem było to, że w ramach fortelu próbowała tego smutku nie okazywać. Udawać, że nic się nie stało.

Nie zatrzymując się, pochyliłem się i podniosłem z ziemi garmina.

Każdy krok Kary chrząścił za moimi plecami w śniegu — szła dwa metry za mną.

Gdy weszliśmy na niezaśnieżony grunt, walizka bez trudu potoczyła się w dół zbocza. Podskakiwała na kamieniach i korzeniach.

Potrzebowałem więcej informacji, musiałem na nią spojrzeć, ale mogłaby dostrzec strach na mojej twarzy i zareagować...

— Może masz rację, Logan.

Obojętność w jej głosie była zarówno tarczą, jak i pułapką. Gdybym cokolwiek powiedział, ton i sposób, w jaki wypowiadam zdania, najprawdopodobniej zdradziłyby mój wewnętrzny stan.

Otarłem z czoła pot, zanim zaczął zalewać mi oczy, tętno skoczyło mi do

stu sześćdziesięciu pięciu. Ciśnienie krwi miałem chyba na jakimś kosmicznym poziomie.

Uspokój. Się. Człowieku.

Gdy wyszliśmy na słoneczną polanę, wziąłem głęboki wdech.

Zabije mnie w tym lesie. Czekanie nie ma sensu. To idealne miejsce. Po prostu zostawi mnie z matką.

A mimo to nie miałem pewności. Wszystko mogło być tylko wytworem mojej wyobraźni. Pobudzonej jednym drgnięciem twarzy, reakcją, która trwała ułamek sekundy.

Dobrze pamiętałem, jak Kara spisała się na farmie: w trzy sekundy zabiła trzech ludzi. Choć byłem zdecydowanie silniejszy i szybszy niż kiedykolwiek w życiu, mało prawdopodobne, abym mógł jej dorównać prędkością, opanowaniem i sprawnością fizyczną. Już przed wprowadzeniem na wyższy poziom była mistrzynią walki — w przeciwieństwie do mnie — i podejrzewałem, że różnica między moimi a jej zdolnościami fizycznymi to naprawdę przepaść. Na dodatek byłem nieuzbrojony, a ona szła za mną i miała bojowy nóż, glocka i wrodzony, a następnie doszlifowany i genetycznie ulepszony talent do zabijania.

Już było widać furgonetkę mamy — oddaloną o siedemdziesiąt siedem i pół metra.

Kara odstawiła strzelbę niedaleko furgonetki, oparła ją o pień drzewa. Widziałem prowadzącą ku niej drogę — do miejsca, gdzie świerki rosły bardzo blisko siebie. Mogły mi zapewnić ochronę, ale żeby tam dotrzeć, musiałem zmylić Karę, zaburzyć jej procesy poznawcze i wydłużyć czas reakcji. Sprawić, aby myślała zwykłym trybem i w ten sposób stworzyć sobie szansę na w miarę równą walkę.

— Pamiętasz, co powiedziałaś mi w szpitalu tego dnia, gdy umarł Max?
— rzuciłem ni stąd, ni zowąd.

Kara zatrzymała się.

— Logan.

Szedłem dalej.

— Logan.

Zatrzymałem się, po raz ostatni popatrzyłem na ewentualną drogę ucieczki między świerkami i powoli się odwróciłem.

Stała cztery metry ode mnie, nieco wyżej, i wpatrywała się we mnie. W oczach miała łzy, dłonie trzymała przy bokach, a magnetyczny zamek kabury z glockiem był otwarty. Dałbym sobie głowę uciąć, że gdy opuszczaliśmy wyznaczone przez lokalizator miejsce, był zamknięty. Otworzyła go bezgłośnie, gdy szła za mną w dół.

I już wiedziałem wszystko. Ona też musiała mnie rozczytać, ponieważ zaczynały mi napływać do oczu łzy.

— Powiedziałaś mi...

— Przestań.

— „...jestem twoją starszą siostrą i zawsze nią pozostanę...”

— Co próbujesz...

— „...i poradzimy sobie razem z tą stratą”. Powiedziałaś, że zawsze przy mnie będziesz.

Maska z jej twarzy opadła i przez chwilę wyglądała jak dawna Kara. Pełna udręki walka wyciskała z niej łzy, towarzyszyła jej ponura rezygnacja.

Puściłem rączkę i walizka opadła na dywan z sosnowych igieł.

— Co chcesz mi powiedzieć, Logan?

— To, że jestem twoim bratem i liczy się to dla ciebie bardziej niż...

— Niestety nie. Chciałabym, aby tak było. Ponad wszystko, ale to jedynie piękne uczucie i...

Rzuciłem się do biegu, zanim skończyła zdanie.

Bez ostrzeżenia.

Po prostu się odwróciłem i pogałem w dół zbocza wijącą się między drzewami ścieżką, którą planowałem uciec.

Gdy Kara wykrzyknęła moje imię, niemal się zatrzymałem. Coś w jej głowie — element zaskoczenia, może nawet cierpienia — sprawiło, że przeszło mi przez myśl, iż może całkowicie błędnie...

Wtedy rozległ się strzał.

Pół metra od mojej głowy odpadł kawał kory z drzewa.

Furgonetka mamy stała na wprost przede mną, w odległości czterdziestu pięciu metrów.

Spojrzałem za siebie. Między drzewami coś mignęło.

Rozległ się kolejny strzał.

Skręciłem w lewo, zaraz potem w prawo, by być jak najtrudniejszym celem.

Teraz kawałek prosto.

W lesie zadudniło echo kolejnych dwóch strzałów i poczułem szarpnięcie w lewym barku.

Biegłem dalej. Furgonetka była coraz bliżej.

Widziałem już opartą o drzewo strzelbę Kary.

Mój lewy bark pulsował, a potem poczułem ból, który objął mi plecy i kark.

Padł kolejny strzał.

Pocisk przebił przednią szybę.

Bark wciąż pulsował, niczym środek trafionej tarczy. Czułem promieniujący płynny ból. Sięgnąłem do pleców, dotknąłem czułego miejsca. Gdy cofnąłem dłoń, była cała we krwi. Kara mnie postrzeliła.

Pomacałem przód barku — nie było rany wylotowej.

Ostatnie kroki zrobiłem powoli, chwyciłem strzelbę i schowałem się za

pniem.

Ból pulsował tępo stłumiony przez adrenalinę. Serce waliło mi jak werbel w tempie dwustu trzech uderzeń na minutę. Gdzieś na wzgórzu trzasnęła gałązka.

Próbowałem uspokoić oddech.

Miałem w rękach półautomatyczny model marki Benelli. Kiedyś już takiego używałem. Porządna broń, w standardzie ma pięć nabojów plus jeden w komorze, choć Kara zmodyfikowała swoją, dodając znacznie dłuższy magazynek.

Przeładowałem.

Wyjrzałem zza drzewa.

Las był pogrążony w ciszy.

Wiatr ustał. Nie śpiewał żaden ptak. Całe otoczenie wokół mnie zastygło.

Bark bolał, jakbym został uderzony kijem bejsbolowym. Po wewnętrznej stronie nogi ściekała mi krew, kapiąc z dołu nogawki i pozostawiając ciemny ślad na zgniecionych, brązowych sosnowych igłach.

Popatrzyłem za siebie.

Niczego nie zauważyłem.

Co robiła? Okrążała, by zająć mnie z flanki? Co zrobiłbym na jej miejscu?

Miała w torbie rozłożonego CheyTaca, dalekosiężny karabin snajperski armii amerykańskiej z lunetą o zasięgu dwóch kilometrów. Leżał w bagażniku google'a. Jeżeli nie chciała ryzykować walki z użyciem pistoletu, karabin snajperski idealnie załatwiłby sprawę. Nie zobaczyłbym jej. Nie usłyszałbym nawet huku wystrzału.

Benelli to broń do walki na krótkim dystansie, strzela pociskami 00 Buck¹³, śmiertelnościami na maksimum pięćdziesiąt metrów. Prawdopodobnie Kara wróciła po walizkę z zapisami udoskonalenia. Potem

mogłaby pobiec szerokim łukiem do google'a, daleko poza zasięgiem mojego ognia.

Przystawiłem strzelbę do ramienia, starając się ignorować ból i zacząłem przepatrywać las przez wizjer.

Było cicho jak makiem zasiał.

Wstałem. Drżały mi nogi. Wzrok mi się mącił. Gdy szedłem w stronę furgonetki, w lewym bucie chlupotała mi krew.

Drzwi od strony kierowcy w dalszym ciągu były otwarte. Wpełzłem do środka, nisko skulony, w nadziei, że gdzieś jest kluczyk.

Od smrodu łzawiły mi oczy.

Przepełzłem nad ciałem matki, chwyciłem je za ramiona i spróbowałem jak najdelikatniej wyciągnąć ciało na zewnątrz. Natychmiast zorientowałem się, że w tym zadaniu nie ma miejsca na elegancję ani wdzięk. Jakbym próbował przesunąć wielki worek płynu z gałęziami w środku.

Szarpnąłem mocno, dlatego ciało wyslizgnęło się z szoferki i spadło na ziemię.

— Przepraszam, mamó.

Wróciłem do kabiny i pozamykałem drzwi, których metaliczny zgrzyt wypełnił las.

Jeżeli Kara nie poszła do google'a i była w pobliżu, miałaby mnie jak na dłoni.

Teraz musiałem tylko uruchomić ten przeklęty samochód.

Na moje oko stał tu od października, czyli osiem do dwunastu tygodni. Przy ustawieniu na tryb oszczędzający akumulator — jeżeli został przedtem w pełni naładowany — powinien rozładować się po sześciu miesiącach. Jeżeli naładowała go na tej samej stacji, na której myśmy się ładowali, czyli w Ojo Caliente, czterdzieści pięć kilometrów stąd, nawet tak stary model

jak ten powinien bez problemu ruszyć. Jeżeli nie, w ciągu pół godziny będę martwy.

Wcisnąłem start.

Nic się nie wydarzyło.

Spróbowałem ponownie.

Silniki powoli się zakręciły.

Zdechły.

— Dawaj!

Wyjrzałem przez przednią szybę, spojrzałem we wsteczne, potem w boczne lusterko.

Nie było widać Kary.

Spróbowałem ponownie.

Silniki znowu ruszyły, tym razem nieco prędzej.

— Dawaj!

Przy czwartej próbie ożyły i tak zostało. Wcisnąłem pedał gazu, łyse opony wirowały przez kilka trwających niemal wieczność sekund, po czym złapały przyczepność.

Furgonetka skoczyła do przodu, skręciłem kierownicę i ruszyłem chevroletem w stronę drogi. Wcisnąłem pedał gazu do dechy, bo każda sekunda zwłoki dawała Karze okazję...

Gdy pociski trafiły w boczną szybę od strony pasażera, do środka kabiny wpadła chmura odłamków. Miałem nadzieję, że to, co uderzyło mnie w bok twarzy, to jedynie szkło, ale szczęście w nieszczęściu nie był to pojedynczy huk kuli ze snajperskiego karabinu, tylko klekoczące *staccato* broni ustawionej na tryb automatyczny.

Przez ułamek sekundy mignęła mi Kara — stała w swoim czarnym płaszczu, oświetlona przez słońce — które sprawiało, że jej jasne włosy zdawały się jarzyć — z przyłożonym do ramienia pistoletem maszynowym.

Z lufy poleciał płomień...

Gdy przednia szyba oberwała, schyliłem się pod deskę rozdzielczą, szybko jednak wystawiłem głowę z powrotem, dzięki czemu udało mi się skręcić tuż przed zderzeniem z drzewem.

W tej samej chwili, gdy w tył furgonetki uderzyło chyba kilkadziesiąt pocisków, ujrzałem przed sobą drogę i niebieskiego google'a z otwartym bagażnikiem.

Wyjechałem spomiędzy drzew i zatrzymałem się z piskiem opon półtora metra za samochodem Kary.

Strzelanina ustała.

Złapałem strzelbę i otworzyłem drzwi pasażera.

Trzymając strzelbę na wysokości pasa, strzeliłem w prawą tylną oponę google'a. Samochód lekko opadł. Potem przestrzeliłem lewą tylną oponę. Na kamienistym kawałku drogi uciekłbym jej, ale na asfalcie bez trudu by mnie dogoniła.

Kara wypadła spomiędzy drzew.

Nie wahałem się — uchwyciłem jej sylwetkę w wizjer i wystrzeliłem trzy razy. Skryła się za przewróconym drzewem. Wrzuciłem strzelbę do furgonetki, wskoczyłem i wcisnąłem pedał gazu.

Furgonetka miała tak zepsute amortyzatory, że odniosłem wrażenie, iż lada chwila rozleci się na kawałki.

Przyspieszyłem do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, ledwie widząc przez spękaną przednią szybę. Fotel był zakrwawiony i czułem się, jakby ktoś wbijał mi w plecy rozżarzony pogrzebacz.

Raz za razem sprawdzałem boczne lusterka, niemal oczekując pojawienia się google'a, widać było jednak tylko chmurę pomarańczowego kurzu.

Adrenalina przestała buzować w moich żyłach, więc ból się nasilał.

Po kilku kilometrach musiałem zwolnić, bo obawiałem się, że nie

utrzymam furgonetki na drodze. Miałem problemy z widzeniem, kręciło mi się w głowie...

Nie wiem, ile czasu minęło od chwili, gdy Kara mnie postrzeliła, ale krwawiłem już zbyt długo. Albo się zatrzymam, albo umrę.

Sięgnąłem do pleców i przyłożyłem dłoń do rany. Krew przesączała się przez palce. Nie mogłem prowadzić i równocześnie uciskać rany, a trzeba było jechać. Musiałem znaleźć się jak najdalej od Kary.

Zaczynał się wstrząs hipowolemiczny, który następuje, gdy ciało człowieka straci dwadzieścia procent krwi. Oddychałem zbyt szybko i za płytko. Czułem, że ciśnienie skurczowe spada do niebezpiecznego poziomu.

nagle zrobiło mi się zimno, traciłem orientację w przestrzeni. Próbowałem utrzymać się na powierzchni, użyć swojego intelektu, aby zachować przytomność, żyć, ale pole widzenia zaczęła wypełniać mi szara nicość.

Dźwięk.

Przenikliwy.

Ciągły.

Wołał do mnie z grobowej ciemności.

Uniesienie głowy było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem w życiu, a gdy w końcu mi się to udało, dźwięk się urwał.

Otworzyłem oczy.

Światło dla moich oczu było jak drzazga wbijająca się pod paznokieć.

Kryształowe migoczące promienie.

Czułem w ustach smak krwi. Spływała mi po twarzy. Siedziałem za kierownicą starego chevroleta, tuż przez maską stał wielki, pomarszczony pień topoli. Wbiłem się w nią.

Niedaleko były budynki.

Ruiny baru Mis Amigos.

Ktoś stał przy moim oknie, powoli odwróciłem głowę i natychmiast musiałem zamrunąć, bo oślepiło mnie ostre zimowe słońce.

Chłopiec mógł mieć jedenaście, może dwanaście lat i patrzył na mnie przez okno. Widział chyba jedną z najmniej przyjemnych scen w swoim młodym życiu.

Jak wykrwawiam się w śmierdzącej trupem furgonetce, podziurawionej kulami jak sito.

— ¿*Necesitas ayuda?*

Przez szybę jego głos był piskliwy i stłumiony.

— *Sí* — odparłem. Mój głos był ledwie słyszalny. — *Por favor.*

Za chłopcem pojawili się inni ludzie, zaciekawieni wypadkiem samochodowym w ich sennej wiosce.

Nikt nawet nie domyślał się, że umierający we wraku chevroleta mężczyzna właśnie stoczył bitwę o los gatunku, do którego należeli.

Bitwę, którą przegrał.

¹ Formalnie Waszyngton nie jest miastem, lecz dystryktem federalnym (D.C., Dystryktem Kolumbii), odrębnym od administracji stanowych. Fakt ten sankcjonuje artykuł I Konstytucji Stanów Zjednoczonych. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² *Canis dirus* — gatunek wymarły.

³ United States Marshals Service (USMS) — amerykańska agencja federalna, kontrolowana i zarządzana przez Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. USMS odpowiada za egzekwowanie wyroków sądów federalnych, a także za ochronę budynków i urzędników sądowych.

⁴ W amerykańskiej nomenklaturze kalibry pocisków pistoletowych i rewolwerowych są wyrażane w calach, czyli kaliber .45 = 11,43 mm, kaliber .40 = 10 mm. Dla strzelb używa się tzw. wagomiaru, który oznacza, ile pocisków można odlać z funta ołowiu. W kalibrze .12 pocisk ma średnicę 18,5 mm.

⁵ National Endowment for the Arts (NEA) — niezależna amerykańska agencja rządowa

założona w 1965 roku, wspierająca sztukę i kulturę.

⁶ *Junk DNA* (ang.) — DNA niekodujące.

⁷ DISA — Agencja ds. Obronnych Systemów Informacyjnych (Defense Information Systems Agency), jednostka Ministerstwa Obrony USA.

⁸ VPN (ang. Virtual Private Network) — wirtualna sieć prywatna.

⁹ SQL (ang. Structured Query Language) — strukturalny oraz deklaratywny język zapytań.

¹⁰ Obecnie łuk ma u podstawy rozpiętość 192 metrów i tyle samo wysokości.

¹¹ Pierwotnie miejscowość nazywała się Hot Springs. W 1950 roku postanowiono nazwać ją tak samo jak popularny wówczas program radiowy, a później telewizyjny „Prawda albo konsekwencje”. Dzięki temu miasteczko regularnie zdobywa nagrody za najdziwniejszą nazwę.

¹² Mesa — masyw górski lub pojedyncza góra o płaskim szczycie.

¹³ Pocisk śrutowy. W tekturowym kartuszu znajduje się dziewięć śrucin o średnicy 8,3 mm. Wystrzeliwane z prędkością około 400 m/s mogą bez trudu przestrzeliwać takie przeszkody, jak na przykład drzwi samochodowe.

CZĘŚĆ DRUGA

Nasza umiejętność odczytania sekwencji ludzkiego genomu ma w sobie coś z filozoficznego paradoksu. Czy obdarzona intelektem istota jest w stanie pojąć instrukcje, jak siebie stworzyć?

John Sulston

7

Rok później

Dziś jest 11 stycznia i widziałem wodę jedynie w efemerycznych przebłyskach, gdy chmura mgły nadciągnęła znad morza. Wiatr szarpie okiennice, a deszcz nieustannie zalewa okna. Właśnie wrzuciłem do piecyka kolejny kawał drewna.

Zamierzałem zostać tu tylko tydzień, ale chyba pobędę dłużej. To miejsce ma w sobie jakąś dzikość, która do mnie przemawia.

Do tego, kim jestem.

Kim się staję.

Zazwyczaj siedzę przy oknie w kuchni i obserwuję, jak zmienia się morze. Choć jestem tu krótko, widziałem je już zarówno jako toczącą pianę wodną szarość, jak i migoczącą, nieruchomą taflę. Jako ledwie widoczny obszar wodny, gdy w kontynent uderza sztorm (tak jak dziś), i jako czarną powierzchnię, która błyszczy w świetle księżyca jak polakierowana.

W tym miejscu mam wrażenie, że morze jest żywym tworem,

nieprzewidywalnie zmiennym — kapryśnym i gwałtownym, ale równocześnie pełnym głęboko ukrytego spokoju.

I nieustannie się zmienia.

Wydaje mi się, że spodobałoby się wam tutaj. Gdy pogoda sprzyja, można zejść ścieżką po skarpie na plażę, a miasteczko znajduje się tylko półtora kilometra stąd.

Mam nadzieję, że ty i Ava jesteście bezpieczne, że udało ci się odnaleźć na nowo w życiu i jesteś szczęśliwa. Mam nadzieję, że jeśli się kiedyś spotkamy, zrozumiesz, dlaczego musiałem utrzymać cię w przekonaniu, że nie żyję. Wiem o tym, Beth, ponieważ znam cię: zaryzykowałabyś bezpieczeństwo i wolność, aby mnie odnaleźć.

Szalenie za tobą tęsknię i dałbym wszystko...

Przerwałem pisanie. Podniosłem wzrok i wyjrzałem przez okno ku morzu. Skreśliłem ostatnie zdanie i wróciłem do pisania.

Nie jestem szczery, Beth. Piszę rzeczy, które napisałby tamten Logan, tęskniący za dawnym życiem. Jeżeli jednak nie jestem w stanie być szczery z tobą, to co jeszcze ma sens?

Kontakty z ludźmi stały się dla mnie wyzwaniem. Wyobraź sobie, że wiesz, co ktoś zamierza powiedzieć, zanim otworzy usta. Wyobraź sobie, że potrafisz ocenić, czy ów człowiek kłamie, na podstawie niezauważalnej dla większości mikroekspresji, która zaprzecza słowom. Wyobraź sobie przepaść dzielącą cię od każdego człowieka. Wyobraź sobie, że nie czujesz się już człowiekiem. Rozmowa z rozgarniętym dorosłym jest teraz dla mnie jak konwersacja z dziesięciolatkiem. Wiem, że paskudnie to brzmi, ale taka jest prawda.

Jestem w stanie przypomnieć sobie każdą chwilę naszego wspólnego życia. Nie jest to statyczne zdjęcie ukazujące cię w naszej kuchni w Arlington, gdy robisz sobie drugą tego dnia filiżankę kawy, troszkę mleka,

pół łyżeczki słodzika, podchodzę do ciebie w drodze do drzwi i całuję na do widzenia. Przerывasz to, co robisz, patrzysz mi w oczy i odwzajemniasz pocałunek w typowy dla siebie sposób — nie automatycznie, a żadne z nas nie podejrzewa, że już się nie zobaczymy.

Widzę cię jako Beth, którą byłaś tamtego dnia w więzieniu. Widzę dwudziestopięciolatkę w pierwszej w życiu garsonce, próbującą ukryć zdenerwowanie. Widzę Beth w szpitalnym łóżku, wycieńczoną, ale podekscytowaną, trzymającą po raz pierwszy w ramionach naszą córkę. Widzę cię tego poranka, gdy się dowiedziałaś, że zmarł twój ojciec. A także w środowe popołudnie sześć i pół roku temu, w którym nie było nic niezwykłego poza tym, że był to najzabawniejszy dzień, jaki ze sobą spędziliśmy — dwie butelki wina, śmiech, świetna rozmowa i kilka łez. To byliśmy po prostu my.

Wszystkie te chwile są dla mnie tak samo realne. To straszne, że nie mogę przeżyć ich ponownie. A jeszcze gorsza jest świadomość, że nawet gdyby to było możliwe, nie czułbym teraz tego, co czułem wtedy.

W ciągu minionego roku przeszedłem zmianę, na którą zwykle nie starczyłoby życia.

Trudno we mnie dostrzec człowieka, który zegnał się z tobą w naszej kuchni. Podejrzewam, że uznałabyś mnie za powściągliwego, zimnego introwertyka.

Przestało padać. Chmury się rozchodzą. Promienie słońca oświetlają wystające z morza ostre skały. Jedna z nich — jeżeli odpowiednio zmrużę oczy — wygląda jak wykuty z kamienia statek.

Oto prawda, którą dawno temu, obiecałem ci zawsze mówić: jeżeli do tego dopuszczę, spadnę w ciemną otchłań. Mógłbym pozwolić na to, aby nasze rozdzielenie i moje poczucie samotności rozbiły mnie na kawałki, ale jestem teraz na to zbyt silny.

Trudno o tym pisać.

Obawiam się, że nigdy więcej cię nie zobaczę.

Bo zarówno ja sam, jak i nasz związek za bardzo by się zmieniły.

Odłożyłem długopis i zamknąłem notes. Był wypełniony podobnymi listami — niektóre były do Beth, niektóre do Avy. Pisanie do nich stało się sposobem na zachowanie samodyscypliny. Pisałem listy, których nigdy nie wyślę, aby pamiętać, jak to jest być członkiem rodziny. Jak to jest być człowiekiem, dla którego emocje i, jak to nazwała moja matka, sentymenty, są ważne. Moja zdolność odczuwania była jak mięsień, który nieużywany całkowicie zanika.

Był wczesny wieczór. Zgłodniałem.

Wysłałem wiadomości do cybernetycznych, prywatnych i korporacyjnych detektywów, których zatrudniłem, aby odnaleźli Karę. Wstałem, przeciągnąłem się i zdjąłem z wieszaka przy drzwiach kurtkę przeciwdeszczową.

Poszedłem po szmaragdowej trawie do skraju klifu.

Trzydzieści metrów niżej fale waliły o skały.

Schodząc niebezpieczną ścieżką wijącą się w dół, po raz ósmy tego dnia myślałem o Karze.

Gdy siostra mnie postrzeliła, pocisk wszedł w mięsień naramienny, rozszarpując mięśnie, minął jednak obojczyk i splot ramienny. Zatrzymał się w górnym lewym mięśniu piersiowym, pięć centymetrów od serca. Pięć centymetrów od śmierci.

Niemal się wykrwawiłem w rozwalonej furgonetce matki, w wiosce Vallecitos.

Przetransportowano mnie do szpitala w Santa Fe, gdzie lekarze uratowali mi życie.

W Nowym Meksyku nie ma obowiązku zgłaszania osób leczonych

z powodu postrzału i mogłem tylko mieć nadzieję, że personel medyczny uszanuje tajemnicę lekarską i nie wezwie policji, by przepytala mnie, co właściwie się stało.

Pewności oczywiście nie miałem.

Każda sekunda pobytu w szpitalnym łóżku wiązała się z ryzykiem aresztowania.

Dwanaście godzin po przyjęciu zmusiłem się, by wstać z łóżka. Moje ubrania zostały pocięte przy zdejmowaniu ich na sali operacyjnej, a zataczanie się po Santa Fe w środku nocy w szpitalnym stroju doprowadziłoby pewnie do aresztowania.

W związku z tym przeszukałem w kilku salach szafki pacjentów, aż znalazłem ubranie starszego pana, które na mnie pasowało.

Wyszedłem ze szpitala św. Wincenta kwadrans przed czwartą, w zimną noc, z pięciuset dolarami w gotówce, które pozostały mi z okresu spędzonego z Karą.

Nie miałem dowodu osobistego. Kart kredytowych. Telefonu.

Była to najgorsza noc w moim życiu.

Gorsza niż więzienie.

Gorsza niż niepewność w wiwarium.

Byłem u kresu sił.

Wycieńczony.

Zmarznięty.

Nieudoskonalony na pewno bym umarł.

Wszedłem na stację kolejową zaraz po otwarciu i kupiłem bilet w jedną stronę na pierwszy pociąg podmiejski, który jechał do Albuquerque. Santa Fe było zbyt małe, aby tu zostać, a w Albuquerque przemoc była na porządku dziennym, więc w takim stanie miałem szansę nie zwrócić tam na siebie niczyjej uwagi.

Wpadające przez okno promienie słońca ogrzewały mi twarz.

Delikatne kołysanie wagonu szybko mnie uśpiło.

Gdy wjechaliśmy na stację Montaño, konduktor mnie obudził.

Wytoczyłem się z pociągu na niepewnych nogach i zwymiotowałem do najbliższego kosza na śmieci.

W pierwszej napotkanej aptece kupiłem gazę, bandażę, maść z antybiotykiem i tylenol.

W łazience zdjąłem koszulę. Przez bandażę, które założono mi w szpitalu, zaczynała się przesączać krew. Przycisnąłem papierowy ręcznik do rany wlotowej, aż zrobił się skrzep, posmarowałem ranę maścią i założyłem nowy opatrunek.

Gdy skończyłem, byłem zbyt zmęczony, aby wstać. Przespałem kilka godzin w kabinie, opierając się o ścianę brudnej toalety, aż znalazł mnie pracownik i wyrzucił na ulicę.

Trudno było sobie wyobrazić bardziej beznadziejne położenie.

Byłem splukany. Bezdomny. Poważnie ranny. Poszukiwany.

Ponieważ nieustannie widziałem wszędzie wokół schematy, boleśnie docierało do mnie, że w tym, czego doświadczam, nie ma nic nowego. Ilu krążyło po ulicach zmęczonych, splukanych, zmarzniętych i samotnych ludzi? A nikt z nich nie został tak udoskonalony jak ja.

W oddali wznosiła się kościelna wieża odcinająca się od niesamowitego błękitu nieba nad Nowym Meksykiem.

Zebrałem się w sobie i ruszyłem w tę właśnie stronę.

Miła kobieta w biurze pozwoliła mi skorzystać z telefonu.

W trzecim schronisku, do którego się dodzwoniłem, mieli jedno wolne łóżko.

Po kilku dniach w schronisku rana na tyle się zagoiła, że byłem w stanie

chodzić, nie marząc w każdej chwili o tym, aby położyć się na ulicy i już nie wstać.

Musiałem teraz się skupić nad tym, jak powstrzymać Karę, ale potrzebowiałem do tego bezpiecznej tożsamości, to zaś oznaczało czas i pieniądze.

Sprawa pieniędzy była skomplikowana.

Po moich ulepszeniach genetycznych dostałbym każdą pracę.

Tyle że sporo ludzi robiło wszystko, żeby mnie odnaleźć.

Rabunek, kradzież, przekręt — to kłóciło się z ideą pozostawiania niewidocznym.

Z poszukiwań w internecie, które przeprowadziłem w bibliotece, wynikało jednak, że Albuquerque miało sześć kasyn.

Tak więc kupiłem w second-handzie kilka ubrań, oporządziłem się i tydzień po tym, jak postrzeliła mnie siostra, poszedłem pierwszy raz w życiu do kasyna.

Kamery działały mi na nerwy. Były wszędzie. Wypełniacze skórne wytrzymają minimum rok, ale szybko okaże się, czy zmiany w twarzy, których dokonałem po ucieczce z wiwarium, wystarczą, by oszukać zajmującą się rozpoznawaniem ludzkich rysów sztuczną inteligencję.

W sumie nie miało to jednak znaczenia.

Potrzebowałem pieniędzy i nie miałem wyboru.

Automaty były stratą czasu. Jeśli chodzi o blackjacka, matematyczny geniusz jak ja byłby w stanie liczyć karty, ale przy grze przeciwko shoe¹⁴ — zawierającego od sześciu do ośmiu talii — trwałoby to zbyt długo. Każdy sukces byłby po prostu efektem szczęścia.

Poker mógł się jednak okazać ciekawy. Znałem zasady gry, grałem w niego w poprzednim życiu, ale mistrzem w tej grze nie byłem.

Teraz jednak...

Obliczanie pot oddsów¹⁵ nagle było proste. A siedząc przy stole, mógłbym natychmiast wykorzystać wiedzę zawartą w siedmiu książkach o strategii pokerowej, które przeczytałem dzień wcześniej w bibliotece. A skupiały się one na tym, jak odczytywać zakres rąk przeciwnika na podstawie sposobu obstawiania, jak obstawiać dużą w ciemno w porównaniu z małą w ciemno, w porównaniu z późnymi pozycjami.

Ta gra nagradza umiejętności obliczeniowe gracza i zdolność szybkiego przyswajania sobie mnóstwa bardzo szczegółowych zbiorów zasad. A poza mechaniką matematyki poker polega koniec końców na odczytywaniu ludzkich zachowań. Podniecenia, strachu, znudzenia, oszustwa. I podejmowania decyzji zgodnie z tym, co się odczytało.

Usiadłem w piątkowe popołudnie przy stoliku z nielimitowanym Texas Hold'em, mając na koncie czterysta trzydzieści dwa dolary. Graczy było ośmiu, a gdy krupier pierwszy raz rozdał karty, rana postrzałowa w moim ranieniu zaczęła pulsować. Zrobiłem z bólem to samo co wcześniej z emocjami i zacząłem grać.

Nawet lepsi gracze, gdy dostawali dobrą kartę, której się nie spodziewali, unosili minimalnie brew. Gdy jej nie dostali, ich brew opadała. Dla każdego przeciwnika tworzyłem równania pozwalające śledzić ich mimowolnie zdradzane emocje. Gdy Fidel — gość naprzeciwko mnie — patrzył na kartę i reagował odsłonięciem ponad dziesięciu procent białka oka, miał coś lepszego niż para. Dwadzieścia procent? Postanowiłem pasować, póki nie uznam, że mam kartę, które pozwoli mi go pobić.

Każdy gracz ujawniał swoje tajemnice za pomocą innej mikroekspresji.

Grająca z nami kobieta marszczyła nos, gdy widziała kartę, która nie pasowała do jej ręki. Jakby brzydko pachniała.

Tętno młodego chłopaka, gdy blefował, wzrastało do ponad stu dziesięciu uderzeń na minutę.

Odczytanie każdego zajęło kilka rozdań, szybko jednak zewidencjonowałem różne reakcje wszystkich graczy, obserwując, jak ich nastrój poprawia się i pogarsza przy trzech pierwszych kartach, przy czwartej i przy piątej.

Stos moich sztonów rósł, a ja zastanawiałem się, czy to właśnie tak czuła się matka przez całe swoje dorosłe życie. Funkcjonowała, myślała, działała dziesięć razy szybciej niż ktokolwiek inny. Zacząłem pojmować, że mogło to sprawiać wrażenie arogancji, ale w głębi serca tworzyło poczucie głębokiej izolacji. Nie posiadała mojej umiejętności zamykania emocji w umysłowej klatce, więc poczucie dystansu wobec innych ludzi — współpracowników, przyjaciół, nawet członków rodziny — musiało być przytłaczające.

Skończyłem grę tego pierwszego wieczoru, mając w kieszeni tysiąc dziewięćset siedem dolarów. I byłem z tej wygranej tak dumny, jak z pierwszych samodzielnie zarobionych pieniędzy za koszenie sąsiadom trawników w lecie, gdy skończyłem dwanaście lat.

Co wieczór szedłem do innego kasyna.

Powoli stan moich finansów się poprawiał.

Pod koniec drugiego tygodnia miałem osiem tysięcy dolarów i grałem przy „lepszych” stołach. Jeden z graczy dał mi nawet cynk, że w Rio Rancho grają — nielegalnie oczywiście — o bardzo duże stawki.

Wyprowadziłem się ze schroniska, pozostawiając największy datek, na jaki było mnie wówczas stać. Wprowadziłem się do najtańszego motelu, który wynajmował pokoje na tygodnie.

Wieczorami grałem w pokera, a za dnia zacząłem budować swoją nową tożsamość.

Stworzenie jej od zera wykraczało poza moje możliwości i umiejętności,

poza tym nie wierzyłem, że kupione w darknecie dokumenty będą na tyle dobrze podrobione, by zapewnić mi bezpieczeństwo.

Za wygrane pieniądze kupiłem laptopa i zacząłem szukać osoby, której tożsamość mógłbym ukraść.

Musiła być mniej więcej w tym samym wieku co ja i mieć twarz na tyle podobną do mojej, abym mógł zmodyfikować swoje rysy tak, żeby oszukać wszechobecny system do rozpoznawania twarzy. Powinna pochodzić z miasta położonego daleko od Berkeley w Kalifornii, gdzie się urodziłem, miasta, w którym nigdy nie byłem i w którym nikt mnie nie znał. Musiał to być zmarły (najlepiej gdyby zginął za granicą w jakiejś katastrofie z mnóstwem ofiar), bezdzietny kawaler, który za życia nie był zbyt aktywny w mediach społecznościowych.

Idea była taka — o ile udałoby mi się znaleźć kogoś spełniającego te kryteria — aby prawdopodobieństwo powiązania metryki z aktem zgonu było jak najmniejsze. To znaczy, aby tożsamość tej osoby zapewniała mi swobodę poruszania się, a przy tym liczyłem, że biurokratyczny chaos wydatnie mi w tym pomoże.

Poszukiwania nie zapowiadały się łatwo, ale miałem teraz zarówno zdolność skupienia się, jak i umiejętności, które pozwolą mi w ciągu jednego popołudnia przeczytać tysiące nekrologów — przy nieustającej maksymalnej koncentracji — tak samo jak słuchałem audiobooków na podwójnej prędkości, zapamiętując każde słowo.

Gdy znajdę odpowiednią osobę, ustalę jej datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki.

Po zdobyciu tych informacji wynajmę najtańsze biuro w Albuquerque, zarejestruję je jako moje miejsce zamieszkania. Napiszę list do Wydziału Danych Osobowych w tym stanie, w którym urodziła się ta osoba, i złożę wniosek o wydanie nowej metryki.

Gdy będę miał metrykę i kilka listów do mojego biura w Albuquerque dowodzących, że tam mieszkam, dostanę prawo jazdy.

Wtedy złożę wniosek o nowy numer ubezpieczenia społecznego.

Gdy już załatwię te sprawę, wystąpię o paszport.

I będę mógł wyruszyć w drogę.

Dotarłem do plaży i skierowałem się na północ, zostawiając ślady stóp na zimnym, mokrym piasku.

Wiatr wył.

Aż skręcało mnie z głodu.

Zastanawiałem się, czy nie iść na kolację do miasta. Chciałem usiąść za barem. Zamówić drinka.

Mężczyzna, którego tożsamość wydała mi się odpowiednia, nazywał się Robbie Foster. Pochodził z Duluth w Minnesocie i zginął w trakcie podróży życia, gdy łódź, na której płynął, zapaliła się i zatoniła w środku nocy na Amazonce w Peru.

Swoją nową tożsamość zbudowałem na jego życiorysie.

Ponieważ stawałem się znany w niewielkiej społeczności pokerowej Albuquerque, oznaczało to, że czas wyjechać. Na szczęście zarobiłem dość, grając w pokera, żeby kupić samochód.

W dalszym ciągu miałem ochotę pojechać do domu, do Beth i Avy, rozum mówił mi jednak, że jeśli sobie na to pozwolę, nie zakończy to cierpienia, a wręcz je spotęguje.

Wplątałbym je tylko w tak samo beznadziejną sytuację, w jakiej sam się znajdowałem.

Bez wątplenia znajdowałem się na pierwszym miejscu listy osób poszukiwanych przez Agencję Ochrony Genów. Nie mogli wiedzieć, że to siostra uwolniła mnie z farmy, gdyby jednak mieli nieco oleju w głowie, powinni się tego domyślić i próbować także ją dostać w swoje ręce. Tyle że

z punktu widzenia AOG to ja zabiłem kilku agentów i ochroniarzy, a potem uciekłem, żeby wraz z matką wprowadzić całą ludzkość na genetycznie wyższy poziom, a Kara była tylko wykonawczynią i współpracownicą.

Samo poinformowanie mojej rodziny, że żyję, ściągnęłoby na nią śmiertelne niebezpieczeństwo.

A mimo to ta słabość niemal zwyciężyła.

Chciałem ulżyć moim bliskim w bólu, dać znać, że żyję.

Pozornie łatwizna...

Ale moja droga powrotna do rodziny nie prowadziła przez frontowe drzwi. Mogłem wrócić dopiero po odnalezieniu i powstrzymaniu Kary, a tym samym udowodnieniu, że Ramsayowie nie są zakałą ludzkości.

Przynajmniej tak to sobie wyobrażałem, w głowie słyszałem jednak głos, który uświadamiał mi głębszą, trudniejszą do zniesienia i bardziej bolesną prawdę: *Może już za bardzo się oddaliłeś od domu... może nie ma już powrotu...*

Byłem w ciągłym ruchu.

Wędrowałem.

Odwiedzałem miejsca, w których nigdy nie byłem.

Góry Ozark.

Białe Góry w New Hampshire.

Obserwowanie Ameryki z drogi — miejsc leżących na odludziu, głębokiej prowincji, miasteczek z jedną ulicą — było niezwykłym doświadczeniem. Zacząłem w całkiem nowym świetle dostrzegać nasze zbiorowe cierpienie. Puste okna wystawowe i gołe półki. Twarde i pozbawione nadziei spojrzenia rzucane mi z werand, które mijalem.

Nierówności w życiu społecznym były ogromne.

Stojąc na ulicy w centrum Waszyngtonu, można było odnieść wrażenie,

że żyje się w jasnej i pogodnej rzeczywistości, a potem pojechać do Missisipi, na wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, w które dwa razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat uderzyły huragany siódmej kategorii, likwidując niemal do cna gospodarkę, i zastanawiać się, skąd ludzie biorą siły do życia.

W zbyt wielu miejscowościach życie było ponurą walką o przetrwanie.

A pod spodem kipiała wściekłość.

W wielu miejscach mógłbym zatrzymać się na dłużej, ale ciekawość gnała mnie dalej.

Spędziłem miesiąc nad jeziorem w Wisconsin, gdzie światło w samotne letnie wieczory utrzymywało się jeszcze po dziesiątej wieczorem, woda wyglądała jak szkło, dopóki nie wyskoczyła z niej ryba, a słońce trwało na niebie jak gość, który nie zamierza wyjść.

Pewnego popołudnia w połowie października, jadąc przez Smoky Mountains, zobaczyłem kierunkowskaz informujący o dojeździe do punktu widokowego, gdzie trzy lata temu byliśmy w długi weekend całą rodziną.

Wjechałem na parking i wyłączyłem silnik.

Rozpościerał się stąd widok na las porastający najstarsze góry świata.

Przeskoczyłem przez kamienny murek i zacząłem schodzić stromą łąką.

Po wejściu w las usłyszałem plusk płynącej wody i zlokalizowałem to miejsce.

Strumień był niewielki, przy brzegu powietrze było chłodniejsze, słodsze w zapachu. Trzy lata temu — a dokładnie tysiąc sto piętnaście dni — siedziałem w tym samym miejscu. Pamiętałem z najdrobniejszymi szczegółami, co myślałem, obserwując płynącą przez prastary las wodę. Uważałem, że to miejsce nie ma sobie równych. Byłem głęboko poruszony jego spokojem i rozpierała mnie radość, gdy słuchałem rozmawiających po drugiej stronie strumienia Avy i Beth.

Tak naprawdę niczego wtedy nie widziałem. To miejsce było jedynie lustrem odzwierciedlającym mój ówczesny stan emocjonalny, moją kruchość.

Nie byłem już tamtym człowiekiem.

Rzeczy, które go poruszały, mnie pozostawiały obojętnym.

Dziś dostrzegałem za to inne elementy otoczenia.

Zmetamorfizowane głązy z piaskowca w prądzie wody, prędkość jej przepływu. Wzór erozji na drugim brzegu z widocznymi śladami letniej powodzi. Cztery pstrągi źródlane stojące w nurcie — dwa zaatakowane przez pasożyta *Myxobolus cerebralis*. Sposób, w jaki światło odbijało się od wody pod niezliczonymi kątami, równania, które opisywały cienie tworzone przez promienie światła, każdy opadający, barwny, martwy liść, unoszony łagodną bryzą, która chłodziła mi kark, silny aromat olejków eterycznych w płataninie rododendronów i górskiego lauru, oznaczający koniec lata zapach cukrów i składników organicznych rozkładających się w miliardach liści, a pod tym wszystkim delikatniejszy, podstępny fetor gnicia, który czułem tylko, gdy wiatr lekko skręcał z północy, informując o leżących kilkaset metrów dalej resztkach jakiegoś gryzonia albo jelenia.

Przez godzinę obserwowałem otoczenie.

Mógłbym spędzić rok na studiowaniu sposobu, w jaki pasowały do siebie wszystkie elementy tego niezbyt okazałego fragmentu łądu.

Poczułem ukłucie straty i tęsknoty za tym Loganem — człowiekiem, jakim byłem tysiąc sto piętnaście dni temu, który po prostu cieszył się spokojem i pięknem tego miejsca.

Zająłem się internetową grą w pokera, który bez możliwości czytania mimiki twarzy był nieco trudniejszy, ale klarowność matematyki, którą się posługiwałem, odprężała. Oczywiście najpierw musiałem wystarczająco dużo przegrać, żeby algorytmy nie wykluczyły mnie z gry, ale kilka

większych pul na tydzień — wszystkie płatne w kryptowalucie — wystarczało mi na życie. Pieniądze, pomijając wolność, jaką zapewniały, kompletnie mnie nie interesowały.

W każdym stanie zatrudniłem prywatnego detektywa, by odszukać siostrę.

Próbowałem postawić się na jej miejscu i wyobrazić sobie, czego potrzebuje, aby dokończyć pracę matki.

Przeanalizowałem rozmowy z Edwinem.

Kara potrzebowała tego samego co matka, żeby móc upowszechnić swoje udoskonalenie: laboratorium BLS-4, zespołu złożonego z dwóch do pięciu osób, choć biorąc pod uwagę brak doświadczenia mojej siostry, prawdopodobnie zespół powinien być większy. Potrzebowała naukowców znających się na biologii molekularnej. Na wirusologii. Genetyce komputerowej. Bezpieczeństwie.

Jej ludzie będą musieli wiedzieć, nad czym pracują.

I będą musieli być gotowi pójść do więzienia. Jak szukałbym takich osób?

To bardzo trudne, ale wiedziałem, jak działa ten świat.

Gdybym w dalszym ciągu pracował dla AOG i miał dostęp do jej zasobów, wszedłbym w MYSTIC i próbował znaleźć Karę, używając bazy danych do rozpoznawania twarzy.

Ciągle wracałem myślą do procesora eksaskalowego albo wykorzystującego technologię kwantowego wyżarzania, który będzie jej niezbędny.

Resztę wyposażenia kupi na czarnym rynku, w praktycznie niemożliwy do wykrycia sposób. Poza procesorami. Ich zakup był legalny, tyle że były bardzo drogie i niezbyt powszechne. Kara wie też, że jej szukam, będzie więc próbowała zatrzeć ślady.

Tylko osiem firm na świecie produkowało osprzęt, którego będzie potrzebowała: Atom Computing, Xanadu, IBM, Cold-Quanta, Zapata Computing, Azure Quantum i Strangeworks.

Zatrudniłem detektywów, aby zdobyli listy klientów i kopie zamówień — choć oczywiście nie mogłem wykluczyć, że Kara uzyska to, co jest jej niezbędne, w jakiś inny sposób.

Ot, choćby matka mogła już mieć laboratorium wyposażone we wszystko co potrzebne, abyśmy wprowadzili w życie jej udoskonalenie. Jego lokalizacja mogła się znajdować w walizce, którą zostawiła dla nas w dziczy Nowego Meksyku razem z zamiarami na zespół pracowników.

Gdyby tak było, Kara pokonałaby już sporą część drogi prowadzącej do finalizacji pracy matki i rozpoczęcia następnej fazy.

Teraz, gdy dysponowałem umysłem, jaki zawsze chciałem mieć, postanowiłem sprawdzić twierdzenie matki: „Koniec *Homo sapiens* jest bliski. Dostrzegamy go w tysiącach wymiarów”. Wierzyłem w to, oczywiście, ale chciałem wiedzieć — zrozumieć te wymiary po swojemu.

Należało w tym celu poznać ilość danych, na wchłonięcie których — przy bramkowaniu sensorycznym przeciętnego człowieka — potrzeba by kilku żywotów. Ja mogłem czytać książkę i równocześnie słuchać audiobooka, zapamiętując oba źródła z siedemdziesięcioprocentową dokładnością.

Czytałem wszystko. Czytałem bez przerwy. Szybko. Prawie nie spałem.

Tysiące czasopism naukowych, raporty z badań, na podstawie których napisano artykuły, i dane z tych badań.

Przyjrzałem się spowodowanym przez człowieka zagrożeniom, które mogą wywołać globalną katastrofę, a nie są związane z zagrożeniami naturalnymi, takimi jak superwulkany, asteroidy i inne zagrożenia kosmiczne. A lista była spora. Terroryzm nuklearny. Bioterroryzm.

Naturalne i wytworzone sztucznie pandemie. Wypadki przy stosowaniu nanotechnologii. Superinteligentna AI. Głód. Pożary. Powodzie. Podnoszenie się poziomu wód morskich. Ocieplanie się oceanów i globalne ocieplenie. Ekstremalne zjawiska pogodowe. Zniszczenie zbiorów. Załamanie się rolnictwa. Odlesianie. Upustynnianie. Zanieczyszczenie i niedostatek wody. Wyczerpywanie się surowców mineralnych. Awarie sieci energetycznych. Wszelkie możliwe rodzaje wojen (cybernetyczna, nuklearna, domowa, genetyczna, orbitalna).

Pomijając przypadki wyrwania się superinteligencji spod kontroli albo wybuchu rozszalałej nanotechnologii, ludzką cywilizację zdegraduje połączenie kilku zagrożeń wzajemnie się na siebie nakładających i potęgujących.

Wywołany przez matkę głód zniszczył jedynie dwa procent ludności świata, i choć minęło dwadzieścia lat, w dalszym ciągu walczyliśmy o wyżywienie ludzi. Jego następstwa zabiły kolejne miliony i przetrzebiły wszystkie warstwy społeczne.

A zagrożenia te nie były zawieszane w próżni. W tym skomplikowanym równaniu trzeba też było wziąć pod uwagę współczynnik tworzony przez ludzką stronniczość poznawczą: nieumiejętność dostrzegania skali, co wyraża się na przykład niezrozumieniem różnicy między dwustoma zgonami a dwoma milionami zgonów. Hiperboliczne obniżenie wartości: skłonność do większego doceniania mniejszych, krótkoterminowych korzyści niż większych i długoterminowych, albo dokonywania dziś wyborów, z których przyszłe pokolenia wcale nie będą zadowolone.

Należało uwzględnić heurystykę afektu, przez którą bieżące emocje wpływają na podejmowanie ważnych decyzji. Także afekt nadmiernej pewności siebie, czyli stan, w którym przekonanie co do prawidłowości

własnego osądu znacznie przekracza obiektywną dokładność tegoż osądu. A to jedynie początek.

Im więcej informacji wchłaniałem, tym bardziej docierało do mnie, co widziała matka, rozważając kondycję rodzaju ludzkiego.

Byliśmy zgrają naczelnych, które zebrały się do kupy i którym — wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu — udało się stworzyć wspaniałą cywilizację. Paradoks jednak — co tragiczne — polegał na tym, że kompleksowość systemu, który stworzyliśmy, znacznie przekroczyła zdolność naszych mózgów do tego, by nim zarządzać.

Mówiąc w skrócie: mieliśmy przerąbane i nie robiliśmy dość, aby wszystko odkręcić.

Pomijając arogancję, ambicję i niepohamowaną dumę, matka nie myliła się co do kierunku, w którym zmierzamy.

Ale przecież i ona nie była nieomylna. Shenzhen było wystarczającym dowodem.

Co oznaczało, że niezależnie od tego, jak poważny był problem, wypuszczenie na świat jej ostatniego dzieła nie stanowiło rozwiązania.

Przeszedłem półtora kilometra plażą, po czym podążyłem piaszczystą ścieżką do Trinidad w stanie Kalifornia.

Pogoda się zepsuła, pasma mgły spływały znad wody.

Padało, a w niebieskim zmierzchu mrugały światła miasteczka niczym kojące zaproszenie.

Szedłem w zapadającym zmroku ciemnymi uliczkami, aż w końcu zdecydowałem się na obrosłą solą tawernę, stojącą na wysokim urwisku z widokiem na morze. Z ceglanego komina leciał dym. Pachniało prawdziwą rybą.

W środku było tłoczno i ciepło. Rodziny siedziały przy stołach

ustawionych w pobliżu kamiennego kominka, grając w gry z kolekcji wypełniającej cały regał.

Usiadłem na ostatnim wolnym stołku przy barze.

W menu widniały dwie pozycje: ryba z frytkami oraz dorsz w maśle cytrynowym.

Podszedł barman. Jego pomarszczona twarz i siwiejące włosy sprawiały, że pasował do otoczenia nie mniej niż stojące nieopodal klifu, obijane przez fale, skalne filary.

Spytałem, czy ryba jest prawdziwa.

— Złapałem dziś rano niedaleko brzegu.

— No to poproszę z frytkami.

Nad barem wisiały trzy telewizory.

Dwa pokazywały mecze futbolu — trwały właśnie play-offy — jeden wiadomości.

Czekając na jedzenie, wyjąłem niewielki, oprawny w skórę notes, który zawsze ze sobą nosiłem, otworzyłem na pierwszej pustej kartce i zacząłem pisać nowy list.

Avo! Siedzę w tawernie w Północnej Kalifornii i czekam na prawdziwą rybę, której nie jadłem od miesiący. Pamiętasz pub, do którego poszliśmy w Fort William, na brzegu Loch Linnhe, w Szkocji? Ten, gdzie podszedł gość i o coś cię zapytał, a ty nie zrozumiałaś ani jednego słowa? To miejsce przypomina mi tamto.

Za moimi plecami, przy kominku, ojciec z córką grają w warcaby. Zobaczyłem ich od razu, jak wszedłem do środka, i chyba poczułem się samotny. Przez minutę pozwoliłem tej emocji pożyć. Pozwoliłem sobie pozazdrościć temu mężczyźnie i jego córce. Pozwoliłem sobie zatęsknić za naszymi partiami szachów. Za naszymi rozmowami, gdy odwoziłem cię do

szkoły. Pozwoliłem sobie zatęsknić za wiedzą o tym, co dzieje się w twoim życiu.

Potem — z łatwością, z jaką przekręca się kontakt — wyłączyłem tę emocję.

Zmieniłem swoje serce w kamień.

Czy unikając uczuć, coraz bardziej się od ciebie oddalam? Próbuję samego siebie przekonać, że nie mam innego wyboru — że jeżeli nie zamknę tych drzwi, zrobię wszystko, by zobaczyć się z tobą i twoją matką, przez co narażę was na niebezpieczeństwo. Może to i prawda, ale nie cała. Ucieczka od ciężaru ludzkich emocji — życie bez złości, pękającego serca i smutku — jest znacznie prostsze. Spokojniejsze.

— Proszę pana? Przepraszam, że przeszkadzam, czy mógłby mi pan podać keczup?

Podniosłem głowę znad notesu i zobaczyłem siedzącą na stołku obok kobietę. Była po sześćdziesiątce, miała łagodne, inteligentne spojrzenie.

Podąłem jej butelkę keczupu.

— Artykuł? — spytała, patrząc na mój notes.

— List do córki — odparłem, starając się mówić w tempie zwykłego człowieka. Pierwszy raz od dziewięciu dni miałem bezpośredni kontakt z inną osobą.

Zjawił się barman o pomarszczonej twarzy, niosąc zamówione przeze mnie danie — cudowną porcję ryby i frytek — i drugą pintę przepysznego amber ale z miejscowego browaru.

Zamknąłem notes i wsunąłem go do plecaka.

— Ile ma lat?

— Piętnaście.

— To trudny wiek.

Spacer po zimnie sprawił, że miałem wilczy apetyt. Od wprowadzenia

przez mamę na wyższy poziom ciągle byłem głodny. Prawdopodobnie miało to związek ze zwiększoną aktywnością neuronów.

Zabrałem się za posiłek — niezwykle z powodu rzadkości. W syntetycznej rybie nieważne, ile i jak by się ją przyrządzało, nie dało się zlikwidować charakterystycznej gumowatości i dziwnego smaku rodem z doliny niesamowitości¹⁶.

Ten dorsz jednak, złapany w oceanie, który widziałem ze swojego stołka, i idealnie przyrządzony, sam się rozpadał na talerzu i rozpływał w ustach.

— Moje dzieci już są dorosłe — powiedziała moja sąsiadka, by podtrzymać rozmowę.

— Ile?

— Dwoje. Mark jest w Chicago, Amy mieszka w okolicy zatoki. — Zanim zjadłem, zdążyła mi wszystko o nich opowiedzieć. Z czego żyją. Jakie ma wnuki. — Czas tak szybko mija. Jak ma pan na imię?

— Robbie.

— Ja jestem Miranda. Pochodzi pan stąd, Robbie? — Nie było to nachalne wyciąganie informacji, po prostu też od dłuższego czasu z nikim nie rozmawiała. W jej głosie wyraźnie było słychać chrypkę, która o tym świadczyła.

— Jestem przejazdem.

— To jak ja. Ten Winnebago na parkingu jest mój. Kupiłam go, gdy Francis odszedł.

Widziałem ten samochód, idąc do tawerny, i z pewnością „nadający się na dłuższe trasy” nie było określeniem, które na jego widok przychodziło do głowy.

— Pani mąż?

Skinęła głową.

Wziąłem łyk piwa.

— Przykro mi — stwierdziłem.

Gdy Miranda mówiła, specjalnie unikałem patrzenia na jej twarz. Odczytywanie mikroekspresji i domyślanie się zamiarów, zwłaszcza w takim miejscu jak to, gdzie chciałem się przez chwilę poczuć normalnie, byłoby lekką przesadą.

Teraz popatrzyłem. Pod fasadą dobrych manier i odwagi kryła się ciągle żałoba, jak rana, która nie chciała się zbliżyć.

— Po jego śmierci straciłam dom.

— Mieszka pani w samochodzie?

— Pewnie. Nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać. Próbuję znaleźć kolumnę wozów, żeby się dołączyć. Niektóre dzielą się tym, co mają. Zawsze marzyliśmy z Francisem o kupnie kampera, gdy przejdziemy na emeryturę, i zobaczeniu wszystkich miejsc w kraju, które widywaliśmy tylko w telewizji. Nigdy nie sądziłam, że będę to robiła sama. Do tego z konieczności. Życie to jedna wielka niespodzianka, prawda?

Byłem ciekaw, w jaki sposób straciła dom, ale nie zapytałem. Prawdopodobnie wskutek tej samej cichej tragedii, która wypędziła z domów tysiące innych emerytów: pieniądze z ubezpieczenia rozplynęły się w inflacji.

Stuknąłem szklanką w jej kieliszek z winem.

— Dobrze powiedziane.

— Rodzina z panem nie podróżuje?

— Niestety nie. Moi bliscy zostali w domu.

— A dom jest gdzie?

Udzielenie odpowiedzi komuś, kto mieszkał na szosie, prowadził wędrowny tryb życia, starając się zobaczyć jak najwięcej, nie było proste. Ponieważ dosłyszałem w jej akcencie Wschodnie Wybrzeże — Connecticut albo Rhode Island — wybrałem coś dalekiego na zachodzie.

— Południowa Arizona.

Dało się dostrzec w jej oczach, że nigdy tam nie była. A także wyczuć, że chętnie dowiedziałyby się więcej o mojej rodzinie, dlaczego podróżowałem sam... Ale i tym razem nie kierowało nią wścibstwo, tylko zwykła ciekawość i... samotność.

Gdy spojrzała na jeden z ekranów, jej oczy się rozszerzyły. Podążyłem za tym spojrzeniem. Ponieważ dźwięk był wyłączony, widać było jedynie obraz z unoszącego się kilkadziesiąt metrów nad autostradą drona.

Żołnierze ustawiali w poprzek jezdni żółte barykady.

Przeczytałem napis na dolnym pasku.

GLASGOW, STAN MONTANA, OBJĘTE WOJSKOWĄ
KWARANTANNĄ PO ŚMIERCI 95 OSÓB W WYNIKU
TAJEMNICZEJ CHOROBY

— Śledzi to pan? — spytała Miranda.

— Nie, a co się dzieje?

— Najwyraźniej jakiś wirus.

Wpatrywałem się w ekran, ale niestety napisy dla niesłyszących były wyłączone. Potem kamera pokazała żołnierzy w kombinezonach ochronnych wyposażonych w specjalne maski, chodzących po głównej ulicy miasteczka, które mogło się znajdować wszędzie.

Pomijając ciekawość związaną z najnowszymi doniesieniami ze świata, w komunikacie było coś, co wzbudziło mój niepokój.

Podświadomość zaczęła się skupiać na znalezieniu związku, ale Miranda, zainteresowana tym, jaki jest mój następny cel podróży, rozpraszała mnie swoją gadaniną.

Próbowałem zachować dobre maniery do końca posiłku, zepchnąłem

ciekawość w kąć umysłu, aby wrócić do sprawy później.

Gdy Miranda wyszła do toalety, zapłaciłem za nas oboje i zsunąłem się ze stołka. Właśnie wracała z toalety.

— Wychodzi pan? — W jej głosie był ton smutku.

— Jutro czeka mnie długa jazda. Będę musiał wcześniej wstać.

Objęła mnie, niemal wyczuwałem przeszywające ją do szpiku kości osamotnienie. Gdybym postanowił pozwolić tym emocjom do mnie dotrzeć, mógłbym zostać zwalony z nóg przez empatię względem tej kobiety.

— Naprawdę było miło cię poznać, Robbie.

Życzyłem jej bezpiecznej jazdy.

Po czym wyszedłem na zimny, intensywny deszcz.

Choć byłem w mieście, mój telefon nie miał zasięgu.

Było zbyt ciemno i mokro, żeby ryzykować wspinaczkę z plaży w górę urwiska do wynajętego domu, pobiegłem więc na południe drogą wychodzącą z miasta.

Szybciej i szybciej.

Jedną z korzyści mojej przemiany, za którą nie czułem się w obowiązku przeproszać, była niesamowita sprawność fizyczna. Moje ciało stało się doskonale naoliwioną maszyną. Byłem nie tylko lepszy niż jako dwudziestolatek — byłem wykładniczo lepszy. Spaprana kostka, która nigdy nie wróciła do dawnej formy po paskudnym zwichnięciu krótko po trzydziestce, teraz mi nie doskwierała. Tak samo artretyzm w lewym kolanie. Mogłem wypić sześć drinków, przespać kilka godzin i budziłem się wypoczęty. W ogóle nie chorowałem. Kiedyś byłem niezłym biegaczem, aż bóle i strzykania w ciele człowieka w średnim wieku w końcu relegowały mnie na rowery treningowe i wiosła w klimatyzowanych siłowniach. Teraz jednak nie miałem najmniejszych problemów w tym względzie. Dystans

maratoński przebiegałem dla rozrywki. Wbiegałem na zbocza gór. Pływałem w górskich jeziorach. Moja energia była niewyczerpana. Czułem się niezwykcieżony.

Gdy ujrzałem światła mojej chaty nad brzegiem, zrozumiałem, dlaczego ta wiadomość z telewizji brzęczała mi w głowie jak natrętna mucha. Otóż dobre dwadzieścia lat temu, gdy wracałem do Ameryki z laboratorium matki w Chinach, w samolocie przeczytałem artykuł o Glasgow w stanie Montana, który przedstawiał to miasteczko jako najślabiej zaludnione i leżące najbardziej na uboczu miejsce w Ameryce. Miara tego oddalenia przyjęta w artykule była szczególna: otóż, żeby z Glasgow dostać się do miasta liczącego przynajmniej siedemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców, potrzeba było czterech i pół godziny jazdy.

Jak to możliwe, aby takie miejsce stało się epicentrum rozwoju nowego wirusa?

Gdy wchodziłem do chaty, byłem zlany potem.

Powiesiłem kurtkę i zdjąłem mokre ubranie. W kominku dopalały się resztki drewna. Otworzyłem szklane drzwiczki i wrzuciłem do środka kilka polan.

Włączyłem telewizor i skupiłem się na nadawanych wiadomościach.

Była pełna godzina i lektor właśnie zaczął...

...nadzoruje rozwijającą się sytuację w północno-wschodniej Montanie, gdzie w zeszłym tygodniu dziewięćdziesiąt pięć osób zmarło w wyniku nieznaney choroby. Przedstawiciele CDC¹⁷ zjawili się na miejscu dwa dni temu, wezwano także Gwardię Narodową w celu wprowadzenia kwarantanny nakazanej przez gubernatora Montany. Ogłoszono tu stan wojenny, wszystkie drogi wjazdowe i wyjazdowe zostały zamknięte, a trzy godziny temu zablokowano wi-fi na całym obszarze Glasgow.

Obraz na ekranie zmienił się i pokazywał grupę lekarzy

w kombinezonach ciśnieniowych, którzy wynosili z budynku ciało w worku.

CDC ma lada chwila zwołać konferencję prasową, na której również się stawimy, gdy się rozpocznie. W międzyczasie dołączył do nas doktor...

Przełączyłem na inny kanał.

Epidemiolog spekulował, że może to szczególnie złośliwy szczep grypy, było jednak oczywiste, że improwizuje, aby wypełnić czas, i nic nie wie.

Na następnym kanale powtarzano tylko to, co już słyszałem.

Zostawiłem włączony telewizor, podszedłem do leżącego na kuchennym stole laptopa i szybko sprawdziłem wiadomości dotyczące Glasgow. Przeczytałem trzydzieści artykułów na ten temat na portalach informacyjnych, ale w żadnym nie znalazłem nic nowego.

Media społecznościowe były kloaką teorii spiskowych i memów, zainteresował mnie jednak film, który ktoś udostępnił.

Ściszyłem telewizor i wcisnąłem odtwarzanie.

Film trwał minutę i dwadzieścia sekund, był strasznie rozpikselowany i zrobiono go telefonem.

Zaczynał się od ujęcia nastolatki niemal przytykającej twarz do obiektywu w telefonie, który trzymała w ręce. W tle słychać było hałas przypominający histeryczny śmiech. Z powodu kiepskiej jakości trudno było to jednoznacznie stwierdzić, ale chyba miała łzy w oczach.

— *Nie mam pojęcia, co tu się dzieje...*

Wstała i zaczęła iść przez rozmazaną przestrzeń.

Śmiech przybrał na sile.

Szła w stronę, z której dobiegał.

Gdy się zatrzymała, można było dostrzec, że stoi w ciemnym salonie dużej przyczepy mieszkalnej.

Przesunęła kamerę telefonu w bok. Na ekranie pojawił się chudy jak

szczapa męczyzna, siedzący w fotelu. Gwałtownie dygotał i co kilka sekund wybuchał śmiechem, do którego pasowało tylko jedno określenie: patologiczny.

— *Tato, co się dzieje?*

Nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrział.

— *Co się z tobą dzieje, tato?*

Męczyzna próbował wstać, ale nie potrafił utrzymać równowagi.

Poleciał na twarz i upadł na podłogę jak pokraczna żaba.

Obraz rozmazał się, gdy dziewczyna ruszyła dalej wąskim korytarzem. Weszła do sypialni.

W nogach łóżka siedziała kobieta w rozchylonym do połowy szlafroku. Też dygotała, choć nie tak gwałtownie jak męczyzna.

— *Mamo, zawiozę cię do szpitala.*

— *Szpitaljestpeen.*

— *Zawiozę was oboje do Billings.*

— *WYNOŚ SIĘ!!! WYNOCHA!!!*

Matka zaatakowała córkę.

Obraz na chwilę się zerwał, potem dziewczyna była z powrotem w swoim pokoju. Płakała.

— *Jest tak, jakby to było wszędzie. Nasze miasto się rozpada. Pewnie też zachoruję. Od trzech dni boli mnie całe ciało. Dziewięćset jedenaście nie działa. Pojechałam do szpitala, ale stoi przed nim kolejka. Potrzebujemy pomocy. Nie wiem, co mam...*

Ponownie rozległ się obrzydliwy śmiech, tuż za jej plecami.

Odwróciła się w stronę sylwetki stojącej w drzwiach do jej pokoju.

Film się skończył.

Siedziałem w cichej chacie, deszcz spływał po szybach.

Tętno mi rosło: sto dziewięć, sto dziesięć, sto piętnaście.

Film miał czterdzieści tysięcy wyświetleń.
Zacząłem przeglądać komentarze.

Jasna cholera! Tak zaczyna się apokalipsa
zombie? Ktoś poza mną uważa, że gość powinien
zagrać następnego Jokera? W mordę, oni
zamierzają cię zjeść. Uciekaj! WSADŹ ICH DO
SAMOCHODU I ZAWIEŹ NATYCHMIAST DO SZPITALA.

Nie było żadnych rzetelnych informacji. Nikt nie potrafił stwierdzić, czy
film był prawdziwy.

Spojrzałem na telewizor — rozpoczęła się konferencja prasowa.

Wróciłem do salonu, usiadłem przy kominku i włączyłem dźwięk.

Dowódca sierżant major Jackson Tolmach mówił do lasu mikrofonów, za
jego plecami po płycie lotniska toczył się powoli wojskowy transportowy
boeing C-17. Za majorem stał mój były szef, Edwin Rogers.

*...bariery zabezpieczające przed staranowaniem przez samochody na
skrzyżowaniach dróg szybkiego ruchu numer dwa i dwadzieścia cztery na
południowym wschodzie miasta, na drodze szybkiego ruchu numer dwa na
północnym zachodzie miasta, drodze szybkiego ruchu dwieście czterdzieści
sześć, Aitken Road i drodze szybkiego ruchu czterdzieści dwa. Wszystkie
szkoły, firmy i instytucje rządowe są zamknięte. Lotnisko i dworzec kolejowy
są zamknięte. Wszystkie pociągi jadące Northern Transcon będą
przepuszczane objazdami dookoła miasta. Połączenie Hiperpętlą do
Glasgow zostaje zawieszona. Obowiązuje nakaz pozostawania w domu, bez
wyjątków dotyczących ważnych aktywności. Powietrzna Gwardia
Narodowa Montany właśnie dostarczyła wojskowe racje żywnościowe,
które będą rozdawane wszystkim potrzebującym. Dla osób wymagających*

natychmiastowej pomocy medycznej na skrzyżowaniu Pierwszej Alei Północnej i Piątej Ulicy Północnej ustawiono szpitale polowe. Przekazuję mikrofon doktorowi Manpearlowi.

Dowódca Gwardii Narodowej odsunął się na bok i do mikrofonów podszedł mężczyzna w garniturze. Miał brązowe włosy i lekki zarost na twarzy.

Żołnierz, jak to żołnierz, był pewny siebie, ale nawet mimo rozmycia obrazu widać było, że Manpearl jest przerażony.

Dobry wieczór. Nazywam się David Manpearl i jestem dyrektorem do spraw komunikacji w CDC. Pięć dni temu otrzymaliśmy pierwsze doniesienia ze szpitala Frances Mahon Deaconess o chorobie nieznanego pochodzenia. Dotyczyły one pięciu przypadków, a wszyscy chorzy zjawili się w szpitalu jeden po drugim w ciągu kilku godzin. Objawy obejmowały: nagłe zmiany osobowości, utratę pamięci, upośledzenie zdolności poznawczych, bezsenność, problemy z koordynacją ruchową, drżenie ciała oraz wybuchy werbalne. Pacjenci zauważyli u siebie pierwsze objawy trzy tygodnie temu i u wszystkich występowało postępujące pogarszanie stanu psychicznego. Następnego dnia w szpitalu zjawilo się jedenaście osób z niezwykle podobnymi objawami. Trzeciego dnia liczba znacząco wzrosła do trzydziestu. Miejscowy szpital ma tylko dwadzieścia pięć łóżek, więc szybko nastąpił kryzys.

Spojrzał na notatki, po czym ponownie skierował wzrok w obiektyw kamery.

— *Obecnie mamy dwieście osiemnaście aktywnych przypadków. Szpital został zamieniony w ośrodek triażowy¹⁸ i we współpracy z Gwardią Narodową i FEMA¹⁹ dodajemy kolejne łóżka i organizujemy szpitale polowe. Z całego kraju sprowadzamy drogą lotniczą lekarzy i pielęgniarki. Według danych sprzed dziesięciu minut stu czterech chorych zmarło.*

— *Jaka jest śmiertelność?* — zapytał niecierpliwym tonem jeden z tłoczących się reporterów.

— *No cóż, jak na razie sto procent.*

— *Jaka jest przyczyna śmierci?* — padło kolejne pytanie.

— *Pacjenci w końcu zapadają w śpiączkę, po czym dochodzi u nich do niewydolności różnych narządów, ale bezpośrednią przyczyną śmierci jest zachłystowe zapalenie płuc.*

— *Czy odnaleziono pacjenta zero albo ustalono, z jakim typem choroby mamy do czynienia?*

— *Najkrótsza odpowiedź brzmi: nie, ale prowadzimy szereg badań.*

Wyłączyłem telewizor i siedziałem w ciszy, słuchając odgłosów rześistego deszczu uderzającego o szyby i niekończącego się grzmotu fal.

Odtworzyłem w głowie oglądany film, klatka po klatce, przyglądając się szczególnie chwilom, gdy dziewczyna mówiła: „Chyba też zachoruję. Od trzech dni boli mnie całe ciało”.

Wśród tego chaosu próbowałem sformułować pewną teorię. Podświadomie się temu opierałem. Ale nie dlatego, że była bezsensowna.

Bo jeżeli była prawdziwa, to by znaczyło, że wydarzyło się coś złego. Jeszcze gorszego niż śmierć tych wszystkich ludzi.

Poszedłem do sypialni, wyjąłem z szafy walizkę, ubrania z szuflady i zacząłem się pakować.

Było późno, pogoda fatalna, nie mogłem zmarnować ani chwili.

Postanowiłem, że jeszcze dziś wieczorem wyruszę do Montany.

8

Dwa dni później pędziłem przez Montanę pod bezkresnym niebem — niecałe dwieście kilometrów na zachód od Glasgow.

Otoczający krajobraz nazwałbym łagodnym spustoszeniem. Na równinie migąła od czasu do czasu samotna stodoła albo szkoła na morzu rozległej pustki.

Mijałem miasta-półwidma, których jedyną infrastrukturą były poczta i młyn zbożowy.

I tylko wszechobecne farmy wiatrowe z wirującymi białymi łopatom przypominały, że jadę przez amerykański Zachód połowy XXI wieku.

Poza tym krajobraz zdawał się istnieć całkowicie poza czasem.

A odległości, choć nie były wielkie, sprawiały wrażenie galaktycznych.

Jechałem mercedesem sprinterem 4x4 EV, który przerobiłem tak, że stanowił połączenie sypialni z podstawowym laboratorium biologii molekularnej. Zdarzało się, że gdy nie mogłem znaleźć noclegu, ściany tej furgonetki były moim domem. Rozkładałem łóżko, wyłączałem silnik i zasypiałem na pustyni Sonoran przy wyciu kojotów albo odgłosach gwałtownych wichrów, gdy burza w Kolorado czyniła świat na zewnątrz niewidocznym.

Osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Glasgow włączyłem radio i szukałem po falach tak długo, aż znalazłem miejscową stację NPR.

...badają bydło z otaczających gospodarstw i mięso ze sklepów w Glasgow. Jak na razie nic nie wskazuje na to, że za sto siedemdziesiąt siedem zgonów, jakie miały miejsce w minionym tygodniu w Glasgow, odpowiada mięso skażone gąbczastą encefalopatią bydła, znaną także jako choroba wściekłych krów.

Minąłem dwa znaki drogowe z ostrzeżeniami. Rozstawiono je w odległości może trzystu metrów od siebie.

Pierwszy informował:

DROGA SZYBKIEGO RUCHU 2 NA WSCHÓD OD HINSDALE

ZAMKNIĘTA DLA RUCHU W KIERUNKU WSCHODNIM

Drugi:

OBJAZD NA PÓŁNOC DO DROGI SZYBKIEGO RUCHU 5
ALBO NA POŁUDNIE DO DROGI SZYBKIEGO RUCHU 200

Jechałem dalej na wschód.

Hinsdale, zamieszkałego przez dwieście czterdzieści dwie osoby, można było nie zauważyć, gdyby przejeżdżając obok, zamknąć na pół sekundy oczy. Miejscowość znajdowała się w cieniu turbiny wiatrowej o wysokości tysiąca metrów.

Gdy objeżdżałem przeszkodę, w oddali widziałem migoczące światła.

Niecały kilometr na wschód od miasta pobocza i oba pasy jezdni blokowały trzy radiowozy Patrołu Autostradowego Montany.

Gdy zbliżałem się do blokady, z jednego wysiadł funkcjonariusz w spodniach koloru khaki i kurtce mundurowej w kolorze wojskowej zieleni. Na głowie miał kapelusz z płaskim rondem.

Zatrzymałem się pięć metrów przed radiowozami.

Jakimś cudem przez cały miniony rok włóczęgi nigdy nie zostałem zatrzymany przez policję. Byłem przekonany, że zmiana, jakiej dokonałem na swojej twarzy, nie pozwoli na identyfikację, a choć żaden przedstawiciel władzy nie sprawdzał mi dokumentów, te służyły mi dobrze przy niezliczonych innych okazjach.

Zredukowałem tętno do siedemdziesięciu uderzeń na minutę.

Policjant zakreślił palcem kółko w powietrzu, dając w ten sposób znak, abym opuścił szybę.

Wykonałem polecenie.

Miał na nosie okulary, jakie noszą piloci, których lustrzane przody odbijały mój obraz za kierownicą. Ciekawe, czy były nowoczesne — wyświetlające po wewnętrznych stronach szkieł istotne informacje dotyczące mnie i mojego samochodu, czy proste, staromodne.

Na twarzy i szyi policjant miał ślady porannego golenia, czyli lekko zadrapaną skórę.

— Proszę zrobić mi przyjemność i zgasić silnik.

Wyłączyłem sprintera.

Nie byłem zachwycony, że nie widzę jego oczu, bo analiza ich ruchów to najskuteczniejsza metoda odczytywania stanu emocjonalnego danej osoby oraz jej zamiarów.

— Skąd pan jedzie? — spytał policjant.

Mój sprinter miał tablice z Nowego Meksyku.

— Z Nowego Meksyku.

— Rozumiem. Widział pan tablice rozstawione trzydzieści kilometrów wcześniej?

— Oczywiście.

— Czyli wie pan, że dojazd do Glasgow jest zamknięty z powodu wybuchu epidemii.

— Jestem biologiem komórkowym z Krajowego Laboratorium w Los Alamos. Glasgow jest celem mojego przyjazdu.

Policjant zdjął okulary i utkwił we mnie spojrzenie bladobłękitnych oczu.

— Jak się pan nazywa?

— Robbie Foster.

— Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Oba dokumenty miałem przygotowane.

Wziął je i bez słowa wrócił do radiowozu.

Wiatr gnał po prerii.

Sprinter dygotał.

Po pięciu minutach policjant wysiadł z radiowozu i znów do mnie podszedł.

— Witamy w Montanie, panie Foster. Pracuje pan w CDC?

— Raczej jestem niezależnym zleceniobiorcą.

— No to cieszymy się, że jest pan z nami.

Plakietka na jego mundurze informowała: D. TRAUTMANN. D jak David.

Był jednym z dwustu trzydziestu siedmiu funkcjonariuszy policji stanowej w Montanie i służył w Dystrykcie V, z głównym komisariatem w Glendive. Dystrykt V obejmował szesnaście hrabstw, w tym Valley, w którym się właśnie znajdowałem. David miał dwadzieścia cztery lata i rok temu ukończył akademię policyjną.

Taki policyjny szczawik.

Jego bezpośrednim dowódcą była sierżant Betsy Lane, jej zaś zwierzchnikiem był kapitan Sam Houghton, który z kolei podlegał majorowi Tommy’emu Meadowsowi, a ten odpowiadał przed pułkownik Jenną Swicegood. Rano poświęciłem dwie godziny na zapoznanie się z łańcuchem dowodzenia Patrolu Autostradowego Montany i jego obecnymi interakcjami z CDC oraz stacjonującą w Glasgow Gwardią Narodową.

Policja autostradowa dostała zadanie utworzenia zewnętrznego kręgu punktów kontrolnych, czterdzieści kilometrów od epicentrum epidemii.

Dwie godziny temu zadzwoniłem do pułkownik Swicegood z zespoofowanego²⁰ numeru telefonu w Atlancie, udając Rona Auerbacha, dyrektora CDC do spraw międzyrządowych i strategicznych. Przekazałem jej listę trzech naukowców, którzy jechali do Glasgow drogą szybkiego ruchu numer 2, wraz z numerami rejestracyjnymi i opisami ich

samochodów oraz przybliżonymi czasami przyjazdu do punktu kontrolnego w Hinsdale.

— Co ma pan w furgonetce? — spytał policjant. Nie był wścibski ani podejrzliwy. Miałem wrażenie, że naprawdę go to interesuje.

Wysiadłem. Nawet z odległości niemal kilometra słychać było hałas gigantycznych białych łopat wirnika turbiny wiatrowej, które cięży powietrze i wypełniały je tępym, odległym dudnieniem.

Odsunąłem przesuwne drzwi — pierwszą rzeczą, jaka się ukazała, był podwieszony pod sufitem biały kombinezon ochronny.

Pod nim stała lodówka z zamrażalnikiem do minus dwudziestu stopni Celsjusza.

Miniwirówka.

Mikroskop fluorescencyjny z kamerą wideo.

Szara maszyna wielkości kuchenki mikrofalowej.

— To jest automatyczny, cyfrowy mikroprzepływowy nanoporyczny sekwencer DNA — wyjaśniłem. — Ubieram się, idę w strefę epidemii i pobieram próbki DNA od zarażonych ludzi. Komórki skóry, wymazy śluzu, próbki krwi. Wkładam próbki do tej maszyny, a ona analizuje DNA. Jeżeli ustalę sekwencję albo co genetycznie zmodyfikowano, być może uda mi się stwierdzić, z jaką chorobą mamy do czynienia.

— Słyszałem, że to ma jakiś związek z zepsutym mięsem — powiedział policjant.

Coś w jego głosie mnie zastanowiło... nie była to jedynie chorobliwa ciekawość.

— Jeszcze nie wiemy. Mieszka pan w okolicy?

— Tak, w Malcie.

— Zna pan kogoś, kto zachorował.

Nie było to pytanie, a stwierdzenie, i lekko zbiło go z tropu.

— Szwagra. Mieszkają z moją siostrą w Glasgow.

— Przykro mi.

— Od dwóch dni nie mogę się z nią skontaktować.

— Jak się nazywają?

— Tiffany i Chris Jarvisowie.

— A adres?

Zapisał mi go z tyłu wizytówki, którą wsunąłem do kieszeni.

— Spróbuję sprawdzić, co się z nimi dzieje.

Moja oferta go poruszyła, ale w słowach był oszczędny.

— Bardzo dziękuję. Jeśli pan znajdzie moją siostrę...

Widziałem, jak próbuje stłumić emocje.

— Powiem jej.

Droga szybkiego ruchu między Hinsdale a Glasgow była złowieszczo pusta. Blokada na drodze, którą właśnie minąłem, na pewno nie była ostatnia, nie zdobyłaby też nagrody w zakresie bezpieczeństwa, nie miałem jednak zamiaru ponownie ryzykować. Następna blokada byłaby obsadzona przez wojsko, a nie policję autostradową, stacjonującą normalnie kawał drogi od miasta i generalnie o niczym nieinformowaną.

Pięć kilometrów od Glasgow zjechałem z szosy i zaparkowałem wśród jedynych drzew, jakie widziałem od rana, chowając samochód jak najlepiej się dało. Były to topole rosnące nad brzegiem Milk River, liczącego niemal tysiąc dwieście kilometrów dopływu Missouri, która przepływała czterysta metrów od Glasgow.

Lista moich rzeczy obejmowała: kombinezon ochronny, garmina, lornetkę, pistolet H&K VP9, kamizelkę kuloodporną, parę nightshades (nowej generacji noktowizor, wyglądający jak staromodne okulary przeciwsłoneczne Oakley), laptop i walizeczkę ze strzykawkami oraz

próbówkami BD Vacutainer z EDTA²¹ do zbierania i przechowywania próbek krwi.

W pełni napompowana tratwa nie wyglądała imponująco. Kupiłem ją wczoraj za dziewięćdziesiąt dolarów w dziale sportowym Walmartu w Spokane.

Spakowałem sprzęt do tratwy i czekałem, aż zapadnie zmrok.

Nad głową dość często przelatywały mi helikoptery, drony i samoloty podchodzące do lądowania w Glasgow, ale drogą nie przejechał ani jeden pojazd.

Usiadłem na ziemi, oparłem się plecami o pień topoli i obserwowałem powoli znikające za horyzontem słońce.

Kiedy zaszło, zrobiło się zimno.

Wkrótce pojawiła się pierwsza gwiazda.

O ósmej wieczorem ściągnąłem tratwę z brzegu na wodę, wsiadłem do środka i za pomocą wiosła wepchnąłem tratwę w nurt.

Woda była paskudnie zimna.

Dookoła tratwy pływały kawałki lodu.

Księżyc był jedynie jarzącym się cieniutkim sierpem. Choć całkiem nieźle widziałem w ciemności, zdecydowałem się na okulary NightShades — w nich widziałem absolutnie wszystko.

Jedynym dźwiękiem było od czasu do czasu pluśnięcie mojego wiosła o lodowatą, czarną wodę.

Rzeka była idealna do spływów — szeroka, nigdzie nie zwalniała i niemal na całej powierzchni spieniona.

Zamiana prowadzącej do miasta drogi na kręcenie się po nieustannie meandrującej wodnej serpentynie, wiodącej przez pola, zabrała mi sporo czasu.

W oddali widziałem światła gospodarstw, jeszcze dalej migotały z kolei

światła Glasgow.

Płynąłem kilka godzin.

Po każdym kolejnym zakręcie rzeki światła miasta stawały się jaśniejsze i odrobinę bliższe.

Cały czas uważnie się rozglądałem, starannie przepatrywałem każdy metr brzegu. Wątpliwe, aby urządzono nad rzeką punkt kontrolny, ale nigdy nic nie wiadomo. Postawiłbym na to, że choć Gwardia Narodowa i CDC nie wpuszczały ludzi do miasta, znacznie bardziej zależało im na tym, aby nikt się z niego nie wydostał.

Za kwadrans jedenasta zapiszczał garmin.

Ubiegłej nocy spędziłem kilka godzin na studiowaniu w Google Earth obrazów satelitarnych Glasgow i okolicy, a przed zejściem na wodę zaznaczyłem znacznikiem GPS miejsce, które wybrałem na przycumowanie i wyjście na ląd.

Powiosłowałem do brzegu, wyskoczyłem z tratwy i wciągnąłem ją na suchy grunt.

Skraj miasta znajdował się niecałe tysiąc metrów na wschód od mojej pozycji, na drugim krańcu dużej, otwartej przestrzeni.

Wziąłem lornetkę i zacząłem obserwować miasto.

Na drodze szybkiego ruchu 246, mniej więcej sto metrów na zachód od pierwszych budynków miasta, zauważyłem wojskowy punkt kontrolny. W poprzek drogi rozstawiono betonowe bariery i rozciągnięto drut kolczasty, a wokół dwóch humvee kręciło się kilku żołnierzy w kombinezonach do ochrony przez zagrożeniami biologicznymi.

Na wieżyczce jednego z pojazdów stał żołnierz w podobnych NightShades jak moje, powoli i systematycznie przepatrując otaczające pola, w tym to, przez które musiałem przejść, żeby dostać się do miasta.

Uznałem, że jeżeli zrobię półkole i będę się trzymał nisko ziemi, jest spora szansa, że zbocze ukryje mnie przed jego wzrokiem.

Wepchnąłem tratwę między drzewa, zrzuciłem plecak na ramiona i zacząłem powolne, długie czołganie w kierunku Glasgow.

Dotarłem do miasta o północy.

Ściągnąłem plecak i wyjąłem kombinezon ochronny, i to nie z obawy, że się czymś zarazę, lecz w nadziei, że zapewni mi kamuflaż. Uznałem, że gość w kombinezonie ochronnym krążący po strefie wybuchu epidemii raczej nie ściągnie na siebie wielkiej uwagi.

Zdjąłem magnetyczną kamizelkę kuloodporną i spędziłem kilka minut na wciskaniu się w ciemności w kombinezon z tyveku. Potem założyłem maskę, wsadziłem pistolet w kaburę przy pasie i zrzuciłem plecak na ramiona.

Ostrożnie przebyłem zagajnik dzielący pole, przez które się czołgałem, od miasta. W najbliższym budynku mieścił się warsztat samochodowy otoczony rdzewiejącymi wśród chwastów pojazdami.

Uklęknąłem i przez chwilę obserwowałem okolicę.

W oddali jarzyły się światła skromnych domków.

Zgodnie z protokołem Gwardii Narodowej Montany wprowadzenie godziny policyjnej oznaczało obsadzenie każdego kwartału budynków jednym żołnierzem od zmroku do świtu. Poza tym będą od czasu do czasu przejeżdżały patrole kołowe w humvee albo wozach bojowych Bradley.

Pojawił się gwardzista w masce taktycznej na twarzy, z gotowym do strzału pistoletem maszynowym w dłoniach i zaczął się oddalać ode mnie środkiem pustej ulicy. Po czternastu sekundach na prostopadłej do niej przecznicy pojawił się kolejny żołnierz, a po następnych pięciu — dwa kwartały bloków dalej — trzeci, który przeszedł kawałek w moją stronę, po czym skręcił w prawo.

Obliczyłem ich prędkości, które różniły się o 0,1, 0,05 i 0,21 kilometra na godzinę, po czym rozwiązałem w pamięci równanie, jak mam się poruszać, żebym był dla wszystkich trzech niewidoczny.

W odpowiedniej chwili wyszedłem spośród drzew i ruszyłem szybkim krokiem po chodniku. Niestety wizjer maski ograniczał mi widoczność na boki, a kombinezon generalnie tłumiał docierające do mnie dźwięki, ale cóż...

Słyszałem:

szczekanie psa;

pochlipującego mężczyznę, który błagał jakąś Jane, żeby się obudziła;

spotęgowany przez megafon głos, wykrzykujący tłumowi polecenia, który dobiegał z odległości pięciu, może sześciu przecznic;

odgłosy z drugiego krańca miasta przypominające strzały;

a z kilku domów maniakałny śmiech, który słyhać było na wiralowym wideo z telefonu.

W niemal wszystkich drzwiach, które mijalem, wisiały kawałki materiału: ścierki do naczyń, ręczniki, podarte T-shirty. Kolory były trzy: zielony, czerwony i czarny.

Zgodnie z informacjami KLTZ, stacji radiowej AM obsługującej Glasgow, CDC i Gwardia Narodowa zarządziły znakowanie domów w zależności od stanu mieszkańców.

Kolor zielony — nikt w tym domu nie choruje.

Kolor czerwony — ktoś ma objawy.

Kolor czarny — ktoś z domowników zmarł.

Obraz na Dziewiątej Południowej Ulicy, którą szedłem, był przerażający: co dziesiąty dom miał na kłamce zawieszony strzep czarnego materiału.

Po pojawieniu się kolejnego patrolu żołnierzy dodałem do swojego równania kolejną zmienną.

Pierwsze domy nie nadawały się — czekał w nich pies, w środku paliło się światło albo były szczelnie zamknięte. Nie zamierzałem włączać alarmu. Potrzebowałem domu nieoświetlonego, otwartego i bez psa.

Epocentrum wydarzeń było na północ od mojej pozycji.

Białe namioty lśniące w świetle reflektorów.

Kolejki ludzi czekających na pomoc.

W górze latały drony.

Zatrzymałem się na chwilę, aby poukładać sobie to wszystko w głowie.

W powietrzu niemal wyczuwalny był zapach strachu — jakby był żywą istotą. Biedni ludzie... Przerazenie musiało ich paraliżować, a niewiedza, w jaki sposób rozprzestrzeniła się między nimi ta straszliwa choroba, odbierać resztki wiary. I w odróżnieniu ode mnie nie potrafili się od tego lęku odciąć.

Musiałem znaleźć odpowiedni dom.

Zdobyć próbkę.

Wrócić do samochodu.

W pewnej chwili zauważyłem w przedniej szybie stojącego przy krawężniku samochodu ruch — zza rogu wychodził żołnierz w nocnym kamuflażu.

Nawet z odległości czterdziestu metrów widziałem, że porusza się tak, iż zaraz znajdę się w jego polu widzenia. Za dwie sekundy.

Schowałem się za samochodem i przywarłem do krawężnika.

Czekałem, aż przejdzie.

W następnym kwartale zobaczyłem znajomy adres. Wszedłem na zadaszoną werandę. Czarny materiał przybity gwoździem do drzwi był kawałkiem T-shirtu z Beyoncé z jej pożegnalnej trasy.

Zapukałem.

Światło na werandzie się zapaliło, ale w środku było ciemno. Sięgnąłem

do oprawy i wykręciłem żarówkę.

Przycisnąłem ucho do drzwi.

Żadnych odgłosów.

Sprawdziłem gałkę w drzwiach.

Dało się nią poruszyć i po chwili otworzyłem drzwi.

Dom był ciemny.

Cichy.

Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi.

Smród rozkładającego się ciała uderzył mnie w płuca mimo maski.

Wszedłem do małego salonu.

Potem przez zwieńczone łukiem przejście do kuchni.

Nacisnąłem przycisk na ścianie.

Punktowe reflektorki oświetliły blaty zavalone stertami talerzy z psującym się jedzeniem.

— Halo? — zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

Wszedłem po wyłożonych wykładziną schodach na piętro.

W korytarzyku było kilkoro drzwi.

Wszystkie były zamknięte.

Otworzyłem środkowe — za nimi była łazienka z dwojgiem drzwi — prawdopodobnie prowadzących do sypialni.

Za drzwiami z prawej mieścił się gabinet.

Zapaliłem górne światło.

Na stoliku kawowym leżało mnóstwo fotografii i nożyków.

Na ścianie nad stołem wisiał oprawiony w ramkę portret, zrobiony w zdecydowanie lepszych czasach, wielopokoleniowej rodziny stojącej przed wysoką choinką.

Wróciłem do łazienki i otworzyłem drzwi do drugiej sypialni.

Do oczu napłynęły mi łzy.

Usłyszałem — stłumiony przez maskę — cichutki dźwięk przypominający szurnięcie.

Rzuciłem wszystko, co trzymałem w dłoniach, wyciągnąłem pistolet i o mało nie zastrzeliłem kobiety w jedwabnym szlafroku, siedzącej w najdalszym, najciemniejszym kącie pokoju.

Obserwowała mnie bez słowa, nieruchoma, z ramionami owiniętymi wokół kolan. Włosy zasłaniały jej twarz.

— Co pan robi w moim domu? — Głos z trudem przechodził jej przez gardło i brzmiał tak, jakby przemawiała do mnie automatyczna sekretarka. Kobieta była przerażona.

— Zobaczyłem na drzwiach czarny znak. Pukałem, ale nikt nie otwierał.

Kobieta nie poruszyła się. W ciemności była ledwie widoczna.

Opuściłem broń i zrobiłem kilka kroków w jej stronę.

— Mogę coś dla pani zrobić?

Chyba pokręciła głową.

Podszedłem do ściany i zapaliłem światło.

Ożyła lampa przy łóżku, ukazując wzdęte ciało mężczyzny leżące w poprzek małżeńskiego łóżka. Oczy miał otwarte, blada skóra błyszczała jak nawoskowana. Ocenilem go na jakieś czterdzieści pięć lat, miał na sobie T-shirt i spodnie od piżamy, a dookoła, niczym na prowizorycznym ołtarzu, poustawianych było kilkadziesiąt fotografii w ramkach.

Zdjęcia ukazywały nieżyjącego mężczyznę i siedzącą w kącie kobietę.

Przed Londyńskim Okiem.

W Chichén Itzá na Jukatanie.

U podstawy Igły Kosmicznej w Seattle.

Na koncercie.

Na skuterach śnieżnych.

— Kiedy zmarł?

— Trzy dni temu. Próbowałam dzwonić do jego matki, ale wyłączyliście nam wi-fi. Zablokowaliście wszystkie numery poza dziewięćset jedenaście.

— Zachowywał się dziwnie przed śmiercią?

— Tak.

— Siedział bez przerwy w łóżku i dygotał?

Kobieta skinęła głową.

— Kompulsywny śmiech?

— Robiło się coraz gorzej i gorzej. Nie jadł ani nie pił. Nie chciał iść do łazienki. Odmówił jazdy do szpitala. Kiedy wreszcie się dodzwoniłam do służb, w mieście panował chaos.

— Nikt się nie zjawił, aby pani pomóc?

Pokręciła głową.

— Pod koniec nawet mnie nie poznawał. — Łzy spływały jej po policzkach. — Pięć lat temu straciłam ojca z powodu demencji, a to było jak cały przebieg jego choroby w dziesięć dni. Ostatnim razem, kiedy próbowałam dać mu coś do picia, uderzył mnie. Złamał mi szczękę. — Pochyliłem się do przodu i obejrzałem lewą stronę jej twarzy. Była ciemna i opuchnięta. — W końcu przestał na cokolwiek reagować. Po prostu godzinami wpatrywał się w przestrzeń. Gdy popadł w coś w rodzaju śpiączki, leżałam z nim na łóżku, z dłonią na jego piersi, żeby czuć, jak się unosi i opada. Zasnęłam, a gdy się obudziłam, jego klatka piersiowa już się nie poruszała.

— Nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym zrobił mu wymaz z ust?

— Po co?

— Materiał genetyczny męża pomoże nam zrozumieć chorobę, która go zabiła.

— Ale on nie żyje. Materiał nie uległ zniszczeniu?

— Oby nie. Musimy spróbować.

— Teraz to chyba i tak nie ma znaczenia.

Postawiłem sprzęt na ławeczce przy nogach łóżka, po czym wyjąłem zestaw do pobierania próbek: plastikową fiokę i piętnastocentymetrową pałeczkę z wacikiem na końcu.

Martwy mężczyzna miał zamknięte usta, żywiłem jednak nadzieję, że stężenie pośmiertne już puściło. W innym wypadku musiałbym mu obciąć kawałek skóry z palca.

Na szczęście usta zmarłego otworzyły się bez większego wysiłku. Wsunąłem patyczek między zęby i zdrapałem wacikiem śluz z wnętrza policzka, po czym schowałem wacik do próbówki.

— Czy ja też umrę? — spytała kobieta.

Cichutko.

Z lękiem.

Podszedłem do niej.

— Ma pani podobne objawy jak mąż?

Pokręciła głową.

— Ale nie czuję się dobrze.

— W jakim sensie?

— Co noc strasznie boli mnie całe ciało. Jakby rozszczepiały mi się kości.

— Coś jeszcze?

W jej oczach znowu zabłyśły łzy.

— Zmieniły mi się wspomnienia.

— W jaki sposób?

— Jakby... wszystkie wspólne chwile z Chrisem wracały. Widzę je niezwykle wyraźnie. Wyraźniej niż kiedykolwiek. Pamiętam wszystko. Poznaliśmy się trzynaście lat temu w barze w Bozeman. Mogłabym teraz

powtórzyć każde słowo, jakie wtedy padło. Opisać każdą emocję, jaką odczuwałam. Nie mam takich zdolności, ale gdybym potrafiła, mogłabym narysować, jak wtedy wyglądał — łącznie ze szczecina na brodzie. Sposób, w jaki sterczał mu jeden kosmyk włosów. Umiałabym opowiedzieć, jak pachniał. Że czułam się, jakbym dotarła do domu. Wiedziałam tamtego wieczoru, że spędzę z nim całe życie.

Popatrzyła na mnie z błaganiem w oczach.

— Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to się tak skończy...

Chętnie bym jej jakoś pomógł, ulżył w tym bólu.

Jednocześnie sam odczuwałem zarówno podekscytowanie, jak i przerażenie.

Byłem podekscytowany, bo odkryłem, że kobieta wykazywała te same, wczesne objawy wchodzenia na wyższy poziom — choć u niej ten proces przebiegał szybciej — których doświadczyłem sam po wybuchu lodowych bomb w piwnicy w Denver.

A przeraziło mnie to, bo zdałem sobie sprawę, co to oznacza.

Nastolatka na wiralowym filmiku też wspomniała o bólu ciała, co wzbudziło moje podejrzenia i skłoniło do przybycia tutaj, teraz jednak miałem potwierdzenie. A przynajmniej mogłem je za takie uważać, dopóki nie przepuszczę DNA tych dwojga przez sekwencer.

Ukląknę przed kobietą.

— Miałaby pani coś przeciwko temu, gdybym pobrał od pani wymaz z ust?

— Po co?

— Próbuję ustalić, co się dzieje.

Skinęła głową.

Kolejnym wacikiem zebrałem nieco śliny z wewnętrznej strony prawego policzka kobiety.

— Co pan z tym zrobi?

Podszedłem do łóżka, wyjąłem czarny marker i oznakowałem próbówkę jako „kobieta/zdrowa”.

— Przeprowadzę analizę pani DNA razem z DNA męża. Spróbuję zrozumieć, dlaczego on zachorował, a pani czuje się lepiej.

— Lepiej? Wcale nie czuję się lepiej.

— Oczywiście, ale przeżyje pani. — Zrzuciłem plecak na ramiona. — Radzę przejść się do namiotów i poprosić o pomoc w nastawieniu szczęki.

Otworzyłem drzwi wyszedłem na korytarz. Odwróciłem się jeszcze do niej.

— Rozmawiałem dziś z pani bratem Davidem na punkcie kontrolnym w Hinsdale. Martwi się o panią. Chciałby z panią porozmawiać, ale nawet policja autostradowa nie ma wstępu do miasta. Prosił, żebym przekazał, że panią kocha.

Kobieta płakała.

— Bardzo mi przykro z powodu pani straty, Tiffany.

Zamknąłem drzwi i ruszyłem schodami w dół, planując, jak opuścić miasto i dotrę z powrotem do samochodu.

Gdy znalazłem się w holu, coś uderzyło we mnie. Jakbym zderzył się z ciężarówką.

Rąbnąłem o ścianę, robiąc w niej chyba półmetrowe wgłębienie.

Pistolet wypadł mi z ręki i poleciał na podłogę.

Gdy dostałem łokciem w szczękę, zobaczyłem gwiazdy, a potem zapadła ciemność.

Nie miałem pojęcia, z kim walczę, nie miałem pojęcia, jak mogłem dać się tak zaskoczyć...

Ale po chwili już wiedziałem. Ponieważ ten człowiek został tak samo udoskonalony jak ja

Kolejny cios trafił mnie w brzuch. Zgiąłem się wpół i zacząłem łapać powietrze.

Nagle byłem dwa metry nad podłogą. Jakbym nic nie ważył.

Rzucił mną i przez 0,85 sekundy leciałem.

Znów rąbnąłem. Tym razem o podłogę na końcu kuchni.

Usłyszałem własny jęk. Byłem w stanie odsunąć większość bólu od siebie, i gdy uniosłem głowę, ujrzałem stojącego u stóp schodów mężczyznę podnoszącego z podłogi mojego hecklera & kocha.

Nie miał maski, co mogło oznaczać, że wiedział, iż nie jest to patogen w tradycyjnym znaczeniu.

Z piętra dobiegł mnie odgłos kroków.

Mężczyzna też je usłyszał, spojrzał w górę, uniósł pistolet, chwilę odczekał, a potem strzelił.

Tiffany stoczyła się ze schodów i jej ciało zatrzymało się u jego stóp. Wyrzucił magazynek z rękojeści, następnie tkwiący w komorze pocisk, po czym ruszył w moją stronę. Jego gołe stopy plaskały o podłogę, co było podkreślane uderzeniami o deski elementów pistoletu, który rozkładał jak wysokiej klasy specjalista.

Mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Był gładko ogolony. Miał mocno zarysowaną szczękę i włosy do ramion. Nosił dzinsy i obcisłą koszulkę polo, której rękawy o mało nie pękły od potężnych bicepsów. Był kilka centymetrów niższy ode mnie, ale szeroki w klatce i ramionach, wąski w pasie — w sumie już rzut oka na jego zapaśniczą sylwetkę mógł napędzić strachu.

Bez wątpienia był udoskonalony, tyle że jeszcze nie panował nad mikroekspresją twarzy. Równie dobrze mógłby krzycheć do mnie, jak bardzo lubi przemoc i sprawianie bólu — najgorszy typ człowieka z udoskonaleniem, jakiego można było spotkać.

Nie zauważyłem u niego żadnej broni.

Pozostawałem nisko, czekałem, aż podejdzie jeszcze bliżej.

Myśli przelatywały mu przez głowę z prędkością światła.

Jak mnie tu znalazł?

Proste.

Spodziewał się mnie.

Wykonał ten sam rekonesans z użyciem Google Earth co ja i stwierdził, że najlepiej dostać się do miasta przez Milk River i pole, przez które też się czołgałem.

A potem czekał, aż się pokażę.

Spaprałem sprawę.

Tak się skupiłem na wyznaczeniu sobie drogi do miasta pod kwarantanną, że nie wpadłem na to, iż ktoś o podobnej inteligencji może wybrać tę samą drogę.

Powinienem był wybrać opcję numer dwa albo nawet trzy, a przynajmniej być przygotowanym na nieoczekiwane sytuacje.

Teraz jednak nie miało to znaczenia.

Gdy był metr dwadzieścia ode mnie, rzuciłem się na niego.

A on po prostu odsunął się na bok.

Przeleciałem, upadłem na podłogę, z trudem, ale wstałem. Zerwałem z twarzy maskę, żeby lepiej widzieć, i pozwoliłem plecakowi zsunąć się z ramion.

Popatrzył na mnie i założył włosy za uszy.

— Cześć, Logan.

Mój umysł zaczął pracować, próbując dopasować głos do jakiejś znanej mi osoby.

— Nie znamy się — powiedział, jakby czytał mi w myślach.

— Jak długo na mnie czekałeś?

— Trzy noce.

— Gdzie?

— W porzuconym samochodzie na złomowisku.

Przeszedłem obok niego.

— Moja siostra też tu jest?

Uśmiechnął się pod nosem. Widać moja próba ustalenia, czy przybył po to, aby mnie zabić, czy schwytać, tylko go rozbawiła.

— Masz próbki? — spytał.

Spotkaliśmy się na środku pokoju.

W trakcie ruchu do przodu trafiłem go w lewe ramię, powstrzymując nieco ruch obracającego się prawego ramienia, prześlizgnąłem się obok prawego krzyżowego, którym posadziłby mi tyłek na ziemi, a gdy stracił równowagę, minąłem jego twarz lewym hakiem i trafiłem potężnym ciosem z łokcia w nasadę nosa.

Zatoczył się do tyłu, krew spływała mu po twarzy.

Wymienialiśmy się ciosami, jedne trafiały, inne nie. Nawet moje najsilniejsze uderzenia wydawały się jednak kompletnie nieskuteczne — jakbym walczył z dębem.

Gdy trafiłem go w lewą skroń, tylko potrząsnął głową i ponownie zaatakował, szeroko rozkładając na bok umięśnione ramiona. Mój umysł krzyczał: *Nie pozwól mu się przewrócić!*

Byliśmy w korytarzu, który mijał schody i prowadził do salonu. Gdy rzucił się na moje nogi, skoczyłem w górę, wbiłem stopy w przeciwległą ścianę, po czym spadłem prosto na niego, z koszmarnym trzaskiem wbijając mu kolano w potylicę.

Gdy leżał oszołomiony na podłodze, owinałem sobie jego długie włosy wokół dłoni, zacisnąłem ją w pięść i huknąłem jego głową o podłogę.

Raz.

Drugi.

Trzeci.

Czwarty.

Niemożliwe, ale wstał. Trzymałem go za plecy, wczepiałem się w niego, prawym ramieniem otaczałem jego szyję, zaciskając z całej siły, próbując zablokować mu dopływ krwi do mózgu, aby zyskać kilka sekund i wymyślić, jak...

Walnął mną o ścianę z taką siłą, że wycisnął mi całe powietrze z płuc, po czym odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i skoczył w kierunku przeciwległej ściany, uderzając mną o nią z taką siłą, że popękał tynk.

Potwornie bolały mnie żebra.

Znowu uderzył mną o ścianę.

Jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Już nie byłem w stanie się go trzymać.

Już nie mogłem oddychać.

Puściłem go.

Zwaliłem się na podłogę i gdy próbowałem złapać powietrze, zadał mi kilka ciosów w głowę...

Gdy się ocknąłem, leżałem na podłodze w kuchni, a mężczyzna stał przy jadalnianym stole i wyjmował strzykawkę z małej czarnej torebki.

Wszystko mnie bolało.

Miałem wrażenie, że zostałem połamany na kawałki, ból zaś był tak wielki, że nie byłem w stanie go ignorować.

Patrzyłem, jak mężczyzna stuka palcem w ściankę strzykawki, a gdy odwrócił się w moją stronę, zamknąłem oczy.

Gdy podchodził i klękał, skrzypiała podłoga. Poczułem na barku ciepłą

dłoń — zaraz wbije tam igłę.

Otworzyłem oczy, wyprostowałem palce prawej dłoni i pchnąłem ramię prosto w górę. Palce wbiły się w jego miękką szyję.

Uderzenie było idealne.

Rozległo się okropne rżące westchnienie, mężczyzna wypuścił z dłoni strzykawkę i złapał się za gardło.

Twarz mu poczerwieniała.

Oczy wypełniło przerażenie.

Odotoczyłem się na bok i wstałem. Patrzyłem, jak próbuje oddychać. Wyglądało na to, że cienka strużka powietrza dociera do jego płuc, ale to było zbyt mało. Na moje oko zostały mu dwie minuty niemiłej świadomości. Cztery do dwunastu minut do śmierci mózgu.

— Zmiażdżyłem ci krtań — jęknąłem, walcząc z bólem. — Mogę pozwolić ci się udusić albo cię uratować.

Gwałtownie pokiwał głową. Czerwień na jego twarzy przechodziła w purpurę.

— Masz w torbie nóż?

Skinął głową, cały czas walcząc o powietrze.

Piętnaście sekund.

Czarna torba mężczyzny leżała otwarta na kontuarze. W środku miał dziewięćmilimetrowego kimbera micro, kajdanki, próbówki, strzykawkę i nóż Viper-Tec Blue Phantom.

Wróciłem do mężczyzny, który siedział teraz oparty plecami o kuchenną szafkę i umierał z braku powietrza.

— Połóż się na plecach. Rozłóż ręce.

Czterdzieści jeden sekund.

Przeście od zabicia wroga do uratowania mu w ciągu kilku sekund życia było może dziwnym posunięciem, ale on miał ważne informacje.

Usiadłem na nim.

— Mrugnij nie tak jak trzeba, a pokroję cię na plasterki.

Energicznie pokiwał głową.

Twarz miał zmasakrowaną i bez trudu mogłem dostrzec, gdzie trafił mój cios. Zmiażdżyłem mu górną część krtani. Powiodłem palcem po jego gardle, aż znalazłem kolejne wybrzuszenie: chrząstkę pierścieniową. Zrobię cięcie w zagłębieniu między nią a jabłkiem Adama.

Gdy otworzyłem blue phantoma, oczy mężczyzny rozszerzyły się.

To nieprawdopodobnie ostry nóż.

Wsunąłem czubek ostrza w zaplanowane miejsce, gdy krew poleciała z nowej rany, mężczyzna jęknął. Starannie pchałem ostrze dalej, aż przebiło się do dróg oddechowych.

Twarz mężczyzny robiła się niebieska.

Siedemdziesiąt osiem sekund.

Wiedziałem, że wszedłem w drogi oddechowe, ponieważ odrobina krwi została wessana do środka rany. Poszerzyłem nacięcie do centymetra.

Może z bólu, może z braku tlenu stracił przytomność.

Wyjąłem ostrze z jego szyi, wstałem i zacząłem przeglądać szuflady w poszukiwaniu słomki albo...

Zdecydowałem się na poobgryzany na końcu długopis BIC i szybko oddzieliłem rurkowaty korpus od elementów służących do pisania.

Cięcie w szyi było paskudne — poszarpane i krwawiło jak cholera, ale udało mi się wsunąć rurkę długopisu na pięć centymetrów w szyję mężczyzny.

Leżał nieruchomo.

Wdmuchałem dwa oddechy w płuca nieprzytomnego przez końcówkę rurki i czekałem.

Nic się nie wydarzyło.

Zacząłem go reanimować — sto ucisków klatki piersiowej na minutę.

Potem kolejne dwa oddechy w rurkę długopisu.

Jeszcze raz to samo.

Cztery minuty i dwanaście sekund.

Właśnie miałem wykonać mu kolejny masaż serca, gdy rurka zadrgała i wydobyło się z niej chrapliwe, bulgoczące ssanie.

Mężczyzna otworzył oczy. Zaczął robić przez rurkę długie, rozpaczliwe wdechy, wpatrując się przy tym we mnie z bezradną natarczywością. Jego twarz nabierała normalnego koloru.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Widać było, jak znów ogarnia go panika, i przez ułamek sekundy było mi go żal.

— Twoje życie jest w moich rękach — przypomniałem.

Skinął głową. Wiedział o tym.

Dotknąłem rurki długopisu.

— To trzyma cię przy życiu.

Poszedłem do salonu, wyjąłem laptopa z plecaka i wróciłem do kuchni.

Usiadłem obok mężczyzny ze zmiażdżoną krtanią i otworzyłem pusty dokument.

Nie miałem dużo czasu — ktoś na pewno usłyszał wystrzał, który zabił Tiffany.

— Jak się nazywasz? — spytałem, po czym podstawiłem mu laptopa.

Napisał: Andrew

— Czy moja siostra jest w Glasgow?

Pokręcił głową.

— Jak nawiązałeś kontakt z Karą?

Byliśmy razem w Mjanmie. Należałem do oddziału, który ją uratował.

W zeszłym roku odezwała się do mnie, bo chciała, żebym wziął udział w jej projekcie.

— Dlaczego udoskonalenie zabija ludzi?

Nie mam pojęcia

Prawdopodobnie mówił prawdę.

— Co miałeś ze mną zrobić?

Wywieźć cię stąd

— Do Kary?

Tak

— Gdzie ona jest?

Nie wiem

Sięgnąłem do jego szyi i wyciągnąłem rurkę.

Westchnienie.

Desperacja w oczach.

Złapał się za szyję, twarz znowu zaczęła mu purpurowieć.

— Sądzisz, że nie będę w stanie patrzeć, jak się powoli dusisz?

Andrew gorączkowo napisał: Kolorado

— Gdzie w Kolorado?

Niedaleko Silverton. Proszę...

— Podaj adres, a znowu pozwolę ci oddychać.

58 Eolus Way

Ponownie wsunąłem rurkę w otwór w jego gardle i gdy łapczywie chwycił powietrze, obserwowałem go, próbując ocenić, czy kłamie, ale trauma tracheotomii na żywca zacierała jego mimikę, nie wspominając o mikroekspresjach.

Na deskach werandy zastukały podeszwy butów. Złapałem laptopa, wstałem i pobiegłem do salonu, wsuwając go po drodze do plecaka. Ktoś załomotał do frontowych drzwi.

Chwyciłem leżącą na stole torbę Andrew i pobiegłem do tylnych drzwi, otwierając je w tej samej chwili, gdy otworzyły się frontowe.

Do środka weszli żołnierze.

Przebiegłem przez podwórze od tyłu, minąłem starego grilla i szopę, przeskoczyłem kiwający się ze starości metrowy płot i wybiegłem w zaułek za domem.

W końcu mogłem wziąć głęboki wdech. Gdy to zrobiłem, poczułem ostry ból w całym ciele. W czasie walki Andrew posiniaczył mi żebra, ból w klatce piersiowej ciągle narastał, ale nie mogłem się zatrzymać.

Biegłem dalej.

Przez podwórza i zaułki.

Przeciąłem pustą ulicę.

W końcu minąłem ostatnie podwórko i miałem przed sobą już tylko ciemność. Dotarłem do pola, przez które czołgałem się kilka godzin temu. Przebiegłem kawałek najszybciej, jak potrafiłem, po czym zsunąłem się do rowu irygacyjnego i założyłem NightShades, które jakimś cudem przetrwały — były lekko pogięte, ale całe.

Wyjrzałem zza krawędzi rowu — światła Glasgow jarzyły się jaskrawą zielenią. Spomiędzy drzew otaczających miasto wyszły trzy postacie.

Żołnierze Gwardii Narodowej.

Byli ode mnie może piętnaście metrów. Dokładnie widziałem ich karabinki i maski. Nie mieli noktowizorów. Jeden z nich — niski i krępy — wszedł na pole. Musiał mieć na karabinku noktowizor, ponieważ stał i metodycznie przepatrywał teren.

Bezgłośnie zsunąłem się na dno rowu i czekałem.

Odgłos kroków żołnierza był coraz bardziej wyraźny.

Dokładnie słyszałem chrzęszczący pod jego podszwami żwir.

Zatrzymał się dwa, może trzy metry ode mnie.

Słyszałem, jak oddycha.

Widziałem lufę jego karabinu.

— Masz coś? — krzyknął jeden z jego towarzyszy.

Mężczyzna zawahał się, ale nie przestał przepatrywać terenu.

— Nie — odparł w końcu i ruszył z powrotem. — Zamelduj, że musieli wrócić do miasta naokoło.

Wspiąłem się na górę rowu i obserwowałem, jak znikają między drzewami.

Leżałem przez chwilę bez ruchu, klatka piersiowa dotykała przy oddechach zimnego błota, każde wciągnięcie powietrza było męczarnią. Przed udoskonaleniem taki poziom bólu by mnie wykończył i nawet teraz wiele nie brakowało.

Musiałem maksymalnie się skupić i w końcu udało mi się odsunąć ból od siebie. Rozpocząłem długie, powolne czołganie po polu, cały czas myśląc o mieszkańcach Glasgow.

O tych, którzy zmarli.

O tych, którzy zostali pozostawieni sami sobie — przerażeni, zdezorientowani, rozbici.

Nie mieli pojęcia — bo i skąd — że mimo żałoby, jaką przeżywają, są uczestnikami jednej z najważniejszych chwil w historii naszej planety.

W każdej wielkiej wojnie jest pierwsza bitwa.

Najazd hitlerowców na Polskę, który rozpoczął drugą wojnę światową.

Ostrzelanie Fortu Sumter w amerykańskiej wojnie secesyjnej.

Bitwa pod Lexington i Concord w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Chmary dronów, które spadły na Tajwan, gdy zaanektowały go Chiny.

W bitwie pod Glasgow nie używano broni. Była to wojna genów i mutacji. Wojna za pomocą doboru naturalnego.

Pierwszy atak już nastąpił, tyle że jeszcze nikt o nim nie wiedział — przemoc szalejąca na poziomie komórkowym w ciele każdego mieszkańca Glasgow, którego udało się mojej siostrze zarazić.

Stawka była dużo większa niż ideologia, terytorium, a nawet religia.

Stawką była przyszłość naszego gatunku.

Kierunek, w jakim będziemy podążać.

Kim się staniemy.

Kara rozpoczęła wojnę genów.

9

Dotarłem do sprintera, gdy nad prerią zaczynało świtać. Światło było miękkie, delikatne, z wyjątkiem wschodniego skraju horyzontu zaczerwienionego na krawędziach, jakby dla nocy to był również ciężki i trudny czas.

Zbliżałem się ostrożnie do samochodu, przygotowany na wypadek, gdyby ktoś na mnie czekał.

Na przykład Gwardia Narodowa.

Albo kolejni ludzie Kary. Idealnie przewidzieli, w jaki sposób zamierzam zinfiltrować Glasgow, więc może czekali też przy furgonetce.

Nic jednak nie wskazywało na to, że ktoś się pojawił w okolicy, a jedynymi odciskami stóp w pobliżu były moje własne.

Wsiadłem i, jęcząc oraz stękając, zacząłem zdejmować kombinezon. Potem ściągnąłem przepoconą koszulkę.

Nie wiem, ile, ale kilka żeber miałem solidnie obitych.

Baterie słoneczne były w pełni naładowane, automat łączący w sobie funkcję przygotowania DNA i mikroprzepływowego nanoporycznego sekwencera był już do nich podłączony. Załadowałem próbki pobrane od

Tiffany i Chrisa, próbkę ode mnie i — kontrolnie — kilka próbek od osób nieudokonalonych. Maszyna zaczęła procedurę.

Po oczyszczeniu DNA odczyta każdy nukleotyd, linię po linii, zapisze każdą parę zasad w sekwencji, po czym wprowadzi wyniki do maszyny programowej i stworzy kompletne porównanie genomów. Pełne sekwencjonowanie, a zwłaszcza analiza próbek, zajmie od ośmiu do dziesięciu godzin.

Gdy system zaczął pracę, uruchomiłem samochód i zostawiłem Glasgow za sobą.

Silverton było oddalone o ponad półtora tysiąca kilometrów — szesnaście godzin jazdy na południe, przez Montanę i Wyoming, na południowo-zachodni kraniec Kolorado.

Gdy minąłem granicę Wyoming, moje ciało zaczęło odmawiać posłuszeństwa, a koncentracja się zaburzyła. Zjechałem na parking pod Ranchester, wziąłem z apteczki morfinę, wstrzyknąłem kilka miligramów w ramię i...

ból

po prostu

zniknął.

Rozłożyłem łóżko, ściągnąłem ubranie, buty i położyłem się spać.

Nie byłem tak zmęczony od chwili, gdy Kara próbowała mnie zabić w Nowym Meksyku i musiałem w środku nocy uciekać ze szpitala.

Na błogą chwilę wszelki ból jednak ustał.

Patrzyłem na światło dnia wpadające do środka przez brudną przednią szybę, aż nie byłem w stanie utrzymać otwartych powiek.

Odpłynąłem w rytmie uspokajających trzasków i warkotów sekwencera DNA.

Gdy się obudziłem, była noc, a w samochodzie panowała cisza.

Usiadłem powoli i ostrożnie wciągnąłem powietrze w płuca.

Morfina przestała działać i ból powrócił, choć nie był już tak wszechogarniający.

Wstałem, wziąłem trzy tabletki z apteczki i podszedłem do sekwencera DNA, który cichutko pomrukiwał.

Obudziłem ekran dotykowy, który informował: *Sekwencja A załadowana i przeanalizowana. Analizuję sekwencję B. Pozostały czas: 51 minut.*

Wypiłem trzy szklanki wody i usiadłem na ławie przy stoliku, który służył mi także za biurko.

Włączyłem laptopa i otworzyłem maszynę analityczną — program o nazwie LifeCode. „Sekwencja A” oznaczała próbkę pobraną od Tiffany, a ponieważ skrupulatnie przeprowadziłem sekwencjonowanie własnego genomu i opatrzyłem go w odpowiednie adnotacje, dokładnie wiedziałem, czego szukać. Miałem listę genów i ścieżek genetycznych, które zostały wskutek ulepszenia, jakiego dokonała w moim organizmie matka, zmutowane po to, by zmienić ich zaplanowaną aktywność i poziom ekspresji. Włamałem się nawet do kodu źródłowego analizatora i używając mojej sekwencji DNA jako szablonu do porównywania z innymi genomami, napisałem znacznie lepszy program od tego, w jaki maszyna była wyposażona.

Z 3,2 miliarda par zasad komórki haploidalnej/sekwencji genomu u wszystkich ludzi 99,9 procent jest identycznych. O ile jednak wszyscy mamy mniej więcej te same geny, o tyle istnieją polimorfizmy — niewielkie różnice w sekwencji tych genów — które powodują zmiany poziomu ich ekspresji, a nawet zmieniają funkcję genu. Te subtelne różnice sprawiają, że każdy człowiek różni się od wszystkich pozostałych.

Zakodowałem program tak, aby wychwycić i zaznaczyć te różnice.

Wrzuciłem w wyszukiwarkę programu ogromne pliki zawierające surową sekwencję DNA Tiffany.

Gdy program ruszył, wyjąłem z szafki puszkę zupy i zagrzałem ją sobie w garnuszku na kuchence.

Byłem głodny jak wilk.

Jedząc, czytałem wyniki analizy DNA Tiffany.

Tak jak się spodziewałem, te same geny, które zmieniono w moim genomie, zmieniono u niej.

Nawet ścieżki modyfikacji były takie same.

Te manipulacje DNA zaczynały już wykonywać edycje genów połączonych niezliczonymi kaskadami ścieżek — każda była delikatną zmianą genomu, nie więcej niż dotknięciem skrzydła motyla, ale z czasem wszystko razem zmieniłoby genom Tiffany, poprawiając jej inteligencję, przedłużając życie i zwiększając odporność, a w końcu wznosząc ją na wyższy poziom, czyniąc z niej jakąś wersję tego, czym ja się stałem.

Po przeanalizowaniu zachowania Kary i Andrew zacząłem podejrzewać, że o ile udoskonalenie u wszystkich zmienia ekspresję inteligencji, pamięci i sprawności fizycznej, to wykładniczo poprawia wrodzone skłonności: u ludzi takich jak Andrew i Kara siłę, zręczność oraz koordynację, a u tych o większych zdolnościach intelektualnych — jak ja — rozpoznawanie schematów i odczytywanie sygnałów wysyłanych przez innych ludzi.

Gdy Andrew zastrzelił ją na schodach, Tiffany była w trakcie tej samej drogi, by zostać udoskonaloną wersją *Homo sapiens*, którą wcześniej ja przebyłem.

Za pomocą programu zacząłem izolować genetyczne kody licznych pakietów wirusów, które wprowadziły program udoskonalający do jej organizmu. Każdy był sekwencją ośmiu kilozasad²² — mikroskopijnym

i nieistotnym fragmentem DNA, ale w jej przypadku będącym nośnikiem kodu. Replikowały się, ale nie sprawiały wrażenia spakowanych i wydzielanych do poziomu umożliwiającego ich transmisję.

Tiffany nie zakazała.

Zasadnicze pytanie brzmiało jednak: Jak ma się sprawa z sekwencją B?

Sekwencer DNA zapiszczał, informując, że załadowuje sekwencję B do LifeCode.

Ponieważ wirus Kary najwyraźniej nie był w stanie przenosić się z osoby na osobę, ciekawe było, w jaki sposób udało jej się zakazić tak wielu mieszkańców Glasgow. Czyżby kilka miesięcy temu przysłała do miasta ekipę, która „ręcznie” zakazała jak najwięcej osób? Gdyby robiła to w kilku dobrze wybranych lokalizacjach, były spore szanse, że uda się zakazić połowę ludności.

Na ekranie laptopa zaczęła migać informacja, że sekwencja B (DNA Chrisa) została załadowana do LifeCode.

Wrzuciłem pliki do mojego programu wyszukiwawczego i wyszedłem na zewnątrz się wysikać.

Niebo było zachmurzone i bezgwiezdne.

Powietrze wypełniał rześki zapach śniegu, a ciemność zdawała się zagarniać nawet oświetlone miejsca parkingu.

Wróciłem do samochodu i szybko przejrzałem wstępne wyniki dotyczące sekwencji B.

Od razu dostrzegłem, że w kodzie czegoś brakuje.

Choć Chris otrzymał taki sam wirusowy pakiet udoskonalający, to u niego dokonały się tylko niektóre zmiany. W wielu przypadkach były one częściowe, niedokończone, dlatego uszkodziły fragmenty ważnych genów.

Zamiast zainicjować wyniesienie organizmu na wyższy poziom,

wirusowy pakiet podpałał lont przy nowym fragmencie genetycznym i rozpoczął serię genetycznych anomalii.

Skopiowałem nowe sekwencje i wrzuciłem je do wyszukiwarki, aby sprawdzić, czy uda się znaleźć zjawiska o takich samych cechach i możliwe interakcje.

Tak jak mogłem się tego spodziewać, nie stwierdzono istnienia żadnych zjawisk mających takie samo podłoże genetyczne.

Z przerażeniem zacząłem jednak przeglądać listę „dopasowań w zakresie 50–95 procent: trzęsawka, choroba wściekłych krów, gąbczasta encefalopatia wielbłądów (CSE), pasażowalna encefalopatia nerek (TME), przewlekła choroba wyniszczająca (CWD), gąbczasta encefalopatia kotów (FSE), encefalopatia egzotycznych zwierząt kopytnych (EUE), encefalopatia gąbczasta, choroba Creutzfeldta-Jakoba (CJD), jatrogena choroba Creutzfeldta-Jakoba (iCJD), wariant choroby Creutzfeldta-Jakoba (vCJD), rodzinna choroba Creutzfeldta-Jakoba (fCJD), sporadyczna choroba Creutzfeldta-Jakoba (sCJD), syndrom Gerstmann-Sträusslera-Scheinkera (GSSS), śmiertelna bezsenność rodzinna (FFI), choroba kuru, prionopatia o różnym stopniu wrażliwości na proteiny (VPSPr).

Ja pierdolę!

Wszelkie możliwe postacie chorób prionowych.

Priony to białka, które zmieniły swoją naturalną konformację, przez co zyskują zdolność do katalitycznego przekazywania swojego zdeformowanego kształtu zwykłym wariantom tego samego białka. Mutacje te powodują deformację białek w mózgu. Dosłownie rozrywa to substancję mózgu i powoduje szereg chorób neurodegeneracyjnych niczym z horroru. Chorzy przestają poznawać znanych im ludzi i miejsca, przestają dbać o siebie. W końcowym stadium tracą zaś zdolność myślenia.

W normalnej sytuacji choroby prionowe są bardzo rzadkie — co roku

notuje się w Stanach Zjednoczonych nie więcej niż trzysta przypadków — i rozwijają się powoli. Bardzo specyficzne są też drogi zakażenia. Można zachorować na jeden z trzech sposobów: odziedziczyć chorobę w genach, zarazić się skażonymi transplantami rogówki albo od narzędzi chirurgicznych, albo — jak w przypadku choroby kuru, która wyniszczała lud Fore w Papui-Nowej Gwinei — wskutek kanibalizmu.

Zamknąłem laptopa, wyłączyłem sekwencer i uruchomiłem silnik sprintera.

Kręciło mi się w głowie.

U jednych ludzi, takich jak ja czy Tiffany, udoskonalenie działało zgodnie z założeniami matki.

U drugich, jak Chris, działało nieprawidłowo, a objawiało się to w postaci choroby prionowej.

10

Gdy wjechałem do Silverton w stanie Kolorado, dawnego górniczego miasteczka, w którym mieszkało obecnie pięćset osób, padał deszcz. Znajdowało się ono w wysoko położonej dolinie otoczonej poszarpanymi szczytami gór, które miały trzydzieści milionów lat i powstały, gdy zderzyły się ze sobą dwie płyty kontynentalne.

Jechałem przez ciche miasto.

Wszystko było pozamykane z wyjątkiem baru na jednym końcu i restauracji z szybkimi obiadami na drugim. Połowa budynków była w różnych stadiach rozkładu. Miałem wrażenie, że trafiłem do miejsca, które od stu lat się nie zmieniło i ze wszystkich sił opierało się rozwojowi.

Umierało.

Na końcu miasteczka zjechałem na pobocze.

Z GPS-u wynikało, że Eolus Way 58 znajduje się ponad pięć kilometrów na północ od mojej obecnej lokalizacji, gdy się jednak rozejrzałem po tej pustej, umierającej dziurze, nie byłem w stanie pozbyć się dręczącej mnie myśli, że Andrew mnie okłamał. A może nie. Może po prostu pchałem się w łapy Kary.

No cóż, wkrótce się dowiem.

Półtora kilometra na północ od miasteczka kończył się asfalt. Polna droga była błotnista, miejscami zalana wodą. Deszcz jeszcze się nasilił, co nie ułatwiało jazdy wijącą się przez las przecinką.

Chmury wisiały nisko i wyglądały złowrogo. Zasłaniały najwyższe szczyty.

Przejechałem obok podstawy wzgórza, gdzie znajdował się nieużywany od dawna stok narciarski. Budynek wyciągu był ciemny, szyby miał powybijane, krzeselka bujały się na wietrze. W bloku rdzewiały dwa pozostawione swojemu losowi pługi śnieżne.

Po kolejnych trzech kilometrach GPS dał znak, że dotarłem do Eolus Way 58.

Nie zatrzymałem się.

W prawą stronę odchodziła wąska droga, która prowadziła na zbocze i ginęła w ciemnym lesie. Nie było żadnych tabliczek z nazwami dróg i numerami domów, na zdjęciu satelitarnym, które przestudiowałem poprzedniego dnia, widziałem jednak bramę z panelem domofonu.

Przejechałem jeszcze kilkaset metrów i zaparkowałem w bezpiecznej odległości od podjazdu do domu Kary.

Deszcz dudnił w przednią szybę.

Poszedłem na tył furgonetki po torbę Andrew. W domu Tiffany w Glasgow rozłożył mój pistolet na kawałki, ale miałem jego kimbera

micro. Sprawdziłem liczbę pocisków: siedem w magazynku i jeden w komorze. Pistolet był co prawda mały, ale to i tak lepsze niż nic.

Na zewnątrz powietrze było przepełnione zapachem mokrych świerków i spalonego drewna. Wszedłem w zwęglony las i ruszyłem w górę stromego zbocza.

Po piętnastu minutach byłem kilkaset metrów powyżej poziomu drogi. W oddali widać było podjazd do posesji Eolus Way 58 wijący się między drzewami, który zapewne cały był obstawiony kamerami i czujnikami na podczerwień.

Kontynuowałem wspinaczkę, starając się nie stracić drogi z oczu i nie wyjść spomiędzy drzew.

Godzinę później dotarłem wreszcie do polany. Na wprost stała góraska chata. W środku paliło się mętne światło.

Usiadłem na ziemi, opierając się plecami o pień drzewa w taki sposób, aby gałęzie chroniły mnie przed lodowatym deszczem. Gdy popołudnie zaczęło przechodzić w wieczór i zapadł zmierzch, wyjąłem z plecaka lornetkę, przez którą obserwowałem chatę.

W środku nie zauważyłem żadnego ruchu.

Sprawdziłem wcześniej ten dom. Od czasu, gdy postawiono go dwanaście lat temu, miał tylko jednego właściciela: podmiot o nazwie J6, anonimową spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością z zarejestrowanym agentem w Delaware. I to właściwie wszystko. Niczego więcej nie udało mi się dowiedzieć. Potem włamałem się do rejestrów biur inspekcji budowlanej w Silverton i ściągnąłem plany kondygnacji. Uznałem, że jeżeli firma budowlana trzymała się planu, przynajmniej będę wiedział, jak się tam poruszać.

Czekając na zmrok, uświadomiłem sobie, że jestem na górze w Kolorado, mniej więcej na wysokości trzech tysięcy metrów nad

poziomem morza, jest styczeń, tyle że nie pada śnieg, a deszcz. Dawno temu te góry byłyby o tej porze zasypane kilkoma metrami śniegu. Dawno temu lasy byłyby zielone. Teraz jednak żar nadmiernie długiej pory letniej wysuszył okolicę na wiór.

W końcu nastał wieczór.

Wstałem i nadal kryjąc się wśród drzew, obszedłem polanę, aż znalazłem się z boku domu.

Idąc wzdłuż ceglanego muru, skręciłem na podwórze. Od domu — aż po skraj lasu — ciągnął się wielki taras. Stałem przy pierwszym oknie.

Kara była w środku.

Stała plecami do mnie i przy granitowej wyspie szatkowała warzywa — dzieliła nas odległość około trzech metrów.

Ruszyłem. Jeżeli można było wierzyć planom architektonicznym, na drugim końcu domu znajdowały się drzwi prowadzące do solarium. Byłby to najprostszy sposób, by dostać się do środka i gdybym musiał rozbijać szkło, mało prawdopodobne, aby Kara usłyszała to, będąc w kuchni.

Przeszedłem przez taras i pobiegłem wzdłuż tylnej ściany domu, docierając do ciemnej, zaparowanej od środka ściany ze szkła.

Wyciągnąłem kimbera micro z kieszeni i sięgnąłem ku balkonowym drzwiom.

Nacisnąłem klamkę.

Twarz owiało mi ciepłe powietrze.

Wszedłem do środka i cichutko zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Byłem w pokoju, w którym na środku stał koncertowy fortepian z pudłem rezonansowym zrobionym z żółtodrzewu, a otaczały go szklane ściany. Na zamkniętej klapie ustawiono starannie kolekcję zdjęć w ramkach.

Nie zapalając światła, zacząłem je oglądać.

Max i ja w wieku ośmiu lat na wycieczce konnej w górach Sierra Nevada.

Kara w birecie i todze podczas wręczania dyplomów.

Nasz ojciec Haz w okularach przeciwsłonecznych, uśmiechnięty od ucha do ucha, w kokpicie żaglówki, którą uwielbiał. To zdjęcie zrobiono w Zatoce San Francisco.

Urodziny, Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, Halloween.

Kiedyś te zdjęcia by mną wstrząsnęły — artefakty przeklętej rodziny, dziś jednak czułem tylko odległy przebłysk emocji, tak słaby, że ledwie zauważalny.

Czy to tutaj matka żyła w ukryciu po tym, jak przekonała cały świat, że zjechała z kalifornijskiego klifu do morza?

Na pokrywie fortepianu był odprysk, który dobrze pamiętałem. Wiele lat temu, gdy ten instrument stał w naszym domu w Berkeley, niechcący wjechałem w niego hulajnogą, bo Kara ganiała mnie po pokojach.

Wyobraziłem sobie siedzącą przy fortepianie Miriam, grającą utwory, które zabawiały nas w szczęśliwszych czasach, i wpatrywałem się w te wszystkie zastygłe w czasie chwile.

Rozwiązałem sznurowadła i zdjąłem buty, po czym poszedłem szerokim korytarzem, który dzielił parter na pół. W rozrzedzonym górskim powietrzu serce biło mi o pięć uderzeń na minutę szybciej. Wkrótce usłyszałem krzątanicę Kary w kuchni.

Po prawej stronie korytarza wisiało osiem obrazów Vermeera i sądząc po delikatnej patynie na powierzchni płócien, prawdopodobnie wszystkie były oryginałami.

Lewą stronę korytarza zdobiły cztery duże obrazy Georgii O’Keeffe — w świetle punktowców, które wyciągało z płócien każdą cząsteczkę żywiołowości, zdawały się jarzyć.

W wielkim salonie drewniane belki krzyżowały się na wysklepionym suficie. W piętrowym kamiennym kominku, otwartym zarówno na salon, w którym byłem, jak i na kuchnię po drugiej stronie, palił się ogień.

Zacisnąłem dłoń na kimberze micro i przysunąłem się do kominka.

Wziąłem głęboki wdech, wyszedłem zza rogu i wycelowałem w Karę.

Cały czas stała przy wyspie i siekała cebulę w jakimś nieprawdopodobnym tempie.

Nie odwróciła się w moją stronę, choć musiała mnie zobaczyć.

— Andrew nie żyje? — spytała, jakby się ze mną witała.

— Żyje, choć nie powiem, żeby był w dobrej kondycji.

O ile byłem w stanie ocenić, Kara nie była uzbrojona. Miała na sobie spodnie do jogi i obcisły top bez rękawów. Włosy miała krótsze, niż gdy widzieliśmy się ostatnio, i wyglądała, jakby dokonała kilku dodatkowych poprawek twarzy.

— Jest z tobą...

— Jestem sama — odpowiedziała, mówiąc znacznie szybciej, niż gdy razem podróżowaliśmy.

A może po prostu odzwyczaiłem się od kontaktu z innym udoskonalonym człowiekiem?

— Czekałam na ciebie, bracie.

mowa jej ciała wskazywała na coś, czego nie byłem w stanie odczytać.

— Zamierzasz mnie zastrzelić? — spytała, podchodząc do kuchenki i wrzucając pokrojoną cebulę do garnuszka z roztopionym masłem.

— To zależy.

Błyskawicznie pocięła na pieńku do rąbania mięsa szparagi, ułożyła je w ceramicznym pojemniku do pieczenia, skropiła oliwą z oliwek i wsunęła do piekarnika.

— Najpierw może zjedzmy — zaproponowała. — Zawsze będziesz mnie

mógł zastrzelić po kolacji. Nie jestem uzbrojona, więc albo strzelaj, albo przestań celować we mnie z tej choleralnej pukawki.

Opuściłem pistolet. Kara dała mi znak, abym usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie wyspy. Wzięła głęboką patelnię i wyjęła z lodówki paczkę kurczaka.

— A więc tu mama miała kryjówkę.

— Miała też inne. Zanim rząd zajął jej konto, zachomikowała kilka milionów. Jak było w Glasgow?

— Mam kilka próbek twoich robótek ręcznych.

— Jak na razie dwa tysiące szesnaście osób otrzymało udoskonalenie. Są dwieście siedemdziesiąt cztery potwierdzone przypadki choroby prionowej.

— To było zamierzone?

Pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia, dlaczego u 13,6 procent zamiast wejścia na wyższy poziom wykształciła się choroba prionowa.

Kara fachowo pokroiła dwie kurze piersi i obtoczyła je w mieszance ziół. Jej ruchy były idealne, szybkie i precyzyjne, jak u żadnego szefa kuchni na świecie. Przez większą część czasu — nawet gdy kroić mięso — nie przestawała na mnie patrzeć.

Trzymałem kimbera poza zasięgiem jej wzroku, tuż pod granitowym blatem.

— Wiedziałaś, że pojedę do Glasgow?

— Miałam taką nadzieję, zakładając, że przeżyłeś Nowy Meksyk. Na wypadek, gdyby ci się udało, wysłałam Andrew.

A więc rzeczywiście Andrew miał mnie do niej sprowadzić.

— Przesekwencjonowałem próbki z Glasgow — powiedziałem. — Udoskonalenie nie było zaraźliwe.

— Musiałam najpierw się upewnić, że działa.

— Czyli wracasz do rajzbretu?

— Nie, 13,6 procent wad jest dla mnie do przyjęcia. Przy terapii genowej o takim zakresie skutki uboczne i efekty niezamierzone są nieuniknione. Jestem nawet zaskoczona, że odsetek nie jest wyższy.

Kara podeszła do piecyka i dołała wina do duszącej się cebuli. Chmury odparowującego alkoholu wypełniły kuchnię niezwykle zapachem.

— Masz już wersję zakaźną? — spytałem, choć nieco bałem się odpowiedzi.

— Wkrótce.

Boże drogi... Podejrzewałem coś takiego, ale czym innym było usłyszeć to z jej ust...

— Używam zmodyfikowanych komórek HEK293, żeby wyhodować wysokie miana wirusa będącego nośnikiem udoskonalenia.

Skinąłem głową. HEK293 to swoista linia komórek uzyskanych z ludzkich embrionalnych komórek nerki, od dekad wykorzystywana w przemyśle technologii genetycznych, ponieważ bardzo łatwo je hodować i można skutecznie wprowadzić do nich obce DNA. Na jej miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Postawiła naczynie z kurczakiem na żeliwnej kratce kuchenki.

— Jaki jest planowany współczynnik reprodukcji?

— 8,7 z piętnastoma dniami rozsiewania przez każdy podmiot, który miał kontakt z wirusem.

Była to bardzo wysoka liczba. W wirusologii R_0 wskazuje zakaźność danej choroby i oznacza spodziewaną liczbę nowych przypadków, wywołanych przez jedną zakażoną osobę. Odra, najbardziej zakaźny wirus, jaki zna ludzkość, ma R_0 między 12 a 18, co oznacza, że każdy zakażony powinien zakazić od 12 do 18 innych osób. Dla porównania hiszpańska

grypa z 1918 roku, która zabiła pięćdziesiąt milionów ludzi, miała R0 między 1,4 a 2,8, a COVID-19 około 5,7.

— Jeżeli wystawisz każdego człowieka na działanie udoskonalenia, a procenty z Glasgow będą się utrzymywać, mówimy o zabiciu miliarda ludzi. Nie będzie ci to spędzać snu z powiek?

— Jasne, że będzie, ale, do cholery, to egoistyczne, nie zrobić tego, co należy, bo będzie to dręczyć resztki mojego sumienia. Mamy teraz okazję uratować ten tonący statek. Albo wzniesiemy naszą zbiorową inteligencję na poziom, który pozwoli nam się połączyć i uratować, albo następane stulecie będzie ostatnim w historii ludzkości.

Ponownie zajęła się kurczakiem. Ładnie się przypiekł. Kara przeniosła szczypcami kawałki mięsa do sosu z wina i przykryła wszystko świeżymi ziołami.

— Gdzie zamierzasz dokończyć udoskonalenie? — spytałem.

Tylko się uśmiechnęła.

— Czas jeść. Wybierz wino. Piwniczka jest za tobą.

Zaczekałem, aż zacznie nakładać, po czym zsunąłem się ze stołka.

Piwniczka z winami matki miała kamienne ściany i wejście ze śluzą, aby nie zaburzyć panującego w środku mikroklimatu. Po krótkim namyśle wybrałem cabernet sauvignon z winiarni niedaleko Walla Walla w stanie Waszyngton. Zanim spłonął, był to mój ulubiony region winiarski.

Gdy wyszedłem z butelką, Kara już porozstawiała parujące talerze.

— Rok, w którym się urodziłeś. Niezły wybór — skomentowała.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie, położyłem pistolet na ławce, tuż przy swoim udzie.

Jedzenie było wyśmienite. Noc zamknęła nas w ciasnym kokonie — za oknami panowała nieprzenikniona ciemność, od ścian odbijały się refleksy płomieni w kominku.

Kara popatrzyła na mnie.

— To dlatego, że nie uważasz, byśmy tkwili w bagnie?

— Nie. — Wziąłem następny kęs przepysznego kurczaka. — Widziałem to, co mama, i wiem, co nadchodzi. I dręczy mnie to.

— Dlaczego więc nie działamy razem?

— A jeżeli to nie jest rozwiązanie? Jeżeli zabijesz miliard ludzi na darmo? Jeżeli skończy się to jedynie stworzeniem świata złożonego z samych Miriam Ramsay, świata, w którym każdy wie, co jest najlepsze, i jest w stanie narobić niewyobrażalnych szkód, jeżeli się myli? A jeżeli stworzysz zgraję ludzi, którzy będą jeszcze lepsi tylko w tym, co już robili? Żołnierzy, kryminalistów, polityków, kapitalistów?

Wzięła mały łyk wina i przyglądała mi się przez stół, przy którym matka musiała zjeść niejeden samotny posiłek. A może wcale nie czuła się samotna. Może lubiła samotność i towarzystwo własnego umysłu.

— Działasz na podstawie błędnych przesłanek — powiedziałem. — Wyższa inteligencja nie czyni cię mniej chciwą, egoistyczną ani złą. Niekoniecznie robi z ciebie dobrego człowieka.

— Nie twierdzę, że to cokolwiek rozwiąże. To nie magiczna różdżka, jeśli jednak damy ludziom możliwość postrzegania świata takim, jaki jest, oraz inteligencję, aby coś z tym fantem zrobić, nie będzie to jakaś szansa? Nie jesteśmy tego winni naszemu gatunkowi? Rozumiem cię — chcesz wiedzieć, co przyniesie przyszłość. Chcesz wiedzieć z góry, czy dokonujemy słusznego wyboru. Ale to akurat jest niemożliwe.

— Pokaż mi dowód, że udoskonalenie rozwiąże problemy, o których mówiłaś. Pokaż mi swoje rygorystyczne testy i dane.

— Wiem, że zmieniałam się w coś lepszego. Muszę wierzyć w to, że większość ludzi, których udoskonale, przejdzie taką samą przemianę.

— Czyli koniec końców, opierasz wszystkie swoje działania na wierze.

— Nie mamy czasu, Logan. Możemy tylko starać się jak najlepiej wykorzystać to, czym dysponujemy, i zbadać własne motywy. Ja przyjrzałam się swoim. Nie zrobiłabym tego dla pieniędzy, sławy, władzy ani dla potomności.

— Więc jaki jest twój powód? Bo sądzisz, że tak będzie dobrze?

— Dobro i zło to konstrukty powstałe na gruncie ludzkiego sentymentalizmu. Nic więcej niż historyjki, które wymyśliliśmy, i którym nadaliśmy znaczenie. Nie mają odniesienia do obiektywnej rzeczywistości. Jediną realną rzeczą jest przetrwanie.

— Może współodczuwanie i empatia są mętnymi emocjami. Iluzjami, stworzonymi przez nasze lustrzane neurony, czy to jednak ważne, skąd pochodzą? Czynią z nas ludzi. Może właśnie dla nich warto nas uratować.

— Daj spokój, Logan. Dość tych abstrakcji. W Nowym Meksyku nie wierzyłeś, że czas nam się skończył, ale teraz już o tym wiesz. I tak samo wiesz, że nie wolno nam na to pozwolić. — Kara uniosła kieliszek z winem. — Jesteś ze mną czy nie?

Uniosłem swój i stuknęliśmy się. Pijąc, utrzymywałem kontakt wzrokowy z siostrą i powoli, bardzo powoli sięgałem po Kimbera...

Talerze, szkło, karafka, butelka z winem, jedzenie, srebrne sztucce — wszystko poleciało na mnie, stół uderzył prosto w moją pierś, przyciskając mnie do podłogi.

Nic nie zauważyłem. Kara w żaden sposób nie okazała swoich zamiarów, ale oczywiście odczytała z mojej twarzy, że nie udało jej się mnie przekonać.

Wygrzebałem się spod stołu i wreszcie złapałem pistolet.

— Stój!

Kara powoli się odwróciła i zamarła, jakby była zrobiona z kamienia. Spojrzałem na jej dłonie. Nie miała broni.

Patrzyła na mnie z nieoczekiwaną, zaskakującą przenikliwością.

— Kocham cię, Logan. Daję ci szansę. Nie zmuszaj mnie do tego. Wiem, że to jedynie sentymentalizm, ale nie chcę stracić także ciebie.

Wycelowałem w lewą nogę siostry, spodziewając się, że na jej twarzy zobaczę smutek albo strach, ale nic z tego. Pozostawała kompletnie obojętna.

— Gdzie oczyszczasz wirusa?

— Ava dziedziczy umierający świat. Widzę po twojej minie, że...

— Oczywiście, że mnie to wkurwia! — Mój głos rozszedł się po milczącym domu.

— Dlaczego więc celujesz do mnie z broni?

— Ponieważ musi istnieć inny sposób.

— Super. Jaki?

— Nie wiem.

— No cóż, podczas gdy będziesz się nad tym zastanawiał, ja zamierzam coś zrobić.

— Gdzie oczyszczasz wirusa?

Wbijiała we mnie wzrok. Bez słowa.

— Nie chcę ci zrobić krzywdy — powiedziałem.

— Wiem.

Wycelowałem w jej lewe udo, w mięsień, który zgina biodro i prostuje kolano. Unieruchomi to ją, ale nie pozbawi życia.

W zamkniętym pomieszczeniu strzał był ogłuszający.

Dzwoniło mi w uszach.

Kara stała tam, gdzie stała. Nie było krwi. Nie było śladu po uderzeniu pocisku.

Stała kawałeczek w bok od miejsca, w które celowałem.

Cała i zdrowa.

Znowu...

Kara się poruszyła.

...strzeliłem.

Przeszła mi przez głowę myśl, że może jakimś sposobem wsadziła mi do magazynka ślepaki, a wszystko to jest misternie przygotowaną zasadzką. Wtedy zobaczyłem dziurę w podłodze.

Zrobiłem krok naprzód.

Byliśmy oddaleni już tylko o trzy metry.

Gdy znowu strzeliłem, dokładnie w tej samej chwili, gdy pociągnąłem za spust, odsunęła się w bok i zniknęła za załomem kominka.

Co to miało znaczyć?

Przesunąłem się za Karą do salonu, próbując pojąć, w jaki sposób udało się mojej siostrze uchylić przed trzema kulami wystrzeliwanymi z tak bliskiej odległości. Oczywiście, że się przed nimi nie uchyliła — większość pocisków kalibru 9 mm jest wystrzeliwana z prędkością około 360 metrów na sekundę. Żaden człowiek — udoskonalony czy nie — nie mógł się poruszać z choćby przybliżoną prędkością.

Po prostu antycypowała, a następnie poruszyła się w nanosekundzie między podjęciem przeze mnie decyzji a pociągnięciem za spust. Sam nie byłbym jednak w stanie nic podobnego zrobić — mimo ulepszenia.

Skrzypnęła za mną deska podłogowa.

Odwróciłem się i wpadłem prosto w uderzającą mnie w klatkę piersiową stopę. Odrzuciło mnie do tyłu i przeleciałem przez szklany stół, spróbowałem podnieść broń, ale Kara wykopała mi Kimberę z dłoni i zwała się na mnie, przyciskając mi do gardła czubek noża, którym kroila kurczaka.

— Pomyślałeś kiedyś o tym, że mama udoskonaliła nas oboje z jakiegoś

powodu? — spytała. Czuję, jak ostrze wbija mi się w skórę. — Może wiedziała, że nie będziesz w stanie podjąć trudnej decyzji?

— Udoskonaliłaś się drugi raz, prawda?

Nie odpowiedziała. Wsadziłem rękę do kieszeni, położyłem ją na zdalnym sterowaniu, wcisnąłem przycisk i przytrzymałem. Gdy silniczek sprzęgający i generator próżni zaczęły pracować, z lewej kieszeni mojej kurtki zaczęło się wydobywać ciche buczenie.

Kara wpatrywała się we mnie. Jej maska opadła — była zarazem wściekła i załamana.

— Chcę, abyś wiedział, że naprawdę nie chcę twojej śmierci.

Niewielka pociecha. Pozwoliła się odnaleźć, aby dokonać ostatniej próby przeciągnięcia mnie na swoją stronę. Nie udało jej się, więc musiała zrobić teraz coś bardzo trudnego.

— Przykro mi — powiedziała ze szklącymi się oczami.

— Zabijesz mnie, to zginiemy oboje.

Przyjrzała mi się uważnie, szukając dowodów, że kłamię. Nie znalazła ich.

— Wciskam kciukiem przycisk. Jeżeli go puszczę, rozpylacz w mojej kurtce natychmiast wystrzeli ciągły strumień aerozolu...

— Czego?

— Rycyny.

Rozszerzyły jej się źrenice. Adrenalina zawsze robi swoje.

Rycyna jest białkiem inaktywującym rybosomy, co oddziałuje na komórki, blokując ich zdolność do syntezy białek własnych, przerywając kluczowe procesy zachodzące w organizmie. Wytwarza się ją z nasion rącznika pospolitego, których używa się także do produkcji niegroźnego oleju rycynowego. Nasiona są łatwo dostępne, produkcja rycyny jest stosunkowo prosta, a wystarczy 1,78 miligrama tej substancji —

wstrzykniętej albo wchłoniętej poprzez drogi oddechowe, ilość odpowiadająca kilku ziarenkom soli kuchennej — aby zabić człowieka.

— Wiesz, co się dzieje po wciągnięciu rycyny do płuc? — spytałem.

Kara milczała.

— W ciągu kilku godzin pojawia się urywany, krwisty kaszel. Płuca wypełniają się płynem. Człowiek tonie we własnych wydzielinach. Nie ma leczenia. Żadnego antidotum.

— Dobry blef.

Uniosłem lewą rękę.

— Widzisz rurkę w rękawie?

Popatrzyła na rękaw, potem znowu na mnie.

Też ją obserwowałem — z palcem na przycisku. Rzuciła okiem na Kimbera. Leżał dwa i pół metra od nas.

— Rozpylacz jest robiony na zamówienie. Wypełni pomieszczenie aerozolem zawierającym liofilizowane nanocząsteczki, zanim dotrzesz do pistoletu.

— Natknąłeś się na niego przypadkiem, co?

— Odsuń nóż od mojej szyi.

Cofnęła ostrze.

— Rzuć pod przeciwległą ścianę.

Nóż zaklekotał o podłogę za naszymi plecami.

— To nie ma znaczenia — stwierdziła Kara. — Nie powstrzymasz mnie.

Gdybym miał pewność, że ze śmiercią Kary zniknie zagrożenie i udoskonalenie zostanie pogrzebane wraz z nią, nie zdjąłbym palca z przycisku, wspomniała jednak o wirusologu. Zrekrutowała i udoskonała także Andrew, który przybył za mną do Glasgow. Pracowali z nią jeszcze inni ludzie, którzy mogliby dokończyć dzieło. A z tego, co mówiła, wynikało, że zbliżają się już do finału.

— Bardzo powoli — poleciałem. — Zejdź ze mnie.

Zsunęła się na podłogę.

— Połóż się na brzuchu.

Przetoczyła się i ułożyła twarzą w porozbijanym szkłe.

— Ruszysz się w kierunku broni...

— Nie ruszę się.

Popatrzyłem w stronę frontowych drzwi. Sześć metrów.

Usiadłem.

Powoli wstałem.

Kara obserwowała mnie kątem prawego oka, wnętrza dłoni opierała na podłodze, gotowa w każdej chwili skoczyć na nogi.

Ostrożnie wykonałem krok do tyłu.

Potem jeszcze jeden.

Gdy byłem trzy metry od masywnych drzwi, odwróciłem się i rzuciłem biegiem ku wyjściu. Za moimi plecami zachręściło szkło — Kara wstawała — ale nie zatrzymałem się, z nadzieją, że drzwi są otwarte, bo dodatkowa sekunda, którą straciłbym na szarpaniu się z zamkiem, prawdopodobnie kosztowałaby mnie życie.

Otworzyłem drzwi i w chwili, gdy przeskakiwałem próg, rozległ się odgłos wystrzału.

Zbiegłem po schodkach.

Uciekałem z kuli światła tworzonego przez zewnętrzny żyrandol prosto w mroźny deszcz, cały czas ściskając w dłoni pilota.

Nie upadnij... nie upadnij... tylko nie upadnij...

Huk kolejnych strzałów odbił się echem od otaczających nas gór, moje gołe stopy mogły się w każdej chwili poślizgnąć na błocie.

Nie odwracałem się, nie zwalniałem.

Pędziłem w dół zbocza przez polanę, musiałem dotrzeć do ciemnej

kryjówki wśród drzew. Serce waliło mi w tempie stu dziewięćdziesięciu uderzeń na minutę, nie było możliwości, aby między basowym dudnieniem serca a łoskotem ulewy dosłyszeć, czy Kara mnie ściga.

Gdy wpadłem do spalonego lasu, teren stał się znacznie bardziej stromy. Wykorzystując każdą odrobinę światła, omijałem drzewa, przeskakiwałem przez leżące na ziemi gałęzie, czując, że lada chwila siła grawitacji strąci mnie w dół zbocza.

Zwolniłem, a po chwili zatrzymałem się za głazem.

Wysłuchałem się w otoczenie.

Cisza.

Dostałem dreszczy. Stopy miałem podrapane do krwi i zmarznięte. Coś usłyszałem. Nie kroki... daleki, mechaniczny dźwięk. Jakby otwierały się drzwi garażu.

Dwanaście sekund później dwa stożki światła omiotły krótko las, rozświetlając ulewę. Zachręściły jadące po asfalcie albo betonie opony.

Obraz był widoczny nie dłużej niż sekundę: po podjeździe przesunęły się światła reflektorów.

Kara wyjeżdżała. Nie potrzebowała tej walki. Już zwyciężyła.

Lewą ręką wyjąłem rozpylacz z kieszeni i wyłączyłem go. Dopiero gdy miałem pewność, że silniki sprzęgające stanęły, zdjąłem kciuk z włącznika.

Dygotałem na całym ciele, pełen czarnych myśli.

Nie udało ci się.

Wojna została przegrana.

Jakimś sposobem tak bardzo ulepszyła swoje zdolności, że była w stanie uchylać się przed kulami. Tak, przeżyłem, ale co dalej? W kolejnym starciu nie miałem szans.

W tym momencie przyszła mi do głowy pewna myśl.

Drzwi do chaty matki były otwarte.

Wszedłem do środka.

Cisza oszałamiała.

Kara zabrała Kimbera, ale nie po niego wróciłem.

Poszedłem na górę, poszukałem pokoju, który Kara przeznaczyła na sypialnię. W szafie było pełno jej ubrań. Na stoliku przy łóżku stała szklanka z wodą.

Ruszyłem do łazienki. Rzeczy Kary zaścielały blat, po chwili znalazłem to, czego szukałem. Wziąłem do ręki szczotkę do włosów i dokładnie się jej przyjrzałem, czując lekkie tchnienie nadziei.

We włosiu znajdowało się kilka włosów — jeden nawet z cebulką.

11

Ruszyłem późno w nocy, kierując się z południa Kolorado na zachód, i gdy pierwsza zapowiedź świtu zabarwiła niebo, jechałem pustymi drogami Monument Valley. Kolumny piaskowca wkrótce zaczęły odbijać pierwsze promienie słońca, podczas gdy nizina była jeszcze zanurzona w fioletowym półmroku przedświtu.

Zjechałem na pobocze, aby zrobić sobie przerwę.

Wysiadłem.

Panowała wszechogarniająca cisza.

Nie czułem najmniejszego powiewu wiatru, a niebo było pozbawione chmur.

Obserwowałem światło, schodzące w dół kamiennych iglic, które wyglądają jak przeniesione z innego świata, ku płaszczyźnie, która kiedyś była paleozoicznym morzem. Widok tego niezmiennego od tak dawna miejsca uspokajał mnie.

Pustynia była przykryta dwoma centymetrami śnieżnego puchu, a ze

wszystkich stron otaczały mnie czerwonopomarańczowe stoliwa i iglice, które istniały już setki milionów lat temu, zanim Ziemią zaczęli rządzić ludzie, i będą istnieć, gdy odejdziemy.

Gdy pędziłem I-15 w kierunku Vegas, było późne popołudnie, a choć trwał styczeń, temperatura ciągle jeszcze przekraczała trzydzieści siedem stopni. Kilkadziesiąt kilometrów dalej z pustynnej niecki wybuchał niczym fantasmagoryczny kwiat, bulwar Strip.

Zbliżałem się do gąszczu kasyn od północy, gdzie zbudowano Meta Frame — gigantycznej wysokości hotel w kształcie wysokiej na tysiąc metrów ramy do obrazu, pośrodku której bez przerwy wyświetlano losowo zdjęcia i filmy udostępniane przez ludzi na swoich profilach społecznościowych.

Wśród przeczących prawu grawitacji manifestów architektury kasynowej kuliły się mniejsze, obskurniejsze budynki, które teraz były relikdami sprzed czterdziestu, pięćdziesięciu i sześćdziesięciu lat.

Gdy jechałem Stripem, do wnętrza samochodu wnikały naprzemiennie zapachy trawy, wymiotów, moczu, alkoholu i perfum występujących w przedstawieniach dziewczyn.

Minąłem olśniewające fontanny Bellagio. Raz dziennie tryskały prawdziwą wodą — przez resztę doby zastępowały ją hologramy.

Caesars Palace zburzono i na jego miejscu globalny multikonglomerat zbudował Wieżę Babel — istną górę stworzoną ludzką ręką, wznoszącą się dokładnie 1,6 kilometra nad bulwarem Strip. U podstawy wieży zaczynała się zielona aleja o nazwie Wiszące Ogrody, która wiła się dookoła konstrukcji budynku w górę, docierając po szesnastu kilometrach do iglicy. Wzdłuż tej alei porozmieszczano ogrody, sklepy, restauracje, kawiarnie, ścieżki spacerowe, cyfrowe instalacje wodne oraz miejsca, gdzie można

było się zatrzymać, usiąść i obserwować migoczące miasto oraz pustynię w dole.

Na południowym końcu bulwaru Strip błękitem odbijał się od zmierzającego nieba najbardziej niezwykły twór Las Vegas — Błękitna Ziemia. Ta gigantyczna replika naszej planety migotała w pustynnym słońcu jak dyskotekowa kula, a w nocy jarzyła się delikatnie.

Cały Strip otaczały gówniane z wyglądu osiedla — blokowiska dla tych, którzy utrzymywali Vegas w ruchu.

A wokół blokowisk, niczym zewnętrzny krąg piekła, znajdowała się reszta Las Vegas, opuszczona dwadzieścia lat temu, gdy wyschło jezioro Mead.

Jechałem pustymi ulicami, omijając śmieci i gruz.

Na zachodzie słońce znikало w Kalifornii, zmieniając kolor pustyni Mojave z pomarańczowego na czerwony, potem na różowy, następnie fioletowy.

W końcu zniknęło, przedmieścia poczerniały, a kasyna wybuchły feerią neonów.

Zaparkowałem kilka przecznic od budynku, który kiedyś był Walmartem, wysiadłem i ruszyłem cichą ulicą.

Zbliżając się do celu, z kieszeni starego płaszcza, który kupiłem w second-handzie gdzieś w Kolorado, wyjąłem butelkę whisky. Otworzyłem ją i polałem nią trochę płaszcza. Wziąłem łyka, wypłukałem usta wódką i wyplułem.

Parking był pusty, nie licząc poprzewracanych latarni, resztek rdzewiejących samochodów i obozowisk bezdomnych, na które składały się poszarpane namioty i beczki po oleju napędowym, a nad tym wszystkim unosił się smród beznadziei.

Nie było księżyca, ale prowadziły mnie gwiazdy.

Dawne wejścia w fasadzie zostały zabite deskami tak, aby nie można było dostać się do środka.

Szedłem wzdłuż budynku, szurałem nogami, jakbym był pijany i zanim wyszedłem zza rogu, poczułem zapach dymu papierosowego i taniej wody kolońskiej.

Obszedłem budynek z tyłu. W oddali, mniej więcej w połowie jego długości, tuż przy dokach załadunkowych, stały cztery czarne SUV-y.

Dobiegły mnie głosy. Rozmowa toczyła się po rosyjsku.

Pięciu mężczyzn. Nie. Siedmiu.

Zwrócili na mnie uwagę dopiero, gdy byłem oddalony od nich o piętnaście metrów, choć dałbym głowę, że już kilka minut temu mnie dostrzegli. Dookoła budynku na pewno porozmieszczano kamery, oni jednak uznali mnie za włóczęgę potykającego się po pijaku w ciemności.

Umilkli, zaczęli mnie obserwować, czekali, czy przejdę.

Zatrzymałem się i odwróciłem w ich stronę.

Z grupki wystąpił do przodu wielki jak góra człowiek w czarnym dresie.

— Idź dalej — powiedział, machając papierosem w nakazywanym mi kierunku.

Ja zaś nadal człapałem pijackim krokiem wprost na niego, jakbym nie słyszał.

— Głuchy jesteś?

Wyszedł mi naprzeciw na trzy metry przed pozostałych, poruszając się lekko i z gracją zupełnie niepasującą do jego postury. Wznosił się nade mną jak wieża, a raczej jak głaz, któremu wyrosły ręce i nogi.

— Jest Feld?

Mimo mroku było widać, że jest zaskoczony. Uniósł lewą rękę i zaczął mówić w ojczystym języku do rękawa. Po kilkunastu sekundach jego spojrzenie się zmieniło — słuchał instrukcji ze słuchawki.

— Da, da, da — odpowiadał.

Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu, który nie odzwierciedlał się w jego oczach — po prostu usłyszał, że ma się mnie pozbyć, i perspektywa użycia przemocy go ucieszyła.

Jego prawa dłoń przesunęła się w stronę pistoletu, który miał na plecach za paskiem. Widziałem to w bocznym lusterku jednego z SUV-ów.

Kopnąłem go w kolano i rozległ się jeden z najpaskudniejszych dźwięków — suchy trzask kości, a gdy zatoczył się do tyłu, wyciągnąłem mu wciśnięty za pasek pistolet MP-443, obróciłem nim w dłoni i rozwalilem facetowi czaszkę rękojeścią broni.

Gdy osuwał się na ziemię, strzeliłem do trzeciego, pierwszego, czwartego i szóstego mężczyzny — kolejność wybrałem wedle koordynacji i zgrabności ruchów. Choć w zasadzie żaden z nich nie poruszał się z gracją. Na chwilę zapanował nieelegancki chaos, gdy zaczęli padać na ziemię, i kto jeszcze mógł, próbował wyciągnąć broń.

Drugi z mężczyzn palił papierosa i to uratowało mu życie, bo nie zdążył wyciągnąć broni. Piąty — najmądrzejszy — po prostu podniósł ręce.

— Tędy wchodzi się do środka?

— Tędy — potwierdził piąty.

Wyciągnąłem zza paska plastikowe kajdanki i rzuciłem mu je.

— Zwiąż go — rozkazałem, nie przestając celować do obu, gdy krępował drugiemu nadgarstki za plecami. Cały czas obserwowałem skierowane na zaułek kamery.

Jeżeli mnie obserwowali, mieli kilka możliwości do wyboru. Przysłać kolejnych ludzi (jeśli ich mieli) albo uciec inną drogą.

— Jest Feld?

Piąty skończył krępować drugiego, wstał i popatrzył na mnie. Moje pytanie go wystraszyło. Skinął głową.

— Ilu ludzi w środku?

— Dwóch.

Mówił prawdę.

— Jak się nazywasz?

— Aleksiej.

— Zaprowadzisz mnie do środka, Aleksiej.

Rozbroiłem go i poszedłem za nim schodami do drzwi służby załadunkowej, które uniósł na tyle, żebyśmy mogli przejść dołem.

Znaleźliśmy się w pustym magazynie o dobrze wypolerowanej betonowej podłodze. Umieszczone między krokwiemi lampy dawały po oczach jaskrawym światłem. Z daleka dolatywał pomruk generatorów.

— Prowadź do Felda — wydałem kolejne polecenie.

Aleksiej ruszył brudnym korytarzem.

Na końcu wyjął z kieszeni kółko z kluczami i otworzył ciężkie, stalowe drzwi.

Weszliśmy do pomieszczenia przypominającego wystawę zoologiczną. Ściany były zastawione terrariami i akwariami różnych wielkości, powietrze wypełnił zapach trocin, zwierzęcych odchodów i środków czyszczących.

W ścianach, wzdłuż których szliśmy, znajdowały się dziuple za szkłem. W wielu stały szalki Petriego obsługiwane przez robotyczne ramiona, które z kalibrowanych zakraplaczy podawały płyny albo przesuwwały przezroczyste szale, żeby łapały światło lub ciepło pod innym kątem.

Im dalej szliśmy, tym dziuple robiły się większe.

W jednej z nich dostrzegłem zakopane w błocie larwy, ledwie dostrzegalne dla oka.

W innej znajdowały się małe różowe korpusy wielkości nerkowców, przypominające małe myszki.

Sadzonki wyglądające na drzewka iglaste, tyle że z ciemnoczerwonymi igłami.

Była sekcja wypełniona terrariumami, w których znajdowały się owady, jakich nigdy nie widziałem i nie byłbym zdolny sobie nawet wyobrazić.

Jedna z większych dziupli została wypełniona wodą — utworzono tu morskie albo przybrzeżne środowisko z przezroczystą, bezkształtną rybą w środku, która wyglądała jak twór z innej planety.

Akwaria i terraria stawały się coraz większe.

Przypominający torbacza stwór wielkości mniej więcej kota zwisał łbem w dół na trójpazurzastych łapach. Otworzył ślepia koloru indygo — źrenice miał tak wąskie, że trudno je było w ogóle zauważyć.

W akwarium wypełnionym między innymi różową morską trawą pływał węgorz z łbem po każdej stronie ciała. Pulsująca tuż pod skórą elektryczność sprawiała, że migotał jak rtęć.

Nie mogłem się oprzeć i zatrzymałem się przed największym siedliskiem. Szyba sięgała od podłogi do sufitu. Kubatura akwarium była podobna do garderoby w przeciętnym mieszkaniu.

Stwór siedział w kącie, schowany za wiązką liści palmowych. Przypominał gremlina z filmu z 1984 roku, miał jednak mniejsze uszy, skrzydła i chyba mniej przerażające usposobienie.

W głębi pomieszczenia otworzyły się drzwi.

Przyciągnąłem Aleksieja bliżej i przyłożyłem mu pistolet do głowy.

W drzwiach pojawił się mężczyzna w białym laboratoryjnym kitlu. Uśmiechnął się na mój widok. Ty Feld był pięć centymetrów niższy ode mnie, miał kręcone, przetykane siwizną, czarne włosy, bujne bokobrody i wąsy, które pasowałyby do właściciela salonu na Dzikim Zachodzie. AOG miała go przez lata na oku. Nigdy nie zrobiliśmy mu wjazdu, choć wiedzieliśmy, że mieszka w penthousie w Wieży Babel i ma pracownię

w kilku starych budynkach w opuszczonej części Las Vegas. Oficjalnie nie mówiło się, dlaczego jest nietykalny, ale wszyscy i tak o tym wiedzieli. Był cichym zleceniobiorcą DARPA. Sprzedawał im zakazaną biotechnologię i od czasu do czasu dawał AOG cynk o bioterrorystach i swoich konkurentach. W ramach rekompensaty pozwalano mu prowadzić hodowlę egzotycznych syntetycznych stworów.

Za jego plecami, po bokach, czekało dwóch ludzi w czarnych garniturach. Obaj mieli słowiańskie rysy twarzy.

— Mały Logan Ramsay... — przywitał mnie.

— Witam, doktorze Feld.

— Przyszedłeś mnie aresztować?

— Nie pracuję już w AOG.

— Zabić?

— Potrzebuję wynająć pańskie laboratorium.

— Dlaczego miałbym się na to zgodzić, zamiast cię zabić?

— Jeżeli sądzi pan, że jest w stanie mnie zabić, proszę to zrobić. Siedmiu wyszkolonym ochroniarzom rozstawionym w strefie załadunkowej to się nie udało, ale może ta dwójka, która chowa się za panem, to prawdziwi dranie. Jeżeli chcą spróbować, będę musiał zabić Aleksieja. Wolałbym tego nie robić. Albo... to tylko sugestia... uzna pan, że został pokonany, i przejdziemy od razu do rzeczy.

Doktor Feld roześmiał się.

— Ostatnim razem, gdy cię widziałem, miałeś chyba dwanaście lat. Wygłaszałem wykład w Berkeley i twoja matka zaprosiła mnie na kolację.

— Miałem dziewięć. I został pan u nas dłużej.

— Naprawdę?

— Graliśmy w szachy.

— Nie pamiętam. Kto wygrał?

— Załatwił mnie pan w trzynastu ruchach.

— Znakomicie. — Popatrzył na mężczyznę za sobą. — Spocznij.

Puściłem Aleksieja, który poszedł w stronę Felda z głową zwieszoną niczym skarcony pies.

— Zabijcie go! — rzucił Feld.

Chwilę później cała trójka leżała martwa u stóp Felda, a ja ciągle jeszcze miałem jeden pocisk w komorze pistoletu, którym celowałem w jego twarz.

— Przepraszam — stwierdził Feld. — Musiałem spróbować o siebie zadbać.

— A więc teraz konstruuje pan smoki? — spytałem, wskazując na największe siedlisko.

— Byłbyś zaskoczony, jak wielu ludzi chce płacić za formę życia, której jeszcze nikt nie widział. Gdy udoskonale konstrukcję, sprzedam go za pięćdziesiąt milionów.

— Może latać?

— Nie, ale skrzydła się poruszają. Niestety nie pluje ogniem.

— Próbował pan?

— Rozważaliśmy taki pomysł. W królestwie zwierząt istnieją takie, które wytrzymują skrajne temperatury. Przyjrzelismy się genomowi *Alvinella pompejana*, bo ten wieloszczet żyje w pobliżu kominów hydrotermalnych w temperaturach powyżej osiemdziesięciu stopni Celsjusza. Przyglądaliśmy się alaskańskiej żabie leśnej i niesporczakom, który przeżywają przy zerze absolutnym. Niestety w królestwie zwierząt nie ma struktury biologicznej — a przynajmniej ja takiej nie znam — która może wytrzymać tysiąc stopni. — Roześmiał się. — I nie mam pojęcia, jak zbudować narząd zdolny do wytwarzania i wyrzucania z siebie ognia.

— Urodził się z istniejącej istoty, czy jest wyhodowany laboratoryjnie?

— Wyhodowany laboratoryjnie w syntetycznej macicy, niepołączonej

z żadnym organizmem. Nazywamy go Smaug.

Stworek nie wyglądał jak potężny, mityczny smok Tolkiena. Wyglądał... no cóż, nieco żałośnie.

Skórę miał pełną kolców, twardą i gruzelkowatą. Na moje oko musieli pożyczyć trochę DNA z genomu krokodyla. Tylne łapy wyglądały podobnie jak łapy warana z Komodo.

Smaug otworzył ślepia — gadzie i nieziemskie. Wpatrywał się w nas przez szybę.

— To bardzo niedoskonały stwór — stwierdził Feld. — Gdy rósł, tułów rozwijał się nieco szybciej, niż mogłyby unieść poprzeczne struktury kostne. Właśnie skończyliśmy edycję kości, aby je powiększyć i zagęścić. Za kilka tygodni będzie wiadomo, czy się udało.

Smok wypełził spod liści palmowych, zanurzył kanciasty łeb w jeziorze wody i zaczął pić.

— Dlaczego się tu pojawiłeś? — spytał Feld.

— Widział pan wiadomości z Glasgow?

— Oczywiście. Słyszałem, że wojsko tworzy kordon wokół miasta. Zamykają wszystko w środku.

Streściłem mu krótko sytuację, a gdy skończyłem, odrzucił głowę do tyłu i długo się śmiał. Aż pojawiły mu się łzy w oczach.

— Twoja matka... Zabija dwieście milionów ludzi, niszczy dziedzinę nauki — w tym dorobek mojego życia — potem finguje swoją śmierć tylko po to, aby ponownie stanąć na nogi i przywalić jeszcze mocniej! — Westchnął i zebrał się w sobie. — I to udoskonalenie działa?

— U niektórych osób.

— Jak to osiągnęła?

— Nie mam pojęcia, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że

przepuściła wszystkie biodane, jakie zebrała w ramach Story of You, przez eksaskalowy procesor.

— No tak, oczywiście. — Oczy mu zapłonęły i za facjatą przestępcy dostrzegłem naukowca. — Miała dane. Prawdopodobnie stworzyła algorytm pozwalający za pomocą inżynierii odwrotnej określić kod DNA z cech fizycznych klientów. Rany! Naprawdę tego dokonała! Napisała program ekstrapolujący genotyp z fenotypu. — Obserwowałem, jak myśli. — W kwestionariuszu ludzie mogą kłamać. Prawdopodobnie stworzyła boty do przeglądania publicznych baz danych i porównywania aktów zgonów. Media społecznościowe. Zhakowała kilka towarzystw ubezpieczeniowych, aby porównać swoje dane z ich zapisami medycznymi. Uzyskała sensowny przedział ufności. — W jego głosie słychać było zazdrość.

— Moja siostra zamierza uwolnić udoskonalenie matki.

— Jak?

— Za pomocą zakaźnego, bezobjawowego wirusa.

— Z jakim R-zero?

— Prawie dziewięć.

Feld pokręcił głową. Był pod wrażeniem.

— Czekają nas ciekawe czasy.

— Potrzebuję laboratorium.

Wzruszył ramionami.

— Uważasz, że próba powtrzymania jej naprawdę jest warta zachodu? — Przez ułamek sekundy jego oczy były studnią żalu. — Kończymy się, Logan. Za późno na wylewanie wody z tego tonącego okrętu. W zasadzie nigdy nie próbowaliśmy. Do tego nie ma szalup ratunkowych. Żyj, jakby świat się kończył, bo tak jest. — Wbił we mnie wzrok. — Nie przekonałem cię, co?

— Nie.

— No cóż... — Popatrzył na martwych ochroniarzy. — Zatem *mi casa, su casa*²³.

Główne laboratorium zajmowało kilkaset metrów kwadratowych w rogu dawnego Walmartu — ściany były zastawione serwerami i drukarkami DNA.

Feld zaprowadził mnie do trójwymiarowego pulpitu 3D genowej stacji roboczej, zalogował mnie do systemu i zostawił, żebym się pobawił.

Wykorzystując cebulkę włosów, którą wziąłem ze szczotki Kary, program mojego autorstwa przeprowadził funkcjonalną analizę porównawczą mojego genomu z jej genomem. Dokonała zmian w wybranych genach swojego DNA, modyfikując ich ekspresję w sposób daleko wykraczający poza granice wyznaczone przez oryginalne udoskonalenie matki — w szczególności te sieci genów, które odpowiadają za koncentrację, rozpoznawanie wzorców oraz ogólne funkcje umysłowe.

Wprowadziłem wyniki nowej analizy genomu Kary do sztucznej inteligencji Felda, która szybko zestawiała listę modyfikacji oraz przynależnych docelowych narządów i systemów genów.

Jeśli chciałem mieć szansę na powstrzymanie siostry, będę musiał też poprawić swoje zdolności — co najmniej wprowadzić je na poziom Kary, a nawet wyższy. Ona miała na to czas — kilka miesięcy — i mogła delikatnie dokonywać zmian, jedną po drugiej, niestety ja tego czasu nie miałem. Cokolwiek wymyślę, będzie musiało być szybkie i niezbyt wyrafinowane.

Ponieważ jednak dysponowałem dużo większą niż siostra wiedzą o inżynierii genetycznej, wpadłem na pewien pomysł.

Większość genów i sekwencji regulacyjnych posiadamy w dwóch kopiach. Pierwotne udoskonalenie, jakie stworzyła matka, trzymało się

planu Matki Natury, modyfikując tylko jedną kopię genu. Zmodyfikowanie obu, co znane jest pod nazwą zwiększonego dozowania genów, jest sprawdzoną brutalną metodą nasilania ekspresji fenotypowej — aczkolwiek ryzykowną. Na przykład pięćdziesięcioprocentowy wzrost dozowania genów na chromosomie 21q zmienia przebieg czasowy, schemat i zakres rozwoju, tworząc zaburzenie genetyczne znane pod nazwą zespołu Downa.

Aby dorównać temu, co zrobiła Kara, do tego szybko, będę musiał podwoić wiele z moich już zmodyfikowanych genów, aktywując także cichą kopię w celu uzyskania maksymalnej ekspresji — czyli dać mocnego kopa delikatnie zbilansowanemu systemowi.

Przystąpiłem do pracy. Gdy mogłem, przespiałem kilka godzin w samochodzie. Od czasu do czasu biolodzy i wirusolodzy Felda przychodzili popatrzeć, co robię, trzymałem jednak język za zębami i ograniczałem kontakty z nimi do minimum.

Za pomocą kopiarek DNA sprokurowałem kilka różnych miniokręgów DNA, z których każdy był samowystarczalnym, samoreplikującym się wektorem dostarczania specyficznego zestawu genów i instrukcji.

Trzeciego dnia załadowałem surowe sekwencje genetyczne i włączyłem zestaw kopiarek i urządzeń do montażu DNA, żeby stworzyć cząstkę zawierającą wszystko w dokładnie dobranych ilościach, mających odpowiednią czystość i w pełni zsyntetyzowanych chemicznie.

W dalszym ciągu nie miałem nośnika, który wprowadziłby wszystko do mojego organizmu znacznie szybciej od wektora wirusowego użytego przez matkę do naszego pierwszego udoskonalenia, a Kara do swojego drugiego. Potrzebowałem czegoś, co wchłonęłoby moją miksturę sekwencji DNA i minigenów i wstrzeliło nowe DNA do moich biednych porozciąganych komórek.

Pracowałem dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

Gdy w końcu wstałem od komputera, poszedłem się przejść między kolumnami, gdzie kiedyś mieścił się dział sportowy.

Przypomniał mi się pewien artykuł. Czytałem go piętnaście lat temu w trakcie lotu samolotem naddźwiękowym z Waszyngtonu do Los Angeles, rozumiejąc go wtedy jedynie w połowie. Na szczęście zachował się w mojej pamięci.

Analizowano w nim plusy i minusy różnych metod dostarczania genów. Jednym z najdokładniej omawianych sposobów było użycie siły hydrodynamicznej — techniki, w której wykorzystywano do podania dużej porcji DNA wstrzyknięcia pod ciśnieniem, czyli mówiąc inaczej, wstrzeliwano paczkę genów przez ściany komórek z wykorzystaniem szoku osmotycznego²⁴, dzięki czemu ciało było niezwykle skutecznie nasączone. Działanie siły hydrostatycznej nie jest przyjemne dla poddawanej takiemu zabiegowi osoby, trudno ją było jednak pokonać w zakresie szybkości wprowadzania do układu czegoś podobnego do tego, co ja miałem zamiar sobie wstrzyknąć.

Poza zaszczepieniem się potrzebowiałem specjalnego systemu aplikacji, który pozwoliłby pokonać barierę krew–mózg, aby zmiany mogły dotrzeć do mózgu. Musiało to być zarazem szybkie i delikatne rozwiązanie. Zrobiłem w tym celu nanocząsteczki i umieściłem na nich pakiety genów, które zostaną przetransportowane prosto do mózgu za pomocą inhalatora.

Gdy powiedziałem Feldowi, co robię, popatrzył na mnie, jakbym stracił rozum.

— Są zabawniejsze sposoby na samobójstwo niż niewydolność wielonarządowa.

— Ma pan lepszy pomysł na szybką dostawę?

Nie miał.

Sześć dni po przybyciu do laboratorium uścisnąłem Feldowi dłoń

i podziękowałem za gościnność, choć nie dałem mu w tym zakresie wielkiego wyboru.

— Jeśli to zrobisz, będzie z ciebie grzanka, wiesz o tym, prawda? Ludzkie ciało nie jest w stanie wytrzymać tego, co chcesz mu zaordynować.

— Pewnie ma pan rację — odparłem.

— Mimo to życzę szczęścia. Nie zapomnij, że ci pomogłem.

— Po tym, jak próbował mnie pan zabić. Dwa razy.

— No tak... tylko dwa razy. — Uśmiechnął się, ja zaś zeskoczyłem z rampy załadunkowej i poszedłem spieczonym słońcem asfaltem do samochodu.

Zaczynało mi brakować czasu na znalezienie Kary, więc po raz pierwszy od sprokurowania sobie nowej tożsamości, postanowiłem odbyć podróż samolotem.

Dwanaście minut od startu z lotniska Harry Reid International byliśmy na wysokości trzydziestu tysięcy metrów. Leciałem osiemdziesięcioosobowym boeingiem, a choć silniki strumieniowe pchały maszynę z prędkością półtora kilometra na sekundę, dopóki nie spojrzano się w dół i nie ujrzało oldskulowych odrzutowców naddźwiękowych dziesięć kilometrów niżej, a potem jeszcze bardziej oldskulowych odrzutowców poddźwiękowych kolejne siedem kilometrów niżej, nie odczuwało się jakiegokolwiek ruchu. Tylko staromodne samoloty zdawały się pędzić do tyłu.

Obserwowałem krzywiznę Ziemi — delikatną, błękitną mgiełkę atmosfery przechodzącą w czarną otchłań kosmosu.

Po dwudziestu minutach na wysokości przelotowej było słyhać i dało się wyczuć, że silniki się wyłączają. Pilot oznajmił, że zaczynamy opadać lotem ślizgowym w kierunku Waszyngtonu.

Po raz pierwszy od ponad roku wracałem do domu.

Zegar na desce rozdzielczej pokazywał, że jest za kwadrans siódma wieczorem. Było ciemno i deszczowo. Mój dom został odmalowany — odświeżono obicie z desek, listwy wykończeniowe zmieniły kolor z bordowego na granatowy, drzwi zostały pomalowane na czerwono.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy nie wahałem się. Minichłodziarka zawierająca moje nowe udoskonalenie była przypięta pasem do siedzenia pasażera. Mogłem zaaplikować ją sobie w Vegas — wręcz powinienem był to zrobić właśnie tam — a jednak przyjechałem do Waszyngtonu.

Przyszłość była jedną wielką niewiadomą i po raz ostatni chciałem zobaczyć moją rodzinę.

Poprawiałem włosy we wstecznym lusterku, próbując przybrać bardziej wyjściowy wygląd, gdy otworzyły się frontowe drzwi.

Na progu stanęła Beth.

Miała na sobie zieloną sukienkę, której jeszcze nie widziałem, i zmieniła fryzurę z włosów naturalnej długości do ramion na wycieniowanego, asymetrycznego boba.

Zamknęła drzwi i ruszyła w kierunku ulicy.

Nadszedł ten moment.

Gdy sięgałem do klamki, aby otworzyć drzwi samochodu, w oddali pojawiły się światła reflektorów. Jaskrawa plama rozpadła się w strugach deszczu ściekających z przedniej szyby mojego wozu na tysiące kawałków.

Czekałem, obserwując, jak pojazd bez kierowcy podjeżdża do krawężnika.

Beth otworzyła tylne drzwi i wsiadła.

Po trzech kilometrach samochód Beth zatrzymał się przed restauracją La Fleur, gdzie jadalіśmy przy szczególnych okazjach. Tutaj świętowało się rocznice i obchodziło urodziny. To miejsce, gdzie w karcie nie było

syntetycznych dań, a ceny zapierały dech w piersi. La Fleur wybierało się wtedy, gdy chciało się zrobić na kimś wrażenie. Sprzedawano tu coś, za co ludzie byli gotowi słono zapłacić: przeżycie, jak to kiedyś było jeść na mieście „po światowemu”.

Beth wyskoczyła z samochodu, przebiegła przez chodnik i zniknęła w środku.

Wjechałem na pierwsze wolne miejsce i wysiadłem na deszcz.

Mimo złej pogody chodniki były pełne ludzi.

Szedłem w oparach perfum.

Przed wejściem do La Fleur kłębili się klienci stojący w kolejce do pulpitu hostessy. Nie było wśród nich Beth, a główna sala, w której się jadło, była zasłonięta czerwonymi kurtynami.

Przecisnąłem się przez tłum, przepraszając na lewo i prawo, a gdy hostessa pochylała się z ołówkową latarką nad listą rezerwacji, prześlizgnąłem się przez czerwone zasłony.

Sala była ciemna, ale panował w niej gwar.

Każdy stół nakryty bielutkim obrusem i oświetlany lekko drżącym światłem świec był zajęty. Przy wielu stały kubeczki z szampanem.

Gdy usunąłem się z drogi kelnerowi niosącemu tacę z martini, ujrzałem zieloną sukienkę Beth.

Siedziała plecami do mnie, przy dyskretnym stoliku w najdalszym kącie sali.

Z mężczyzną.

Ruszyłem w ich kierunku przez kontrolowany chaos, który tworzyli goście i kelnerzy.

Świat wokół mnie się rozplynął.

Widziałem jedynie twarz mężczyzny siedzącego naprzeciwko mojej

żony. Wyglądał znakomicie i był bardzo dobrze ubrany: w sztytą na miarę czarną marynarkę nałożoną na drogi biały T-shirt.

Pochylał się do przodu i śmiał, a gdy podszedłem bliżej, ujrzałem, że położył rękę na stole bardzo blisko dłoni Beth.

— Proszę pana?

Odwrociłem się. Przede mną stała hostessa.

— Szuka pan swojego stolika?

— Tak, ale nie widzę znajomych. Myślałem, że już są.

— Na jakie nazwisko była rezerwacja? Sprawdzę, czy już się zgłosili.

— Nie wiem, kto robił rezerwację.

— Rozumiem. A pańskie nazwisko?

— Robbie.

— Gdyby był pan tak uprzejmy i zaczekał przy barze...

Usiadłem na jedynym stołku, z którego miałem widok na stolik Beth, w pełni godząc się z rozżarzoną do białości zazdrością, jaką czułem wobec mężczyzny, z którym była. Teraz jednak — jak w przypadku wielu innych emocji — byłem zdolny odłożyć ją na bok. Wykroczyć poza swój sentymentalizm.

Zamówiłem drinka, którego nawet nie ruszyłem, i obserwowałem stolik Beth.

Zamówili koktajle, wino, jedzenie.

Rozmowa szła im jak z płatka.

Język ciała, okoliczności, fakt, iż był to czwartek, restauracja francuska, droga i romantyczna — wszystko to przemawiało za tym, że... Nie, nie przemawiało — krzychało: RANDKA! Trzecia. Może czwarta.

Kelner przyniósł im butelkę wina. Adorator Beth dał przedstawienie z wążania korka i uważnej obserwacji barwy pierwszej wlanej do kieliszka porcji.

Gdy sommelier odszedł, mężczyzna odsunął swoje krzesło i wstał. Patrzyłem, jak idzie do holu po drugiej stronie restauracji, skąd prawdopodobnie szło się do toalet.

Rzuciłem na bar kilka banknotów i ruszyłem do stolika, przy którym siedziała moja żona.

Była ode mnie oddalona o jakieś sześć metrów, pisała esemesa.

Serce waliło mi jak oszalałe. Miałem wrażenie, jakby w moim ciele nagle zamieszkał ktoś inny... oczywiście: stary Logan. Ciągłe jeszcze jeniec ludzkich potrzeb. Rzucany po oceanie swojego istnienia przez wichry, których nie był w stanie pojąć, a tym bardziej nad nimi zapanować.

Nowy Logan nie krzyczał, tylko spokojnie powtarzał: *To nie jest dobry sposób. To sprowadzi na nią niebezpieczeństwo.*

Trzy metry do stołu.

Półtora.

To nie jest dobry sposób.

Przez wszystkie konkurujące ze sobą kuchenne aromaty przebił się do mnie zapach żony: połączenie perfum, płynu do kąpieli i mleczka kosmetycznego, pod spodem tajemnicza alchemia feromonów i jej elementarny zapach, który bez trudu wniknął do tego, co mi pozostało z gadziego mózgu. Emocjonalne uderzenie było silniejsze niż cokolwiek, co odczuwałem od chwili udoskonalenia.

Nadal ją kochałem.

Nagle wszystko zniknęło — stary Logan został odsunięty.

Ujrzałem wszystko bardzo wyraźnie. Widziałem siły, które mnie tu sprowadziły.

Zazdrość, strach i żal.

Klapki na moich oczach — a wszystko to z egoizmu.

Stanowiłem niebezpieczeństwo dla Beth, dla naszej córki.

Nie byłem dla nich najlepszym wyborem.

Beth kątem oka zauważyła, że podchodzę.

Zaczęła odwracać głowę w moją stronę.

Ostro skręciłem w bok, minąłem stolik, potem mężczyznę, z którym się spotykała. On właśnie wracał z toalety. Nie widział mnie. Był całkowicie skupiony na Beth i bez trudu dostrzegałem na jego twarzy mikroekspresje będące oznaką zainteresowania, podniecenia, żądz.

Po wyjściu usiadłem w smagany deszczem samochodzie, obserwując przechodzących chodnikiem ludzi.

Odpiąłem zabezpieczający chłodziarkę pas i otworzyłem pokrywę. Włożyłem dłoń w rozpuszczający się lód i złapałem pierwszą z ośmiu dużych strzykawkę — każda zawierała opis, w które miejsce ciała należy wstrzyknąć jej zawartość.

Położyłem strzykawkę na konsolce między siedzeniami, podwinąłem lewy rękaw, owinąłem ramię tuż nad łokciem gumową taśmą i przemyłem miejsce wstrzyknięcia nad żyłą łokciową mokrym wacikiem.

Samochód wypełnił ostry zapach alkoholu izopropylowego.

Wziąłem strzykawkę, wypchnąłem przez czubek igły kroplę płynu. Efekt powinien nastąpić po godzinie od wstrzyknięcia. Miałem wynajęty pokój w Mandarin Oriental. Do hydrodynamicznego wstrzelenia głównych udoskonaleń układowych zaplanowałem zastrzyk pod ciśnieniem, do nanocząsteczek, które miały przejść przez barierę krew–mózg i bezpośrednio dotrzeć do mózgu — zmodyfikowany inhalator. Z nanocząsteczkami zaczekam, aż dotrę do hotelu, bo ich działanie będzie natychmiastowe.

Za zalany deszczem szybami mignęła zieleń. Beth szła chodnikiem, osłonięta parasolem trzymany przez mężczyznę, z którym jadła kolację. Trzymała go pod ramię. Na palcu nie miała obrączki. Rozmawiali, ale przez

bębnie intensywnego deszczu o dach samochodu nie byłem w stanie dosłyszeć słów.

Większą część jej twarzy skrywał parasol, ale widziałem usta mojej żony.

Uśmiechała się.

Czy to będzie ostatni obraz Beth, jaki zapamiętam?

I myśl o starym Loganie.

Gdy przeszli tuż obok, wychwyciłem przez szybę śmiech Beth. Na wysokim rejestrze, melodyjny. Zawsze kojarzył mi się ze światłem słońca.

Jeszcze chwila i rozplłynęli się w tłumie — kolejna para w morzu parasoli. Znów uderzyło mnie, jak bardzo przedstawiciele naszego gatunku potrzebują siebie nawzajem. Wszyscy ci ludzie w zimnym deszczu. Aby się śmiać i pić. Aby rozmawiać o niczym. Tak, jakby ta potrzeba kontaktu była naszą... ich... krwią życia.

Nie byłem samotny.

Stary Logan był samotny. Tyle że umierał.

Popatrzyłem na strzykawkę.

Wbiłem igłę w żyłę.

¹⁴ Shoe — urządzenie używane do układania większej liczby kart. Krupier rozdaje z niego karty.

¹⁵ Pot odds — stosunek między możliwą wygraną a kosztem, jaki gracz musi ponieść, aby tę wygraną otrzymać.

¹⁶ Dolina niesamowitości (ang. *uncanny valley*) — termin stosowany w hipotezie naukowej, zgodnie z którą robot, rysunek lub animacja komputerowa wyglądające bądź funkcjonujące podobnie (lecz nie identycznie) jak człowiek wywołuje u obserwatorów nieprzyjemne odczucia (za: https://pl.wikipedia.org/wiki/Dolina_niesamowito%C5%9Bci).

¹⁷ Centers for Disease Control and Prevention — grupa ośrodków naukowych, których zadaniem jest kontrola chorób.

¹⁸ Triage, triaż — procedura segregacji stosowana w medycynie ratunkowej, która pozwala

służbom medycznym podzielić chorych wedle kolejności potrzeby udzielenia pomocy.

[19](#) Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.

[20](#) Spoofing — grupa ataków na systemy teleinformatyczne polegająca na podszywaniu się pod inny element systemu informatycznego.

[21](#) EDTA (ang. ethylenediaminetetraacetic acid) — kwas wersenowy. Jednym z jego działań jest zapobieganie pozaustrojowemu krzepnięciu krwi.

[22](#) Kilozasada (kz) — jednostka długości równa 1000 par zasad (kpz) w dwuniciowej cząsteczce kwasu nukleinowego lub 1000 zasad (kz) w cząsteczce jednoniciowej.

[23](#) *Mi casa es su casa* (hiszp.) — Mój dom jest twoim domem.

[24](#) Szok osmotyczny — nagła zmiana stężenia substancji rozpuszczonej wokół komórki.

CZĘŚĆ TRZECIA

W XXI wieku trzecim wielkim projektem ludzkości będzie zdobycie boskich mocy tworzenia i niszczenia oraz wyniesienie homo sapiens do poziomu homo deus.

Yuval Noah Harari, *Homo deus. Krótka historia jutra*²⁵

13

W mojej głowie szalał ognisty deszcz.

Oczy wywracały mi się do tyłu, ciało dygotało, bezwiednie skuliłem ramiona, z ust spływała mi piana.

Po kilkunastu sekundach atak minął.

Miałem wrażenie, że kości mi się rozpuszczają, a coś próbuje wydostać się z mojej czaszki, używając czekana. Dotarłem do cudownie chłodnych kafelków w łazience hotelowego pokoju i wciągnąłem się do wanny, którą wcześniej wypełniłem lodem.

Opadając w przeraźliwie zimną wodę, jęknąłem.

Wszystko mnie bolało.

Każda komórka ciała wyła.

Gdy rozpalona skóra roztopiała lód, po głowie krążyła mi jedna myśl:
Zaraz umrzesz.

Mój umysł się rozpadał. Nie istniał żaden ośrodek, który kierowałby wchłanianiem. Nic nie szeregowało napływających bodźców. Kąty, pod

jakimi rosły włosy na moim przedramieniu, domagały się tak samo wielkiej uwagi jak kapiąca w rytmie co czterdzieści dwie sekundy woda z kranu, jak ślady pociągnięć kielnią na teksturowanym suficie, jak częstotliwość mojego mrugania, jak wzorek kafelków na ścianie i różniczki grubości cementu w fugach, gdy tętno spadło mi poniżej czterdziestu uderzeń na minutę, a wzgórze, podkorowy przełącznik informacji czuciowych płynących z obwodu do kory, filtrujący i organizujący informacje, obwody korowo-wzgórzowe, które rządzą wolicjonalną kontrolą informacji sensorycznych za pomocą modulacji i utrzymywania interakcji czynnościowych w obszarach korowych i między nimi... Spieprzyłem sprawę.

Kompletnie spieprzyłem.

Zniszczyłem sobie umysł.

Jęknąłem.

Mój mózg był poddawany torturom.

Czas zwalniał bieg, jakby pełzał...

Wpatrywałem się w potop informacji sensorycznych przesuwających się w zwolnionym tempie, spływających mi po twarzy, cała moja uwaga przywierała równocześnie do każdej kropli, świadomość dzieliła się i znowu dzieliła, i dzieliła od nowa, aż...

Z lewej strony klatki piersiowej miałem parzący kamień.

Całe ciało coraz bardziej się rozgrzewało, krew w nim krzepła.

Narządy walczyły.

Przegrywały.

Wszystko mnie bolało. Nie mogłem oddychać...

...wzięłem haust powietrza, moje serce znowu zaczęło bić.

Przez sto czterdzieści koszmarnych sekund moje serce stało, ale nieustannie tonąłem w wirze danych sensorycznych, własne myśli zdawały

się dolatywać niczym głosy spoza ciała, wiele głosów, a umysł dzielił się i dzielił...

Myślałem o ośmiu rzeczach naraz.

Potem o szesnastu.

Potem...

Zamknąłem oczy.

Ciemność.

Ulga.

Odzyskałem przytomność, dygocząc w wodzie o temperaturze dwudziestu stopni Celsjusza. Chwyciłem krawędzie wanny, żeby wyjść, ale nie miałem siły wstać.

Rozejrzałem się dookoła.

Poczucie, że rozgrywa się we mnie pozbawiony kierunku, bezsensowny horror, minęło, choć jeszcze nie było jasne, czy faktycznie minęło, czy jedynie tkwiłem w oku cyklonu.

Pasma piekącego światła wnikały przez szparę między zasłonami. Nie miałem pojęcia, jaki jest dzień. Od kiedy tkwię w tym pokoju. Wiedziałem tylko, że jestem potwornie spragniony i nadal spala mnie gorączka.

Wpełzłem na łóżko, chwyciłem butelkę wody, która stała obok niego, i wypilem ją do dna. Przed wciągnięciem nosem nanocząsteczek założyłem sobie wenflon i zaaplikowałem dożylnie roztwór soli, ale w trakcie pierwszego napadu tak machałem rękami, że go sobie wyrwałem, więc kolejny wlew nie wchodził w rachubę.

Po wypiciu drugiej butelki wody spróbowałem wstać. Udało mi się.

Pokuśtykałem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Ostre światło zmusiło mnie do osłonięcia oczu.

Niebo nad stolicą było szare, zimowe. Z apartamentu na siódmym piętrze

widać było porty żaglówek na Kanale Waszyngtońskim, a w oddali białą kopułę pomnika Jeffersona.

Siły zaczęły mnie opuszczać.

Opadłem ciężko na stojące przy oknie krzesło.

W nocy moje sny przypominały kalejdoskop.

Obserwowałem, jak mój umysł programuje się na nowo i przemienia.

Byłem na krawędzi, odczuwając zarazem ból i ekstazę.

Zrozumiałem wszystkie siły — genetyczne, środowiskowe, kaskadę z góry przeznaczonych wyborów — których sumą byłem. Zobaczyłem siebie jako nieuniknione rozwiązanie równania, jakim było moje istnienie. Wreszcie zrozumiałem, że nie ma czegoś takiego jak wolna wola, ponieważ nie można wybrać swoich pragnień, a jedynie to, czy chce się za nimi podążać, czy nie.

Widziałem w perspektywie czasu wszystkie stare wersje Logana.

Do tej chwili będącego jedynie załączkiem.

Zastanawiałem się, kim się stałem.

Czym się stałem.

Płakałem.

Krzyczałem.

Śmiałem się histerycznie.

Wbijałem sobie paznokcie w skórę i rwałem włosy z głowy.

Chciałem umrzeć.

Chciałem żyć wiecznie.

Gdy obudziłem się rano, to szaleństwo minęło. Wstałem z łóżka i poczłapałem do salonu.

Rozejrzałem się dookoła, pozwalałem, aby wszystko mnie zalewało.

W dalszym ciągu byłem ultraświadomy każdego napływającego bodźca, coś jednak się zmieniło. Mogłem teraz wedle woli dzielić umysł na więcej

niż dwa kanały świadomości. A co ważniejsze, gdy miałem na to ochotę, mogłem odciąć się od kanonady bodźców.

Zrobiłem próbę, skupiając się na...

...sposobie, w jaki centralne ogrzewanie sprawiało, że zasłony zdawały się oddychać niczym płuca jakiegoś stwora z kosmosu;

...musze, maniakalnie brzęczącej w stojącym w pobliżu koszu na śmieci;

...minilodówce buczącej z powodu zabrudzonego kompresora z częstotliwością czterdziestu dziewięciu herców.

Mój intelekt już zaczął pracować pełną parą, skupiając się na Karze.

Moje pragnienie było jedynie neurologicznym artefaktem, manifestacją działania angiotensyny II na receptory angiotensyny II w narządzie podsklepieniowym, silnie unaczynionym obszarze mózgu znajdującym się niedaleko komór, w reakcji na zmniejszoną objętość krwi.

Głód był kolejnym artefaktem sensorycznym i nie wiem skąd, wiedziałem, że to jedynie neuroprzekaźniki serotoniny (inaczej mówiąc: 5-HT) oraz katecholaminy znajdujące się w moich neuronach serotonergicznym, splot nerwów błony mięśniowej jelita, komórki chromochłonne w nabłonku przewodu pokarmowego oraz płytki krwi, każą mi jeść.

Gdy pozwoliłem dotrzeć do mózgu większej liczbie myśli i bodźców i zacząłem je przetwarzać, zdarzyło się coś niezwykłego.

Czas zdawał się wydłużać, rozciągać. Podobnie jak w reakcji lękowej, która uruchamia ciało migdałowate, żeby generowało więcej wspomnień, moja wielostronna świadomość wykształcała liczbę wspomnień pomnożoną o współczynnik X, przy czym X oznaczało liczbę części, na jakie podzieliłem świadomość. Wywołało to złudzenie spowalniania biegu czasu — do ułamka zwykłej prędkości, proporcjonalnej do tegoż X.

Innymi słowy, dzieląc świadomość oraz skupiając się równocześnie na

kilku bodźcach, mogłem spowalniać moje postrzeganie czasu. Im bardziej podzieliłem świadomość, tym wolniej zdawał się płynąć czas.

Ciekawe, czy możliwe byłoby zatrzymanie się w jakiejś chwili, sprawienie, aby dana sekunda stała się światem samym w sobie? W laboratorium Felda bez trudu antycypowałem ruchy jego ochroniarzy, ale to było nic w porównaniu z tym, co stało się teraz moim udziałem.

Wcześniej, w wannie, ta sytuacja była torturą, ponieważ nad nią nie panowałem. Nie mogłem niczego zatrzymać czy choćby spowolnić. Teraz było inaczej. Jakbym naprawdę potrafił spowalniać bieg czasu.

Zmienił się dźwięk dolatujący zza zasłoniętych okien. Był stłumiony. Padał śnieg.

Podszedłem do drzwi balkonowych i wyszedłem na zewnątrz.

Pozwoliłem świadomości podzielić się, podzielić, podzielić i jeszcze raz podzielić, aż płatki śniegu niemal znieruchomiały. Obserwowałem jeden z nich, jak powoli opada i mija czubek mojego nosa. Samochody stały się bezgłębne, ludzie na chodnikach trzydzieści metrów niżej ledwie się poruszali, hiperdrzewotowiec jedynie o milimetry przesuwiał się na niebie.

Zamrugalem i wróciłem do jednej świadomości.

Wszystko znowu biegło zwykłym tempem.

Teraz było jasne, w jaki sposób Kara uchylała się przed pociskami.

Wiedziałem coś jeszcze. O ile przedtem formułowałem tylko niejasne teorie i snułem oparte na logice domysły, teraz, z rozpuszczającym się na twarzy śniegiem, miałem kryształowo czystą wizję, jak moja siostra wypuści udoskonalenie w świat.

Wiedziałem nawet, kiedy to zrobi.

Wbiłem mu igłę w żyłę tak energicznie, że zadrżał. Po wciśnięciu tłoka przykleiłem strzykawkę — nie wyjmując igły — kawałkiem plastra do jego przedramienia, po czym wróciłem na krzesło.

W sypialni było ciemno i gdy siadałem, krzesło zaskrzypiało.

Wziąłem kilka głębokich wdechów.

Sekundy miały dwa razy wolniej, ponieważ z jednej strony byłem tu, gdzie byłem, a z drugiej myślałem o siostrze.

O nogi otarł mi się czarny kot, mruczając z zadowolenia.

Edwin Rogers przewrócił się na drugi bok i ponownie znieruchomiał.

Słysząc było jedynie jego ciche pochrapywanie, szept ciepłego powietrza wdmuchiwanego przez otwory wentylacyjne i mruczenie kota.

Mój mózg najchętniej zająłby się dwudziestoma dziewięcioma źródłami bodźców, ale nie zamierzałem na to pozwolić. Zaprzeczenie w dalszym ciągu wymagało świadomego wysiłku. Wkrótce się do tego przyzwyczaję.

Byłem na piętrze szeregowca z czerwonej cegły w Georgetown, który należał do dyrektora. Cztery przecznice od Potomacu.

Była godzina druga dwadzieścia siedem w nocy.

Chrząknąłem głośno. Edwin poruszył się pod kołdrą. Ponownie chrząknąłem, tym razem znacznie głośniejsze. Edwin obudził się, zdezorientowany, usiadł i zaczął wpatrywać się w ciemność.

— Ten odgłos to nie sen — powiedziałem.

Rzucił się w kierunku szafki przy łóżku i otworzył szufladę.

— Nie szukaj broni. Ja ją mam.

Edwin popatrzył w moją stronę. W pokoju było tak ciemno, że nie musiałem się obawiać, iż zobaczy coś więcej niż zarys mojej sylwetki. Ja za to widziałem go świetnie.

— Kim jesteś?

— Twoim nieudanym eksperymentem laboratoryjnym.

Na chwilę zamarł. Spojrzał na swoje lewe przedramię. Dotknął przyklejonej plasterm strzykawki. Przyjrzał się wciśniętemu tłokowi. Oderwał plaster i wyjął igłę z żyły.

— Co mi wstrzyknąłeś?

— O tym porozmawiamy później.

— Zwariowałeś, Logan? Jeżeli moja żona...

— Przecież nie ma jej w mieście.

— Na zewnątrz jest ochrona. Jakim sposobem...?

— To nieistotne.

Pochyliłem się i zapaliłem stojącą przy łóżku lampkę.

Edwin wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

Przed udoskonaleniem większość ludzi było dla mnie tajemnicą — jak góry zasnuwane chmurami i mgłą. Zdawałem sobie sprawę z tego, że istnieją, ale ich prawdziwy kształt pozostawał nieznany. Moja zdolność przewidywania zachowania innych ludzi — nawet żony i córki — była mniej niż szczątkowa. Pierwsze udoskonalenie nieco tę mgłę rozwiało.

Teraz, gdy objawiały się skutki mojego drugiego udoskonalenia, zaczęła mi się ukazywać sieć głęboko powiązanych ze sobą uprzednio niedostrzegalnych sił. Widziałem nie tylko strach Edwina, lecz także wszystkie czynniki, które wywierały na niego presję, aby ten lęk pokonać — wielorakie, konkurujące ze sobą tożsamości jako męża, ojca, dziadka, dyrektora AOG, funkcjonariusza organu egzekucji prawa, mentora, przyjaciela, zdrajcy, naukowca i żywego, oddychającego organizmu, który nie chciał umrzeć.

Było to tak, jakby widzieć niepoddające się wiatrowi drzewa, i wiatr, nadciągający na długo przedtem, zanim pierwsze z nich się zegnę. Na dodatek wiedzieć, w jaki sposób i w którym momencie owo drzewo ulegnie porywom wiatru.

Różnica między tym, co sądziłem o Edwinie, a tym, kim był naprawdę, bardzo się zawężała. Dysponowałem każdym wspomnieniem z nim związanym, pamiętałem każde słowo, jakie wypowiedział kiedykolwiek

w mojej obecności, każdą jego reakcję sprzed mojego udoskonalenia — dzięki temu stworzyłem niemal doskonały model umysłowy osoby, jaką jest w danym momencie, i wiedziałem, co zrobi za chwilę. Nie chodzi o to, że czytałem mu w myślach. Tak samo jak nie spowalniałem rzeczywiście czasu. Choć wszystkie te spostrzeżenia nie udzielały dokładnej informacji, wrażenia z nimi związane stanowiły dobrą podstawę do wnioskowania i dedukcji.

Zaglądałem do jego wnętrza.

Przed oczami miałem tajemniczą strukturę tożsamości Edwina — całkowicie odsłoniętą, odkrytą.

Był jak doskonale widoczna góra w przejrzysty jesienny dzień.

Nie miał tajemnic. Tkwił uwięziony w nieskończonej pętli swoich pragnień, które storpedują każdy impuls, żeby zachować się nieprzewidywalnie.

Będzie działał w sposób standardowy.

Zegnie się tak, jak zawieje wiatr.

A ja widziałem wiatr.

Więcej: mogłem być wiatrem.

W tym momencie myślał: *Nie wiedziałem, co z tobą zrobić. Nie wiedziałem, w jaki sposób udoskonalenie cię zmieni. Przykro mi.*

Powiedział jednak co innego.

— Przepraszam za wszystko. Potraktowałem cię jak szczura laboratoryjnego. Okłamałem twoją rodzinę.

Cwane. Wyprzedza niewygodne pytania.

— Wykonywałeś tylko swoją pracę — odparłem. — Rozumiem, co tobą kierowało. Rozumiem presję wywieraną na ciebie z różnych stron. — Popatrzyłem na rewolwer kaliber .357, który wyjąłem z szafki przy łóżku

Edwina. — Ale proszę o jedno: nie zapomnij, że za to, co zrobiłeś mnie i mojej rodzinie, mógłbym cię dzisiaj zabić.

Ulga, jaką zareagowało jego ciało, była niemal przerażająca.

— Osobą, która uwolniła mnie z twojego nielegalnego ośrodka, była moja siostra. Zabiła twoich ludzi. Matka ją też udoskonaliła.

— Dlaczego?

— Ponieważ Miriam umierała. To udoskonalenie było jej *opus magnum* i wiedziała, że nie dożyje jego ukończenia. Tak więc wzniosła na wyższy poziom dwoje swoich dzieci i zostawiła nam sprawę dokończenia udoskonalenia. Nie chciałem brać w tym udziału, a Kara owszem.

Gdy opowiadałem mu całą historię, strach o własne bezpieczeństwo ustępował w nim przerażeniu, bo zrozumiał, co planuje moja siostra.

— A więc Glasgow było próbą?

Skinąłem głową.

— Właśnie skończyliśmy sekwencjonowanie kilku genomów osób, które zmarły.

— Prionopatia — powiedziałem.

— Zgadza się... — Sprawiał wrażenie zaskoczonego, że o tym wiem.

— To najmniejszy z waszych problemów. Na tę chwilę moja siostra oczyszcza wirusa. Za kilka tygodni, może nawet dni, będzie miała wersję transmitowalną. Wyobraź sobie Glasgow w skali globalnej.

Patrzyłem, jak w oczach Edwina rośnie przerażenie.

— Jak to zrobi? — spytał.

— Gdy ludzie zaczną masowo umierać, rządy zareagują lockdownami. Wiem, ile krajów pracuje nad terapiami zjawisk wywoływanych przez Kosę. Na miejscu Kary zadbałbym o to, żeby udoskonalenie znalazło się wszędzie, zanim świat zareaguje. Zakaziłbym pewną liczbę ochotników i rozesłał ich równocześnie na wszystkie strony świata.

— „Pewna liczba” to twoim zdaniem ile?

— Biorąc pod uwagę odsetek wad, będzie to grupa licząca między siedemdziesiąt pięć a sto pięćdziesiąt osób.

— A „wszystkie strony świata”?

— Istnieje sto dwadzieścia osiem miast mających ponad pięć milionów mieszkańców. Posłałbym moich zakażonych ochotników do takich miejsc, jak: Tokio, Delhi, Szanghaj, São Paulo, Mexico City, Dhaka, Kair, Pekin, Mumbaj, Osaka, Sztambuł, Moskwa. Znałbym ostatecznie ramy czasowe zakażenia i poradziłbym sobie z wąskim gardłem, rozsiewając wirusa na lotniskach, koncertach, festiwalach, imprezach sportowych, marszach protestacyjnych.

Edwin był coraz bardziej przerażony.

— A jak szukałbyś ochotników, którzy pozwolą się zarazić? Spore wyzwanie, co?

Fakt. Miałem jednak pewną teorię.

— Oczywiście, muszą bowiem dokładnie wiedzieć, na co się piszą. Muszą wiedzieć, że ryzyko śmierci wynosi 13,6 procent. Muszą chcieć pomóc Karze przeprowadzić to wymuszone ewolucyjne wydarzenie.

— Próbuję sobie wyobrazić, kto chciałby...

— Genetycy. Zhańbieni, niezadowoleni, sfrustrowani genetycy. Ludzie, którzy uważają ustawę o ochronie genów za błąd. A także — i w szczególności — ci, którzy uważają, że świat i tak się kończy, czemu więc nie chwycić się ostatniej deski ratunku? Innymi słowy, genetycy, którzy należą do twardogłowych obrońców środowiska. Wyznawcy.

— Potrzebujesz dostępu do MYSTIC — stwierdził Edwin. — Uważasz, że byłbyś w stanie ich znaleźć, tak?

— Tak, i chcę, żeby uczestniczyła w tym Nadine. To jedna z niewielu osób, do której mam zaufanie i wiem, że nie strzeli mi w plecy.

— Załatwione. Wiesz, gdzie jest teraz twoja siostra?

— Mam pewną teorię.

— Pomogę ci ją znaleźć. Bez względu na koszty.

Przyjrzałem się twarzy Edwina, przeanalizowałem jego tętno. Teraz nie kłamał, co nie znaczyło, że później, gdy już nie będzie w bezpośrednim niebezpieczeństwie, nie zmieni zdania. Albo że nie pozwoli innym siłom zwrócić się przeciwko mnie.

— Dlaczego przyszedłeś do mnie? — spytał Edwin. — Podjąłeś duże ryzyko.

— Ponieważ nie sądzę, aby moja siostra brała pod uwagę, że wrócę do ludzi, którzy mnie zdradzili. A to da mi nad nią przewagę.

— Skąd mam wiedzieć...

— Że możesz mi ufać?

Skinął głową.

— Przejrzysz dane. Potwierdzisz procent zgonów. Wyobrazisz sobie, co się stanie, jeżeli to ogarnie cały świat, i uznasz, że jeśli istnieje choćby niewielkie prawdopodobieństwo, iż mówię prawdę, nie masz innego wyboru, tylko mi pomóc.

— Uczciwa propozycja.

— Zaszczepiłem cię pakietem uspiionych genów, który zrobiłem w laboratorium Tya Felda. Nic ci w tej chwili nie grozi, ale mogę go w dowolnej chwili aktywować. A jeżeli stanie mi się coś złego, zostanie on uruchomiony wyzwalaczem środowiskowym.

— Co by spowodował?

— Zaczął kaskadę paskudnego syfu w twoim wnętrzu.

— Nie pali mi się...

— Wiem.

Wierzyłem w dobre intencje Edwina, nie ufałem jednak jego szefom,

zwłaszcza tym z Ministerstwa Obrony. Ci sami ludzie, którzy nie pozwalali Edwinowi aresztować i sądzić Tya Felda, byliby bardzo zainteresowani tym, by zająć się mną.

Wstałem.

— Nie chcę tego ciągle podkreślać, ale jeżeli zginę, zostanę aresztowany albo ponownie mnie zdradzisz — umrzesz.

— Nic takiego się nie zdarzy, Logan.

Uwierzyłem mu.

Tym razem będzie próbował mnie chronić. Może nawet odda za mnie życie, ponieważ wiedział, czym pachnie kula albo więzienna cela. Nie miał jednak pojęcia, co wszczepiłem wokół jego genomu, ale na pewno potrafił sobie wyobrazić, jaki w tym wypadku czekałby go koszmar.

Staliśmy na wielkiej, bezkształtnej nizinie.

Niebo i ziemia miały ciemnoszary kolor, i gdyby nie to, że ziemia była nieco ciemniejsza, przestrzeń nie miałaby wymiarów — nie byłoby horyzontu ani wrażenia głębi.

Ziemia między nami nagle pękła.

Czarna przepaść szybko się poszerzała.

Ava i Beth krzyczały moje imię, a odległość między nami rosła. Ava popatrzyła na matkę. Na mnie. Cofnęła się kilka kroków i zaczęła biec w stronę krawędzi.

— *Nie!* — krzychałem. — *Nie rób tego!*

Biegła dalej.

Coraz szybciej.

Na moich oczach stanęła na skraju przepaści, skoczyła...

Machała rękami, poruszała w powietrzu nogami, jakby ciągle biegła.

Szybowała w moim kierunku przez otchłań.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Ava uśmiechała się.

Zaraz będę, tato. Idę z tobą.

Wpadła na przeciwległą ścianę klifu, próbowała objąć krawędź ramionami, drapała nogami, aby sobie pomóc. Skoczyłem ku niej, ale gdy wyciągnąłem rękę, aby chwycić dłoń córki, straciła przyczepność i jej palce prześlizgnęły się przez moje.

Kłęczałem i wpatrywałem się w czarną przepaść na oddalającą się Awę. Spadającą w nieskończoną ciemność.

Wtedy gwałtownie się obudziłem.

W pokoju było ciemno, serce waliło mi jak oszalałe.

Powtarzałem imię córki, cicho, raz za razem.

Wstałem z łóżka, poszedłem do łazienki i nalałem sobie szklankę wody.

Wypiłem wodę, ponownie napełniłem szklankę i znów wypilem do dna.

Zaczynałem się uspokajać, tętno spadło mi poniżej stu dwudziestu uderzeń. Podczas snu coś się wydarzyło. Moje emocje wyrwały się z klatki Faradaya i przez pełną rozpacz i bólu chwilę czułem niemal fizycznie czas, przez który byłem rozdzielony z rodziną.

Zwinąłem się na podłodze.

Z gardła wyrwał mi się szloch. Potem następny. Tama żalu pękła i przez minutę pozwoliłem sobie rozpaść się na kawałki, przyglądając się szeroko otwartymi oczami wszystkiemu, co straciłem.

O północy Edwin podjechał po mnie pod hotel. Wsiadłem do jego 911E i pomknęliśmy przez miasto.

Porsche było jednym z nowych, stylizowanych na staromodne elektryków z karoserią na silnik do quada, mogło przyspieszać do stu kilometrów na godzinę w 0,9 sekundy i w pełni naładowane miało zasięg tysiąca pięciuset kilometrów. Edwin próbował mnie zagadywać, ale duchem przebywałem gdzie indziej i szykowałem się do pracy z MYSTIC.

Zaparkował na D Street SW i przeszliśmy szybkim krokiem przez chodnik, do drzwi od cichej strony Constitution Center — trafić chciałem, że były to te same drzwi, którymi próbowałem uciekać z budynku rok i dwa udoskonalenia temu.

Nie sądziłem, że okaże się na tyle tępy, by tak szybko wystawić mnie do wiatru — ledwie dwadzieścia dwie godziny po tym, jak zjawiłem się nocą w jego sypialni, i mogłem tylko mieć nadzieję, że dobrze odczytałem intencje Edwina. Zawsze istniała możliwość, że będzie chciał poddać mnie wirtualnemu przesłuchaniu i torturom wspomaganym chemią. Że spróbuje się dowiedzieć, co mu wstrzyknąłem.

Gdy podchodziliśmy do drzwi, otworzyły się. Na progu stała moja była partnerka Nadine, szeroko uśmiechnięta.

— Wie o wszystkim — wyjaśnił Edwin.

Gdy wszedłem na klatkę schodową, a drzwi się za mną zamknęły, Nadine zarzuciła mi ręce na szyję.

— Wszystko gra? — spytała.

Dużo by opowiadać.

— Już jest lepiej — odparłem zdawkowo.

Od porwania spod tego budynku przez niemal czternaście miesięcy nie doświadczałem za wiele kontaktu fizycznego z ludźmi i czułem, że taka interakcja może stanowić próbę włamania się do skrytki, w której miałem schowane wyzwalacze moich emocji.

— Co jest? — zdziwiła się Nadine. — Nie obejmujesz już ludzi?

Objąłem ją.

Po chwili się rozdzieliliśmy.

Popatrzyła na mnie. W jej oczach było widać współczucie. Żal. Także lęk. Nic w tym chyba jednak dziwnego — spotkaliśmy się po rocznej przerwie, a ona nie miała pojęcia, kim się stałem.

— Wyglądasz inaczej.

— Przeprowadziłem kilka zmian.

— Możemy? — spytał Edwin.

— Wszystko przygotowałam. Tak jak chciałeś, Logan.

Weszliśmy schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się serwery systemu MYSTIC. Korytarze były puste i ciche. Sterowane czujnikami ruchu światła zapalały się nad naszymi głowami, gdy podążaliśmy pustym korytarzem.

— Tutaj urządziłam ci miejsce pracy — wyjaśniła Nadine, otwierając drzwi do małego, sterylne gabinetu. Musiał już od pewnego czasu stać pusty. Ściany były gołe. Żadnych ozdób. Na biurku stały tylko dwa komputery i dwie klawiatury, które zamówiłem.

Ze względu na zagrożenie cyberatakami i niezwykle wrażliwe dane, jakie zawierał MYSTIC, można było wejść do systemu wyłącznie przez autonomiczne stacje robocze, umieszczone głęboko w Constitution Center.

— Jesteś zalogowany na moich danych — powiedziała Nadine. — Potrzebujesz czegoś jeszcze?

— Ile mam czasu?

— Prawdopodobnie powinieneś znaleźć się poza budynkiem przed szóstą rano — oznajmił Edwin. — Będziemy mieć korytarz na oku. Nie sądzę, aby ktokolwiek cię rozpoznał, byłoby jednak lepiej, gdyby jak najmniej osób wiedziało, że wróciłeś.

— Chcesz, żebym z tobą została? — spytała Nadine. — Jako druga para rąk?

— Dzięki, ale prawdopodobnie lepiej będzie, jeżeli tą częścią zajmę się sam.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Przed drugim udoskonaleniem perspektywa szukania Kary za pomocą

MYSTIC napawałaby mnie nabożną czią: tyle możliwych ścieżek eksploracji, teraz jednak w zasadzie jej nie szukałem, tylko zamierzałem potwierdzić, że moja teoria jest trafna. Podejrzywałem, że Kara miała bazę albo w Nowym Jorku, albo w Miami. Dowiem się tego w mgnieniu oka.

Usiadłem do pracy i tak podzieliłem strumień uwagi, żebym mógł równocześnie pisać na obu klawiaturach.

Miałem pod palcami jedną z najlepszych wyszukiwarek, jakie kiedykolwiek stworzono, i jeżeli uda mi się porównać ze sobą wyselekcjonowane grupy danych, znajdę ją.

Po pierwsze, potrzebny był jej wirusolog. Miałem nieco większą wiedzę na temat genetyki i wirusologii niż moja siostra, ale nawet teraz, zbliżając się do wypuszczenia w świat drugiego udoskonalenia, też szukałbym wirusologa, aby stworzyć wirusa, który byłbym idealnym nośnikiem udoskonalenia.

Baza danych podała trzysta siedemdziesiąt osiem nazwisk. Na podstawie czynników, które mogłyby świadczyć o kryminalnych skłonnościach, przefiltrowałem grupę do dwudziestu czterech kandydatów. Ponieważ wszyscy byli zarejestrowani w systemie, miałem ich aktualne zdjęcia, a te mogłem porównać z bazami danych nagrań z kamer nadzorczych. Zdjęcia wirusologów, co do których istniało prawdopodobieństwo, że wzięliby udział w akcji Kary, nazwałem „Blokem A”.

Równocześnie w drugim komputerze utworzyłem kolejną grupę. W Glasgow, człowiek, na którym przeprowadziłem polową tracheotomię, ujawnił, że był przyjacielem Kary z czasów jej pobytu w wojsku. Gdy mieszkaliśmy z siostrą w motelu w Wirginii Zachodniej, na pytanie, czy utrzymuje kontakt z ludźmi, którzy uratowali ją z Myanmar, odpowiedziała, że niektórzy z nich są jej najlepszymi przyjaciółmi.

Udoskonalila Andrew i podejrzewałem, że zrobiła to samo z co najmniej

kilkoma swoimi kumplami z wojska. Patrząc wstecz, zrozumiałem, że byli jedynymi ludźmi na świecie, którym naprawdę ufała.

Andrew był członkiem oddziału, który uwolnił ją z rąk paramilitarnej formacji w Mjanmie. Jego nazwisko brzmiało Kegan. W misji ratunkowej Kary uczestniczyło również siedmioro innych żołnierzy Zielonych Beretów. Dwie osoby zginęły w akcji. Za pomocą hasła od Edwina, pozwalających dostać się do baz danych Ministerstwa Obrony, prześwieciłem pozostałą piątkę.

Nathaniel Jacks. Alexis Hurley. Rodney Viana. Deshawn Brown oraz Madeline Ortega. Wszyscy żyli.

Nathaniel Jacks stacjonował obecnie w Pjongjangu. Alexis Hurley siedziała w więzieniu w Arizonie (ponownie) za rozróbę po pijaku i stawianie oporu podczas aresztowania.

Madeline, Deshawn i Rodney zostali honorowo zwolnieni ze służby.

Posty Deshawna Browna w mediach społecznościowych świadczyły o tym, że niedawno się rozwiódł i mieszka w Pensacoli na Florydzie.

Rodney Viana był szczęśliwie żonaty i dziesiąty rok służył w policji w Columbus w stanie Ohio.

Madeline Ortega jeździła ciężarówkami dla Freightlinera.

Zebrałem wszystkie zdjęcia Ortegi, Viany, Kegana i Browna, jakie udało mi się znaleźć, i nazwałem ten zbiór danych „Blokem B”.

Wyjąłem z plecaka precyzyjny jak fotografia rysunek Kary, który zrobiłem wczoraj. Dokładnie tak wyglądała w domu naszej matki w Kolorado — po modyfikacji twarzy. Kara tworzyła „Blok C”.

Aby dokończyć udoskonalenie, czyli nadać mu formę transmitowalną, Kara musiała stworzyć syntetyczny wektor wirusowy i wprowadzić go do komórek pomocniczych, które z kolei wytworzą spakowanego i potencjalnie zakaźnego wirusa, oczyszczonego za pomocą chromatografii

kolumnowej. Następnie będzie musiała go przetestować, aby upewnić się, że działa zgodnie z zamierzeniami i ma wysoką zaraźliwość oraz dużą transmisyjność u ludzi. Ten etap będzie najtrudniejszy i będzie wymagał grupy ochotników.

„Blok D” składał się z zarejestrowanych w systemie byłych naukowców, odznaczających się cechami, które mogą skłonić ich do zaryzykowania i zostania królikami doświadczalnymi Kary (śmiertelna choroba, długi, radykalizacja poglądów, sympatyzowanie z twardogłowymi obrońcami środowiska). To oni byliby rozsiewaczami — bojownikami z pierwszej linii frontu — których moja siostra roześle do najdalszych zakątków świata. Do tej grupy system zakwalifikował dwustu dziewięćdziesięciu jeden kandydatów. Ich najnowsze zdjęcia również załadowałem do systemu.

Sformułowałem główne zadanie: *cel wyszukiwania = każda kamera nadzoru, która wychwyciła dowolny element z Bloku A + dowolny element z bloku C + dowolny element z bloku D w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.*

Zażyczyłem sobie też wyszukiwania, czy na nazwisko któregośkolwiek z członków Bloku D (potencjalnych członków grupy testowej i rozsiewaczy) kupiono bilet na jakiś środek komunikacji.

Sformułowałem też pytanie dodatkowe: *cel wyszukiwania = bilet samolotowy, na Hiperpętlę, autobus albo pociąg kupiony przez albo dla członka Bloku D w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.*

Lewy ekran pokazał wyniki głównego wyszukiwania: listę numerów seryjnych kamer nadzorczych. Otworzyłem mapę satelitarną Ameryki i nałożyłem na nią współrzędne.

Kilka lokalizacji było rozrzuconych po kraju, duża liczba skupiała się wokół obrzeży Nowego Jorku. Nie było ani jednego wyniku dla Miami.

Wyczyściłem wszystkie pola z wyjątkiem wirusologów z Bloku A.

Z dwudziestu czterech kandydatów dwóch zostało wychwyconych przez kilka kamer, w różnych miejscach, w Nowym Jorku i w okolicy miasta.

Ponowiłem wyszukiwanie dla żołnierzy z Bloku B i uzyskałem szereg potwierdzeń dla Madeline Ortegi, Deshawna Browna i Rodneya Viana — w Nowym Jorku i okolicy.

Następnie wczytałem szkic twarzy Kary. Pięć dni temu jej twarz zarejestrowano w Durango w stanie Kolorado, a potem już żadnych trafień. Była tam lokalna stacja Hiperpętli, czyli najprawdopodobniej zatrzymała się w motelu i przed wyjazdem zmieniła rysy. Twarz, którą widziałem w domu matki, została zmodyfikowana prawdopodobnie tam, co wyjaśniałoby, dlaczego nie ma ujęć jej twarzy sprzed Kolorado.

Jeśli chodzi o Blok D — grupę testerów i rozsiewaczy — z dwustu dziewięćdziesięciu jeden kandydatów kamery wychwyciły w Nowym Jorku i okolicy twarze trzydziestu ośmiu osób. Ta liczba wydawała mi się zbyt niska. Czyżby rozsiewacze jeszcze nie przybyli do Nowego Jorku, aby wykonać swoją misję? Może te trzydzieści osiem osób tworzyło grupę badawczą.

Sprawdziłem wyniki wyszukiwania dodatkowego: transakcji finansowych związanych z podróżami w konkretnym okresie czasu. Dla członków Bloku D znalazłem listę biletów samolotowych i na Hiperpętlę.

Odetchnąłem z ulgą.

Spośród dwustu dziewięćdziesięciu jeden zebranych przez sztuczną inteligencję kandydatów, dziewięćdziesiąt cztery osoby z Bloku D kupiły na swoje nazwisko bilety na międzynarodowe loty, z miejscami docelowymi we wszystkich głównych miastach, jakie wymieniłem w czasie rozmowy z Edwinem, oraz w wielu innych. Lecieli z Newark, La Guardii, z lotniska Kennedy'ego, Filadelfii i Boston Logan International.

Powiększyłem Nowy Jork i zażądałem rekordów z kamer wysokiej rozdzielczości, ze zdjęciami dla Bloków A, B i D.

System wyrzucił trzy trafienia.

Z kamery na skrzyżowaniu Furman Street i Doughty Street, niedaleko parku na nabrzeżu w Brooklyn Heights.

Z kamery na skrzyżowaniu Richmond Terrace i Nicholas Street, w parku Esplanade niedaleko północnego wybrzeża Staten Island.

Z kamery na skrzyżowaniu Washington Street i Dudley Street, niedaleko parku Morris Canal w Jersey City.

No dobrze. Do tej chwili działałem, posługując się modelami umysłowymi procesów myślowych Kary i czystej spekulacji, ostatni rekord sprawiał jednak wrażenie istotnego. Mógł stanowić fundament teorii, w jaki sposób Kara tworzy w tajemnicy udoskonalenie.

Podejrzewałem, że parki te — wszystkie nad brzegiem rzeki — były punktami wyjazdu i przyjazdu z/do miejsca, gdzie mieściło się laboratorium.

Płynęli przez port nowojorski, East River i rzekę Hudson, do zalanej wodą ziemi niczyjej Dolnego Manhattanu — idealnego miejsca na dokończenie udoskonalenia.

Na Dolnym Manhattanie zrobiono Karze kilka zdjęć. Były tam obszary bez kamer nadzoru. Infrastruktura w postaci opuszczonych laboratoriów biologiczno-molekularnych, z których mogła korzystać. Bliskość licznych lotnisk międzynarodowych. No i najgęstsze zaludnienie w USA, co zapewniało przykrywkę obserwowanym naukowcom, którzy chcieli zostać osobami testowanymi i rozsiewaczami.

Na podstawie samego zdjęcia satelitarnego Nowego Jorku szybko policzyłem, że w nowym mieście duchów, jakim stał się Dolny Manhattan, było jedenaście tysięcy porzuconych budynków. Przed powodzią miało tam

siedzibę ponad czterysta firm zajmujących się naukami biologicznymi — znacznie mniej niż przed wprowadzeniem ustawy o ochronie genów. Najprawdopodobniej nie wszystkie miały tu laboratoria, poza tym tylko nieliczne z tych laboratoriów spełniałyby wymagania Kary, a z tych odpowiednich jeszcze mniej byłoby dostępnych i gotowych do pracy.

Mogłem stworzyć zapytanie i uzyskać listę budynków, ale ich liczba byłaby i tak zbyt duża. Nie miałbym czasu sprawdzić wszystkich.

Jeśli jednak moja teoria była trafna, nie będę musiał tego robić.

Dwadzieścia dziewięć minut po wejściu do gabinetu, opuściłem go. Nadine i Edwin siedzieli naprzeciwko siebie na długim, pustym korytarzu.

— Szybko poszło — skomentowała Nadine.

Edwin uważnie mi się przyglądał. Podszedłem do niego.

— Niezbędny będzie oddział Bio-SWAT — poinformowałem go. — Dwunastu ludzi. Z pełnym wyposażeniem taktycznym przeciwko substancjom niebezpiecznym i z dronem z kamerą termowizyjną. Będą potrzebowali tratew, a ja dwuosobowego kajaka. Jeśli chodzi o sprzęt dla mnie, chcę okulary NightShades, opancerzenie kuloodporne Chainmail, kilkanaście ładunków C-4 do wysadzania drzwi, latarkę, nóż Spyderco Harpy, butlę sprężonego powietrza i FN Five-seveN z czterema magazynkami pocisków przebijających opancerzenia. Aha... i taśmę klejącą. Zawsze trzeba mieć taśmę klejącą. — Popatrzyłem na Nadine. — Idziesz ze mną? Ostatni wjazd? Jak w dawnych czasach?

— Hm... — Popatrzyła na Edwina, a potem na mnie. — Jasne. Kiedy chciałbyś...

— Teraz. Skończymy przed świtem.

— Przepraszam — wtrącił się Edwin, wstając. — A dokąd jedziemy?

— Do Miami.

Szliśmy przez wielki hol z wysklepionym kunsztownie sufitem, nasze kroki odbijały się w niemal kościelnej ciszy, jaka panowała na Union Station o drugiej w nocy.

Zatrzymałem się przy kiosku i kupiłem dwa bilety do Nowego Jorku, dopłacając ekstra za osobną kapsułę.

— Zdawało mi się, że... — zaczęła Nadine.

— Edwin jest spalony.

— Skąd wiesz?

— Widziałem po jego minie.

— Jesteś pewien?

— Na sto procent.

Weszliśmy w korytarz, nad którym wisiał znak, że tędy prowadzi droga do wszystkich pociągów jadących na północ. Gdy przeszliśmy kontrolę bezpieczeństwa, byliśmy drudzy w kolejce.

Zeskanowałem na bramce bilety i steward wskazał nam trasę do naszej kapsuły. Wcisnęliśmy się do dość ciasnej przestrzeni z dwoma ustawionymi naprzeciwko siebie fotelami, usiedliśmy i zapięliśmy się trzypunktowymi pasami.

Modulowany kobiecy głos zapowiedział odjazd do Nowego Jorku za sześćdziesiąt sekund. *Czas jazdy do celu: dwadzieścia dziewięć minut. Prosimy o zabezpieczenie wszystkich posiadanych przedmiotów pod fotelem. Dziękujemy, że wybrali państwo Virgin Glideways.*

W kapsule świeciło łagodne fioletowe światło, uspokajającą muzykę z syntetyzatorów zagłuszał szum fal oceanu.

Ruszyliśmy.

W rurze Hiperpętli co dziesięć metrów były powycinane wąskie okienka.

Zdążyłem zobaczyć cztery mignięcia bram pod Union Station i już byliśmy w tunelu pod miastem.

— A więc jaki jest plan? — spytała Nadine.

— Musimy wszystko zrobić sami.

— Wiesz, gdzie w Nowym Jorku jest Kara?

Światła w tunelu uciekały do tyłu coraz szybciej i szybciej, aż zamieniły się w rozmazaną linię za zakrzywioną powierzchnią naszej kapsuły z inteligentnego szkła. Przy mniejszych prędkościach efekt był denerwujący, bo przypominał stroboskop pozwalający dostrzec rozedrgane mignięcia świata na zewnątrz, ale przy prędkości w okolicy bariery dźwięku, otwory przelatywały tak szybko, że pojedyncze obrazy zamieniały się w płynny ciąg, świat na zewnątrz ożywał i powstawała iluzja, że kapsuła jedzie pod niekończącą się taflą szkła.

Włączyłem umieszczony między fotelami ekran dotykowy i przyciemniłem kapsułę tak, że nie widzieliśmy otworów w tunelu.

— Dolny Manhattan.

Czułem rosnące przyspieszenie 0,5 g, obserwowałem prędkość na ekranie dotykowym.

Czteryście osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Pięćset dwadzieścia.

Pięćset sześćdziesiąt.

Sześćset.

Nadine wyjęła telefon — po raz pierwszy odkąd opuściliśmy Constitution Center. Ja zrobiłem to samo i wysłałem wiadomość, którą przygotowałem w drodze do Union Station.

Teraz Nadine wyglądała na zdenerwowaną.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

— Masz sygnał?

— Mam. Właśnie wysłałem esemesa Edwinowi.

— I co mu napisałeś?

— Żeby wyłączył ci telefon.

Jej głowa odwróciła się ku mnie niezwykle gwałtownie.

Czułem, że kapsuła wyjeżdża z podziemnego tunelu na powierzchnię.

— Kiedy się z tobą skontaktowała? — spytałem.

Czułem niemal fizycznie, jak jej ciało tężeje. Przez długą chwilę jedynym dźwiękiem był dolatujący z głośników szum fal oceanu. Biorąc pod uwagę prędkość, jazda była nienaturalnie spokojna.

Twarz Nadine pozostawała niewzruszona, choć raczej należałoby powiedzieć, że rozpaczliwie próbowała udawać obojętność. Dokładnie widziałem, co się dzieje w jej głowie, o czym myśli. Zastanawiała się gorączkowo, co wiem na pewno, a czego jedynie się domyślam.

Przez ułamek sekundy rozważała, czy nie skłamać, ale potem uświadomiła sobie, że nic by to nie dało. Opadła plecami na oparcie i westchnęła.

— Latem zeszłego roku — zaczęła — wzięłam urlop i pojechałam do Tulum. Obejrzałam ruiny. Pływałam w tych niesamowitych cenotach. Byłam sama. Pewnego dnia siedziałam nad basenem. I kto się wtedy zjawił? Twoja siostra. Z początku sądziłam, że to jakiś nieprawdopodobny, ale jednak przypadek. Ona usiłowała mnie o tym przekonać. Powiedziała, że też podróżuje — sama. Zaprosiła mnie na kolację. Wtedy, kiedy byliśmy — ty i ja — w jej chacie w Montanie, zaiskrzyło między nami, i teraz trwało to dalej. Była czarująca i tak cholernie inteligentna... Spędziłyśmy razem kilka dni i w trakcie jednej z wędrówek po dżungli wreszcie powiedziała, co się z tobą stało. Sądziłam, że nie żyjesz.

— Nie byłaś...

— Byłam. Zdezorientowana. Wściekła. Przerazona. Opowiedziała mi

o tym, jak wyciągnęła cię z tajnego ośrodka AOG. Że matka was oboje udoskonalila. Opowiedziała o waszej walce w Nowym Meksyku, by na koniec zdradzić, że chce dokończyć dzieło waszej matki. Wyjaśniła, dlaczego i jak chce to osiągnąć.

— Przekonała cię?

— Trudno było odmówić logiki jej myśleniu. Gdy pracowałam dla UNESCO, moim zadaniem było zwiększać u ludzi świadomość środowiskową. Mamy problemy. Wieczorem dała mi w hotelu udoskonalenie. Jak się domyśliłeś?

— Bez MYSTIC znalezienie armii ochotników do rozsiewania wirusa byłoby ryzykowne, czasochłonne i praktycznie niemożliwe. A Kara potrzebowała ludzi chętnych. Biorąc pod uwagę zabezpieczenia, nawet superudoskonalona nie dostałaby się do systemu. Byłem pewny, że musi mieć kogoś wewnątrz, kto wybiera dla niej kandydatów. Nie wiedziałem tylko, czy to ty, Edwin czy ktoś inny. Podejrzywałem, że ty, bo Edwin szczerze wierzy w to, co robi. Ty masz podobne jak ja podejście do ustawy o genach. Tamtego wieczoru w Montanie, u Kary, mówiłaś o swojej pracy w UNESCO. Naprawdę z pasją. Poza tym... byliśmy przyjaciółmi. Znasz moją żonę, córkę i Kara przewidziała, że będziesz wściekła, gdy się dowiesz, co AOG mi zrobiła. Dziś wieczorem mowa twojego ciała była dziwna, więc przeprowadziłem kolejny test. Gdy Edwin mnie spytał, gdzie będzie akcja, a ja powiedziałem, że w Miami, był zaskoczony. Ty zaś odetchnęłaś z ulgą.

Nadine sięgnęła do ekranu dotykowego i rozjaśniła inteligentne szkło wokół nas. Wyglądaliśmy przez okno-iluzję na pagórkowate pola Marylandu, przepływające z gładką elegancją z prędkością tysiąca stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Księżyc jasno oświetlał wszystko wokół.

— Miliard ludzi, Nadine. Każdą osobę, która zostanie zakażona wirusem i umrze, będziesz miała na sumieniu. Ludzie, których znasz i kochasz, będą umierać.

— A jeżeli ty to powstrzymasz, będzie można cię uznać za winnego wyginięcia gatunku *Homo sapiens*. Będziesz to miał na sumieniu.

— Zastanów się. Przez jakiś czas Kara i ja byliśmy jedynymi udoskonalonymi ludźmi na tej planecie. I co zrobiliśmy? Natychmiast próbowaliśmy się nawzajem zabić z powodu różnicy poglądów. Dostałaś udoskonalenie i postanowiłaś pomóc Karze wypuścić w świat wirusa, który spowoduje masowe cierpienie i śmierć. Wcale nie jestem pewien, że poprawa ludzkiej inteligencji jest właściwym rozwiązaniem. Przeraza mnie wizja świata, w którym mamy te same problemy, które mieliśmy, miliard ludzi mniej, a każdy uważa, że jest wystarczająco inteligentny, żeby być nieomylnym.

— Więc wołałbyś, aby świata w ogóle nie było?

— To błędne założenie „albo-albo”. Mamy problemy, nie oznacza to jednak, że rozwiązanie, które chcecie zastosować, jest jedyne. Niezgoda na śmierć miliarda ludzi to nie jest wsadzanie głowy w piasek, gdy świat się wali.

— Co teraz będzie?

— Aresztują cię na Grand Central. — Stuknąłem w ekran i popatrzyłem na wykres jazdy. — Za siedemnaście minut. A o tym, co się stanie potem, możesz jeszcze w pewnym zakresie zdecydować.

— Nie powiem ci, gdzie ona jest. Może i znasz mniej więcej okolicę, ale nie konkretny budynek. A na Dolnym Manhattanie jest ich sporo.

Rozświecił się ekran mojego telefonu — Edwin przekazywał mi wyniki przeglądu budynków na Dolnym Manhattanie, który kazałem mu zrobić za

pomocą MYSTIC. Lista obejmowała trzydzieści siedem firm, w których mogłoby znajdować się laboratorium Kary. Zbyt wiele.

Odpisałem mu:

Weź pod uwagę tylko budynki powyżej 150 metrów.

Nadine popatrzyła na swoją torebkę, jej tętno przyspieszyło. Zaczęła się pocić.

Nie przenosiliśmy przez ochronę rządowej broni, ale jeśli wzięła pod uwagę ryzyko, że mogę ją przyprzeć do muru, to czy przygotowałyby się na taką możliwość?

Kapsułka w ustach, którą mogła zgryźć i dmuchnąć mi śmiercionośnym oparem? Jakiś inny sposób na otrucie ukryty w torebce?

Sięgała po metalową zapinkę torebki.

Rozpiąłem pas, wyciągnąłem rękę nad tabletem i chwyciłem jej torebkę.

— Co jest, Logan?

— Co w niej masz?

— Babskie śmieci. Dawaj mi ją.

— *Dla państwa bezpieczeństwa prosimy o zapięcie pasów.*

Przekręciłem zamek i otworzyłem torebkę. Nadine uważnie mi się przyglądała.

Gdy ujrzałem wysuwające się ze środka czarno-pomarańczowe prążki, górę wzięła najbardziej prymitywna część mojego mózgu. Rzuciłem torebką w najdalszy kąt kabiny.

Cholera!

Nadine przyniosła ze sobą broń.

Ostateczną.

Sięgnęła do ekranu i zgasła światło.

Poczułem wycie o częstotliwości sześciu kiloherców.

— Przykro mi — powiedziała Nadine. — Nienawidzę tego. Jesteś moim przyjacielem, byłeś moim partnerem, ale nie mogę pozwolić, żebyś nam przeszkodził.

Widziałem unoszący się między nami kształt. Odkąd dostałem udoskonalenie matki, odczuwałem strach, ale miał się on nijak do przerażenia, jakie czułem, wpatrując się w dwie pary oczu — jednej kompozytowej, drugiej złożonej z przyoczek — potężnego szerszenia azjatyckiego, który unosił się piętnaście centymetrów przed moją twarzą.

— *Proszę natychmiast zapiąć pas.*

Drugi brzęczał tuż za moim prawym uchem. Czułem falowanie powietrza, poruszanego potężnymi skrzydłami.

— Kara zebrała twoje DNA w domu waszej matki w Kolorado. Zhakowała te szerszenie i zaprogramowała je na wyszukiwanie twojego unikalnego genetycznego odciska palców: celem są feromony w twoim pocie spod pach.

— Czym zastąpiła ich jad?

— Jadem tajpana pustynnego.

Pamiętam program przyrodniczy, który oglądałem, gdy miałem czternaście lat. Tajpan pustynny, endemiczny australijski gatunek, wytwarza najsilniejszą trucizną ze wszystkich węży świata. Jedno ukąszenie wystarczy, żeby zabić stu dorosłych mężczyzn. Jego jad zawiera toksyny uszkodzające układ nerwowy, toksyny niszczące krwinki, mykotoksyny odpowiedzialne za całą listę objawów — od uszkodzenia wątroby po drgawki, toksyny uszkodzające nerki i substancje wywołujące krwotoki.

Dźwięk szerszenia za moim prawym uchem stał się głośniejszy.

Drugi też się zbliżał.

Namierzyły mnie i czekały.

Ich żądła wyglądały, jakby mogły przebić stal.

Plan Nadine był dobry. Gdy szerszenie mnie ukąszą, pociągnie za hamulec i zatrzyma kapsułę pod jednym z wyjść awaryjnych. Ucieknie przez klapę w dachu i zostawi mnie, abym umarł.

Odsunąłem od siebie lęk jak odsuwa się zbędny przedmiot i podzieliłem strumień uwagi na cztery kanały: szerszeń numer jeden, szerszeń numer dwa, Nadine i światła przedmieść Filadelfii pędzące w naszym kierunku.

Szerszenie kończyły przygotowania do ataku, ja zaś zwalniałem swoją percepcję czasu, widząc wszystko równocześnie.

Prędkość: dziewięćset czterdzieści siedem kilometrów na godzinę.

Czas do celu: piętnaście minut.

Pędzimy przez pola uprawne, w oddali stare gospodarstwo świeci się jak choinka.

Nadine, z szeroko otwartymi oczami, w kleszczach ośmiu sprzecznych emocji, głównie jednak strachu i poczucia winy.

Nie miałem niczego, czym mógłbym się odgonić od szerszeni, a gdyby choć tylko jeden z nich mnie użądlił — gdziekolwiek — byłoby po mnie. Szerszenie miały mniej więcej centymetr długości i bez trudu wkręciłyby mi się w ubranie.

Znieruchomiałem.

— *Jeżeli nie zapnie pan natychmiast pasa, dostanie pan mandat pięćset dolarów i zakaz podróżowania Hiperpętlą Virgin.*

Zacząłem powoli podnosić ramiona, szerszenie były oddalone ode mnie o pięć centymetrów, ich żądła wyginały się w stronę mojej twarzy i szyi.

Patrzyłem, jak moje kciuki i palce wskazujące delikatnie obejmują ich brzuchy.

Wiły się, brzęczały wściekle, próbowały użądlić mnie w dłoń, czubki ich żądeł mijały moją skórę o milimetry.

Nadine była przerażona.

Gdy jej lewa ręka sięgnęła do sprzączki pasa, odgryzłem szerszeniom głowy, odrzuciłem niebezpieczne końce ciał w przeciwną stronę kabiny i odsunąłem się na bok. W tej samej chwili Nadine się na mnie rzuciła.

Wpadła z impetem na mój fotel i od razu próbowała wstać, ale ja już byłem przy niej. Zacisnąłem rękę na jej gardle tak, że wybałuszyła oczy; próbowała paznokciami rozorać mi twarz.

— Uspokój się — poleciłem.

Walczyła dalej.

— Spokój!

Tym razem posłuchała. Poluzowałem chwyt na jej szyi, ale nie puszczałem. Spojrzałem na telefon w nadziei, że Edwin przysłał nową listę. Siedemnaście miejsc.

— AJ Vaccines. — Chyba żadnej twarzy nie przyglądałem się tak dokładnie jak obliczu Nadine. — Alexion. BioCryst. Ennogen.

— Co ty wyprawiasz? — spytała.

— InGenX.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę. Przysunąłem się bliżej, przycisnąłem ją do fotela. — Otwórz oczy, Nadine. — Nie otworzyła, więc wzmocniłem chwyt. — Patrz na mnie. — Zrobiła, co kazałem. Czytałem przesłaną przez Edwina listę firm. — Kora Healthcare. — Nie. — Leyden Delta. — Nie. — Merck. Omega. Phoenix Labs.

Po twarzy Nadine spływały łzy.

— Ridge Pharma. Stirling-Anders. Teva Pharmaceuticals. Tor. Underell Solutions. Vifor. Zentiva.

— Chyba będziesz musiał mnie zabić.

Usiadłem na kolanach Nadine, jedną ręką złapałem ją za gardło, drugą dłonią ująłem jej twarz — twarz osoby, z którą nieraz się śmiałem

i płakałem. Osoby, która — kiedy ostatni raz się widzieliśmy, zanim moje życie wywróciło się do góry nogami — pocieszała mnie przy pomniku wzniesionym, by upamiętnić ludzi, do których śmierci się przyczyniłem.

— Otwórz oczy. — Zacząłem powtarzać nazwy, tym razem nieco szybciej. — AJ Vaccines, Alexion, BioCryst, Ennogen, InGenX, Kora Healthcare, Leyden Delta, Merck, Omega, Phoenix Labs, Ridge Pharma, Stirling-Anders, Teva, Tor, Underell Solutions, Vifor, Zentiva.

I znowu, jeszcze szybciej...

—

AJVaccinesAlexionBioCrystEnnogenInGenXKoraLeydenDeltaMerckOmega.

Przerwałem.

Nadine wpatrywała się we mnie.

Drżała.

— To Omega.

Nadal milczała.

Puściłem jej gardło. Już przedtem skłaniałem się ku temu, że nazwa Omega Laboratories wywołała u Nadine reakcję — jej i tak szalejące tętno skoczyło o kolejnych pięć uderzeń na minutę, ciśnienie skurczowe poszybowało w niebo, a pokryta łzami twarz, gdy opadła na mój fotel i zaczęła wyglądać przez okno, mówiła wszystko. Mówiła, że poniosła porażkę.

Wyjąłem telefon i wysłałem do Edwina esemesa:

To Omega. Prześlij mi plany pięter całego budynku.

Popatrzyłem na Nadine.

— Pomaganie Karze po prostu by cię zniszczyło.

— Pewnie masz rację.

Zwolniliśmy do czterystu kilometrów na godzinę i za oknem już było widać świecący na tle nocy Nowy Jork — a raczej to, co z niego zostało.

15

Przy bramce na Grand Central czekała na nas nowojorska policja, a gdy nakładali Nadine kajdanki, Edwin wysiadł ze swojej kapsuły, w której cały czas jechał za nami.

Podszedł i zlustrował Nadine od stóp do głów, z milczącą furią, która mówiła więcej, niż mógłby wyrazić słowami. Gdy patrzyłem, jak ją odprowadzają, obleciał mnie strach, bo nie wiedziałem, co się z nią stanie. Czy Edwin zabierze ją do tajnego ośrodka i zacznie obserwować tak samo, jak robił to ze mną? Podda ją wirtualnemu przesłuchaniu? Zasługiwała na coś lepszego. Trudno mi było uwierzyć, że sprawy zaszły tak daleko, na razie jednak musiałem zająć się czym innym.

— Dyrektor Rogers? — Odwróciliśmy się do młodej policjantki, która podeszła od tyłu. — Mam panów zawieźć do oddziału SWAT.

Ruszyliśmy za policjantką z podziemi Grand Central, przemierzyliśmy główny hol i wyszliśmy na Park Avenue, gdzie zaparkowała na trzeciego swój samochód.

Podczas jazdy studiowałem plany budynku Broadway 140 przesłane mi przez Edwina — drapacza chmur, w którym miała siedzibę firma Omega Laboratories. Było to laboratorium przeznaczone do prac fazy beta i zajmowało całe dwa piętra: trzydzieste drugie i trzydzieste trzecie. Opracowywali szczepionki przeciwko grypie do prób klinicznych, zanim końcowy produkt zostawał dopuszczony do masowej produkcji na potrzeby

rynku. Oczywiście było to w czasach, zanim Dolny Manhattan nawiedziła powódź.

— Może to błąd — zastanawiał się Edwin.

— Co? Ta akcja?

— Nie masz pojęcia, co tam zastaniesz. Zginą ludzie. Chyba dostałbym zgodę na atak dronami. Trzeba by wtedy uderzyć przed świtem. Po prostu zburzyć ten cholerny budynek.

— Ponoć na Dolnym Manhattanie mieszka dziesięć tysięcy ludzi.

— Gdzie drwa rąbią...

— I nigdy byśmy się nie dowiedzieli, czy ją dorwaliśmy. Albo czy zniszczyliśmy wirusa którego stworzyła. Chcę mieć nad tym kontrolę.

Broadway 140 był budynkiem ze szkła i czarnej stali w tak zwanym stylu międzynarodowym, którego pierwotna konstrukcja powstała sto jeden lat temu. Szybko przeglądałem plany kolejnych z pięćdziesięciu jeden pięter, zapamiętując poszczególne rozkłady pomieszczeń.

Minęliśmy Union Square Park, potem pojechaliśmy Broadwayem, aż do skrzyżowania z Houston Street — jednej z nowych południowych granic tej części Manhattanu, która nadawała się jeszcze do zamieszkania. Strefa powodziowa nie biegła prostą linią przez wyspę, w poszczególnych dzielnicach różnie to wyglądało. I tak na przykład całe SoHo znalazło się pod wodą, ale fala powodziowa oszczędziła sporą część Chinatown.

Wysiedliśmy z radiowozu i udaliśmy się w stronę betonowych barierek i metalowej siatki blokujących dalszą jazdę na południe. W oddali, za barykadą, zobaczyłem wodę stykającą się z jezdnią w miejscu, gdzie zatrzymał się przypyw.

Światła za moimi plecami mieniły się charakterystycznymi odcieniami bieli i złota. Z przodu widać było jedynie oświetlony gwiazdami pasek

nieba wciśnięty między czarne budynki. Widywałem nocne zdjęcia tego miasta duchów, ale nigdy nie byłem tu po powodzi.

W lesie bezkształtnych czarnych monolitów, z których składał się obecnie Dolny Manhattan, było coś niepokojącego. Oczywiście nie była to całkiem opuszczona dzielnica — mniej więcej trzy lata temu zajęli ją bezdomni. Nazywali tę część miasta Nową Wenecją. W oddali widać było jaśniejsze, powybijane okna — paliły się tam ogniska w podniebnych obozowiskach.

Podszedł do mnie Edwin.

— Wiedzą, że dowodzisz — powiedział.

— Ufasz im?

— To zwykły oddział bio-SWAT nowojorskiej policji. Robią, co im się każe.

Przeszedłem przez betonową barykadę i prześlizgnąłem się przez otwór w płocie.

— Hej! — zawołał za mną Edwin. — Uważaj na siebie!

W połowie długiego budynku zobaczyłem poruszające się cienie i światła latarek.

Gdy dotarłem bliżej, poddałem się procesowi identyfikacji i zacząłem obserwować przygotowania do akcji.

W gotowości czekały cztery tratwy, kilkunastu ludzi ze SWAT sprawdzało ostatni raz broń. Dwóch ludzi w kamuflujących nocnych kombinezonach do ochrony przed substancjami niebezpiecznymi skończyło ładować sprzęt do tratwy. Podeszli do mnie.

Przedstawiliśmy się sobie. Dowódcą był brodacz Bob Noyes, który przy swojej budowie ciała sprawiał wrażenie, że jest w stanie zrobić niezłą rozpierduchę. Obok niego stał posiwiwały oficer, który nazywał się Aaron Brandes. W tym momencie wkładał baterię do drona.

Noyes zwołał swoich ludzi.

— Zbierzmy się do kupy!

Członkowie oddziału jeszcze nie pozakładali masek, więc szybko się rozejrzałem po ich twarzach, próbując nawiązać z każdym kontakt wzrokowy, odczytać co się da w słabym świetle.

Nic nie sugerowało obecności podwójnego agenta. Jeden był mocno wycieńczony, jeden na lekkim haju, było dwóch znudzonych socjopatów spragnionych przemocy — ale głównie na ich obliczach widziałem niepewność i strach.

Trudno było mieć do nich o to pretensje. Im bardziej poznawałem ten budynek, tym lepiej rozumiałem, dlaczego Kara go wybrała. Na trzydziestym drugim albo trzydziestym trzecim piętrze będą trudne do przejścia pozycje obronne. Już wiedziałem, że będę musiał zrobić coś szalonego.

— Celem jest Kara Ramsay. — Nikt nie spytał, czy to moja siostra. Podejrzewałem, że nie wiedzą też, kim ja jestem. — Dostaliście jej w miarę aktualny portret rysunkowy. Jej bazą jest Broadway 140, dwadzieścia cztery przecznice na południe od naszej obecnej pozycji. Powinniście mieć już plany pięter tego budynku.

— Jakiego oporu się spodziewamy? — spytał Noyes.

— Kilku strażników z przeszkoleniem w siłach specjalnych. Nie są to jednak zwykli żołnierze — mają umiejętności, z jakimi do tej pory się nie spotkaliście.

— Wiedzą, że nadchodzimy?

— Nie sądzę, ale będą przygotowani. Podejrzewam, że laboratorium jest na trzydziestym drugim albo trzydziestym trzecim piętrze. Nie można tam wjechać windą. Są cztery klatki schodowe. Po dwie na każdym końcu budynku. Gdy dotrzemy na miejsce, chcę mieć dwadzieścia minut

przewagi. Zajmijcie pozycje przed wejściami na klatki schodowe na parterze i czekajcie na mój sygnał. Cztery klatki — cztery grupy. Będą aktywowane ruchem kamery nadzorcze, używajcie więc osobistych zagłuszaczy sygnału. Spodziewałbym się barykad. Wąskich przejść.

— Platform strzeleckich — uściślił Noyes.

— Mniej więcej. A teraz wiecie tyle co i ja. Pojedziemy na południe, zatrzymamy się na skrzyżowaniu z Fulton na obserwację z dronów i końcowe rozkazy. Pytania?

Gdy oddział wrócił do tratw, Brandes podał mi sprzęt. Założyłem opancerzenie Chainmail i zapiąłem magnetyczne paski. Opuściłem okulary NightShades na szyję i otworzyłem paczkę z zamówioną bronią: belgijski pistolet FN Five-seveN z małym odrzutem i magazynkiem na dwadzieścia pocisków. Wsunąłem do kieszeni trzy magazynki, czwarty w rękojeść i wrzuciłem jeden nabój do komory.

Członkowie oddziału skończyli pakować sprzęt, po czym zawlekli tratwy na brzeg. Podążyłem za nimi, ciągnąc za sobą kajak, aż unosił się dwadzieścia centymetrów nad białymi przerywanymi liniami, które kiedyś wyznaczały pas dla autobusów.

Wsiadłem do kajaka, usadowiłem się jak najwygodniej, ująłem wiosło i wypłynąłem na głębszą wodę.

Była trzecia w nocy.

Miejskim kanionem hulał lodowaty wiatr.

Cztery tratwy płynęły kawałek przede mną, za moimi plecami w korytarzach ciemnych budynków odbijały się echem odgłosy miasta. Wszechobecne syreny i klaksony. Kakofonia pijackich wrzasków ostatnich klientów wytaczających się z barów. Wszystko to coraz bardziej cichło.

Po siedmiu przecznicach słyhać już było tylko cichy plusk zanurzających się w czarną wodę wiosła.

Płynęliśmy na południe wzdłuż Broadwayu, w coraz głębszej wodzie. Mijaliśmy kolejne zalane sklepy: Duane Reades, Sephorę, Forever 21, Bloomingdale's, banki i knajpy.

Od czasu do czasu w wybitych oknach migotał płomień ogniska, czuć było kwaśny zapach drewna, które ludzie palili, by się trochę ogrzać.

Minęliśmy ratusz i kościół Świętego Pawła.

Z jednego z wieżowców doleciały delikatne dźwięki skrzypiec — ktoś grał „Tonight” z *West Side Story*. Melodia odbijała się echem wzdłuż ciemnej, zalanej alei, między potężnymi cieniami, które kiedyś tworzyły najwspanialsze miasto świata. *Ta noc, ta noc, przyniosła cię ta noc, spojrzaleś i zatrzymał się czas*²⁶.

Nieco ponad trzy kilometry od miejsca, z którego wyruszyliśmy, tuż za skrzyżowaniem Broadwayu z Fulton, tratwy zdryfowały na lewą stronę ulicy i zebrały się pod starym znakiem informującym, że to Shake Shack.

Czas mieliśmy dobry — znajdowaliśmy się już tylko dwie przecznice od Broadway 140.

Zatrzymałem się przy boku jednej z tratw. Brandes podniósł z dna drona, uruchomił go, po czym włączył małego laptopa. Rzucił drona w powietrze, a ten napędzany małymi wirnikami pomknął wzdłuż ulicy.

— Mam obraz — oznajmił po chwili. Obserwowałem go z kajaka, jak siedzi skulony nad laptopem, z którego boku wystawał dżojstik.

— Coś wartego uwagi? — spytałem.

— Jeszcze nie... jedynie wysokie, ciemne... mam!

— Słucham?

— Twój wywiad był dobry. Wygląda, jakby ktoś obłożył całe piętro panelami na podczerwień.

Panele na podczerwień montowano do ochrony przed kamerami termowizyjnymi, zazwyczaj w postaci otaczających całe laboratorium

płaszczyn, co uniemożliwiało stwierdzenie, czy w środku są ludzie, a jeśli tak, to ilu. Nie można też było namierzać znajdujących się w środku osób za pomocą termolunet celowniczych.

Brandes zrobił jeszcze kilka kółek dronem, sprawdzając hol wejściowy, dach i boczne wejścia, po czym sprowadził drona z powrotem.

Noyes podał mi słuchawkę i bezprzewodowe urządzenie.

— Przechodzimy na komunikatory — wyjaśnił. — Kanał dwa.

Gdy zbliżaliśmy się do skrzyżowania Broadwayu i Liberty Street, budynek wyglądał na tle rozgwieżdżonego nieba niczym czarny olbrzym. Członkowie oddziału pozakładali kaptury. Dwie tratwy oddzieliły się i popłynęły wzdłuż Liberty.

Ja ruszyłem za pozostałymi dwiema, które odbiły przez plac w kierunku czerwonego sześcianu Isamu Noguchiego — kiedyś intensywnie czerwonego, obecnie rdzewiejącego w dwóch metrach wody. Zanim miasto zostało zalane, był eksponatem numer jeden głównego wejścia do budynku.

Wiosłowałem, aż dotarłem do Cedar Street, między Broadway 140 a budynkiem Equitable. W pewnym momencie w słuchawce rozległ się głos Noyesa.

— *Tu grupa A. Zbliżamy się do głównego holu. Uruchamiam osobistą blokadę sygnału. Logan, którą klatkę bierzesz? Odbiór.*

— Nie idę schodami. Odbiór.

— *Jest inna droga wejścia? Odbiór.*

— Nie. Będę się wspinał. Odbiór.

Na chwilę zapadła cisza.

— *Przepraszam, ale zdawało mi się, że powiedziałaś, że będziesz się wspinać. Odbiór.*

— Dobrze słyszałeś. Odbiór.

— *Wspinać się na budynek? Odbiór.*

— Tak. Odbiór.

— *Grupa C zbliża się do wejścia od Nassau Street. Odbiór.*

Powiosłowałem do boku budynku i spojrzałem w górę na nagą, czarną ścianę.

— *Grupa B na pozycji przy południowo-zachodniej klatce schodowej. Odbiór.*

Otworzyłem plecak i wyjąłem ładunek do wysadzania drzwi — kawałek C-4 wielkości batonika, z sekundnikiem i detonatorem. Wsunąłem go do kieszeni, rozsznurowałem buty, związałem je ze sobą i zawiesiłem na plecaku.

Schody — zwłaszcza wejścia i niższe piętra — z pewnością były pod obserwacją i najprawdopodobniej również je zaminowano. Gdyby ktokolwiek postawił tam stopę, Kara natychmiast by się o tym dowiedziała. A moja akcja zakończyłaby się wyścigiem przez ciemny, przypominający labirynt budynek, w którym czekałaby na mnie masa paskudnych rzeczy. Gdyby jednak udało mi się wejść na klatkę schodową daleko od parteru, może miałbym szansę dotrzeć do siostry, nie powiadamiając jej wcześniej o swojej wizycie.

— *Grupa D na pozycji przy południowo-wschodniej klatce schodowej. Odbiór.*

Woda sięgała do połowy wysokości parteru. Stałem ostrożnie na kajaku, który pod moim ciężarem podejrzanie się przechylał.

Wyciągnąłem rękę w górę i chwyciłem się pionowej belki oddzielającej okna. Był to ośmiocentymetrowy pasek aluminium z kunsztownie zdobioną powierzchnią, jedyny wystający element, którego mogłem się przytrzymać.

Trzymając oburącz poprzeczkę, opierałem gołe stopy na gładkiej szybie. Przełożyłem lewą dłoń nad prawą, zacisnąłem ją na belce, po czym podskoczyłem.

Po trzykrotnym powtórzeniu tego ruchu dotarłem do pierwszej poziomej belki — mizernej wypustki u dołu okna na pierwszym piętrze. Nic wielkiego, ale mogłem wbić palce w centymetrową szparę i dać odpocząć tricepsowi.

— *Grupa A na pozycji przy północno-zachodniej klatce schodowej. Odbiór.*

— *Grupa C na pozycji przy północno-wschodniej klatce schodowej. Odbiór.*

— *Wszystkie grupy czekają w gotowości* — poinformował mnie Noyes.
— *Odbiór.*

Wspinałem się dalej, przekładając rękę nad ręką, w górę pionowej belki. Wiedziałem, że jestem silny, ale nie testowałem swojego udoskonalenia pod kątem tego zadania. Przed udoskonaleniem nie wspiałbym się nawet na pierwsze piętro, dziś jednak pokonałem trzy z pozbawioną wysiłku gracją.

Dopiero po dotarciu na czwarte piętro poczułem w tricepsie pierwsze oznaki zmęczenia, ale to mnie nie martwiło. Nadludzkiego wysiłku dokonywały przywodziciel kciuka, pierwszy mięsień międzykostny grzbietowy i mięsień zginacz krótki kciuka — mięśnie palców i dłoni, najbardziej obciążane przy chwytaniu i ruchu podobnym do szczypania, który wykonywałem.

— *Logan, jak ci idzie, kolego? Odbiór* — odezwał się Noyes.

W jego głosie słychać było narastający stres.

— *Jestem na czwartym piętrze. Muszę się teraz skupić. Bez odbioru.*

Popatrzyłem w dół i natychmiast wyparłem do tła hałas, jaki chciała wszcząć część mojej świadomości na widok przyprawiającego o mdłości dystansu między mną a maleńkim kajakiem. Ponownie sięgnąłem w górę, zacisnąłem palce jak szczypcę na pionowej listwie, kłębami stóp ślizgałem

się po szkle i po chwili zostawiłem za sobą siódme piętro i znalazłem się na poziomie ósmego.

Pot spływał mi po plecach, po nogach, skapywał z pięt. Kolejny raz wbiłem się w nieustępliwą, centymetrowej grubości, stalową półkę, czułem, jak drżą mi mięśnie łydek: brzuchaty i płaszczkowaty. Niestety poziom glukozy, stanowiącej paliwo dla mięśni, niebezpiecznie spadał, grożąc mi hipoglikemią. Mięsień trójgłowy i mięśnie piersiowe piekły jak cholera, ale to było do wytrzymania. Problem stanowiły palce. Czułem, że za chwilę nie utrzymają mnie na ścianie. Od bólu mogłem się odgrodzić, ale koniec końców — z bólem czy bez — mięśnie i ścięgna palców po prostu zawiodą.

Spojrzałem w dół.

Byłby to upadek z trzydziestu siedmiu metrów do dwóch metrów wody. Ważyłem osiemdziesiąt cztery kilogramy i spadałbym 2,75 sekundy. Prędkość w chwili zderzenia z lustrem wody wynosiłaby 26,93 metra na sekundę, czyli 96,95 kilometra na godzinę. Energia w chwili uderzenia — 30,458 kilodżuli. Przeżycie takiego upadku było mało prawdopodobne, aczkolwiek możliwe, choć dwa metry wody to tyle co nic. Nie wyhamowałbym i uderzył ze znaczną prędkością w zatopiony chodnik.

Najpierw połamałbym sobie nogi, a potem utonął.

Spojrzałem w górę fasady, która zlewała się z nocnym niebem. Na początku zakładałem, że dotrę do dziewiątego piętra, ale ten zamysł już był nieaktualny. Decyzja była prosta: teraz albo nigdy.

Zawisając na jednej ręce, sięgnąłem do kieszeni i, walcząc z kolejną falą skurczów mięśni, wyciągnąłem ładunek C-4 i ostrożnie oderwałem samoprzylepną osłonę zębami.

Wolną ręką ustawiłem detonator na pół minuty. Chętnie dałbym sobie więcej czasu na odejście, ale możliwość dalszego wiszenia na fasadzie oceniałem na nie dłuższą niż minuta.

Włączyłem sekundnik i przykleiłem ładunek do dolnej części okna ósmego piętra. Do tego momentu powstrzymywałem wydzielanie adrenaliny, wiedząc, że będzie mi potrzebna na końcu. Teraz pozwoliłem sobie na strach i odrobinę paniki — wraz z nimi wydzielili się adrenalina, której będę potrzebował, żeby nie spaść.

Zszedłem cztery metry na wysokość niższego piętra i złapałem się oburącz za pionową belkę.

Eksplozja prawie zdmuchnęła mnie z fasady, ale walczyłem, kuląc głowę przed deszczem szkła i próbując wyhamować ślizgające się po listwie ręce.

Złapałem coś kawałek wyżej i wyciskając z siebie resztki sił, ściskając tak mocno, aż zacząłem się bać, że połamię sobie palce, wspinałem się dalej. Pot spływał mi po twarzy, piekł w oczy. Już było widać otwór w fasadzie, który powstał na skutek wybuchu. Eksplozja poskręcała metalowe części w poziome kontury, które aż się prosiły, aby ich użyć jako uchwytów. Nie zaufałem im.

Wspinałem się po pionowej listwie do momentu, aż dziura w fasadzie była na wyciągnięcie ręki. Z całej siły zacisnąłem na niej palce, a resztę ciała podciągnąłem tak, aby w otwór wsunęła się najpierw moja głowa. Gdy złapałem się krawędzi, szkło przecięło mi prawe przedramię. Moje nogi wisały na zewnątrz, nad otchłanią.

Jeszcze sekunda i spadnę.

Wyrzuciłem lewe ramię przed siebie, szukając czegoś stałego, czegokolwiek, i złapałem chyba nogę biurka.

Było to pierwsze prawdziwe oparcie dla ręki od opuszczenia kajaka. Wciągnąłem się przez krawędź do środka i odtoczyłem w głąb pokoju.

Przez chwilę leżałem i dyszałem. Nogi, ramiona, dłonie drżały mi z wycieńczenia i wysiłku. Po mniej więcej półminucie usiadłem i zacząłem badać uszkodzenie ręki. Z mięśnia ramienno-promieniowego wystawało

osiem kawałków szkła — dwa były wbite naprawdę głęboko w przedramię. Sięgnąłem do plecaka i wyjąłem rolkę taśmy samoprzylepnej, oderwałem spory kawałek, przykleiłem go do biurka i zacząłem wyjmować szkło. Po przedramieniu płynęła krew. Gdy pojawił się ból, musiałem poświęcić chwilę na to, by go zablokować. Gdy wyjąłem ostatni — najgłębiej tkwiący — kawałek szkła, starannie pozsuwałem brzegi ran i owinąłem sobie całe przedramię taśmą samoprzylepną w nadziei, że opatrunek wytrzyma do momentu, aż ktoś mnie porządnie pozszywa.

Założyłem skarpetki i buty. Ciekawe, czy ktoś na górze usłyszał huk wybuchu.

Byłem w sali, która wyglądała jak biblioteka — pod ścianami stały regały wypełnione literaturą prawniczą. Wstałem, zarzuciłem plecak na ramiona, obszedłem zakurzony stół konferencyjny i ruszyłem w stronę korytarza.

Założyłem okulary noktowizyjne. Prosto przed sobą miałem kontuar recepcji. Minąłem szereg drzwi z nieczynnymi windami i udałem się do północnej części budynku.

Byłem na ósmym piętrze, laboratorium znajdowało się dwadzieścia pięć pięter wyżej i miałem do wyboru cztery klatki schodowe.

Skreśliłem w lewo i skierowałem się do północno-zachodniej.

Minęło siedemnaście minut i dwadzieścia dziewięć sekund, odkąd rozpocząłem wspinaczkę. Podchodząc do drzwi klatki schodowej, wyciągnąłem pistolet.

Powoli je otworzyłem.

Panowała tam kompletna ciemność.

Bez światła zewnętrznego moje NightShades były bezużyteczne. Poszedłem do pierwszego z brzegu gabinetu i gdy brałem z biurka zszywacz, w kieszeni zawibrował mój telefon. Dzwonił Edwin.

— Cześć — przywitałem się.

— *Gdzie jesteś?* — Coś było nie tak.

— Dlaczego pytasz?

— *Jesteś w budynku?*

— Tak.

— *W drodze jest drugi oddział.*

— Dlaczego?

— *Będą lądować na dachu.*

— Nie możesz na to...

— *Właśnie usłyszałem...* — ściszył głos — *...że to już nie jest moja operacja.*

— Jak to możliwe?

— *Gdy byłeś w Wirginii...* — miał na myśli czas, kiedy trzymał mnie w szklanej klatce — *...powstał film. Ludzie się dowiedzieli. I to ci, którzy są nade mną. Sądziłem, że jeżeli szybko załatwimy sprawę tutaj, nie zauważą nas. Najwyraźniej się przeliczyłem. Może mnie obserwowano. Nie mam pojęcia.*

To musiało być Ministerstwo Obrony. Czyżby cały czas szukali mnie i Kary? DARPA od dawna marzyła o tym, by takiego rodzaju udoskonalenie zastosować do celów wojskowych. I to było jeszcze bardziej przerażające od planu Kary. Jej motywacją była chęć pomocy naszemu gatunkowi. Chciała udoskonalić każdego. Moim zdaniem nasz rząd nie zastosowałby tak egalitarnego podejścia.

— *Zamierzają wejść ostro.*

— Kto? — Nie odpowiedział. — Edwin. Powiedz mi, z kim mam do czynienia.

— *PSZ-Czarne.*

Cholera jasna! Stacjonujące w kraju Połączone Siły Zadaniowe,

sformowane z byłej Delty, Zespołu Sześć SEAL, Sił Specjalnych Armii, Marine Raiders i funkcjonariuszy służb federalnych z takich grup jak Oddział Uwalniania Zakładników FBI. Elita elity.

— Z przechwyceniem celu o dużym znaczeniu? — spytałem.

— *Moim zdaniem można założyć, że chcą cię żywego. Was oboje. I to, co skonstruowała Kara. Chcę, żebyś wiedział, Logan: nie sprzedałem cię. Nie miałem pojęcia...*

— Ilu?

— *Zazwyczaj wchodzi oddziałami po osiem osób.*

— A co ze SWAT-em? Gdy się rozstawaliśmy, wyglądali...

— *Już dla ciebie nie pracują. Przykro mi. PSZ-Czarne wyruszył sześć minut temu, więc cokolwiek planujesz, załatw to szybko i spadaj.*

Rozłączył się.

Pięć sekund później w mojej słuchawce rozległ się inny głos.

— *Logan, tu Noyes. Uda ci się wejść? Jaką masz pozycję? Odbiór.*

Słyszałem fałsz w jego głosie. Wyjąłem z ucha słuchawkę i razem z urządzeniem odbiorczym rzuciłem za siebie.

Otworzyłem drzwi na klatkę i zablokowałem je zszywaczem. Gdy skierowałem światło latarki na piętro wyżej, usłyszałem kroki i głos Noyesa dolatujący daleko z dołu.

— *Chyba nas wrobił. Właśnie wpadliśmy na... — kilku słów nie dosłyszałem — ...drugim i trzecim piętrze. Schodzimy i spróbujemy znaleźć inną drogę.*

Gdy poszli, zapaliłem latarkę i ruszyłem w górę, starając się stąpać bezszelestnie, żeby uniknąć echa w betonowej kolumnie.

Gdy byłem na podeście czternastego piętra, budynek zadrżał. Rozległ się odgłos dalekiego grzmotu i w świetle latarki zawirowały drobinki kurzu. Spojrzałem w dół, ale nie widziałem ognia ani nie było słyhać żadnych

krzyków. Cokolwiek eksplodowało, musiało to mieć miejsce w innej klatce schodowej i jeśli jeszcze dwie sekundy temu Kara nie wiedziała, że przyszedliśmy jej złożyć wizytę, to teraz była już tego pewna.

Pędziłem schodami w górę.

Szesnaste piętro.

Siedemnaste.

Osiemnaste.

Dziewiętnaste.

Cztery minuty do lądowania PSZ-Czarne na dachu. Nieważne, jak będą uzbrojeni — nie mieli szans z udoskonalonymi kumplami Kary z sił specjalnych. Co gorsza, chaos, jaki zaraz wybuchnie, jedynie mnie spowolni, a Karze pozwoli na ucieczkę.

Dwudzieste trzecie.

Dwudzieste czwarte.

Dwudzieste piąte.

W powietrzu pojawił się dziwny zapach. Smoła?

Dwudzieste szóste.

Coś zamigotało w ciemności nad moją głową. Zwolniłem do truchtu i zatrzymałem się na półpiętrze między dwudziestym siódmym a dwudziestym ósmym.

Zapach był tu znacznie silniejszy.

Od poręczy do poręczy i od sufitu do podłogi rozciągnięto zwoje koncertyny²⁷ niczym bożonarodzeniowe dekoracje w piekle. Ostre kolce jarzyły się w świetle. Z tego, co mogłem dostrzec, wypełniały całą klatkę schodową, aż do następnego piętra.

Rozpoznałem zapach: C-4, wciśnięte w obudowę oliwkowej kierunkowej miny przeciwpiechotnej, zamocowanej dwa metry ode mnie, na podeście, z przewodami detonującymi biegnącymi do drzwi prowadzących na

dwudzieste ósme piętro. Strona eksplodująca zdalnie sterowanej miny była skierowana na mnie. Zawierała mniej więcej siedemset gramów C-4 i siedemset stalowych kulek do łożysk. Z przodu było napisane FRONTEM DO WROGA.

Odwróciłem się i zacząłem zbiegać, aż dotarłem do drzwi prowadzących na dwudzieste piąte piętro.

Były zamknięte.

Wyjąłem drugi ładunek do wysadzania drzwi, przykleiłem go przy klamce, ustawiłem sekundnik na dwadzieścia sekund i zbiegłem na dwudzieste trzecie piętro.

Po eksplozji wróciłem na dwudzieste piąte. Drzwi zostały wepchnięte pięć metrów w głąb korytarza. Przeszedłem przez odłamki. Oczy mi łzawiły od ciężkiego smrodu C-4, przypominającego mieszankę smoły i oleju silnikowego.

Tutaj widziałem bez latarki. Piętro było urządzone głównie w formie otwartej, z kilkoma wydzielonymi gabinetami i salami konferencyjnymi wzdłuż jednej ze ścian. Pobiegłem do północno-wschodniej klatki schodowej, otworzyłem drzwi. Światło latarki z trudem przebijało się przez gęsty dym, a w powietrzu unosił się jeszcze inny zapach: dusząco-słodki odór spalonego mięsa.

Cztery piętra wyżej migotały kolejne zasieki z koncertyny.

Przebiegłem między boksami w kolejny róg.

W południowo-wschodniej klatce schodowej nie było dymu, ale w dole słychać było głosy, zaś kilka pięter wyżej przejście blokowały zwoje drutu.

Gdy biegłem do ostatniej klatki schodowej, zastanawiałem się nad planem Kary. Ustawiła śmiertcionośne zapory między sobą a każdym zagrożeniem, ale żeby się wydostać z budynku, będzie musiała zejść schodami, po drodze przebijając się przez atakujących ją komandosów. Bez

wątpliwości Ministerstwo Obrony — czy kto tam nas ścigał — porozmieszcza dodatkowe siły przy wyjściach na dole. I snajperów na wyższych pozycjach.

Nawet jeśli uda mi się pokonać wszystkie bariery, będę miał do czynienia z tym samym problemem.

Czyli Kara musiała mieć przygotowaną drogę ucieczki. Szybem windowym? Schodami, których nie było na planach? Jeżeli szybko nie rozwiążę tej kwestii, moja akcja zmieni się w misję samobójczą.

Dwie minuty — o ile Edwin powiedział prawdę — do dotarcia PSZ-Czarne.

Wszedłem na południowo-zachodnią klatkę schodową.

Nie było tu dymu. Panowała cisza. W górze nie było widać zwojów drutu.

Pobiegłem na górę i po chwili minąłem dwudzieste siódme piętro.

Dwudzieste ósme.

Dwudzieste dziewiąte.

Gdzieś w budynku rozległa się strzelanina — terkot broni automatycznej, potem kolejny wybuch — dokładnie w bok ode mnie.

Szedłem dalej.

Minąłem trzydzieste piętro.

Trzydzieste pierwsze.

Zostały dwa piętra, szukałem dokładnie, ale nie widziałem żadnego zagrożenia — ani drutów, ani min.

Przez szpary wokół drzwi prowadzących na trzydzieste trzecie piętro przesączało się światło. Obłożono je ładunkami, aby wysadzić? Przycisnąłem twarz do krawędzi drzwi i wciągnąłem powietrze — nie wyczułem zapachu oleju silnikowego.

PSZ-Czarne wyląduje za minutę.

Chwyciłem klamkę i nacisnąłem ją.

Zamknięte. A wybuch ładunku zdradzi moją obecność.

Ale to były przecież schody pożarowe. Można je było zamknąć od zewnątrz, ale na wypadek sytuacji awaryjnej musiały się jednak bez większych problemów otwierać. Zazwyczaj używa się do tego czujnika Rex umieszczonego po wewnętrznej stronie drzwi, który jest detektorem wyjścia. Mierzy pasywnie podczerwień w celu wykrycia zmian temperatury spowodowanych zbliżaniem się człowieka i wydaje sygnał do otwarcia drzwi.

Słowem kluczowym jest tu „zmiana temperatury”. Niekoniecznie wzrost.

Pogrzebałem w plecaku i wyjąłem sprężone powietrze. Rozerwałem opakowanie, włożyłem cienką rurkę w dyszę i położyłem się na podłodze w nadziei, że między dolną krawędzią drzwi a podłogą będzie dość miejsca, aby ją przepchnąć.

Znalazłem w progu miejsce, gdzie odprysnęło drewno, przepchnąłem rurkę na drugą stronę i obróciłem pojemnik z powietrzem do góry nogami. Gdybym puścił strumień, trzymając butlę normalnie, na zewnątrz wy dostałby się jedynie nośnik fluorokarbonowy, ale po odwróceniu butli wyleci płynne powietrze, skompresowane w butli pod dużym ciśnieniem, i rozpręży się, tworząc gaz.

Termodynamiczny proces adiabatycznego chłodzenia powinien schłodzić bezpośrednią okolicę drzwi i — jeżeli moje założenie było prawidłowe — oszukać czujnik, każąc mu przyjąć, że ktoś się zbliża.

Nacisnąłem dźwignię i słuchałem syku wylatującego powietrza, podczas gdy pojemnik w mojej dłoni stawał się coraz zimniejszy.

Zdjąłem okulary NightShades, wyciągnąłem dłoń ku górze i nacisnąłem klamkę.

Tym razem się udało.

Oczywiście na samych drzwiach mógł być dodatkowy czujnik, który po ich otwarciu przerwałby obwód i uruchomił alarm.

Musiałem jednak zaryzykować. Brakowało mi czasu.

Gdy otwierałem powoli drzwi, wysoko w górze rozległy się strzały z broni maszynowej, po czym nastąpiła basowa, przypominająca parskanie lokomotywy, kanonada z wielolufowego działka automatycznego.

Potem nastąpił huk, który wstrząsnął budynkiem.

Wybiegłem z uniesionym pistoletem na biały korytarz rozświetlony długim szeregiem świetlówek. Spojrzałem w lewo...

Za oknami spadał płonący black hawk. Łopaty jego wirnika cały czas się kręciły, tnąc fasadę na eksplodujące chmury szkła i odłamki metalu, piloci wrzeszczeli. Po chwili już go nie było.

Kilka sekund później budynkiem wstrząsnął potężny wybuch — helikopter grzmotnął w Cedar Street.

Biegłem korytarzem, mijając sale wypełnione łózkami polowymi i sprzętem medycznym, zastanawiając się, czy to tutaj grupie testowej Kary zaaplikowano udoskonalenie.

Za windami stał bioreaktor ze stali nierdzewnej.

Szklane kolumny.

Wirówki.

Wszedłem do wielkiego laboratorium zajmującego wschodnią część trzydziestego trzeciego piętra. Podejrzywałem, że Kary już tu nie ma.

Całą ścianę zajmowały cicho szumiące serwery. Zza metalowych drzwi dolatywał głośniejszy, stłumiony pomruk generatorów zasilających laboratorium.

Minąłem zamrażarkę, potem dwa urządzenia do zamrażania z kontrolowaną prędkością.

Przez silny fetor rozpuszczalników wychwyciłem znajomy zapach —

tego samego szamponu, którego Kara używał w domu naszej matki w Kolorado.

Zza następnego załomu dobiegały jakieś dźwięki: ciche szczęknięcie metalu o metal. Wyjąłem z plecaka kolejny ładunek do wysadzania drzwi i ustawiłem detonator na trzy sekundy.

Wyjrzałem za róg.

Kara stała przy szafce na materiały biologiczne, tyłem do mnie, i gorączkowo pakowała do plecaka coś, co wyglądało na wstrzykiwacze do samodzielnej aplikacji. Obok niej stała Madeline Ortega z H&K MP7, który już się obracał w moją stronę. Nasze spojrzenia się spotkały — była zaskoczona.

Miała przewagę.

Nie złapię jej w celownik, zanim...

Schowałem się za róg w momencie, gdy zdolne do przenikania pancerzy pociski 4,6 × 30 milimetrów załomotały w ścianę z prędkością dziewięciuset pięćdziesięciu strzałów na minutę. Mowa ciała Ortegi sugerowała, że ruszy za mną w pogoń, uruchomiłem więc sekundnik i rzuciłem ładunek na podłogę.

Trzy.

Dwa.

Gdy dobiegałem do wind, spojrzałem za siebie.

Jeden.

Ortega wybiegła zza rogu, unosząc pistolet maszynowy.

Zniknęła w jaskrawej, głośniejszej eksplozji, a Kara pognęła północnym korytarzem.

Dokąd zmierzała?

Nie mogła dojść północno-wschodnią klatką na parter. Jak również południowo-zachodnią ani północno-zachodnią. Wszystkie między

dwudziestym dziewiątym a trzydziestym pierwszym piętrzem miały barykady z drutu. Będzie musiała zejść południowo-wschodnimi schodami na dwudzieste szóste piętro, przejść do północno-zachodniej klatki, zejść na szóste piętro i przejść do południowo-zachodniej klatki schodowej — jedynej, gdzie nie było na pierwszych sześciu piętrach zasieków z drutu ani min przeciwpiechotnych.

Gdyby zamierzała zejść na dół, powinienem czekać na nią w południowo-zachodniej klatce, którą musiałaby przejść. Nie bardzo to jednak pasowało — nawet jeśli poradzi sobie ze mną, siły specjalne otoczą wszystkie cztery wejścia na parterze.

Jeśli jednak pójdzie wyżej, wpadnie w pułapkę.

Nie! Kurwa! Oczywiście. Szła na górę. Wszystko do siebie pasowało. Nie tylko wiedziałem, dokąd Kara idzie, lecz także co zamierza. I nie zostało mi wiele czasu, żeby ją powstrzymać.

Zawróciłem i pobiegłem korytarzem w kierunku południowo-zachodniego rogu budynku, przeskakując po drodze nad tym, co pozostało z Madeline Ortegi.

Gdy byłem w odległości dziesięciu sekund od klatki schodowej, eksplodowały drzwi.

W progu stanęło dwóch ludzi. Rozpoznałem Noyesa i Brandesa. Obserwowałem wszystko naraz.

Oczy Noyesa rozszerzyły się.

Brandes zaczął unosić karabinek szturmowy.

Krew Ortegi spływała po ścianach.

Wszystko spowalniało.

Mógłbym zdjąć obu w niecałą sekundę, nie chciałem ich jednak zabijać — byli wyrwanymi w środku nocy z łóżek gliniarzami, nie mieli pojęcia, w co się pakują.

W dalszym ciągu biegłem w ich kierunku, od wysadzenia drzwi minęło pół sekundy. W głowie miałem plan trzydziestego trzeciego piętra — na wprost powinien być korytarz dzielący piętro na pół.

Brandes przyłożył kolbę karabinka do ramienia, zawahał się, wycelował w moje nogi, a Noyes wyciągnął pistolet X-30 — wojskowej klasy broń wystrzeliwującą pociski skutkujące porażeniem jak z tasera.

Odbiłem w lewo — minimalnie — co spowodowało, że obaj przesadnie zareagowali. Ogień wylotowy z lufy karabinka Brandesa wykwitł niczym kwiat i pociski załomotały o ścianę. Odrzut wytrącił obu nieco z równowagi, co wykorzystałem, aby skoczyć w prawo, w kolejny korytarz.

Był wąski.

Światłówki migotały.

Czworo drzwi z lewej, czworo z prawej.

Pierwszych dwoje prowadziło do gabinetu i pakamery na sprzęt, trzecie do pokoju socjalnego i tam wskoczyłem.

Dwa okrągłe stoły. Wnęka na kuchenkę. Dystrybutor wody. Zapach starej, spalonej kawy i resztek gnijących w koszu na śmieci.

Stałem tuż przed progiem, Brandes i Noyes zbliżali się.

Otworzyli drzwi i zamknęli je.

Potem następne.

— *Znaleźliśmy Logana na trzydziestym trzecim* — zameldował Noyes.
— *Chodźcie na górę, jeśli możecie. Próbujemy nawiązać kontakt.*

Ich kombinezony szeleściły.

Byli blisko.

— *Oslaniaj te drzwi* — rozkazał Brandes. — *Otwieram je.* — Sposób, w jaki niósł się jego głos, świadczył o tym, że sprawdzali pokój po drugiej stronie korytarza, co oznaczało, że będą do mnie zwróceni plecami.

Wybiegłem z pokoju.

Podzieliłem świadomość...

Zaskoczyłem ich. Noyes odwracał się do mnie w żółwym tempie, ja zaś przyspieszyłem, aby sięgnąć — nie po broń — po jego palec na spuście, łamiąc mu go w chwili, gdy objął mnie celownikiem, Brandes był przerażony, bo zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że ma przerąbane. Noyes pisnął, gdy złapałem X-30, uchyliłem się przed potężnym sierpem i strzeliłem mu prosto w nogę, aby ominąć pancierz. Gdy stracił przytomność i osuwał się na podłogę, przesunąłem się w bok od chaotycznej strzelaniny Brandesa i też strzeliłem mu w nogę. Obaj zaczęli gwałtownie podrygiwać — naładowane prądem pociski doprowadziły do zwarców w układzie nerwowym. Zabrałem Noyesowi kilka plastikowych kajdanek, które miał przyczepione do pasa, po czym szybko spiąłem nimi nadgarstki i nogi w kostkach obu mężczyzn. Obym miał jeszcze dość czasu, aby przechwycić Karę...

Południowo-zachodnia klatka schodowa była pełna dymu.

Włączyłem latarkę i pognałem schodami w górę.

Gdy byłem na półpiętrze między trzydziestym piątym a trzydziestym szóstym piętrem, drzwi do trzydziestego siódmego — półtora piętra nade mną — gwałtownie się otworzyły. Schowałem latarkę, ujrzałem na ścianach błysk światła innej i usłyszałem oddalający się ku górze, szybki jak błyskawica krok mojej siostry.

Poszedłem ostrożnie za nią.

Skrzypnęły otwierane drzwi.

Światło jej latarki zniknęło.

Byłem niemal pewien, że weszła na trzydzieste dziewiąte piętro. Gdy tam dotarłem, powoli uchyliłem drzwi i wślizgnąłem się do środka — w tej samej chwili, gdy zamknęły się drzwi prowadzące na północno-zachodnią klatkę.

Przebiegłem przez trzydzieste dziewiąte piętro.

Mijałem opuszczone gabinety, pomieszczenie z kopiarką, pokoje socjalne, aż — znowu spocony jak mysz — dotarłem do drzwi na północno-wschodnią klatkę.

Otworzyłem je. Odgłos kroków miałem nad sobą.

Na ścianach raz za razem pojawiało się światło latarki Kary, tym razem jednak jej nie ścigałem. Jedyne słuchałem. Liczyłem piętra, które pokonuje.

Czterdzieste pierwsze.

Na podstawie schematu kroków stworzyłem w głowie model postępów, jakie robi.

Czterdzieste drugie.

Czterdzieste trzecie.

Zatrzasnęła drzwi i zaryglowała je. Wyszła z klatki schodowej na czterdziestym trzecim piętrze i wiedziałem, dlaczego nie musi iść wyżej. Nie potrzebowała.

Przebiegłem przez całą długość budynku, z powrotem do północno-wschodnich schodów, a gdy zacząłem wchodzić na czterdzieste trzecie piętro, doleciały do mnie odgłosy kroków i dwa wyraźnie rozróżnialne głosy.

Czyżby komuś z PSZ-Czarne udało się wydostać z helikoptera? Musiałbym się nimi zająć, ale gdyby to byli ludzie Kary...

Nadstawiłem pilnie uszu.

Dwóch mężczyzn, obaj mówiący nieco zbyt szybko.

— ...spokojnie, spotkamy się tam — mówił pierwszy. — Tak, nic nam nie będzie.

Znałem ten głos. Pasował do tego, który słyszałem, przeglądając dzisiaj media społecznościowe — film z Deshawnem Brownem z urodzin jego

najmłodszej córki sprzed roku. Co oznaczało, że drugi to Rodney Viana, szczęśliwie żonaty gliniarz z Ohio. Obaj udoskonaleni członkowie sił specjalnych.

Próbowałem wymyślić jakiś sposób, żeby wyłączyć ich obu z akcji. Moje szanse były większe niż kiedykolwiek, ale... Najbardziej prawdopodobne było to, że zabiję jednego z nich, a drugi zabije mnie. Długie szkolenie dawało im ogromną przewagę.

Dlatego nie powinienem się z nimi konfrontować.

Zgasilem latarkę. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebovałem spowolnienia.

Uderzenia podeszew w dwóch kadencjach — lżejszy, niższy szedł przodem.

Wyprzedzał ich zapach — soli, wody toaletowej (Old Spice?) i gryzący smród nitrogliceryny po niedawnej strzelaninie.

Promienie ich latarek muskały ściany.

Stałem na półpiętrze poniżej czterdziestego drugiego piętra i oczami wyobraźni doskonale wizualizowałem przestrzeń.

Byli w odległości piętnastu sekund ode mnie.

W kompletnej ciemności wszedłem na czterdzieste drugie piętro, przeskoczyłem przez balustradę i zawisłem na drugim stopniu od góry — niewidoczny dla każdego, kto by tędy schodził.

Byli dwa piętra nade mną.

Mijali czterdzieste trzecie.

Półpiętro między czterdziestym trzecim a czterdziestym drugim.

Minęli czterdzieste drugie piętro, but jednego z nich o milimetry minął moje palce, na których zwiisałem na krawędzi stopnia. Schodzili do półpiętra między czterdziestym drugim a czterdziestym pierwszym piętrem, obaj kierowali latarki ku podłodze. Doszli do półpiętra. Podciągnąłem się,

przerzuciłem nogi przez balustradę i zniknąłem z ich pola widzenia. Zrobili zwrot, więc cicho się opuściłem, po czym przetoczyłem w bok, gdy poszli dalej.

Skierował się ku mnie promień latarki: czyżby któryś mnie usłyszał?

Zsunąłem się bezgłośnie po schodach, patrzyłem, jak światło latarki przesuwa się po miejscu, w którym przed chwilą leżałem. Przywarłem maksymalnie do ściany — bez oddechu, bez ruchu — wsłuchując się w niknący odgłos ich kroków.

Po chwili przestałem widzieć błyski latarek.

Czekałem, wyobrażając sobie, jak się przemieszczają, błagając w myślach, aby sobie poszli, zanim...

Rozległy się krzyki, osiem pięter niżej klatkę schodową rozjaśniły płomienie z luf. Natknęli się tam na kogoś. Wstałem i pobiegłem na czterdzieste trzecie piętro. Drzwi były zamknięte. Wziąłem kolejny ładunek, nastawiłem go na dziesięć sekund i zbiegłem na czterdzieste drugie.

Drzwi eksplodowały.

Wróciłem na czterdzieste trzecie piętro i wbiegłem w otwór po drzwiach.

Piętro nie miało ścian, były jedynie szyby windowe i schody. Porzucono je najwyraźniej w trakcie jakiejś przebudowy, bo w ścianach widać było odsłonięte kanały, a z sufitu zwisały przewody.

W głębi budynku ktoś klęczał.

Spojrzałem w stronę pozbawionego drzwi wejścia na północno-wschodnią klatkę schodową — pusto.

Byłem jedenaście sekund od Kary.

Przykucnęła i mocowała coś do pleców. Gdy mnie zobaczyła, gwałtownie wstała i zaczęła biec. Była oddalona o dziesięć metrów od okna z wybitą szybą.

Stanąłem przy windach, trzydzieści metrów od niej, podzieliłem świadomość i zwolniłem czas, rejestrując równocześnie ból w palcach dłoni, echa wystrzałów kilka pięter niżej, wiejący przez wybite okno zimny wiatr znad nowojorskiego portu, dalekie światła New Jersey City i ogarniającą mnie rozpacz z powodu tego, co miałem zaraz zrobić — którą oczywiście natychmiast zablokowałem.

Uniosłem pistolet i skupiłem się na prawej nodze Kary, która poruszała się tak powoli, że nie miałem najmniejszej wątpliwości, iż trafię.

Strzeliłem i upadła — impet strzału przesunął ją bliżej wybitego okna. Po chwili znowu biegłem w jej stronę, ona zaś przekręciła się na plecy i skierowała ku mnie twarz. Z bronią w dłoni, ułamek sekundy przed pociągnięciem za spust.

Strzeliłem ponownie, trafiłem pośrodku ciała, więc szarpnęło nią do tyłu, ramiona opadły jej po bokach, a pistolet wypadł z dłoni i zaklekotał o podłogę.

Gdy dobiegłem do siostry, prawie dotykała broni. Kopnąłem pistolet, który przejechał po polerowanym betonie i wyleciał przez wybite okno.

Rana w nodze Kary krwawiła, po jej oddechu słyszałem, że ma przebite prawe płuco. Rzęziła. Krew skapywała jej z kącików ust. Siłą otworzyłem jej prawą dłoń. Ścisnęła zwitek czarnego materiału, przymocowanego do poskładanej w esy taśmy, biegnącej do jej plecaka.

Oczy miała otwarte, obserwowała mnie. Był w nich wielki ból, nie mogłem jednak pozwolić na to, by w tej chwili kierowały mną emocje.

— Są tu jakieś pozostałości po wirusowym udoskonaleniu? — spytałem.
— Coś, co mógłby przejąć rząd i...

— Tak, ale laboratorium zaraz zniknie.

— Kiedy?

Popatrzyła na zegarek

— Za dziewięćdziesiąt dwie sekundy.

Poluzowałem paski na nogach i klatce piersiowej Kary. Gdy ją przewróciłem na bok, aby uwolnić jej ramiona, jęknęła. Nieporadnie ściągnąłem uprząż przez nogi. Plecak Tumi miała założony odwrotnie — z przodu. Ściągnąłem go, otworzyłem i ujrzałem mniej więcej sto wstrzykiwaczy.

Sprawdziłem uprząż i pojemnik pod kątem uszkodzeń od strzałów. Nie było żadnych. Kula musiała pozostać w jej ciele. Założyłem uprząż i na końcu plecak. Zaciągnąłem paski na nogach. Pas na piersi. Taśma łącząca pilota z głównym spadochronem nieco się splątała, odszedłem więc od Kary, aby ją rozplątać.

— Więc to wszystko? — spytała, walcząc o każde słowo. — Pozabijamy się nawzajem?

Zacząłem z powrotem składać taśmę pilota. Znałem się na tym tyle, co podpatrzyłem kiedyś u Kary i co pokazano na filmie o skoczkach BASE, który obejrzałem z nudów pewnego wtorkowego popołudnia wiele lat temu.

Założyłem plecak Tumi na pierś — jak Kara.

— Nie możesz zabić ludzkości, aby uratować ludzkość. Ludzie nie są środkiem do celu.

Kara z trudem wciągnęła powietrze.

— Logan...

— Tak?

— Nic nie widzę.

Na północno-wschodnich schodach słyhać było głosy. Musiałem uciekać. Zamiast tego usiadłem obok siostry, przyciągnąłem ją do siebie i objąłem.

— Nie myśl źle o mnie — poprosiła. Dygotała i czułem spływającą mi

na nogę ciepłą krew. Czułem jej miedziany zapach. — Jesteśmy więcej warci. Oboje.

— Nie patrzę na ciebie przez pryzmat tej chwili. Widzę cię we wszystkich twoich chwilach. Wszystkich naszych chwilach. Mieliśmy kilka dobrych.

— Osiemnaście.

— Słucham?

Zakasłała krwią.

— Mieliśmy osiemnaście wspólnych doskonałych chwil.

Zastanowiłem się.

— Dziewiętnaście.

— Skąd wzięłaś dziewiętnaście?

— Dodałem tę teraz. Przepraszam.

Kara płakała. Umierała i opuściła gardę. Czułem, że zaraz zrobię to samo.

Chciałem w naszej ostatniej wspólnej chwili coś powiedzieć. Coś głębokiego, ale ona to zrobiła. Słowa były proste, lecz wyrażały wszystko.

Wyciągnęła rękę za siebie i dotknęła mojej twarzy.

— Nie można nic nie robić, Logan.

Chciałem jej powiedzieć, jak bardzo będę za nią tęsknił, jak bardzo żałuję każdej okazji, gdy niemal brałem do ręki telefon, aby zadzwonić, ale tego nie zrobiłem. Tego, że nie byłem bardziej obecny w jej życiu. Słowa utknęły mi jednak w gardle.

Jej dłoń ześlizgnęła się.

— Kara?

Czułem, jak coś z niej ulatuje.

Cokolwiek trzymałem w ramionach, nie była to już moja siostra.

Położyłem ciało Kary na betonie i zamknąłem jej oczy. Widziałem ją nie

jako pustą skorupę, ale w doskonałych wspomnieniach — miała dwanaście lat i jechała przede mną na rowerze piaszczystą drogą przy domu dziadków. Było późne popołudnie i w złotym świetle patrzyła na mnie i Maksa, szydząc z nas: Dogońcie mnie! Ruszajcie się szybciej!

Wstałem. W jednej ręce miałem pistolet, w drugiej pilota spadochronu. Podszedłem do krawędzi wybitego okna i spojrzałem w dół.

Kara wybrała ten koniec budynku, ponieważ żaden inny drapacz chmur nie dysponował tą właściwością: jego okna wychodziły nie tylko na plac i Broadway, lecz także na to, co kiedyś było parkiem Zuccotti — liczącą prawie dwa tysiące osiemset metrów kwadratowych oazą w sercu Dzielnicy Finansowej. Obecnie była to tylko plama martwych, zalanych wodą drzew.

Od strony portu w dalszym ciągu wiał mocny wiatr. Aby oderwać się od budynku, muszę nabrać prędkości.

Odruchtałem piętnaście metrów od okna i gdy odwracałem się, aby przyrzeć się mojemu pasowi startowemu, coś gwizdnęło mi koło ucha.

Z północno-wschodniej klatki schodowej wybiegały postacie w kombinezonach ochronnych. Coś musnęło mój plecak. Wyciągnąłem strzałkę ze środkiem usypiającym i odrzuciłem ją na bok. W ciągu mniej niż dwóch sekund wystrzeliłem za siebie dwanaście pocisków, co sprawiło, że wszyscy się rozpierzchli, i ruszyłem.

Dziesięć metrów do okna.

Sześć.

Dwie kolejne strzałki trafiły w plecak.

Trzy.

Minąłem Karę, myśląc: *Oto ostatni obraz mojej siostry, jaki zachowam w pamięci.*

Pół metra od krawędzi skoczyłem. Byłem dobrze rozpędzony, leciałem, podczas gdy moja świadomość dzieliła się...

Było to jedno z najdziwniejszych odczuć w moim życiu — spadanie z jedną czwartą zwykłej prędkości, podchodzącym do gardła żołądkiem, rosnącą w dole ziemią, twarzą smaganą wichrem. Kątem oka dostrzegłem na dachu One Liberty Plaza rozbłysk światła. Snajper.

Spadałem dwie sekundy z 6,18 sekund, które zajęłoby mi spadanie na ziemię, gdy rzuciłem przed sobą pilota. Zniknął w górze, plac dalej się jednak zbliżał. W oczekiwaniu, aż rozwinie się główny spadochron, przeszła mnie fala strachu, czy nie zniszczyły go strzałki.

Szarpnęło i spadałem dalej, ale po swobodnym spadaniu, jakie przeżyłem, to teraz wydawało mi się igraszką. Za moimi plecami strzelały pociski, ponownie rozbłysnął karabin snajperski, gdy szybowałem nad Broadwayem i zatopionymi drzewami parku Zuccotti.

Wyciągnąłem ręce w górę i chwyciłem dwie rączki spadochronu. Ciągnąc za lewą, skręcałem w lewo, korygując prawą, prostowałem tor lotu tak, że sunąłem nad środkiem parku.

Coś eksplodowało za mną serią basowych grzmotów, a gdy spojrzałem za siebie, zobaczyłem strzelające z okien na trzydziestym trzecim piętrze jężory ognia.

Nawet z tej odległości poczułem gorąco na twarzy. Na zalany plac spadł deszcz szkła. Miałem nadzieję, że wybuch nikogo więcej nie zabił, ale przynajmniej rząd nie dostanie w swoje łapska efektów pracy Kary.

Dobra robota, siostrzyczko.

Na wprost znajdował się budynek, który ominąłem z lewej strony. Byłem jakieś sto dwadzieścia metrów nad ziemią i szybowałem między wysokościami stojącymi wzdłuż niegdysiejszej Cedar Street. Hulający między budynkami wiatr robił co mógł, aby porwać mi spadochron.

Wyleciałem nad kolejną otwartą przestrzeń, w oddali widać było kopułę

kościół, słupy latarni i martwe drzewa w parku Liberty, a za tym wszystkim wielki czarny cień One World Trade Center.

Trzy metry nad powierzchnią wody wziąłem głęboki wdech i pociągnąłem za rączkę uprząży.

Plasnąłem w lodowatą taflę. Instynktownie zacząłem wykonywać pływackie ruchy, ale tonąłem jak kamień — osprzęt był zbyt ciężki, moje ciało było jedną wielką czerwoną strefą.

Dotknąłem asfaltu — byłem cały pod wodą.

Opanowałem ogarniającą mnie panikę.

Uwolnienie ramion zajęło mi pełną minutę. W kompletnej ciemności ściągnąłem uprząż przez nogi, szarpiąc się z butami, które nie chciały przejść przez pętle udowe. Pierwsze iskry niedotlenienia zaczęły zasnuwać mi pole widzenia. W końcu zerwałem kurtkę i pancierz, zgiąłem kolana i odbiłem się ku górze.

Wynurzyłem się. Dyszałem jak astmatyk.

Byłem na West Street, naprzeciwko wejścia do opuszczonego hotelu Marriott.

Wpłynąłem do holu, ku schodom wspinającym się łukowato na pierwsze piętro. Przepełzłem przez ostatni zanurzony w wodzie stopień i padłem na podest półpiętra.

Ledwo łapałem powietrze, dygotałem. Wszystko mnie bolało.

Raz za razem powracała do mnie ta sama myśl:

Zabiłem siostrę.

Słowa odbijały się w mojej głowie i choć próbowałem je wyprzeć, w klatce piersiowej czułem narastający ucisk. Nie wiedziałem, jak długo uda mi się bronić przed falą uderzeniową, spowodowaną jej śmiercią.

Zaraz zacznę krzyczeć.

Obudziło mnie światło świtu.

Odzyskałem przytomność zwinięty pod ścianą, przespawszy niewiele ponad godzinę, do tego na skraju hipotermii.

Usiadłem i włączyłem telefon — miałem osiemnaście telefonów od Edwina.

Odebrał po pierwszym dzwonku.

— Żyjesz.

— Ledwo. — Nie wiadomo było, kto nas podsłuchuje i czy już zaczęto mnie namierzać.

— Ucieczka jest bezcelowa — stwierdził Edwin drętym głosem. Robił przedstawienie, ale nie dla mnie. — Mamy zdjęcia twojej twarzy. Wszyscy dostali polecenie, aby się za tobą rozglądać. Nie wydostaniesz się z miasta.

Zrozumiałem. Wiedział, że rozmowa jest kontrolowana i nie może sprawiać wrażenia, że mi pomaga. Równocześnie mnie ostrzegał: bądź ostrożny, szukają cię.

— Spotkajmy się gdzieś — powiedział Edwin. — Przejmę cię.

— Muszę ci powiedzieć dwie rzeczy i wtedy się rozłączę — odparłem. — Po pierwsze, lepiej będzie, jeżeli przyzwolicie zachowasz się wobec Nadine. Dobrze ją traktuj. Uczciwie. Po drugie, to, co ci wstrzyknąłem.

— Tak?

— To był tylko roztwór soli.

Wszedłem ponownie do wody i od razu zacząłem drzeć. Wypłynąłem w kierunku dziennego światła, wspiąłem się na martwe drzewo i znalazłem w gałęziach miejsce na odpoczynek. Musiałem się rozgrzać na słońcu.

Stal i szkło górnej części budynku błyszcząły w porannym słońcu, a kawałek dalej na West Street słychać było głosy.

Przez chwilę sądziłem, że to jakaś grupa poszukiwawcza, potem jednak ujrzałem zgromadzone przy One World Trade Center łodzie. Była to zbieranina rozpadających się jednostek pływających. Jedne załadowano

świeżymi owocami, inne książkami, czasopismami i suszonymi owocami. Na jednej sprzedawano piwo i papierosy. Nad inną unosiły się kłęby dymu — jakaś kobieta smażyła kebaby. Słychać było muzykę — ktoś grał na gitarze. Od ścian budynków odbijały się odgłosy rozmów i śmiech.

Chętnie bym tam popłynął. Coś bym wymienił za śniadanie. Spróbował zdobyć łódkę, tyle że nocna rozróżba w budynku Broadway 140 z pewnością została zauważona. Każdy, kto znajdował się w pobliżu, musiał ją słyszeć, i gdybym nagle pojawił się, wychodząc z wody, jedynie by to wszystkich zaalarmowało. Tak więc przyglądałem się z daleka bezdomnym, żyjącym w jednym z najbardziej niegościnnych miejsc świata.

Ci ludzie wyglądali na szczęśliwych, a obserwowanie ich czyniło i mnie szczęśliwym — tysiąc drobnych gestów dobroci wśród tych, którzy nie mieli nic do zaoferowania.

Cały dzień spędziłem w wodzie, pracując na południowy koniec Manhattanu, oddalając się na bezpieczną odległość od budynku przy Broadway 140.

Posuwałem się od przecznicy do przecznicy. Cierpliwie. Ostrożnie. Powoli.

Gdy płynąłem wzdłuż autostrady Roosevelta, na otaczających mnie wieżowcach zapaliły się pierwsze ognie popołudnia, a Wenus bujała się na niebie, tak mocno Ziemia zaginała jej światło.

W końcu wydostałem się z wody na suchy teren wjazdu na most Brookliński.

Było upiornie cicho.

Na ulicy nie było żywej duszy.

Wszedłem na most, ruszyłem pustą jezdnią, a gdy dotarłem do najwyższego punktu — 38,7 metra nad powierzchnią wody — ujrzałem Statuę Wolności. Tego zimowego popołudnia jej sylwetka odcinająca się od

krwistoczerwonego nieba kojarzyła się nie tyle z symbolem miasta, ile z kapsułą czasu.

Otworzyłem plecak Kary i wyjąłem wstrzykiwacz. Był lekki. Nie wzbudzał podejrzeń. Dziwne, że kilka takich mogło zmienić trajektorię życia gatunku.

Nie spiesząc się, wyrzucałem dzieło siostry, jeden wstrzykiwacz po drugim, w ciemne wody East River. Straszliwy ucisk powrócił, a żal domagał się, by go wykrzyczeć.

Czyżby to był ostatni we mnie skrawek człowieczeństwa, usiłujący się przebić?

Mogłem powstrzymać emocje, ale nie zrobiłem tego. Obojętność wobec śmierci siostry byłaby przekroczeniem granicy, zza której nie ma powrotu.

Łzy popłynęły mi strumieniem.

Pozwoliłem sobie na to.

Myślałem o osiemnastu doskonałych chwilach — i ostatniej, w której dotykała mojej twarzy dłonią, a potem umarła.

Przez chwilę byłem dawnym Loganem, nawet zacząłem się zastanawiać, czy dałoby się jakoś zlepić w jedno człowieka, którym byłem, z człowiekiem, jakim się stałem.

Spojrzałem jeszcze raz na miasto ciemności — miasto światła.

Ruszyłem dalej, w stronę świateł Brooklynu. Myśli gnały, umysł obudził się z letargu wraz z pomysłem, który we mnie zakiełkował. I to ów pomysł sprawił, że znów miałem nadzieję, iż jeszcze nie wszystko stracone.

Byliśmy monstrualnym, myślącym, egoistycznym, czułym, pełnym strachu, ambitnym, kochającym, nienawidzącym, przepelnionym nadzieją gatunkiem. Tkwił w nas potencjał do wielkiego zła, ale także do wielkiego dobra. Byliśmy też zdolni do czegoś więcej.

Moja siostra miała rację: Nie można nic nie robić.

[25](#) Przekład Michał Romanek.

[26](#) Przełożyła Dorota Kozielska.

[27](#) Koncertina to dość luźne zwoje cienkiego, elastycznego drutu stalowego rozwieszanego pomiędzy wbitymi w ziemię palikami lub rozrzuconego w terenie, zazwyczaj w połączeniu z zasiekami z drutu kolczastego.

EPILOG

Natura ludzka będzie ostatnim bastionem natury,
który podda się człowiekowi. Bitwa zostanie
wygrana. Wówczas „wyjmiemy nitkę życia z ręki
Kloto” i odtąd zyskamy pełną wolność przetwarzania
naszego gatunku, jak tylko nam się spodoba. Bitwa
rzeczywiście będzie wygrana. Tylko kto tak naprawdę
będzie zwycięzcą?

C.S. Lewis, Koniec człowieczeństwa²⁸

Trzy lata później

Najlepsza studentka na roku właśnie skończyła swoją mowę. Siedzę w najwyższym rzędzie odkrytej trybuny z widokiem na boisko i podest, ustawiony na linii pięćdziesięciu jardów.

Dyrektor zaczyna wyczytywać nazwiska.

Choć jeszcze jej nie widziałem, jest gdzieś tam z pozostałymi absolwentami, w morzu ciemnego błękitu. Za to od razu zauważyłem Beth, wchodząc po betonowych stopniach na wyższe rzędy stadionu — siedziała z mężczyzną, z którym kilka lat temu jadła kolację w La Fleur. Ma na imię John. Wykłada literaturę angielską na American University, gdzie Beth też wykłada, i specjalizuje się w literaturze brytyjskiej z lat 1485–1660. Czytałem wszystkie jego publikacje. Są dobre.

— Ava Ramsay.

Na widok mojej córki, wchodzącej na scenę, oczy zachodzą mi łzami.

Kiedy zaczęła używać mojego nazwiska?

Po ceremonii czekam przy samochodzie Beth na parkingu.

Jest wieczór i przyglądam się rodzinom przechadzającym się wraz ze swoimi absolwentami. Powietrze aż iskrzy energią.

John idzie między Avą i Beth, obie trzymają go pod rękę. Ma na sobie granatowy garnitur i świeżo wypastowane buty. Miło mi, że wystroił się na ten ważny dla Avy dzień. To dobrze o nim świadczy.

Zatrzymuje się na mój widok.

Prostuje.

Beth wyczuwa zmianę w jego ciele, spogląda na Johna, a widząc jego spojrzenie, obraca głowę ku mnie.

Nie istnieje taka kosmetyczna zmiana rysów, która oszukałaby moją żonę czy córkę.

Gdy Beth wzdycha, Ava podnosi wzrok znad telefonu. Opierałem się o maskę ich samochodu, teraz podchodzę z bukietem różowych róż i małą paczuszką w dłoni. Ava wypuszcza z ręki telefon i dyplom, podbiega do mnie, obejmuje mnie w pasie i płacze. Trzymam ją w uścisku i patrzę na Beth. Po jej twarzy, wyrażającej kompletne zaskoczenie, spływają wielkie łzy.

Na moim sercu z kamienia zaczyna się tworzyć siateczka pęknięć.

— John — przedstawia się John.

— Wiem.

Patrzy na Beth.

— Wszystko gra — mówi Beth, wycierając oczy. — Dałbyś nam chwilę?
— pyta Johna.

— Oczywiście. Przejdę się.

John patrzy na mnie swoimi łagodnymi oczami. Nie wie, co myśleć o tej sytuacji.

— Nie musisz się obawiać — zapewniam go. — Cieszę się, że jesteś w ich życiu.

Po raz pierwszy od czterech lat jesteśmy we troje i czuję wyraźnie dysonans. Jestem teraz w ich życiu intruzem. Fałszywą nutą.

Wsiadamy do samochodu — Beth za kierownicą, Ava i ja z tyłu. Pachnie różami i perfumami Beth — nowymi. Gdy byliśmy razem, używała innych.

— Mam nadzieję, że nie zepsułem wam dnia — mówię.

Ava kręci głową. Ma zaczerwienione oczy, wypełnione łzami.

— Jesteś tu bezpieczny? — pyta Beth.

— Nieszczególnie. — Unieruchomiłem wszystkie kamery nadzoru w promieniu dwóch przecznic od szkoły, sztuczna inteligencja wywęszy jednak wirusa i usunie go w ciągu piętnastu minut. Do tego czasu już mnie tu nie będzie.

Patrzę na córkę.

— Numer trzy w klasie...

— To idealne rozwiązanie — odpowiada, nagle odzyskując głos. — Pierwsza dwójka musi przemawiać, a ja nie cierpię publicznych wystąpień.

W byciu razem we wspólnej przestrzeni jest coś ze snu. Nie ma nic do powiedzenia i wszystko chce być wypowiedziane. Z bliska widzę subtelną cenę, jaką Beth zapłaciła za ostatnie cztery lata: głębsze zmarszczki w kącikach ust, powagę w oczach, której nie było, gdy ostatni raz w nie patrzyłem. Dziś widzę też w nich smutek.

No i Ava się zmieniła. Jest w niej znacznie więcej z kobiety, którą się staje, niż z dziecka, którym była.

— Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś — mówi Beth.

Po akcji w Nowym Jorku napisałem do niej list. Próbowałem wyjaśnić wszystko. Zakres mojej przemiany. Plan Kary i to, co musiałem zrobić, aby ją powstrzymać. Napisałem, że niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym

być jej mężem, moja obecność w ich życiu byłaby jedynie ciężarem. Zachęcałem ją, żeby zapomniała o mnie i poszukała szczęścia. Napisałem, że zawsze będę ją kochał.

Podąłem Beth paczuszkę.

— To dla was obu.

— Co to jest?

— Gdy szukałem Kary, pisałem dziennik. Czasami listy do ciebie, choć nie wierzyłem, że kiedykolwiek je przeczytasz. Mam nadzieję, że pomoże ci to zrozumieć, czym się stałem. Jest tu też list do was obu. Nie mogę zostać na tyle długo, by opowiedzieć wam, co robiłem przez minione lata. To niebezpieczne. Przeczytajcie go później, jak skończycie świętować.

Beth wpatrywała się w paczuszkę, niepewna, co robić. Prawdą było, że nie miałem dużo czasu, ale byłem też przerażony, bo nie wiedziałem, jak zareagują, gdy dowiedzą się, co zrobiłem.

— Mamy w domu małe przyjęcie — powiedziała Ava.

— Nie mogę, skarbie. To byłoby niebezpieczne dla wszystkich twoich gości. Przykro mi.

Skinęła głową, z całej siły powstrzymując łzy.

— Przyjęłaś moje nazwisko.

— Nie wstydzę się go. Ty jeszcze się wstydzisz?

— Już nie.

— To dobrze. Nie masz powodu. No wiesz, przecież uratowałeś świat.

Kosztowało mnie dużo wysiłku, aby się emocjonalnie nie rozpaść. Kilka miesięcy temu przestałem bronić się przed emocjami: żeby uratować ludzkość, potrzebowałem własnego człowieczeństwa.

Pochyliłem się i dotknąłem dłoni Beth.

— Jesteś z nim szczęśliwa?

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Tak, ale tęsknię za tobą. Wolałabym mieć ciebie.

Patrzyłem przez okno w ciemność, oddychałem bólem. Otaczała mnie strata. Wszystkich chwil, których nigdy nie przeżyjemy. Wszystkich partii szachów, których nie rozegram z Avą. Dziesięciu tysięcy kolacji z Beth. Wieczornego wylegiwania się w wannie, służącego jedynie rozmowie. Wolałabym dostać kulkę, niż doświadczyć tego bólu. W sekundę oddałbym mój wspaniały umysł i znów był starym Loganem o bardzo przeciętnym intelekcie.

Chęć odcięcia się od bólu jest wielka, ale muszę go czuć. Jeżeli stracę tę zdolność, stracę też zdolność do radości — tych krótkich chwil zadowolenia, które czynią świadome myślenie wartym tej całej podróży.

— Mogłeś zostawić tę paczuszkę na naszym progu — mówi Beth.

— Przyszedłem ze względu na Avę. I żeby cię zobaczyć.

— Może i przeszedłeś na inny poziom bytu, ale ciągle cię znam. Spróbujmy więc jeszcze raz: dlaczego przyszedłeś? Po co to ryzyko?

— Powinienem pozwolić wam już iść na przyjęcie.

Patrzy mi prosto w oczy.

Waham się.

— Logan...

Patrzę na nią bez słowa.

— Wiem, że mogliby ci nigdy nie pozwolić do nas wrócić. A nawet gdyby pozwolili, zmieniłeś się w sposób, którego nie rozumiem.

— Przykro mi.

— Nie twierdzę, że to nie rani — i to bardzo — ale poradzimy sobie, więc cokolwiek musisz zrobić, zrób to. Nic nam nie będzie. — Patrzy na naszą córkę, wskazuje na jej togę, a pod warstwą łoż dostrzegam iskrę buntowniczego szczęścia. Odporności. — Ponieważ niezależnie od tego, jak było trudno, życie toczyło się dalej.

Patrzę na córkę.

Jej oczy znów wypełniają się łzami.

— Kocham cię, tato — mówi.

— Ja też cię kocham.

Zapada cisza. Płyną kolejne łzy. Ze wszystkich oczu.

Otwieram drzwi. Wsiadamy, podchodzę do córki i obejmuję ją. Dołącza do nas Beth i obejmujemy się we troje — na parkingu, pod cicho buczącymi lampami sodowymi.

Chcę im powiedzieć, że w dalszym ciągu je kocham, a także to, jak ta miłość się zmieniała i pogłębiała — stała się nieskończenie pełna dzięki możliwości przeżywania na nowo, w najdrobniejszych szczegółach, każdego związanego z nimi wspomnienia.

Brak mi jednak słów. Nie wiem, jak można by to wyrazić.

Decyduję się więc na podział strumienia świadomości i spowolnienie mojego postrzegania czasu do najniższej prędkości, jaką jestem w stanie osiągnąć, i upajam się każdą przedłużoną sekundą ich dotyku, ciepła, zapachu, obecności.

Idąc przez parking, oddalając się od dwóch najważniejszych osób w moim życiu, czuję się okropnie samotny.

Ale równocześnie ogarnia mnie spokój.

Moja Beth,

Moja Avo,

Kara i Miriam sądziły, że mogą powstrzymać ludzkość przed samozagładą, zwiększając naszą inteligencję i wzmacniając zdrowy rozsądek. Stworzyły udoskonalenie, wznoszące te zdolności na wyższy poziom, ale mimo niezwykłego intelektu Kara była gotowa zabić miliard ludzi.

Moja siostra miała jednak rację w jednej kwestii: jeżeli nic się nie

zmieni, w następnym stuleciu wyginie. Chyba odkryłem, dlaczego nasz gatunek może do tego dopuścić.

Gdy dziecko wpada do studni i ginie, cały świat się temu przygląda i płacze, jeżeli jednak liczba ofiar rośnie, nasze współczucie maleje. W przypadku zjawisk przynoszących najwięcej ofiar — wojen, tsunami, aktów terroru — każdy zabity staje się anonimową statystyką. Fachowcy nazywają to „zanikaniem współczucia”, ale tak naprawdę powodem jest nasze genetyczne dziedzictwo — utrzymujące się w ludzkim DNA efekty przystosowawcze naszych przodków.

Pod koniec XX wieku antropolog i psycholog ewolucyjny Robin Dunbar sformułował teorię, że Homo sapiens jest w stanie dbać, identyfikować się i utrzymywać stałe związki z nie więcej niż ze stu pięćdziesięcioma osobami. Liczba ta koreluje z wielkością grup społecznych w naszej ewolucyjnej przeszłości. Gdy byliśmy Homo erectus, żyliśmy w małych grupach łowców-zbieraczy. Wtedy korzyść przynosiło jedynie dbanie o własną grupę. Pomagało to bronić plemienia. Pomagało rozwijać się i przeżyć.

To ograniczenie przenosiło się jednak dalej. Dziś, w przypadku jakiejś tragedii, potrafimy się przejąć nieszczęściem stu pięćdziesięciu osób. Przy większej liczbie współczucie zanika, ale nie dlatego, że jesteśmy źli. Po prostu nasza psychika nie jest w stanie sobie z tym poradzić. Żyjemy w globalnej wspólnocie dziesięciu miliardów ludzi, podczas gdy mózg jest w stanie współczuć jedynie tym, którzy żyją blisko nas lub z nami.

Dochodzą do tego inne czynniki — na przykład odległość. Tragedia, która rozgrywa się na drugim końcu świata, mniej nas porusza niż tragedia w sąsiedztwie. Znacznie trudniej jest też identyfikować się z ludźmi, którzy wyglądają inaczej od nas.

A jeżeli nasz gatunek ma problem z wyrażaniem współczucia dla czyjegoś bólu w danym momencie, jak możemy oczekiwać, że przejmie się tragedią,

która jeszcze się nie wydarzyła? Ofiary upadku Homo sapiens przecież jeszcze się nie narodziły. Co może nas zachęcić do poświęceń, które uratują przyszłe pokolenia, jeżeli nasze mózgi nie są w stanie o nich myśleć?

Moja matka stwierdziła kiedyś, że nie jesteśmy istotami racjonalnymi. Czytamy w gazecie o tym, co nam grozi, oglądamy to w telewizji, a potem i tak żyjemy, jak dotąd żyliśmy. Oczywiście częściowo jest to efekt naszej zdolności do obrony przed rzeczywistością za pomocą zaprzeczenia, dysonansu poznawczego czy myślenia magicznego, ale moja matka zapomniała o najważniejszej rzeczy.

Przy braku współczucia najbardziej racjonalną reakcją jest egoizm.

Brak troski o innych, nieprzejmowanie się wieloma sprawami to cecha charakterystyczna naszego gatunku. I głównie właśnie w tej umiejętności się ćwiczymy.

Nie mamy problemu z inteligencją. Mamy problem ze współczuciem. I to — o wiele bardziej niż jakikolwiek inny czynnik — popycha nas ku zagładzie.

Po śmierci Kary spędziłem rok nad danymi genetycznymi matki, które pozyskała za pomocą Story of You, skupiając się na układach genetycznych powiązanych ze współczuciem. Znalazłem jeden programujący objętość kluczowych podobszarów kory przedczołowej, która determinuje umiejętności mentalizacji jednostki, co z kolei determinuje wielkość naszej grupy społecznej, a to zaś bezpośrednio kieruje zdolnością odczuwania współczucia. Znalazłem też jeden układ sterujący grzbietowymi częściami środkowego obszaru kory przedczołowej, które aktywizują się, gdy człowiek odczuwa empatię wobec innych, nieznanym sobie ludzi. Nasze mózgi ewoluowały tak, że pomagamy członkom własnej grupy, ale do przeżycia jako gatunek potrzebujemy zdolności dbania o innych. W szczególności o ludzi, którzy jeszcze się nie narodzili.

Tak więc skonstruowałem udoskonalenie współczucia.

Nasza grupa beta zauważyła u siebie wzrost poziomu empatii i ciekawości. Wykazuje większą troskę o innych i niemal kompulsywną potrzebę rozumienia się nawzajem.

Dziesięć miesięcy temu, po szczegółowych testach, wysłałem sto osób w różne strony świata — wszyscy zostali zakażeni wektorem wirusowym, będącym nośnikiem mojego udoskonalenia.

Moi rozsiewacze wypuszczali wirusa, lecąc nad Atlantykiem i Pacyfikiem. Spacerując po halach lotniska Charles'a de Gaulle'a i Heathrow. Słuchając najbardziej wysublimowanej muzyki świata w Teatro Colón w Buenos Aires. Krążąc po stoiskach w dzielnicy Mong Kok w Hongkongu. Na tokijskim skrzyżowaniu Shibuya. Na Times Square. Na stadionach piłkarskich od Madrytu po Manchester. Na placu Czerwonym i w Zakazanym Mieście.

Na razie ponad pięćdziesiąt procent populacji świata otrzymało moje udoskonalenie i obserwujemy już drobne zmiany w polityce ludnościowej oraz dyskusjach w internecie. Osobiście czuję, że łagodzi to niektóre zimniejsze efekty moich poprzednich udoskonaleń.

Postanowiliśmy nie podawać tego do publicznej wiadomości, ważne jest jednak dla mnie to, żebyście obie wiedziały, co zrobiłem.

Przeraża was moja pycha? Nie jestem lepszy od matki ani Kary, uznając, że inteligencja daje mi prawo do określania kierunku, w jakim ma podążać ludzkość?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Tak samo jak nie mam pewności, czy moje udoskonalenie pozwoli osiągnąć to, co założyłem, albo jakie może mieć niezamierzone konsekwencje.

Wiem za to, Avo, że dziedziczysz świat chylący się ku upadkowi. Pojawiłem się na nim przed tobą, co czyni mnie winnym za ten stan rzeczy. Nie mogłem tylko biernie się przyglądać.

Być może moje działania nie mają już znaczenia. Może po prostu nadszedł na nas czas.

Ludzie spędzili na tej planecie trzysta tysięcy lat. Żyliśmy od epoki kamienia po erę kosmiczną. Rozszczepiliśmy atom, sekwencjonowaliśmy własne DNA i budowaliśmy myślące maszyny, a mimo całego postępu co roku z głodu umiera dziesięć milionów ludzi. Mamy Hiperpętle i nieokiełznany natywizm. Telefony sprawniejsze od komputerów, które pomogły nam polecieć na Księżyc, ale nie mamy już raf koralowych.

I rok po roku nic tak naprawdę się nie zmienia.

Jeżeli istnieje rozwiązanie, to polega ono na uratowaniu nas przed naszą ambiwalencją. Naszą apatią.

Cokolwiek się teraz wydarzy, wiem, że zrobiłem co w mojej mocy. Zrezygnowałem ze wszystkiego, czego jeszcze mi nie odebrano, i wreszcie wyszedłem z długiego cienia matki.

Gdy będziecie to czytać, będę jechał na Zachód. Mam niedokończone sprawy w Glasgow w Montanie.

Chcę, abyście wiedziały, że gdybym mógł cofnąć czas i żyć tak jak dawniej, nie wahałbym się ani sekundy, niestety życie nie zna biegu wstecznego.

Gdy myślę o dawnym Loganie, czuję się, jakbym myślał o kimś całkiem innym, a w chwilach, gdy postanawiam nie kontrolować się, bardzo mi go brak. Podejrzewam, że gdybyśmy wszyscy mieli pamięć doskonałą, opłakiwalibyśmy dawne wersje siebie tak, jak opłakujemy zmarłych przyjaciół.

Choć nie jestem już Loganem, którego znałaś, ta część mnie, która kochała cię do szaleństwa, pozostała.

Kończę ten list, siedząc w samochodzie, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko miejsca, które zwykłem nazywać domem. Jest wieczór, jutro

Ava dostanie swój dyplom, i przez frontowe okno widzę was obie i Johna w salonie. Chyba w coś gracie. Dużo się śmiejecie i nie mogę się pozbyć myśli, że wyglądacie jak rodzina.

Głęboko mnie to rani i równocześnie czyni szczęśliwym.

Jak się nazywa serce, które jest wypełnione radością, ale pęka? Może nie ma na to określenia, ale z jakiegoś powodu kojarzy mi się to z deszczem padającym w przepiękny słoneczny dzień.

PODZIĘKOWANIA

Grupa niezwykłych ludzi pomagała mi na różnych etapach pisania tej książki i chciałbym poświęcić chwilę na to, by im podziękować.

Za każde podkreślenie na czerwono, każdą uwagę, za każdy raz, gdy przerywałem to, co robiłaś, aby sprawdzić na Tobie kolejny pomysł, dziękuję Ci, JACQUE BEN-ZEKRY, moja redaktorko i partnerko we wszelkich sprawach. Tkwiłaś ze mną w okopach, gdy próbowałem utrzymać *Upgrade* w ryzach — zarówno w dobre dni, jak i w złe, gdy wątpiłem we wszystko. Nie ukończyłbym tej książki bez Ciebie.

Za nieustanną wiarę w najtrudniejszą książkę w mojej karierze szczególne podziękowania należą się JULIANOWI PAVII, który od trzech książek i siedmiu lat jest moim wydawcą. Twoja wiedza i instynkt są wielkie. Dzięki Twojej presji powstają diamenty.

Za radę, przyjaźń (i zawsze niesamowite posiłki!) dziękuję DAVIDOWI HALE SMITHOWI, mojemu agentowi literackiemu od ponad dziesięciu lat. Ten czas był niezłą jazdą, przyjacielu.

Podziękowania dla gangu w INKWELL MANAGEMENT, w szczególności dla RICHARDA PINE'A, ALEXIS HURLEY, NATHANIELA JACKSA i NAOMI EISENBEISS.

Za dbanie o moje interesy telewizyjne i filmowe z bezgraniczną pewnością siebie dziękuję ANGELI CHENG CAPLAN oraz JOELOWI VANDERKLOOTOWI.

Za nieodzowne wsparcie, dzięki któremu mogę się skupić na pisaniu, nie doprowadzając do dezorganizacji codziennego życia, dziękuję TYSONOWI

BEEMOWI, BRANDONOWI KLEINOWI, MOLLY FIX i CARISSIE GAYLORD.

Za bycie silnikiem rakietowym dla moich książek dziękuję wszystkim w PENGUIN RANDOM HOUSE i BALLANTINE BOOKS, zwłaszcza GINIE CENTRELLO, KARZE WELSH, KIM HOVEY, JENNIFER HERSHEY, QUINNE ROGERS, KATHLEEN QUINLAN, CINDY BERMAN i CAROLINE WEISHUHN.

Za niezmierną pracę na moją rzecz i bycie najlepszą rzeczniczką prasową, jaką kiedykolwiek miałem, dziękuję DYANIE MESSINIE.

Za przepiękne okładki do *Mrocznej materii*, *Rekursji* i teraz *Upgrade'u* dziękuję CHRISOWI BRANDOWI.

Za wspaniałe publikacje w Wielkiej Brytanii wielkie uściski dla niezrównanego WAYNE'A BROOKESA i wszystkich w PAN MACMILLAN.

Za czytanie niezgrabnych pierwszych szkiców *Upgrade'u* i dzielenie się opiniami, które niezmiernie poprawiły tekst, dziękuję pierwszym czytelnikom: CHUCKOWI EDWARDSOWI, BARRY'EMU EISLEROWI, JOE HARTOWI, CHADOWI HODGE'OWI, MATTOWI IDENOWI, DAVIDOWI KOEPPOWI, STEVE'OWI KONKOLY'EMU, ANN VOSS PETERSON i MARCUSOWI SAKEYOWI.

Głęboki ukłon oznaczający: bez-ciebie-naprawdę-nie-napisałbym-tej-książki przed błyskotliwym i dowcipnym genetykiem molekularnym MICHAELEM V. WILESEM. Tak wiele się od Ciebie nauczyłem... Dziękuję za Twoją cierpliwość, Twój czas i głęboką wiedzę. Jesteś wzorem konsultanta naukowego. Miałem szczęście, że Cię znalazłem.

Za poświęcenie chwili na rozmowę ze mną o kwantowych aplikacjach komputerowych w kontekście manipulacji zestawami danych genetycznych dziękuję HOOMANOWI MOHSENIEMU.

Za inspirujące rozmowy w trakcie pisania *Upgrade'u* o krzyżowaniu się nauki i filozofii dziękuję PHILOWI WEISEROWI, BRYANOWI JOHNSONOWI i J. PIERRE'OWI DE VRIESOWI.

Za pomoc w znalezieniu najlepszych konsultantów naukowych do trzech moich ostatnich powieści serdeczne podziękowania dla THE SCIENCE AND ENTERTAINMENT EXCHANGE, w szczególności dla SACHI C. GERBIN i RICKA LOVERDA.

Za to, że nie tylko jest wspaniałą księgarnią w moim sąsiedztwie, ale także jedną z najlepszych niezależnych księgarni na świecie, piątka dla wszystkich w MARIA'S BOOKSHOP, szczególnie dla EVANA SCHERTZA, ANDREI AVANTAGGIO i PETERA SCHERTZA.

Za Waszą miłość i wsparcie przy pracy nad tą niemogącą się skończyć książką dziękuję mojej wspaniałej rodzinie: JACQUE, MAMIE, TACIE, mojemu bratu JORDANOWI oraz trójce moich utalentowanych, grzecznych i niezwykłych dzieci: AIDANOWI, ANNSLEE i ADELINIE. Szczególnie dziękuję AIDANOWI za fascynujące filozoficzne rozmowy i skierowanie mojej uwagi na *Koniec człowieczeństwa* C.S. Lewisa, która to książka stała się najważniejszym źródłem inspiracji dla końcowej części mojej powieści.

Za podarowanie mi wspaniałego życia, w którym mogę robić to, co lubię, dziękuję Wam, MOI NIESAMOWICI CZYTELNICY — zwłaszcza tym, którzy są ze mną od początku.

I na koniec: w 2019 roku mój najserdeczniejszy i najstarszy przyjaciel z dzieciństwa, BRIAN ROGERS, stracił w tragicznych okolicznościach syna, EDWINA ALEJANDRA ROGERSA. Postać Edwina Rogersa jest dedykowana Jego pamięci.